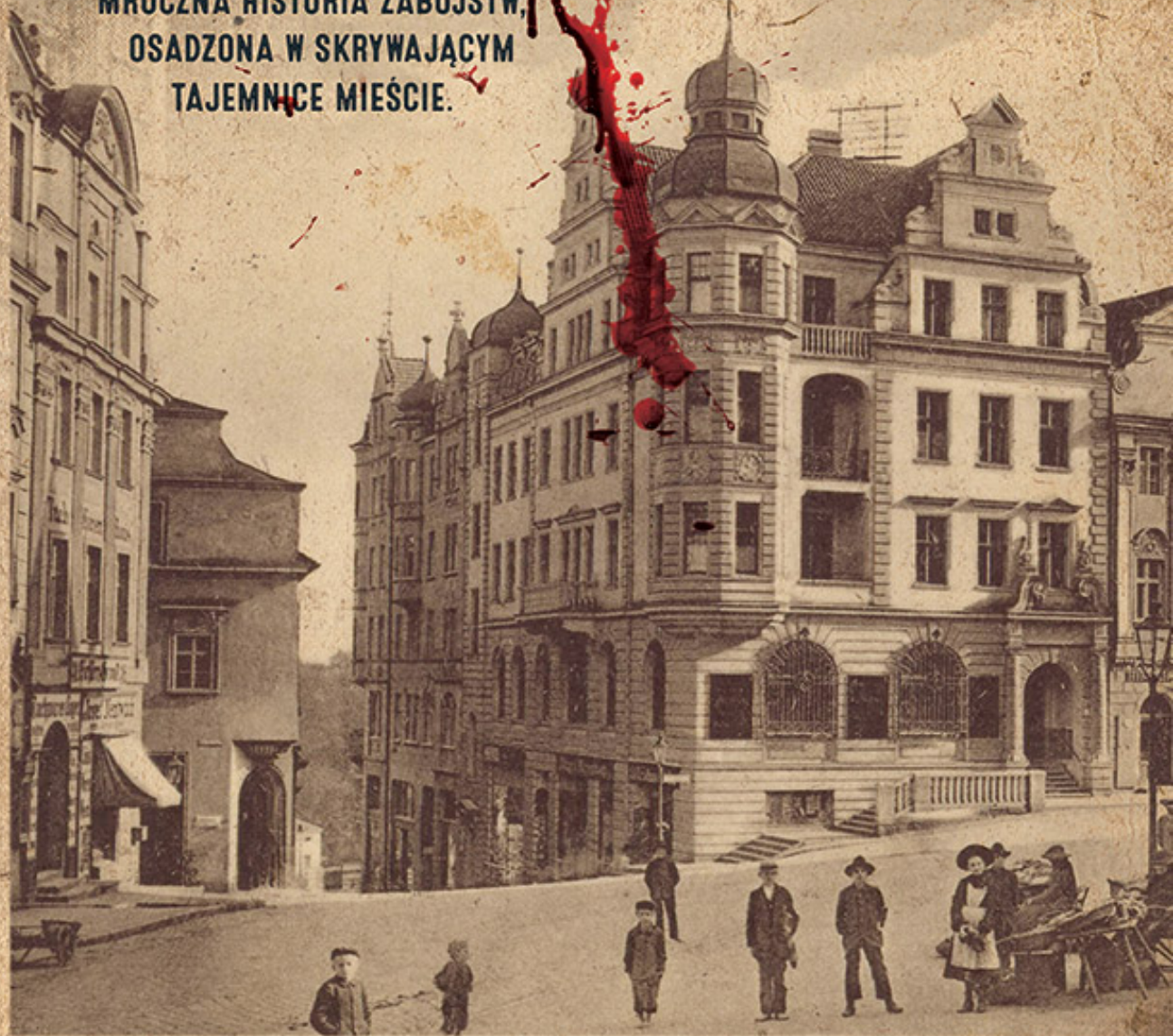


Ring und Schliesisches Bankhaus

MROCZNA HISTORIA ZABÓJSTW,
OSADZONA W SKRYWAJĄCYM
TAJEMNICIE MIEŚCIE.



GLATZ

TOMASZ
DUSZYŃSKI

Glatz. Senne miasteczko na peryferiach Śląska wydawałoby się dalekie od centrum europejskich wydarzeń. Koniec wielkiej wojny obnażył zadry i pęknięcia w społeczności Kłodzka. Rozbrojenie miejscowego garnizonu spotyka się z rosnącym sprzeciwem. Mieszkańcy obawiają się planów włączenia hrabstwa do Czechosłowacji. Problemy aprowizacyjne, inflacja i bezrobocie stają się punktem zapalnym. Jedyne autorytet burmistrza, Franza Ludwiga, pozwala uniknąć wybuchu. Blisko dwa lata później w Rzeszy wciąż narasta opór przeciw postanowieniom traktatu wersalskiego, a Glatz staje się przykładem animozji drażniących Niemcy. Malownicze kamienice, w cieniu Twierdzy Kłodzkiej, kryją coraz więcej mrocznych tajemnic.

SON
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

GLATZ

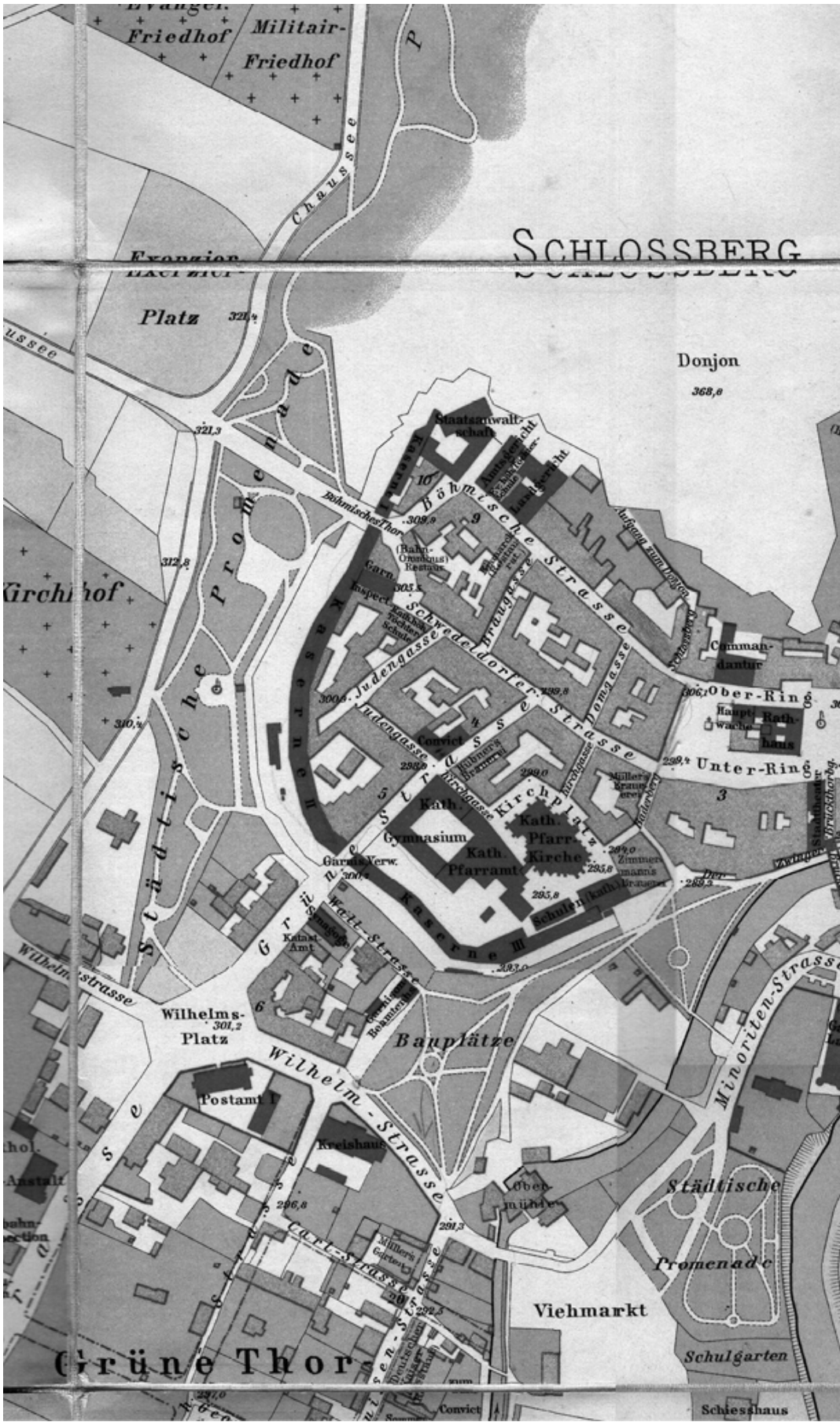


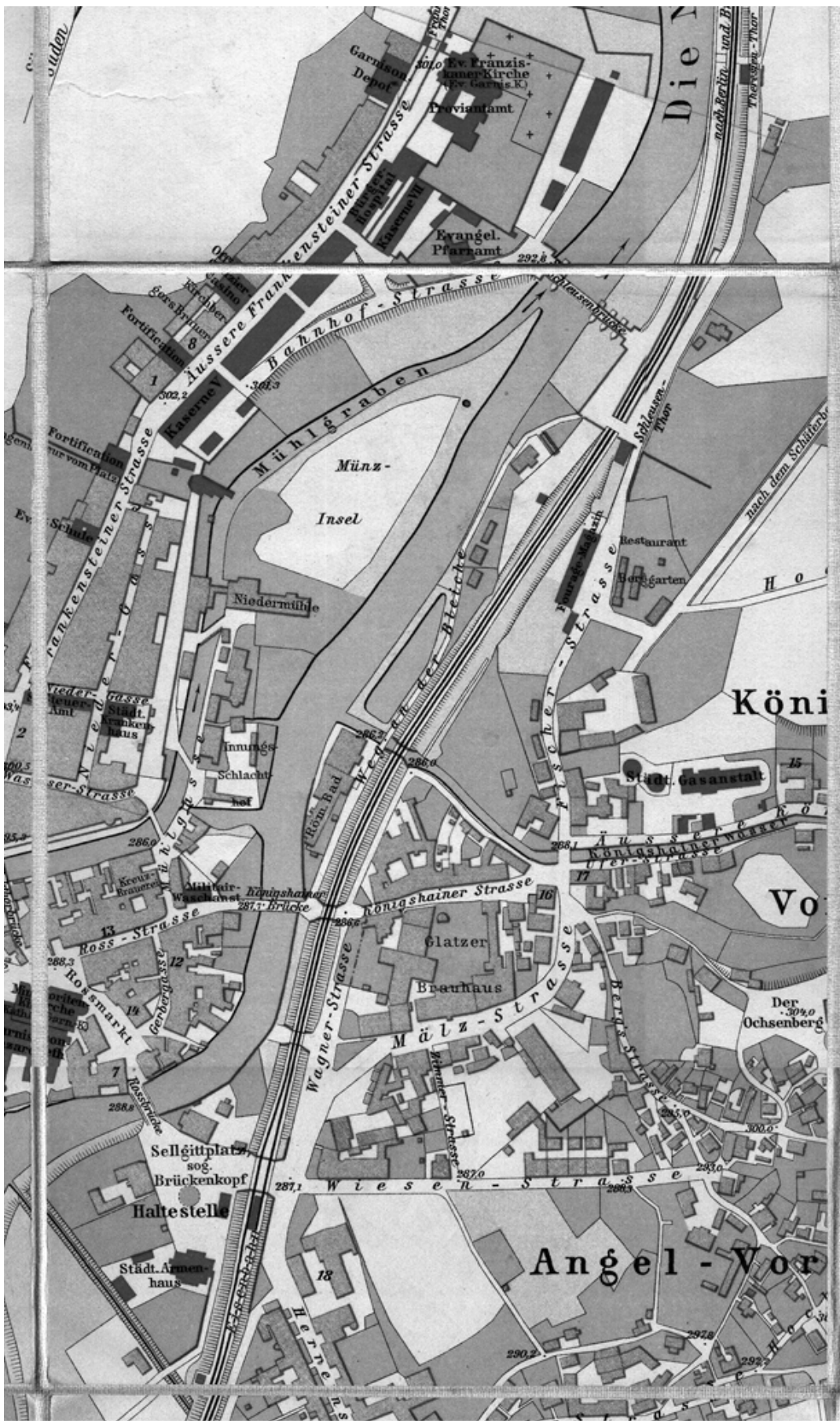
GLATZ

TOMASZ DUSZYŃSKI

KRAKÓW 2019

*Babci, dziadkowi, rodzicom,
rodzinie Duszyńskich z Kłodzka
i mieszkańcom miasta*





SPIS ULIC I PLACÓW

Nazwa historyczna	Nazwa współczesna
Am Böhmischen Tor	ul. R. Traugutta
Am Frankensteiner Tor	ul. Nadrzeczna
Am Schäferberg	ul. Podgrodzie
Bahnhofstrasse	ul. Kolejowa
Baderberg	ul. Spadzista
Böhmische Strasse	ul. Czeska
Brücktorberg	ul. Wita Stwosza
Domgasse	ul. Tumska
Frankensteiner Strasse	ul. W. Łukasińskiego
Friedrichstrasse	ul. S. Okrzei
Gartenstrasse	ul. Bohaterów Getta
Grüne Strasse	ul. Wojska Polskiego
Herrenstrasse	ul. Lutycka
Judengasse	ul. I. Łukasiewicza i Muzealna
Kirchplatz	pl. Kościelny
Kirchgasse	ul. Kościelna
Königshainer Strasse	ul. Śląska
Mälzstrasse	ul. Połabska
Minoritenstrasse	ul. I. Daszyńskiego
Promenadenweg	ul. Wiejska
Ring	pl. B. Chrobrego
Rossmarkt	ul. A. Grottgera
Ross Strasse	ul. J. Matejki
Sellgittplatz	pl. Jedności
Schlossberg	ul. Grodzisko
Nazwa historyczna	Nazwa współczesna
Schwedeldorfer Strasse	ul. Armii Krajowej
Wagnerstrasse	ul. S. Moniuszki
Wallstrasse	ul. Zawiszy Czarnego

Wasserstrasse
Wilhelmsplatz
Wilhelmstrasse
Der Zwinger

ul. Wodna
pl. W. Jagiełły
ul. T. Kościuszki
ul. Nad Kanałem

Gustaw Taube, dyrektor i nauczyciel w miejscowym liceum, opuścił zamglony rynek i skręcił obok nowego gmachu Banku Rzeszy w Brücktorberg prowadzącą przez kamienny most na Wyspę Piasek. Był poniedziałek 12 kwietnia 1920 roku, piąta nad ranem. Zaledwie kilka minut temu Taube opuścił przyjęcie urodzinowe wydane na jego cześć przez przyjaciół i znajomych w restauracji hotelowej Pod Czarnym Niedźwiedziem. Świętował sześćdziesiąte drugie urodziny. Zaczął kolejny rok długiego życia. Uważał je za przeżyte uczciwie i z godnością. Wypełniało go uczucie, które śmiało mógł nazwać spełnieniem. Poświęcił się pracy zawodowej, odnalazł powołanie w pracy z młodzieżą. Czerpał energię ze spotkań i rozmów z młodymi ludźmi. Do domu wracał pełen nadziei, siadał w gabinecie czytał, studiował, poszerzał wiedzę, by następnego dnia dzielić się nią z tymi, których miał przez lata pod opieką.

Wieczór był ciepły, wręcz parny. Dość niezwykle zjawisko jak na tę porę roku. W nocy temperatura nieco spadła, powodując pojawienie się mgły. W kolejnych godzinach wodna zawiesina zgęstniała jak kisiel. Widoczność pogorszyła się tak mocno, że profesor nie był w stanie dostrzec własnej wyprostowanej ręki.

Szedł niemal po omacku, mając za punkty orientacyjne jedynie przytłumione światła lamp gazowych. Nie stanowiło to dla niego większej przeszkody – nawet z zawiązanymi oczami był w stanie przejść to miasto wzdłuż i wszerz. Znał tu każdy budynek i każdą uliczkę. Często przystawał przy kamienicach, wpatrując się w renesansową, secesyjną czy też barokową fasadę. Studiował zdobienia portali, wykusze, korynckie pilastry. Potem, już w domu, odwzorowywał na papierze każdy szczegół, który wrył mu się w pamięć. A pamięć profesor miał fotograficzną.

– Drodzy państwo – Taube przemówił dosyć głośno, choć dźwięk wydawany przez struny głosowe wznosił się i opadał kierowany niewidocznymi falami przyboju. Profesor uniósł dłonie, jakby oczekując od skrytego we mgle audytorium zachowania ciszy i uwagi. – Scho... schozimy właśnie z Dolnego Rynku. Stamtąd przeziemy na Wyspę Piasek na rozciągnięty nad Młynówką kamienny, gotycki most... Ten most, który kojarzy się z przepięknym praskim Mostem Karola, jest w istocie niezwykle... hyk.

Taube okręcił się wokół własnej osi, wykonując piruet niczym podczas jazdy na łyżwach. Potem powrócił na kurs, wyczuwając nachylenie terenu i obierając azymut na dolinę. Być może spodziewał się w tym miejscu dawnej bramy mostowej, którą zburzono jakiś czas temu, by dać miejsce na oddech pęczniącemu miastu. Zamiast tego zatoczył się w stronę witryny sklepu S. Loewy z damskimi kapeluszami. To przypomniało mu o jego własnym nakryciu głowy, jednak dłoń, którą przesunął po rzadkich włosach, napotkała pustkę. Melonik musiał zostać w restauracji hotelowej Pod Czarnym Niedźwiedziem.

Profesor zaśmiał się i zupełnie niezrażony tym przykrym odkryciem kontynuował nocną eskapadę.

– Wspaniałe barokowe figury, które ukążą się wam... albo i nie ukążą przez ową diabelską mgłę... – Profesor ponownie czknał. Szybko jednak, poprosiwszy o wybaczenie ukrywającą się we mgle grupę turystów, powrócił do przerwanego wątku: – ...wzbudzą wasz niemały i niekłamany zachwyt. Zwłaszcza dwie z nich ufu... ufundowane przez możnych, zasłużonych, ba!, znakomitych mieszkańców tego miasta!

– Zamknij mordę! – Nad profesorską głową, w ciemności, trzasnęła okiennica. Ten dźwięk, podobnie jak głos nieznanego, zaraz został wchłonięty przez lepkie echo nocy. We mgle rozpląnął się także chichot profesora. Taube przytknął palec do ust i pochyliwszy się, nieznacznie przyspieszył kroku.

– Dwie z nich zasługują na sze... szczególną uwagę – mówił teraz szeptem, bezskutecznie próbując zachować powagę. – Pieta, której fundatorami w siedemnastym wieku byli ówczesny starosta kłodzki hrabia Johann Georg von Götzen i jego żona Maria Elżbieta... oraz rzeźba Chrystusa, z Marią Magdaleną u jego stóp... którą to rzeźbę ufu... ufundował kolejny wspaniały przedstawiciel naszego regionu hrabia... hyk... Herberstein wraz z małżonką.

Brukowa kostka na Brücktorberg była śliska. Profesor niemal stracił równowagę, gdy marcujące koty wyskoczyły mu pod nogi, a potem zniknęły w jednym z okienek sutereny.

Taube parsknął śmiechem i teatralnie dotknął klatki piersiowej. Zakręciło mu się w głowie, lekki poszum w uszach był przyjemny. Równie przyjemny jak posmak w ustach, pozostawiony przez magiczny trunek arak batavia sprowadzany z Jawy przez destylatornię Louisa Schotta. Był to ulubiony napój profesora, trunek, który w ostatnim czasie zyskał w mieście sporą popularność.

Profesor wykonał kolejny krok, ale w tym momencie poszum w głowie stał się jeszcze bardziej intensywny. Taube uderzył otwartą dłoń w ucho, jakby chciał wytrząsnąć z niego wodę. Po chwili dopiero zlokalizował źródło dźwięku i jego przyczynę. Znalazł się na moście, płynąca pod nim Młynówka z małej malowniczej strugi przerodziła się w nocy w ryczącą i huczącą bestię, nienażartą poczwagę. Początkowo profesor zdziwił się tak dużą ilością wody w kanale, szybko jednak przeszedł nad tym do porządku. Rzęsiste deszcze i roztopy w kłodzkim hrabstwie budziły niepokój co roku. Poziom wód Nysy w ostatnich dniach znacznie się podniósł i w ciągu dnia na wałach widać było coraz więcej zatrzymujących się spacerowiczów. Z szacunkiem patrzyli na żywioł.

Taube potrząsnął głową, by odegnać myśli o kataklizmach. Ostatnie lata wojny, jej niewysłowione okrucieństwo, wystarczająco zburzyły pokój jego ducha. Odezwał się dopiero po chwili, choć jego słowa tym razem ginęły w szumie wody płynącej pod kamiennym mostem:

– I posąg, który powinniście państwo poznać. Święty Franciszek Ksawery, patron naszego kochanego miasta...

Taube zachwiał się i w końcu zatrzymał. Uniósł dłoń i pokiwał palcem nieobecny słuchaczom. Dopiero teraz przypomniał sobie, że posąg nie oparł się upływowi czasu ze względu na słaby materiał, piaskowiec, z którego został wykonany. Na moście został jedynie cokół, czekający na osadzenie repliki posągu świętego patrona Kłodzka dłuta Brunona Tschötschela.

– Wierna kopia naszego świętego powróci do nas w glorii i chwale już w przeciągu tygodnia... – Profesor czknął. Chwilę walczył ze sobą i z treścią żołądkową, która podeszła mu do gardła: na wpół przetrawionym pasztetem z gęsiich wątróbek i znakomicie przygotowanym miejscowym przysmakiem: śląskim niebem...

Taube, zbliżył się do kamiennej balustrady i nagle zamarł. Odgłos płynącej Młynówki został zagłuszony przez huk, który odezwał się w profesorskich skroniach. Zabrakło mu tchu, głowę ścisnęło bolesne imadło. Profesor był pewny, że dotknęło go pomieszanie zmysłów. Tuż nad nim pochylał się bowiem posąg, biały niczym śnieg. Z mgły wyłaniała się podłużna głowa z kępami posklejanych siwych włosów. Nagie ciało pokryte było brunatnymi żłobieniami, z których spływała wilgoć.

Profesor zachwiał się i cofnął o krok, nie mogąc oderwać oczu od twarzy, która wydała mu się znajoma, a jednocześnie tak dojmująco obca. Serce Taubego zacisnęło się z trwogi, gdy ciemna otchłań ust mężczyzny rozwarła się, jakby ten chciał przemówić. Zamiast tego z bezzębego mięsistego otworu wysunęło się coś miękkiego, co spadło pod nogi profesora, uderzając z młaśnięciem o bruk.

W odpowiedzi treść żołądka profesora, niczym winda z kłodzkiej fabryki Thiele & Maiwald, podjechała do góry, a boczek i suszone owoce utworzyły pejzaż, którego profesor nawet przy dobrych chęciach nie byłby w stanie nazwać malowniczym.

*

Pierwsi na kamiennym moście, zaalarmowani przez profesora Taube i mieszkańców kamieniczek przy Ross Strasse, znaleźli się wachmistrz Paul Seipelt i Lothar Schulz. Wkrótce na moście Świętego Jana pojawił się niemal cały stan osobowy kłodzkiej policji. Tymczasowe dowodzenie przejął wachmistrz Ernst Puder, którego żołądek okazał się bardziej odporny na zastane widoki niż żołądki młodszych stażem policjantów.

Puder, jeśli miał jakiegokolwiek dolegliwości, to wyłącznie spowodowane rozkazami burmistrza, zwierzchnika kłodzkiej policji. Polecenia Franza Ludwiga wydawały się wachmistrzowi niemożliwymi do spełnienia. Pocił się teraz, wydając kolejne komendy nakazujące zamknięcie dojścia do kamiennego mostu od strony Rossmarkt i Brücktorberg na wysokości Der Zwinger.

Przejaśniało się, a to powodowało u wachmistrza coraz większą nerwowość. Przesunął wzrokiem po kamienicach. Mgła unosiła się powoli, odsłaniając coraz to

nowe kondygnacje i okna. Widać w nich było głowy ciekawskich. Od strony rynku dobiegał gwar, coraz to kolejni gapie zatrzymywali się przy prowizorycznych barierkach ustawionych przez policjantów. Puder miał wrażenie, że ten budzący się do życia ul otacza go ze wszystkich stron, a on sam tkwi niczym ciało obce w jego centrum. Narożne kamienice na rogu z Der Zwinger zaczęły przeżywać prawdziwe oblężenie. Obok kiosku z papierosami utworzyła się kolejka. Właściciel musiał wyjść naprzeciw zapotrzebowaniom ciekawskich i otworzył witrynę wcześniej niż zwykle. Nawet pod mostem słychać było nawoływania. Lada chwila wszyscy zobaczą to, co dwa kwadransy temu zobaczył profesor Taube.

– Szybciej z tym stelażem – wachmistrz pogonił Paula Francke, stolarza, którego w trybie pilnym wciągnięto z domu, by postawił konstrukcję wokół postumentu, na którym stał do niedawna posąg świętego Franciszka. – Plandeki macie?

– Mamy, zaraz zakryjemy nieszczęśnika.

Francke nie wyglądał na przejętego porannym widokiem i Puder złośliwie pomyślał, że w sumie nie powinien się temu dziwić, wszak stolarz nawykł do równie makabrycznych widoków, gdy budził się rankiem obok swojej mało urodziwej żony Gertrudy.

– Nie zaraz, tylko już! Żeby ludzie nie widzieli...

– Tak jest, wachmistrzu!

Puder podążył za Francke w stronę drewnianej konstrukcji. Pomocnik stolarza rozciągał właśnie plandekę na deskach. Na szczęście nie było wiatru, bo niezgrabna, przysadzista konstrukcja mogła zadziałać niczym żagiel. Teraz wysoka, rozpięta nad ciałem zasłona wydawała się zwykłym zabezpieczeniem, jakie stawiano przy okazji różnego rodzaju prac budowlanych.

Wachmistrz wreszcie odetchnął i zdejmując czapkę, otarł rękawem pot z czoła.

Burmistrz zakazał ruszania ciała do przyjazdu niejakiego Wilhelma Kleina. To imię i nazwisko nic Puderowi nie mówiło, jednak nacisk, z jakim przełożony wymówił swoje życzenie, świadczył o tym, że jest to ktoś znaczący. Puder nie miał zamiaru wychodzić przed szereg. Zezwolił jedynie policyjnemu fotografowi na zrobienie zdjęć miejsca zbrodni i samego trupa. Teraz w błyskach magnezji doznawał uczucia, że zapanował nad sytuacją i wykonał swoją robotę jak należy. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że wpatruje się w rzecz leżącą pod postumentem. Nie ulegało wątpliwości, że jest to męskie przyrodzenie. Puder skojarzył teraz chaotyczne słowa profesora Taube, który odnalazł ciało. Mówił, że z ust trupa wypadło coś, co przypominało długiego robaka.

– Nie nadepnijcie na to – wskazał palcem odcięte prącie. Fotograf cofnął się o krok, nachylił i znów błysnął magnezją, uwieczniając część ciała nieszczęśnika.

Puder wyciągnął z kieszeni zegarek i odczytał godzinę. Kapitan Wilhelm Klein musiał być kimś cholernie ważnym, skoro nie spieszył się na miejsce zbrodni, mimo że burmistrz znany był z tego, że wyrzucał za drzwi osoby, które spóźniły się choćby kilka sekund.

*

Jürgen Roth wyciskał z maszyny audi type C, ile fabryka dała. Mimo ciemności i wciąż gęstej mgły wędrującej od żywego nurtu Nysy chwilami przekraczał maksymalną prędkość pojazdu określoną na dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Automobil, zwany Pogromcą Alp, zasłużył na swe miano, sprawdził się bowiem także w warunkach sudeckich, tym samym pozwalając Jürgenowi na dotarcie do pałacu w Gorzanowie w niecałe dwa kwadranse.

Kierowca przejechał przez bramę wjazdową i znalazł się przed pałacem. Wsiadłszy, natknął się na niespodziewaną przeszkodę w postaci potężnego kamerdynera, który zatrzymał go w progu.

– Telefon! Wciąż nie odebraliście telefonu z ratusza?! – zawołał. – Przyjechałem po kapitana Wilhelma Kleina! Prowadź mnie do niego natychmiast!

Przysadzisty mężczyzna wpuścił przybysza do pałacu, lecz wciąż odgradzał mu drogę, w milczeniu wpatrując się w gogle, których kierowca alpensiegera nie raczył zdjąć.

– Na co czekasz? Rusz się, człowieku!

– Chwileczkę...

Kamerdyner ruszył w stronę schodów prowadzących na piętro. W tym właśnie momencie rozdzwonił się telefon. Mężczyzna się zawahał, na sekundę czy dwie zastygł z uniesioną nogą, potem wykonał półobrót i ruszył w stronę źródła irytującego dźwięku.

Jürgen wykorzystał ten moment, by przemknąć ku schodom i ruszyć na piętro. Miał świadomość, że pałac jest ogromny i szukanie Kleina może zająć mu wieki. Dostrzegł na szczęście przemykającą korytarzem służącą. Zatrzymał ją obcesowo, łapiąc za rękę i zwracając ku sobie.

– Klein, kapitan Wilhelm Klein, wczoraj przybył pociągiem do Kłodzka, został odebrany przez waszego człowieka ze stacji i przywieziony tutaj.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – Jürgen tracił cierpliwość. Nie wyobrażał sobie, że powróci do Kłodzka, by stanąć naprzeciw burmistrza i tłumaczyć mu, dlaczego tak długo trwała jego wyprawa do Gorzanowa. – Jestem z policji! Gdzie znajdę Herr Kleina?

Roth musiał naprawdę mocno zacisnąć palce na zgięciu łokcia służącej, bo skrzywiła się z bólu.

– Prosto, potem w lewo, w bawialni za tymi drzwiami ze szkłem!

Jürgen nawet nie przeprosił. Podbiegł we wskazaną stronę, nie przejmując się, że gumowe podeszwy piszczą na marmurowych podłogach.

W końcu dopadł drzwi, za którymi widać było migoczące plamy światła. Zapukał, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnął klamkę i pociągnął skrzydło w swoją stronę.

Stanął jak wmurowany. Wszechobecne lustra, kryształowe kandelabry i ściany zdobione złotem... Na wielkim łożu kotłowało się kilka ciał.

Roth miał wrażenie, jakby patrzył na renesansowe płótno. Pośród licznych głów i kończyn ciał splecionych w jakiejś niebotycznie karkołomnej figurze w końcu dostrzegł twarz kapitana.

– Herr Klein! – Jego głos zabrzmiał piskliwie, a wręcz płochliwie. Jürgen odkaszlnął i zawołał ponownie: – Kapitanie Klein!

– Czego chcesz, człowieku?

Roth znów poczuł zmieszanie. Wpatrywał się w twarz, której usta nie poruszyły się nawet na milimetr. Mimo to słyszał chrapliwy głos. Dopiero po upływie kilku długich sekund zdał sobie sprawę, że choć istotnie wpatruje się w ludzkie oblicze, nie należy ono do Kleina, a kobiety, której policzek spoczywa na męskim przyrodzeniu.

– Herr Klein... – Spojrzenie Jürgena powędrowało wyżej i zatrzymało się na szeroko otwartych oczach kapitana. – Musimy jechać. W nocy doszło do zabójstwa w Kłodzku, na moście świętego Jana. Burmistrz Franz Ludwig kazał panu przekazać, że to druga ofiara...

– Druga ofiara – powtórzył Klein ni to na własny użytek, ni to na użytek Rotha. Być może jedynie chciał, żeby jego słowa wybrzmiały w pomieszczeniu, pozwalając mu się upewnić, że już nie śpi. Zsunął z siebie głowę śpiącej kobiety, po czym wyswobodził się z plątaniny rąk i nóg innych dam, których liczby Roth wciąż nie był w stanie określić. – Pięć minut... proszę poczekać na zewnątrz.

– Oczywiście... – Jürgen zająknął się, gdy jego wzrok spoczął na ciele stojącego przed nim Wilhelma Kleina. W pierwszej chwili myślał, że kapitan okryty jest jakimś materiałem przypominającym rybią łuskę, po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że ciała mężczyzny pokrywają blizny, zapewne pozostałość po rozległych poparzeniach. – Oczywiście, na zewnątrz...

Roth opuścił wzrok i wpatrując się w wypolerowany parkiet, okręcił się na pięcie, po czym wyszedł na korytarz.

Dopiero tam był w stanie wziąć głębszy oddech. Zrobiło mu się gorąco, czuł się tak, jakby utkwiał w nierzeczywistym śnie. Uszczypnął się nawet, by sprawdzić, czy na pewno nie ma jakichś majaków. Potrząsnął głową i ucisnął skronie. W tym dniu nic nie było takie, jak mu się wydawało. Wilhelm Klein. Jürgen był pewny, że począwszy od dnia, w którym poznał tego mężczyznę, wrażenie to będzie mu towarzyszyć nader często.

Roth ruszył w dół schodów. Na parterze wyminął wyraźnie niezadowolonego kamerdynera i wyszedł przed pałac, by po chwili odpalić silnik samochodu. Nie czekał długo, kapitan zgodnie z zapowiedzią pojawił się po pięciu minutach. Jürgen zdążył mu się teraz przyjrzeć uważniej. Klein był ponadprzeciętnego wzrostu, niezmiernie chudy, pewny w ruchach. Jego ciało, co Roth zanotował w bawialni, pozbawione było grama tłuszczu, a mięśnie wydawały się ze stali. Szedł

wyprostowany, a średniej długości włosy rozwiewał mu wiatr. Wskoczył lekko do samochodu, bez słowa zajmując miejsce na siedzeniu za kierowcą.

Gdy tylko trzasnęły drzwi, Jürgen ruszył gwałtownie w stronę Kłodzka. Spod kół wystrzeliły drobne kamyczki pokrywające podjazd. Roth uśmiechnął się do siebie, widząc tuman kurzu. Był pewny, że kamerdyner obserwuje go przez wysokie pałacowe okno i na niego pomstuje. Dopiero po chwili spojrzął w lusterko. Wilhelm Klein okręcił sobie wokół szyi spory szal, mimo to widać było bliznę, która sięgała prawego oka i skroni, nieprzyjemne wrażenie robiło mocno zdeformowane ucho. Twarz mężczyzny wydawała się hipnotyczna, było w niej coś, co budziło respekt. Roth po raz pierwszy w życiu był skłonny zgodzić się z opinią, że ludzie mają swoją aurę. Wilhelm Klein roztaczał ją wokół siebie jak nikt inny, choć trudno było określić jej naturę.

Jürgen wciskał pedał gazu, mając baczenie, by pojazd trzymał się drogi. Nie dbał o komfort pasażera, ale ten wydawał się nieczuły na niedogodności. Wręcz przeciwnie – sprawiał wrażenie, jakby odnalazł wspólny rytm z przemieszczającym się automobilem, jakby potrafił przewidzieć moment skrętu, a nawet, co zaskoczyło Jürgena, wyprzedzał działania kierowcy, gdy ten nieco spóźnił się z manewrem.

– Nie przedstawił się pan.

Jürgen znów popatrzył w lusterko. Napotkał spojrzenie nieruchomych brązowych oczu.

– Przepraszam... nie było okazji. Asystent policyjny Jürgen Roth.

– Widzę, że często jeździ pan tą maszyną, Roth.

– To prawda, świetny model, nie do zdarcia. Użycza go ratuszowi hrabia Herberstein, teraz przekazał nam go na czas pańskiego pobytu.

– I burmistrz nim jeździ?

– Rzadko, tylko wtedy, gdy nie ma wyboru. On...

– Nie lubi prędkości?

– Nie za bardzo. – Roth wyszczerzył zęby. Nie dodał, że z burmistrzem Ludwigiem musiał wlec się po drogach hrabstwa wolniej niż furgony z sianem.

– Franz... jest jednym z odważniejszych ludzi, jakich znam, choć z niewiadomych mi przyczyn automobile budzą w nim respekt...

Jürgen zanotował, że Wilhelm Klein mówi o burmistrzu po imieniu, stopień zażyłości między nimi ocenił więc jako znaczny. Co więcej, analizował dalej Roth, mężczyzna nocował w gorzanowskim pałacu należącym do styryjskiej linii rodu von Herberstein, musiał więc znać się z Maximilianem von Herberstein.

Jürgen nie mógł się powstrzymać przed ciągłym zerkaniem w lusterko. Klein intrygował go coraz bardziej. Umysł Rotha wskoczył na równie wysokie obroty jak silnik prowadzonego audi. Teraz młody asystent był niemal pewny, że mimo blizn rozpoznaje twarz kapitana, co więcej, to imię i nazwisko...

– Czy mogę panu zadać pytanie, Herr Klein?

– Jeśli dotyczy tego, co zobaczył pan w sypialni w Gorzanowie, to raczej wolałbym tematu nie poruszać – mężczyzna zaśmiał się cicho.

– W Gorzanowie nic nie widziałem. – Spojrzenia obu mężczyzn znów spotkały się w lusterku. – Dotyczy ono... Takie audi, jak to, jeszcze przed wojną wygrało kilka razy Österreichische Alpenfahrt, najtrudniejszy rajd górski w Europie...

Pasażer milczał, więc Roth postanowił kontynuować:

– Jeden z kierowców, którzy brali udział w tych zawodach, nosił takie samo imię i nazwisko jak pan... i...

– Nie znam nikogo innego o tym samym imieniu i nazwisku, Roth.

Jürgen uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową. Pamięć do twarzy miał jednak dobrą, nawet jeśli ta twarz została w tak znaczny sposób zniekształcona.

– Wciśnij gaz do dechy, pokaż, co potrafi ta bestia.

Rothowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Po raz pierwszy wiozł kogoś, kto potrafił docenić jego umiejętności i nie bał się szybkiej jazdy.

– Tak jest, Herr Klein – odpowiedział i zadośćuczynił życzeniu pasażera.

*

Ernst Puder wypatrzył automobil już z daleka. Przybycie kapitana obwieszczało głośnie trąbienie rozchodzące się echem wśród kamienic przy Sellgittplatz, a potem budynków Wyspy Piasek. Kierowca przebijał się pośród tłumu gapiów na Rossmarkt, płosząc zaprzężone do dorożek konie, wciąż nienawykłe do hałasu mechanicznych bestii.

To wystarczyło, by Puder znów zaczął się pocić. Nienawidził poniedziałków. Jeszcze wczoraj wraz z rodziną udał się na niedzielny wypad do Dusznik-Zdroju. Gdy popijał leczniczą wodę w domu zdrojowym, wydawało mu się, że odzyskał wewnętrzną równowagę i śmiało poradzi sobie z wyzwaniem czekającymi go w nadchodzącym tygodniu. Wystarczyło kilka godzin, by proza życia pozbawiła go złudzeń.

Na kamiennym moście pojawili się już doktor August Kuhnast i komisarz policyjny Heinrich Richter, obaj wyraźnie niezadowoleni z faktu, że muszą czekać na bliżej nieokreślonego osobnika, a tym samym marnować cenny czas przeznaczony na wykonywanie obowiązków. Puder narażał się obu mężczyznom, pozostając nieugiętym w wypełnianiu polecenia burmistrza Franza Ludwiga i nie pozwalając im się zbliżyć do denata nawet na krok. Znalazł się między młotem a kowadłem, wiedział jednak, że nie może stawiać dobrych stosunków z Kuhnastem i Richterem ponad życzenie najważniejszego z przełożonych.

W końcu automobil zaparkował tuż przy Minoritenkirche. Puder polecił młodym asystentom policyjnym, by przepuścili zmierzających w ich stronę dwóch osobników. Rozpoznał Jürgena Rotha. Towarzyszyć musiał mu Wilhelm Klein.

Ernst ponownie otarł rękawem pot z czoła. Pomyślał, że będzie musiał oddać mundur do pralni jeszcze dzisiaj, przepocił go całkowicie. Jego Rita zrugła go za to od stóp do głów, chyba że udobrucha ją szczegółową relacją z porannych wydarzeń. Tak, Rita uwielbiała tego typu opowieści. Na końcu wspomni jej o przepoconej kurtce; na pewno z wdzięczności za świeży materiał do plotek sama zanieśie ją do pralni. Nieco uspokojony ruszył w stronę przybyszy.

– Starszy wachmistrz Ernst Puder! – Strzelił obcasami przed Wilhelmem Kleinem. Musiał unieść głowę, bo przybysz był bardzo wysoki. – Czekaliśmy na pańskie przybycie, Herr Klein. Zgodnie z poleceniem burmistrza jedynie zabezpieczyliśmy teren, zrobiliśmy też zdjęcia. Zwłok mężczyzny nikt nie ruszał...

Powiedział to na tyle głośno, by jego słowa dotarły do Kuhnasta i Richtera. Obaj stali przy barierce z rękami założonymi na piersi. Nie musiał patrzeć w ich stronę, by wiedzieć, że zaciskają szczęki i posyłają mu mordercze spojrzenia.

– Dziękuję, wachmistrzu.

Wilhelm Klein ominął wzrokiem Pudera. Wydawało się, że skieruje się od razu w stronę stelaża zabezpieczającego miejsce zbrodni, zamiast tego jednak obrócił głowę najpierw w lewo, a potem w prawo i otaksował spojrzeniem okolicę. Ernst widział, jak brązowe tęczówki Kleina nieruchomieją na ułamki sekund, jakby mężczyzna, dostrzegając jakieś sobie tylko znane szczegóły, starał się je zapamiętać.

– Czy możemy w czymś pomóc? – zapytał lekko zmieszany Puder.

– Skoro pytacie, wachmistrzu. Proszę wydać fotografowi dyskretne polecenie, by zrobił zdjęcia w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni, uwieczniając wszystkich gapiów, nawet tych w oknach i na dachach.

Puder i Roth wymienili spojrzenia. Klein obrócił się do niego i delikatnie uśmiechnął. Ernst uważniej przyjrzał się jego twarzy. Lewy policzek pokrywał delikatny meszek zarostu, lecz prawy był gładki. Tym razem Puder poczuł na czole zimny pot. Blizna oparzeniowa była głęboka, jej faktura przypominała chropowaty piaskowiec poprzecinany żłobieniami. Co więcej, oprócz poparzenia widać było ślady, które mogło pozostawić ostre narzędzie.

– Tak. – Ernst przełknął ślinę, bowiem raptownie zaschło mu w ustach. – Już wydaję polecenie.

Z ulgą ruszył w stronę fotografa. Tymczasem Wilhelm Klein zamienił kilka słów ze swoim kierowcą, Rothem, i po chwili skierował się w stronę opartych o barierkę mężczyzn: doktora Kuhnasta i komisarza Richtera.

– Panowie, zaczynajmy.

Wydawało się, że Kuhnast wybuchnie na dźwięk owego polecenia. Szykował się do wygłoszenia jakiejś uwagi, a irytacja najwyraźniej osiągnęła u niego apogeum. Jednakże dyskretne uściśnięcie ramienia przez Richtera zapobiegło awanturze. Mężczyźni, nawet się nie przywitawszy ani nie przedstawivszy sobie, ruszyli w stronę odgradzonego płachtami ciała.

– Chce pan podjąć czynności? – zapytał Richter. Nawet jeśli był równie poirytowany oczekiwaniem na Kleina, nie dał tego po sobie poznać. Ton jego głosu także wydawał się neutralny.

– Nie, komisarzu. – Wilhelm pokręcił głową. – Będę jedynie obserwatorem.

Richter uniósł brwi, jednak nie skomentował. Skinął na swoich asystentów, a ci zbliżyli się do ciała.

W tym czasie wachmistrz Ernst Puder wpuścił na most furgon, który miał zabrać ciało do kostnicy. Następnie, nie mając nic lepszego do roboty, zaczął obserwować Wilhelma Kleina. Próbował przypomnieć sobie poranne słowa burmistrza. Wtedy, zmęczony późnym powrotem z Dusznik, puścił mimo uszu większość słów zwierzchnika.

Teraz z odmętów pamięci zaczął się wyłaniać obraz Kleina. Franz Ludwig tytułował go kapitanem, oficerem Armii Cesarstwa Niemieckiego. Ernst wiedział, że po wojnie Deutsches Heer zostały zastąpione przez tymczasowe siły zbrojne, i fakt, że Klein wciąż pozostawał w armii, musiał być znaczący. Na tę myśl wachmistrz podrapał się po swędzącym policzku. A więc służby wywiadowcze. To przypuszczenie nie było tak fantastyczne, jak się mogło wydawać. Zwykły oficer nie zostałby wezwany do Kłodzka. Co więcej, ten mężczyzna musiał mieć poparcie burmistrza. Przecież Puder został pouczony, by lekceważąc pozycję i obecność komisarza Richtera, czekać do skutku na przyjazd kapitana Kleina.

Przyglądając się mężczyznom zbliżającym się do zwłok, wachmistrz był pewny, że wszyscy zgromadzeni wokół kamiennego mostu patrzą teraz nie w stronę zasłoniętego plandeką miejsca zbrodni, ale w kierunku wysokiego, wyprostowanego niczym struna mężczyzny. Ten wyróżniał się nie tylko wzrostem – wyglądał ni mniej, ni więcej jak owczarek pośród stada owiec.

– Gównu! – wyszeptał Puder, niemal uderzając się otwartą dłonią w czoło.

Zabójstwo sprzed tygodnia... Czyżby to dzisiejsze makabryczne odkrycie miało związek także z tamtą sprawą? Oczywiście! Puder wyzbył się wszelkich wątpliwości. Klein musiał zostać wezwany z Berlina już wcześniej, właśnie z tamtego powodu. Zabójstwo majora Friedricha Peschke i tego tutaj... Ernst pobladł, po chwili jednak uśmiechnął się w duchu. Pomyślał o swojej Ricie, czuł, że zadowoli ją jak nigdy. Dziewczyna będzie słuchać jego opowieści z wypiekami na twarzy. Afera szpiegowska, tajne służby, dwa trupy i straszliwie okaleczony oficer prowadzący dochodzenie. Wachmistrz poczuł przyjemne mrowienie. Był pewny, że Rita z wdzięczności zrobi dla niego o wiele więcej niż tylko upranie przepoconego munduru...

*

Kapitan Wilhelm Klein z zadowoleniem zanotował, że wachmistrz Puder wykonał jego polecenie. W powietrzu rozeszła się woń spalanej magnezji. Zanim kapitan

popatrzył na tkwiącego na moście trupa, dyskretnie zlustrował fotografowanych gapiów. Starał się wyłowić w tłumie osobnika, który zareaguje nerwowo na fakt robienia zdjęcia i być może postanowi się skryć za plecami innych lub wycofywać w stronę rynku. Niczyje zachowanie nie wzbudziło jednak jego podejrzeń.

Spojrzał wreszcie na postument, a dokładniej na stojące na nim ciało na oko pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Utrzymawał je w pionie gruby pręt, do którego był przywiązany. Sznury opasywały jego talię i klatkę piersiową. Sam pręt wciśnięty był w otwór w postumencie, na głębokość najwyraźniej wystarczającą, by trup pozostawał nieruchomo w mocno dramatycznej pozycji. Nogi denata były ugięte, a jego broda opierała się o klatkę piersiową.

– Przybił mu stopy gwoźdźmi...

Klein dostrzegł już wcześniej dwie główki ostrych szpil wystających spomiędzy kości śródstopia zmarłego.

– Doktorze, określ pan przybliżony czas śmierci? – komisarz policji Heinrich Richter zwrócił się do wciąż niepokieszonego doktora Kuhnasta.

Ten w odpowiedzi burknął coś pod nosem.

Klein potraktował jego zachowanie obojętnie. Sam milczał, wpatrując się w kredowobiałe ciało. Wokół nie widać było śladów krwi, nawet przy stopach w miejscu wbitych gwoździ. Mężczyzna musiał być martwy, gdy przywiązano go do słupa, w dodatku wyglądało na to, że wcześniej upuszczono z niego płyny ustrojowe. W kilku miejscach na skórze widniały otwory, a rany te musiały być zadane ostrym narzędziem, nożem lub szpikulcem.

– Niemal nie widać plam opadowych. – Kuhnast, zdaje się, chwilowo zapomniał o swoich urazach i zawodowe przyzwyczajenia wzięły górę. – Ofiara się wykrwawiła. Prącie zostało odcięte, widać liczne rany klute...

– Zamordowany dziś czy wczoraj?

Doktor przewrócił oczami i wypuścił powietrze z głośnym pyknięciem.

– Co najmniej przed kilkoma godzinami. Więcej powiem po dokładnych oględzinach w prosektorium. Teraz go zdejmijcie... chyba że kapitan Klein ma jakieś uwagi?

Wilhelm pokręcił głową.

Jeden z asystentów policyjnych stojących przy przygotowanych zawczasu noszach założył rękawiczki i z obrzydzeniem podniósł leżące pod postumentem prącie, po czym włożył je do torby. W tym czasie drugi rozstawił drabinę.

– Wachmistrzu Schulz, nie zapomnij najpierw wyciągnąć gwoździ! – poinstruował dobrotliwym tonem Richter.

Lothar Schulz spojrział ze zdumieniem na przełożonego. Spodziewałby się raczej bury i kilku przekleństw, nie zaś niemal ojcowskiego upomnienia. Nie miał wątpliwości, że przemiana komisarza kryminalnego związana była z obecnością tajemniczego Kleina.

Tymczasem Wilhelm Klein obserwował te relacje z zaciekawieniem. Szybko zdołał wyrobić sobie opinię zarówno o towarzyszących mu policjantach, jak i o doktorze Kuhnaście. Każdy z nich przejawiał arogancję, próżność, małostkowość... słabości, które można będzie kiedyś wykorzystać.

Trup został w końcu ułożony na noszach. Na jego piersiach, pomiędzy sutkami, Wilhelm zauważył podłużne równo wykonane cięcie. W sposób aż nadto rzucający się w oczy nie pasowało do pozostałych obrażeń.

– Przecięta tętnica szyjna. – Doktor znów pyknął głośno ustami. Z kieszonki na piersi wyjął okulary i założył je na nos. Po chwili powtórzył swoje słowa, jakby dla potwierdzenia wcześniejszej obserwacji: – Tak, tętnica szyjna...

– Ja znam tego trupa... – Schulz wzdrygnął się nagle, patrząc na twarz leżącego. – To były rajca Heinrich Dinter. Wyjechał z Kłodzka do Wrocławia w zeszłym roku...

Richter zmrużył oczy, a po chwili skinął głową.

– Tak, teraz i ja go poznaję... – powiedział. – Dobra robota, Schulz!

Słyszając tę pochwałę, wachmistrz policyjny poczuł się nieswojo. Wiedział, że już niedługo przyjdzie mu zapłacić za to wyróżnienie. Gdyby zwierzchnik wpadł jeszcze na pomysł poklepania go po plecach, nie pozostałoby mu nic innego, jak skoczyć z mostu wprost w nurt Młynówki. Zerknął ukradkiem na Kleina. Mężczyzna patrzył mu prosto w oczy i uśmiechał się dyskretnie, jakby doskonale odczytał jego myśli.

– Wygląda na to, że ktoś obmył wcześniej ciało. Są niewyraźne smugi krwi, ale powinno być jej znacznie więcej. – Drugi z wachmistrzów Paul Seipelt też najwyraźniej zapragnął się wykazać. – Jeśli miał uszkodzoną tętnicę szyjną, to na klatce piersiowej niemal w ogóle nie widać krwi...

W tym momencie Wilhelm Klein postanowił zareagować. Podeszedł do noszy, przykucnął, dotknął dłoni denata i spomiędzy palców wyciągnął łodygę z podłużnymi liśćmi.

– Co to jest? – zapytał Kuhnaast, nachylając się nad Kleinem. – Roślina?

– Wodna zaraza, doktorze... moczarka kanadyjska. Pracownicy Ogrodu Botanicznego w Berlinie mocno przyczynili się do jej rozprzestrzenienia. Gdy zbyt wiele wyrosło jej na stanowiskach w ogrodzie, nieroztropnie wyrzucali ją do rzek. Zawitała i tutaj.

– Rajca był więc w wodzie... – Doktor, tak jak i policjanci, popatrzyli w stronę kanału.

– Sznur, sznur był mokry – zauważył poniewczasie Seipelt. – Na nim chyba też było to coś...

Młody asystent policyjny nie zwrócił uwagi na lodowate spojrzenie przełożonego.

Za to drugi z asystentów, Schulz, dostrzegł zmianę w postawie Richtera i tylko wysiłkiem woli nie parsknął śmiechem. Komisarz, poczerwieniały na twarzy, w innych okolicznościach już dawno by wybuchnął i zrugął z góry na dół wszystkich podwładnych, teraz jednak jego irytacja nie miała gdzie znaleźć ujścia. Komisarz szarpnął kilkakrotnie długiego wypomadowanego wąsa, na nic więcej jednak się nie

zdobył. Schulz nagle zdał sobie sprawę, że po przekroczeniu progu ratusza Richter odbije sobie upokorzenia, których zaznał na kamiennym moście. To sprawiło, że natychmiast zmarkotniał.

– Przykryjcie rajcę, moi ludzie zanoszą ciało na furgon. Dziś wieczorem, najpóźniej jutro, będzie gotowy raport z sekcji. – Kuhnast miał już najwyraźniej powyżej uszu dzisiejszego poranka. Uchylił melonik i nie patrząc na nikogo, ruszył w stronę Rossmarktu.

Richter także się ożywił. Już od dłuższej chwili bardziej niż poddawane oględzinom ciało Dintera zajmował go tajemniczy gość burmistrza. Wpadł na pomysł, by zaprosić go do swojego biura. Był pewny, że jeśli rozegra sprawy w sposób odpowiedni, uda mu się określić zasady współpracy na swoich warunkach i zyskać przewagę nad Kleinem. Obrócił się w stronę kapitana, by się z nim rozmówić, pozostało mu jednak tylko zaciśnięcie szczęk, gdy zdał sobie sprawę, że Klein znajduje się już po przeciwległej stronie mostu. Oddalał się w asyście wachmistrza Ernsta Pudera i młodego asystenta policyjnego, którego nazwiska Richter nie pamiętał. Komisarz powoli pokiwał głową. Bóg mu świadkiem, że chciał ułożyć sobie poprawne stosunki z człowiekiem, który miał poparcie Franza Ludwiga, teraz jednak to Wilhelm Klein będzie musiał zabiegać o jego przychyłność. Komisarz nie miał zamiaru ułatwiać mu życia w Kłodzku, wręcz przeciwnie. Uśmiechnął się na myśl o dyskretnym rzucaniu kłód pod nogi tego człowieka. I znów, wystarczyło jedno spojrzenie na nierozgarniętych wachmistrzów i asystentów kręcących się bez celu na moście, by w nim zawrzało.

– Pakować rajcę na wóz, niech go wiozą do Kuhnasta. Seipelt pod most, upewnij się, czy nie ma tam jakichś śladów, a w południe, gamonie, macie się stawić na odprawie. I jeszcze jedno. Sprowadźcie mi zaraz do ratusza tego profesora, co się tu włóczył w nocy!

*

Gustaw Taube wciąż pozostawał w stanie silnego wzburzenia. Jeden z wachmistrzów odprowadził go pod czterokondygnacyjny budynek należący do rodziny krawców Stählerów. W parterze kamienicy mieściły się piwiarnia i bar. Profesor lubił to miejsce i uznał, że właśnie tutaj spróbuje ukoić skołatane nerwy. Właściciel znał profesora i polecił barmanowi otworzyć wcześniej podwoje pijalni. Taube wychylił łąpczywie gorący złocisty trunek, pozwalając, by ciepło przyjemnie rozeszło się po członkach. Śniadania odmówił, podejrzewając, że jego żołądek wciąż nie jest gotów na przyjęcie pokarmów. Obrazy mglistego poranka nie chciały go opuścić.

Profesor po raz pierwszy w życiu przeklął swą fotograficzną pamięć. Zdał sobie sprawę, że nie wyrzuci już z głowy trupiobladej postaci, każdy jej szczegół pozostanie z nim nie tylko w snach, ale i na jawie. Najdrobniejsze detale powrócą

w napastliwych refleksach, wyłonią się z odmętów pamięci, dręcząc i nie dając spokoju.

Barman rozchylił zewnętrzne okiennice, wpuszczając do pomieszczenia nieco światła. Upływały kolejne minuty. Na Rossmarkcie pojawiało się coraz więcej ludzi, zmierzali w stronę Młynówki i kamiennego mostu. Głosy gawiedzi, warkot silników czy trąbienie przejeżdżającego samochodu zdawały się jednak nie docierać do profesorskich uszu.

Taube nawet nie zauważył, kiedy bezwiednie wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcz swój nieodłączny szkicownik i ołówki, po czym rozłożył wszystko przed sobą. Dłoń poruszyła się w znajomym, płynnym tańcu. Drżenie minęło i nie było w tym zasługi kolejnego, drugiego już kufła znakomitego grzanego piwa.

Profesor ponownie poczuł charakterystyczny, wilgotny zapach mgły, stał się osobliwie świadom obecności śmierci. W refleksach przytłumionego światła, w cieniach i półcieniach dostrzegł bladość skóry, bruzdy, nacięcia, rany... Z kolejnych szkiców coraz wyraźniej wyłaniała się bryła o ludzkich kształtach, jakby słaniająca się na nogach, ze zwieszoną głową. Obraz, który pozostanie z nim już na zawsze. Taube starał się przezwyciężyć strach, ogarniała go jednak bezsilność, która przeistaczała się w zniecierpliwienie i gniew. Niech zbrodniarz będzie po tysiącokroć przeklęty. Ten, który dopuścił się haniebnego czynu na tamtym biedaku, dopuścił się także gwałtu na jego osobie. Taube nigdy nie będzie już w stanie spokojnie przejść przez kamienny most. Nie zazna spokoju ducha w swoim ulubionym zakątku miasta.

Mocniej przycisnął ołówek do papieru i grafit pękł z niemyym wyrzutem. Dopiero wtedy Taube, unosząc wzrok znad notesu, zdał sobie sprawę, że naprzeciw niego siedzi mężczyzna. Ten człowiek musiał przypatrywać mu się od dłuższego czasu.

– Czy mogę?

Profesor spojrzał na dłoń wyciągniętą w stronę szkicownika. Z zaskoczeniem skonstatował, że mężczyzna nie zdjął modnych skórzanych rękawiczek. Już miał zaprotestować, uznał bowiem nieznanego za impertynenta w klasycznym wydaniu, zamiast tego jednak sięgnął po kufel i upił spory łyk. Przymknął oczy na kilka sekund, smakując goryczkę, która rozeszła się po języku i spłynęła do gardła. Potem spojrzał na naczynie. Piana, osadzając się na szkle, utworzyła w górnej jego części koronkowy wzór. W końcu odstawił kufel na blat.

– Profesorze... powiedziałbym, że człowiek na szkicu wygląda jak żywy. Nie wiem jednak, czy profesor jest równie zagorzałym admiratorem czarnego humoru, jak ja pana talentu.

Taube się roześmiał. Przypatrzył się siedzącemu naprzeciw, tym razem przychylnie. Mężczyzna nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, choć ze względu na defekt twarzy trudno było precyzyjnie określić wiek. Oczy jednak miał młodzieńcze, żywe i bystre.

– Nazywam się Wilhelm Klein. Chciałem z panem porozmawiać.

Klein zdjął kapelusz i położył go na stole, prawą dłonią przygładził włosy, które utworzyły idealną falę nad wysokim czołem.

– Jest pan policjantem?

Kapitan uniósł brew i przechylił głowę, jakby odpowiedź na to pytanie sprawiała mu problem.

– Przyjmijmy, że wspieram miejscową policję dobrym słowem i radą.

Taube skinął głową, nie starał się być dociekliwy. Zauważył przy barze dwóch policjantów. Jednym z nich był wachmistrz Puder, który jako jeden z pierwszych pojawił się na miejscu zbrodni. Mężczyźni musieli przyjść do piwiarni razem.

– Po tym, czego dzisiaj byłem świadkiem, nie wątpię, że ta pomoc może im się przydać. O czym chce pan rozmawiać?

– O pańskim rysunku, profesorze.

– O moim rysunku – Taube powtórzył te słowa niczym echo. Popatrzył na szkic, jakby widział go po raz pierwszy. – A co w nim pana zaciekało?

– Przede wszystkim technika i zdolności interpretacyjne.

Profesor sięgnął w stronę szkicownika i przesunął opuszkami po gładkim papierze.

– A dokładniej?

– Gdy byłem dzieckiem, uczono mnie, że przy rysowaniu sylwetki człowieka można się posłużyć bryłami geometrycznymi. Za korpus służyły mi walce, kule, sześciiany... Ta geometryzacja ułatwiała mi zachować lepsze proporcje. Pan, zdaje się, zastosował technikę odwrotną. Narysował pan denata, a potem naniósł na jego ciało, a właściwie wrysował pan go w bryły... Ten nieżyjący mężczyzna wygląda tak, jakby utknął w konstrukcji, a jednocześnie sam nią był.

Taube bezwiednie kiwał głową, patrząc na szkic.

– To technika, którą pan często stosuje?

– Wcale...

Obaj wpatrzyli się w rysunek, jakby ten miał ujawnić przed nimi jakieś nieuświadomione tajemnice.

– Uczy profesor rysunku w żeńskim liceum... Na gruncie sztuki abstrakcyjnej, a dokładniej abstrakcyjnej geometrii, pana szkic jest przykładem połączenia malarstwa z innymi dyscyplinami, choćby z architekturą.

– W tym przypadku chodzi bardziej o spontaniczne ruchy i wiarę w podświadome działanie – wyznał Taube.

Klein zadumał się na chwilę, po czym skłonił głowę, przyjmując to wyjaśnienie jako zasadne.

– Stworzył pan w ten sposób zaskakujący szkic. Zastanawiam się, co kierowało pana podświadomym działaniem.

– Odpowiem z rozbrajającą szczerością: nie wiem, Herr Klein.

– Zastanówmy się więc razem. – Mężczyzna nachylił się nad stołem, wbijając spojrzenie w Taubego. – Proporcje są zaburzone. Klatka piersiowa...

– Jest zlepkiem wielokątów – podjął bezwiednie myśl rozmówcy profesor – a większość z nich to trójkąty różnoboczne.

– Oprócz jednego...

Taube poprawił się na krześle. Z jednej strony odczuł niepokój, z drugiej rosnącą ekscytację, zupełnie jakby właśnie miał wkroczyć na niezbadany teren.

– Umiejscowienie wierzchołków trójkątów nie jest przypadkowe...

– Proszę kontynuować, profesorze.

– Widziałem rany klute na ciele tego mężczyzny. Nie były przypadkowe, jeśli był to nóż...

– Najprawdopodobniej gruby gwóźdź.

– Gwóźdź. – Taube zadrżał. – Wbijano go w wybrane miejsca, w lustrzanym odbiciu, jeśli przyjąć środek ciała za oś pionową. A to znaczy, że ten człowiek... ten człowiek został poddany metodycznym torturom.

Profesor sięgnął w stronę kufła, ale zdał sobie sprawę, że naczynie jest już puste. Nawet nie pomyślał, żeby poprosić barmana o kolejne.

– Trójkąt, profesorze... dlaczego ten jeden trójkąt jest inny?

Tym razem Taube zwlekał z odpowiedzią. Przymknął oczy, pozwalając, by obrazy powróciły w krótkich przeblyskach.

– Ten człowiek był przywiązany do czegoś liną, ale... widziałem ranę, taką długą, szeroką linię łączącą sutki... – Taube przesunął palcem wzdłuż swojej klatki piersiowej. Wzdrygnął się, gdy doznał nieprzyjemnego uczucia.

– Przyjął pan tę ranę za podstawę trójkąta równobocznego. Dwa wierzchołki to sutki. Trzecim wierzchołkiem stało się wcięcie szyjne... Czy nie wydawałoby się naturalniejsze narysowanie trójkąta równoramiennego, skierowanego w dół, gdzie wierzchołkiem byłaby rana po odciętych przyrodzeniu.

– Kompozycja, to by ją zaburzyło... tak przynajmniej mi się wydaje.

– Ma pan rację, profesorze.

– Tak?

– Pomyślałem w ten sam sposób, dziękuję, że podzielił się pan ze mną swoimi spostrzeżeniami.

Taube zdziwił się nagłym zakończeniem tej rozmowy. Wymiana zdań i myśli z tym obcym człowiekiem nie była przykra i uciążliwa, wręcz przeciwnie. Klein uczynił go partnerem, nie dając odczuć zależności na linii przesłuchujący i przesłuchiwany. Zakończył ją jednak w zaskakującym momencie.

– Nie pytał pan o to wszystko, o co pytają policjanci.

– A o co miałbym pana pytać, profesorze?

– Na przykład, o której wyszedłem z przyjęcia, czy znałem ofiarę... Szereg podręcznikowych pytań, bo pewnie i policjanci mają podręczniki ze wskazówkami dotyczącymi przesłuchań.

– Jest pan nauczycielem. Uczy pan rysunku w miejscowym liceum. Wyszedł pan tuż przed czwartą ze swojego urodzinowego przyjęcia, zorganizowanego

w restauracji hotelu Pod Czarnym Niedźwiedziem. Przy okazji winszuję sześćdziesiątych drugich urodzin... Wybrał się pan na spacer, zapewne żeby zwalczyć czy też zmniejszyć negatywne skutki spożycia nadmiernej ilości alkoholu. W trakcie naszej rozmowy dotknął pan kilka razy głowy, jakby sprawdzał, czy ma na niej kapelusz. Zapewne zostawił go pan w restauracji. Potem doszło do wydarzeń na kamiennym moście, które...

– Wystarczy. – Taube uniósł dłoń, patrząc z podziwem na młodego człowieka. – Zaraz wyjawisz pan więcej, niż chciałbym wiedzieć o sobie samym...

Klein nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko, po czym wstał i ukłonił się profesorowi.

– Ponownie dziękuję za poświęcenie cennego czasu, profesorze.

– Służę uprzejmie. – Taube uściśnął dłoń mężczyzny. – To była przyjemna rozmowa w nieprzyjemnych okolicznościach.

Klein skłonił głowę i szybko opuścił piwiarnię w towarzystwie młodego policjanta. Taube wyjrzał przez okno, patrząc, jak obaj mężczyźni zmierzają w stronę zaparkowanego pod Minoritenkirche samochodu. Po chwili pojazd zawrócił i odjechał w stronę Końskiego Mostu i dalej na Sellgittplatz.

Wtedy dopiero przyszło do głowy profesorowi, że większości spraw, które jednym tchem wymienił Wilhelm Klein, nie przekazywał wcześniej nikomu, nawet wachmistrzowi Puderowi. A już na pewno nie wspominał o zagubionym kapeluszu.

Zaśmiał się pod nosem. Nagle zdał sobie sprawę, że jest w całkiem niezłym humorze. Poczł się na tyle dobrze, że zapragnął coś zjeść. Zapachy z kuchennego baru wypełniły pomieszczenie, drażniąc przyjemnie nozdrza i pobudzając ślinianki. Otworzył usta, by zawołać kelnerkę, jak się jednak okazało, nie było mu dane wydobyć ze strun głosowych nawet słowa. Obok niego pojawił się wachmistrz Puder z kolejnym policjantem, który przedstawił się jako Lothar Schulz.

– Komisarz policji Heinrich Richter zaprasza pana do siebie na rozmowę – poinformował go wachmistrz. – Zamówiłem dorożkę, która zawiezie nas na miejsce.

– Jestem głodny, muszę wpierw zjeść coś treściwego – powiedział z wyrzutem Taube.

– Ale komisarz czeka już zapewne na pana w swoim biurze, profesorze.

– To jeszcze sobie poczeka...

Taube sam nie wiedział, skąd u niego tyle stanowczości. Policjanci popatrzyli na siebie, ale żaden z nich nie zaproponował. Profesor skinął na znajomą kelnerkę i zamówił Der Dooflaf, smażone jajka z mlekiem i pszenną mąką. Ta potrawa przypominała mu dzieciństwo. Czekaając na śniadanie i ignorując stojących nad nim mundurowych, sięgnął po szkicownik i ołówki.

Wkrótce na białej karcie pojawiła się twarz Kleina. Gdy profesor się w nią wpatrywał, zdawało mu się, że tonie w wielowymiarowej głębi. Przedstawiała tak charakter tego człowieka, jak i jego umysłowość.

Taube odczuł lekki niepokój, ale jednocześnie był zadowolony ze swojej przenikliwości. Rozsiadł się wygodniej, a gdy pojawiło się przed nim gorące śniadanie, domówił kolejne grzane piwo.

*

Wjechali na Rynek od strony Wasserstrasse. Jürgen kilkakrotnie wcisnął sygnał klaksonu, gdy nieuważni przechodnie niemal weszli mu pod koła. Przejechał obok sklepu Oskara Düriga i skręcił w prawo. Wkrótce zaparkował pomiędzy fontanną a głównym wejściem ratusza.

– Poczekam tu na pana, Herr Klein, gdyby po rozmowie z burmistrzem zechciał pan wracać do Gorzanowa.

Wilhelm skinął głową, po czym wysiadł. Dwie młode dziewczyny, zapewne uczennice, przypatrywały mu się z zainteresowaniem. Jedna z nich spuściła wzrok, gdy Klein skrzyżował z nią spojrzenie. Na twarzy drugiej pojawił się wyraz zaskoczenia, gdy dostrzegła blizny, była jednak śmielsza od swojej towarzyszki. Nie odwróciła oczu i uśmiechnęła się dyskretnie.

Wilhelm przepuścił obie panienki i uniósł głowę, taksując bryłę kłodzkiego ratusza. Jeśli neorenesansowa siedziba kłodzkiego magistratu, w tym policji, miała w zamyśle projektanta przypominać pałac, to twórca osiągnął zamierzony efekt. Ratusz mógł się podobać.

Klein pchnął drzwi i wszedł do chłodnego holu. Pokonał schody i wahadłowe drzwi. Kilku urzędników przemykających korytarzami z naręczem akt przypatrywało mu się z zaciekawieniem. Najprawdopodobniej wieść o jego przybyciu zdążyła się już zdomowić w pokojach biuralistów i sekretarzy. Teraz zasłyszany opis weryfikowali z rzeczywistością.

Wilhelm nie pytał o drogę, znalazł gabinet burmistrza na rozpisce wydziałów. Niespiesznym krokiem przemierzał korytarz. Gdy napotykał czyjś wzrok, patrzył uważnie na mijanego osobnika, aż ten, speszony, nabierał nagłej ochoty na powrót do obowiązków. Klein wiedział, że działa tak na ludzi, i w pewien sposób go to bawiło.

W końcu znalazł się na miejscu.

Franz Ludwig na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie kruchego i delikatnego. Ciemny wąs i brwi kontrastowały z przedwcześnie posiwiałymi włosami. Wystające kości policzkowe i podkrążone, zapadnięte oczy zdradzały jednak siłę i upór. Podobnie sprężyste ruchy powodowały, że Ludwig nie przypominał utuczonego za biurkiem urzędnika – wyglądał jak zahartowany przez życie, wytrwale dążący do celu społecznik.

Ludwig wstał. On także przyjrzał się wchodzącemu. Wyczekując krewniaka, czuł coraz większą ekscytację. Wilhelma widział kilkanaście lat temu, zapamiętał go jako szczupłego niewysokiego chłopaka z marsową miną. Wtedy powód tego nastroju był

łatwo wytłumaczalny. Była nim śmierć matki, która samotnie wychowywała jedyne go syna. Kolejne wydarzenia również wstrząsnęły światem młodzieńca: opuszczenie rodzinnego miasta i wyjazd do Berlina pod opiekę dalekiej rodziny, w końcu służba wojskowa i wojna, podczas której doznał znaczących obrażeń.

Franz zamknął gościa w serdecznym uścisku. Poniewczasie przypomniał sobie, że Klein od najmłodszych lat nie nawykł do okazywania uczuć. I rzeczywiście, gest ten wywołał u niego wyraźne uczucie skrępowania.

– Siadaj, siadaj mój drogi! – Franz próbował ukryć wzruszenie. Przytulając krewniaka, wyczuł, że jego skryte pod płaszczem ciało jest przeraźliwie chude. Cały Klein wydał mu się kruchy i delikatny. Gdyby nie wiedział, że ma przed sobą syna swojej kuzynki, nie rozpoznałby Wilhelma ani na pierwszy, ani na drugi rzut oka. Z młodzieńca, którego pamiętał, rozpoznawalne pozostało jedynie marsowe oblicze.

Ludwig wskazał krewnemu krzesło naprzeciw biurka, a po chwili sam zasiadł za masywnym meblem. Wciąż był poruszony, Klein na szczęście dał mu chwilę na ochłonięcie, z uwagą rozglądając się po skromnym gabinecie.

Ludwig nie miał pojęcia, że w tym czasie Wilhelm także poddaje go ocenie. Danych do rozważań dostarczała mu jednak nie tyle osoba samego burmistrza, ile jego gabinet.

Klein, gdyby nie to, że wiedział, jakie stanowisko dzierży Franz Ludwig, mógłby wziąć go za zwykłego gryzpiórka. Urzędnika, jakich tysiące, przykutego do biurka w jednym z wielu pokoi nawiedzanych każdego dnia przez tabuny petentów. W rogu okna stał kwiat, oprócz biurka gabinet wypełniały szafy na dokumenty. Z osobistych akcentów wyróżniała się jedynie umieszczona w zasięgu ręki skromna półeczka, na której stały tytuły poświęcone hrabstwu kłodzkiemu. Nie dostrzegł jednak książki Die Grafschaft Glatz in Wort und Bild, której Ludwig był autorem. Na pewno nie można było burmistrza posądzać o próżność. Wilhelm znał dość dokładnie życiorys swojego wuja. Po Wielkiej Wojnie jedynie jego autorytet zapobiegł rozlewowi krwi, gdy doszło w Kłodzku do próby przejęcia koszar i komendantury wojskowej. Zaufanie mieszkańców nie zostało nadszarpnięte w kolejnych latach kryzysu. Ludwig był burmistrzem z powołania, całkowicie poświęcił się miastu, które kochał.

– Kapitanie, cieszę się, że dotarłeś do Kłodzka i to właśnie ciebie wyznaczono do wyjaśnienia ostatnich wydarzeń.

Ludwig zapanował w końcu nad strunami głosowymi. Był zadowolony z siebie – obrał strategię na poły oficjalną, co ułatwiał mu fakt, że krewny wydawał się zupełnie obcym człowiekiem.

– Wuj nie miał wpływu na tę nominację?

– Przeceniasz moje kontakty. Zaledwie dwa dni temu dostałem depezę z Berlina mówiącą o wysłaniu do Kłodzka śledczego. Zobowiązano mnie do udzielenia mu wszelkiej pomocy. Imię i nazwisko stojące w depeży natchnęło mnie nadzieją, że nie jest to przypadek. Nie miałem o tobie wieści od dawna. Wczoraj doniesiono mi, że przyjechałeś i że zabrano cię do majątku hrabiego Herberstein w Gorzanowie.

Przyznam, żałuję, że nie powiadomiłeś mnie o swoim przybyciu: wyszedłbym ci na przywitanie. Skąpe informacje, które do mnie do tej pory docierały, mówiły, że przebywasz w szpitalu, gdzieś we Francji. – Na twarzy Ludwiga pojawił się cień, gdy jego wzrok mimowolnie zsunął się na policzek krewnego. – Nie byłem pewny, czy żyjesz.

– Sam długo nie wiedziałem, czy żyję, wuju.

Ludwig się rozluźnił. Uśmiechnął się nawet, jakby tchnięty przyjemniejszą myślą.

– Gdy zobaczyłem twoje nazwisko w telegramie, poczułem radość, Wilhelmie. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że to ciebie tutaj przysyłają.

– Cóż, być może moi zwierzchnicy potraktowali to zadanie jako kolejny etap rekonwalescencji. Po tej fizycznej przyszedł czas na umysłową, a sprawa, którą mi przydzielono, ma pomóc mi wrócić na właściwe tory...

– Nie wyglądasz na wykolejonego.

Klein uśmiechnął się; docenił poczucie humoru burmistrza. Ludwig wyglądał na przepracowanego, ale nie stracił bystrości i pozytywnego nastawienia, które niegdyś go cechowało. Zapewne nie miało na to większego wpływu stojące na brzegu biurka opakowanie tabletek Kola-Dultz. Wilhelm widział reklamę tych pastylek dzień wcześniej w „Grafschaft Glatz”. Zgodnie z zapewnieniami producenta zażywane codziennie miały uspokajać nerwy i dodawać wigoru.

– Okoliczności jedynie niezbyt przyjemne... – dodał Ludwig, patrząc w stronę okna, jakby był w stanie dostrzec za szybą ostatnie z miejsc zbrodni. – Najpierw zastrzelenie majora Friedricha Peschke, teraz kolejna ofiara.

– Wasz asystent policyjny, Jürgen Roth, mówił o drugiej ofierze. Skąd ta pewność?

Burmistrz otworzył szufladę biurka i ostrożnie wyciągnął z niej pudełko. Trzymał je przez chusteczkę. W końcu położył na blacie i przesunął w stronę gościa, popychając zakończonym gumką ołówkiem.

– To wiadomości, którą nam przesłano. W zasadzie jej część. Około piątej rano sekretarz odebrał pocztę. Wśród korespondencji było pudełko. Na nim, w polu odbiorcy, wpisano Ratusz, w polu nadawcy... tylko te słowa: „Kolejna ofiara”.

Klein skinął głową.

– Jak liczną korespondencję dostajecie?

– Liczną.

– Sekretarz od razu zainteresował się przesyłką?

– Przegląda listy i paczki od razu, segreguje je. Poza tym... pudełko przeciekało.

– Druga część wiadomości?

– Tak. – Ludwig skinął głową, patrząc poważnie na Kleina. – Trzy palce, odcięte. Były w środku. Kazałem je zawieźć do doktora Augusta Kuhnasta. Pudełko zostawiłem, by ci pokazać, zanim zajmą się nim nasi ludzie. Dostaliśmy ostatnio nowe wytyczne dotyczące pobierania odcisków palców. Tworzymy także swoją kartotekę...

– Które to palce? – przerwał kapitan.

– Środkowy, serdeczny i mały...

Po krótkiej chwili wahania Klein sięgnął po pudełko. Nie zdejmował rękawiczek w towarzystwie, więc nie musiał się obawiać pozostawienia niepożądanych śladów. Zdjął ostrożnie pokrywkę. Przyjrzał się jej, uniósł na wysokość nosa i powąchał.

– Specyficzny zapach kleju...

Burmistrz zmarszczył brwi. Nachylił się nad biurkiem i także ostrożnie powąchał podstawioną mu przez krewniaka pokrywkę.

– Klej jęczmienny... Tak, jestem pewny. Znajdziesz teraz taki w każdym kłodzkim domu. Wytwarzany w tani i szybki sposób. Czasy trudne, to ludzie dorabiają. Dzieci kleją pudełka na świece, całe rodziny są w stanie zrobić ich kilka tysięcy sztuk miesięcznie.

– Nie jest to więc klej ze sklepu... Na wieczku kartka z brulionu w linie. Na niej litery wycięte z gazety... Nie użył maszyny do pisania, nie zdecydował się napisać adresu i wiadomości odręcznie.

– Może bał się, że rozpoznamy charakter pisma?

Klein nie odpowiedział. Odłożył pudełko na blat, nawet nie zajrzał do środka. Ludwig przypatrywał się młodzieńcowi z coraz większą ciekawością. Odczuł dreszcz ekscytacji. Miał okazję obserwować pracę tutejszych policjantów i żaden z nich nigdy nie analizował danych w ten sposób. Zresztą trudno było od nich tego wymagać. Repertuar tutejszych przestępców ograniczał się do pobić, kradzieży i burd. Burmistrz miał wrażenie, że chłopak przybył z zupełnie innego świata. Pozostawało pytanie, jak się odnajdzie w kłodzkiej rzeczywistości.

– Wilhelmie – Ludwig postanowił zadać pytanie, które męczyło go od dłuższego czasu – powiedz mi, czy... czy te palce... rzeczywiście należały do rajcy Heinricha Dintera?

– Nie wszystkie członki denata były na miejscu... ale akurat palców u rąk i nóg mu nie brakowało.

Ludwig rozparł się w fotelu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Rajca miał odcięte przyrodzenie. Wepchnięto mu je w gardło.

Burmistrzowi wydawało się, że się przesłyszał.

– Przecież to... to bestialstwo! Mamy do czynienia z szaleńcem! Dwie ofiary...

– Co najmniej dwie.

Ludwig poruszył się niespokojnie i sięgnął po paczkę junoszek. Była otwarta i wszystkie sześć papierosów stało w równym rzędku. Burmistrz często sięgał po tę paczkę w chwilach wzburzenia lub głębokiego namysłu, nie wyciągał jednak cygaretek. Teraz też nie uległ pokusie, bo po chwili zamknął pudełko.

– Sekretarz pojawił się w ratuszu jakiś kwadrans przed moim przybyciem. Gdy mnie zobaczył, od razu podał mi przesyłkę. Otworzyłem ją... Pojawił się wachmistrz

Puder, który dostał zgłoszenie o morderstwie na kamiennym moście. Wtedy pomyślałem, że przesyłka dotyczy właśnie tamtego trupa...

– Tak jednak nie jest.

– Nie. – Ludwig energicznie pokręcił głową. – To najwyraźniej palce kogoś innego... Wcześniej odruchowo połączyłem morderstwo majora Peschke z dzisiejszym. Teraz nie wiem, czy należy łączyć obie zbrodnie.

– Należy.

Ludwig patrzył przez chwilę na krewnego nieruchomym wzrokiem, po czym skinął głową.

– Niezbyt często mamy tu do czynienia z tak... okrutnymi sprawami, więc wiele wskazuje na to, że masz rację. Jest kilka kwestii, które musimy omówić, zanim przejdziesz do działania...

– Jak mniemam, delikatnych kwestii.

– W rzeczy samej. – Ludwig postanowił odpuścić sobie okrągłe zdania, którymi zwykł raczyć rozmówców. Od razu przeszedł do meritum. – To prowincja. Jak wiesz, w tak małych miastach jak Kłodzko zgodnie z reformami Steina i Hardenberga sprawami policyjnymi zajmuje się burmistrz. W tym wypadku na szefa policji wyznaczyłem mojego zastępcę Conrada Goebela... Aktualnie Conrad jest nieobecny. Gdy wróci, na pewno będzie ci pomocny, mam do niego pełne zaufanie.

– Jest jednak jakieś ale...

– Zostałeś tutaj przysłany przez Berlin. – Ludwig uśmiechnął się cierpko. – Jesteś wojskowym śledczym, o którego działaniach nie wie zbyt wiele nawet berlińska policja. Zabicie majora Peschke musiało mocno poruszyć kogoś w najwyższych władzach wojskowych. Mimo że sprawa powinna pozostać w naszej gestii, ewentualnie w gestii miejscowej żandarmerii, zajmuje się nią człowiek z zewnątrz. To sygnał, który przez wielu może zostać odebrany jako brak zaufania do prowincjonalnych służb... Co prawda większość pracowników policji to urzędnicy, których nie obchodzi niemal nic poza stertą dokumentów na biurku, ale są też tacy, którzy mają ambicje.

– Przejdź do rzeczy, wuju.

– Jeszcze do niedawna zaraz za ścianą mieliśmy żandarmerię wojskową. Nigdy nie żyliśmy ze sobą zbyt dobrze, ale... Rozumiem, że jako wojskowy będziesz z nimi współpracować?

– Tutejsza żandarmeria zostanie wyłączona z czynności śledczych, nie będę.

– Dobrze. – Ludwig z wyraźną ulgą skinął głową. – W przypadku zamordowania majora Peschke udział w śledztwie żandarmerii był uzasadniony. Zabicie rajcy Dintera zmieniło postać rzeczy i skomplikowało kwestię kompetencji. Twoje zapewnienie o wyłączeniu z prowadzenia śledztwa żandarmerii jest mi na rękę. Ostrzegam jednak, że możesz się spodziewać, że nie dadzą ci spokoju. Pozostaje jeszcze kwestia naszej współpracy. Chciałbym wiedzieć, jak zamierzasz prowadzić tę sprawę.

- Chcę stworzyć swój zespół.
 - Zespół? Ktoś z Berlina do ciebie dołączy?
 - Nie. Za twoim pozwoleniem włączę do zespołu kilku podległych ci ludzi.
- Ludwig pokręcił głową.

– Nie powiedziałbym, że tego się spodziewałem. Wiesz, że nie mogę nikomu nakazać współpracy z tobą... Co więcej, nie mam ku temu podstaw. Ty jesteś wojskowym, moi podwładni to policjanci. Chyba zdajesz sobie sprawę, że dołączając do twojego zespołu, naraziliby się na nieprzyjemności. Spotkaliby się z ostracyzmem wśród kolegów i niektórych przełożonych. Nikt na to nie pójdzie.

– To będzie moje zmartwienie. Nigdy nie poprosiłbym, żebyś narzucał cokolwiek swoim ludziom. Sam ich wybiorę i z nimi porozmawiam. Proszę jedynie, byś zaakceptował mój wybór, jeśli się zgodzą.

Ludwig uniósł brwi. Patrzył na Kleina z coraz większym podziwem. Pewność siebie tego młodego człowieka wręcz graniczyła z impertynencją. Kruche ciało było przeciwieństwem żelaznej woli.

– Założmy, że skompletujesz zespół. Pozostaje jednak komisarz Richter... Pod nieobecność Goebela to on gra tu pierwsze skrzypce. Znam go, wiem, że potraktuje tę sprawę ambicjonalnie. Marzy mu się Wrocław, a na tej sprawie będzie mógł się wybić...

- Nie widzę przeszkód, by nad sprawą pracowały dwa niezależne zespoły.
- Nie dostaniesz od nich pomocy, żadnej.
- Nie liczę na nią.

Ludwig zrezygnował z wyjawiania dalszych obiekcji. Zrozumiał, że Klein już dawno wszystko przemyślał.

– Dobrze więc. Oba zespoły będą mi na bieżąco raportować o postępach, przynajmniej do powrotu Conrada Goebela. – oznajmił. – Jeśli uznam, że ten eksperyment nie ma sensu, przerwę go od razu. Nie mogę dopuścić do tego, by to miasto żyło strachem. Mam do ciebie osobistą prośbę, Wilhelmie: zakończ to jak najszybciej. Znajdź tego szaleńca, zanim sterroryzuje całe Kłodzko.

Obserwując krewniaka, Ludwig zdał sobie sprawę, że ten nagle mocno pobladł. Na jego czole pojawiły się grube krople potu. Burmistrz nie chciał go pytać o przyczynę złego samopoczucia, po prostu podszedł do okna i otworzył je na oścież, wpuszczając do pomieszczenia świeże powietrze.

– Wynająłem ci pokój w Hotelu Dworcowym. Adolf Menzel dał naszemu miastu spory rabat.

- Dziękuję. Pokryję te koszty z budżetu, który dostałem.

Ludwig skinął głową, wsłuchując się w słaby głos Wilhelma.

- Potrzebujesz, bym udostępnił ci jakieś biuro w ratuszu?
- Nie.
- To gdzież będzie się spotykać ten twój zespół?

– Restauracja w Dworcowym się nie nada? – Kąciki ust Kleina uniosły się wysoko, ale oczy pozostały zasnute jakąś melancholią. Ludwigowi wydało się, że ciałem młodego człowieka wstrząsają dreszcze.

– Nada się, jak najbardziej. Wierzę też, że posmakuje ci ich kuchnia: kluski, kluski i jeszcze raz kluski, pod różną postacią i wymyślnymi nazwami. Tłusto. Szybko nabierzesz ciała i sił.

Klein nie zareagował na te słowa w sposób, jakiego burmistrz by oczekiwał.

– Twoja listowna prośba, Wilhelmie... – Ludwig zmienił temat.

– Prosiłem o psa tropiącego.

– Tak – potwierdził burmistrz i oparł się o parapet. – Wysłałem zapytanie do Wrocławia o użyczenie jednego. Dostałem zgodę. Powinien dotrzeć jeszcze dziś, najpóźniej jutro.

– Dziękuję.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. Dziękuję Bogu, że wróciłeś stamtąd... – Ludwig zawahał się, chciał powiedzieć, że cały i zdrowy, ale wiedział, że nie jest to prawdą. Powtórzył więc tylko: – ...że wróciłeś.

– Wróciłem – odpowiedział Klein, choć w jego głosie nie słyhać było większego przekonania.

Przez chwilę milczeli. Burmistrz uznał, że niewiele już wyciągnie z krewnego. Postanowił dać mu spokój.

– Prześlę ci legitymację policyjną do hotelu. Przyda się.

– Dziękuję, w tym państwie każdy stempel się liczy. – Kąciki ust Kleina nieznacznie uniosły się do góry.

– Od czego zaczniesz?

– Mówiłem, od skompletowania zespołu. – Klein wstał energicznie. Po niedawnej słabości nie było śladu. Skinął głową i obrócił się na pięcie. Wyszedł z gabinetu, pozostawiając Ludwiga pogrążonego w smutnych rozważaniach.

*

Jürgen Roth czekał na kapitana Wilhelma Kleina przy samochodzie. Nawet nie przeszło mu przez myśl, żeby wejść do ratusza. Wciąż czuł się tam obco. Pokój, który mu przydzielono, był niewiele większy od przeciętnego wychodka i tak też zresztą śmierdział. Roth gniótł się na pięciu metrach kwadratowych z trzema innymi asystentami policyjnymi. Jeden z nich trawił alkohol każdym porem żółtawej skóry.

Cierpka woń przytępiała zmysł węchu, a sama praca drenowała umysł. Przełożeni zasypywali młodego asystenta tonami papierkowej roboty, zupełnie nie doceniając jego starań.

Roth nie potrafił zrozumieć, jak bardzo skostniała może być instytucja, w której został zatrudniony. Zamówione kilka lat wcześniej maszyny do pisania marki Smith Premier kurzyły się po kątach. Dla większości policyjnych urzędników były niczym

mechaniczne potwory, których nie potrafili okiełznać. Większość wciąż pisała raporty odręcznie, nieliczni próbujący zmierzyć się z wyzwaniem wyglądali jak marionetki z uniesionymi nad klawiaturą palcami wskazującymi. Odszukiwanie liter alfabetu zabierało im wieki. Jürgen nieraz łapał się na tym, że kibicuje koledze, by ten wreszcie dokończył ostatni wyraz w zdaniu, nad którym ślęczał długie minuty.

Sam nie miał takich problemów – z niemal wrodzoną łatwością obsługiwał wszelakie urzędnika. Na jego nieszczęście szybko to dostrzeżono i przydzielono mu zadanie przepisywania większości ręcznie pisanych dokumentów wydziału.

Dzisiaj mógł od tego odetchnąć. Tak naprawdę był stworzony do działania, a nie do siedzenia za biurkiem. Zawsze chciał pracować w policji. Gdyby tylko ktoś dał mu szansę się wykazać, szybko dostrzeżono by w nim cechy idealnego śledczego.

Dlatego też gdy Wilhelm Klein wyszedł z ratusza i podszedł do niego, zadając krótkie pytanie, odpowiedział bez namysłu. Zgodził się na propozycję od razu, nie do końca zdając sobie sprawę, jakie konsekwencje niesie jego decyzja. Ten impuls chwili, któremu się nie oparł, wywołał w nim eksplozję adrenaliny. Oto Jürgen Roth miał szansę na zmianę, Jürgen Roth mógł wreszcie pokazać, na co go stać, dołączając do zespołu kapitana Wilhelma Kleina.

– Kto najwięcej wie o ulicy?

Klein musiał jeszcze dwukrotnie powtórzyć kolejne z pytań, by Jürgen je zrozumiał.

– Kto wie najwięcej o szumowinach w mieście? Który z policjantów działa na granicy prawa, nie boi się konsekwencji. Wymień brutalnych i krnąbrnych. Jeśli powiem: „skurwysyn”, kto ci pierwszy przyjdzie na myśl? Znajdę takich w tym budynku?

– Jeden...

– Co jeden?

– Jest jeden, który ma wszystkie te cechy.

Roth zobaczył, że Klein się uśmiecha. Nie był to najprzyjemniejszy widok, ale Roth zdał sobie sprawę, że ten grymas oznacza uznanie...

– Tym lepiej. Jak się nazywa?

– Franz Koschella. Pierwsze piętro, trzecie drzwi na lewo, równie wysoki jak pan... Ale... jest niebezpieczny.

Klein, który już zmierzał w stronę ratusza, odwrócił się na ułamek sekundy. To wystarczyło, by Roth spuścił oczy. Nabrał pewności, że jeśli ktoś mógł zasłużyć na miano niebezpiecznego, to jego nowy przełożony.

Gdy Klein na powrót zniknął w chłodzie gmachu, emocje asystenta policyjnego znacząco opadły. Jürgen zadrżał. Oparł się ciężko o maskę samochodu i rozejrzał niespokojnie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z implikacji swoich czynów. Co, na miłość boską, zrobił?

Odetchnął głęboko, starając się uspokoić. Czy mógł się jeszcze wycofać? Przecież nie dano mu chwili na zastanowienie. Zawsze mógł się tym faktem wymówić.

A może dokonał dobrego wyboru? Kapitan Klein musiał mieć dobry układ z burmistrzem. A więc warto się go trzymać.

Roth poczuł, że wzdłuż kręgosłupa spływa mu strużka potu. Słońce skryło się za chmurami, ale zrobiło się duszno. Coś wisiało w powietrzu. Odwrócił się w stronę samochodu i postukał czubkiem buta w oponę. Z otwartego okna na pierwszym piętrze doszedł go odgłos stukania w klawisze maszyny smith premier. Miał alternatywę. Mógł jeszcze wrócić za biurko, do smrodu Olafa Reinerta. Pokręcił głową i wziął głęboki oddech, bo na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze.

*

Wilhelm Klein stanął przed drzwiami do pokoju, w którym zgodnie ze słowami młodego asystenta miał znaleźć Franza Koschellę. Pchnął je i wkroczył do środka, przerywając ożywioną rozmowę pięciu siedzących w pomieszczeniu mężczyzn.

Wszyscy jak na komendę popatrzyli spode łba na przybysza, a powietrze w pomieszczeniu zauważalnie zgęstniało.

– Słucham? – zapytał najstarszy w towarzystwie. Pozostali wymienili porozumiewawcze spojrzenia i uśmieški.

– Wyjdźcie.

Ta krótka komenda wprowadziła mężczyzn w konsternację. Znow popatrzyli na siebie, jakby nie dowierzając absurdalności sytuacji.

– Panowie, opuśćcie to pomieszczenie – powtórzył Klein.

Jeden z siedzących zaśmiał się, ale zaraz uśmiech zamarł mu na twarzy. Najstarszy z wachmistrzów, siwy, pomarszczony chudzielec, wydał za to dźwięk, który mógł budzić obawy, że utknęła mu w gardle ość nyskiego pstrąga. Poczzerwieniał, żyły nabrzmiały mu na szyi, jakby rosnące ciśnienie miało ujść przez uszy. Zanim jednak doszło do niekontrolowanego wybuchu, jeden z kolegów wachmistrza, gruby, łysiejący trzydziestolatek, przytrzymał go za ramię i porozumiewawczo spojrzał na drzwi. Po chwili czterech mężczyzn podniosło się i ruszyło w stronę wyjścia.

– Franz, ty też! – grubasek odezwał się do kolegi już z korytarza. Ten nie poruszył się jednak nawet na milimetr.

Klein przechylił głowę i wychrypiał:

– Franz nie ma zamiaru wyjść, zostanie. – Po czym zatrzaskał za policjantami drzwi.

Franz położył w tym czasie nogi na biurko i odchylił się z krzesłem, zakładając ręce za głowę. Napiął przy tym mięśnie, tak że muskularne bicepsy wypełniły koszulę.

Klein przyjrzał się Koschelli jak odwiedzający zoo zwykli przyglądać się zamkniętym w klatkach zwierzętom. Z przestawionym nosem, krzywą szczęką i mocno odstającymi uszami Franz wyglądał nieco groteskowo. Nie licząc tych

trzech charakterystycznych cech, jego twarz była nijaka, mogła równie dobrze należeć do marynarza, grabarza czy górnika.

Gdy Klein uznał, że napatrzył się na Koschellę wystarczająco, zrobił krok do przodu i kopnął w nogę krzesła. Mebel stanowił niepewny punkt oparcia dla ponad stukilowego ciała. Franz zdążył jedynie wypuścić powietrze, po czym runął w tył.

Klein znalazł się nad wachmistrzem, ledwie jego ciało dosięgło ziemi. Podniósł krzesło, wsunął głowę Koschelli w przestrzeń pomiędzy siedziskiem a oparciem, po czym przewrócił policjanta na brzuch i przytrzymał mebel tak, by głowa mężczyzny odgięła się do tyłu, a oparcie wbiło mu się w kręgosłup. Konstrukcję tę utrzymywał całym ciężarem własnego ciała. Nie było to proste, gdyż Koschella wpadł w szal i zapamiętale próbował się uwolnić.

– Złamiesz sobie kark, Koschella, jak się nie uspokoisz.

Policjant zdawał się głuchy na wszelkie ostrzeżenia, rzucał się niczym rozjuszony zwierz. Kleinowi nie pozostało nic innego, jak unieść oparcie. Broda wachmistrza także powędrowała ku sufitowi, a w kręgosłupie coś chrupnęło.

– Chcesz być kaleką? Chcesz, żeby żona podcierała ci dupę do końca życia?

Wysiłek, który policjant wkładał w uwolnienie się, musiał być spory, bo nagle puścił wiatry.

Klein się zaśmiał.

– Mój Boże, Franz! To, co produkują twoje jelita, powinno się dołączyć do wykazu zabronionych gazów!

Koschella nagle stracił całą energię. Miało to zapewne związek z faktem, że Klein przydusił go jeszcze mocniej.

– Zmądrzałeś?

Klein poluźnił uchwyt, a Franz nagle stał się spokojniejszy.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wiem, że nie masz tu najlepszej opinii. Twoją marną egzystencję w Kłodzku trudno nazwać karierą. Szczytem twoich osiągnięć będzie polerowanie krawężników i sprawdzanie, czy kolejna prostytutka nie złapała syfa. Jestem twoim zbawcą, Koschella. Skrócę twoje cierpienia i wydobędę cię z tej nory. Jeszcze dzisiaj wyrzucę cię z pracy w policji na zbity pysk.

Koschella wycharczał coś, co Klein uznał za sprzeciw.

– Nie chcesz? Ty też masz wielkie ambicje? O Franz, zaimponowałeś mi. I jeśli rzeczywiście tak jest, to na mój nos możliwość masz tylko jedną. Od dzisiaj będziesz ze mną współpracował. Staniesz się moim psem. Potrzebuję tego, co masz w swojej zakutej pale: informacji. Domyślam się, że wszelkie akta w tym gmachu są bezwartościowe, ty za to wiesz wszystko o wszystkich na tej zapyziałej prowincji. Mam rację?

Klein osłabił nacisk na krzesło, bo uznał, że Koschella przestał walczyć, a zaczął uważniej słuchać.

– Pomożesz mi, wtedy ja może pomogę tobie. Za chwilę wyjdiesz z tego pokoju i pójdziesz w miasto. Chcę wiedzieć, co ulica mówi o morderstwach. Od jutra,

codziennie meldujesz się w recepcji Hotelu Dworcowego i czekasz na moje dyspozycje. To jak, przyjmujesz moją uprzejmą propozycję? Tak? To słuchaj...

*

Roth był pogrążony w rozmyślaniach. Nie zauważył nawet, że stanął przed nim Franz Koschella, dopóki ten się nie odezwał ochryłym, zgrzytliwym głosem:

– Od dziś obaj jesteśmy w zespole Kleina. Będziemy ze sobą współpracować.

Jürgen był tak zaskoczony, że nie odpowiedział. Pracę w kłodzkiej policji zaczął kilka miesięcy temu, a przez ten czas wachmistrz nie zaszczylił go nawet słowem. Nic dziwnego, że patrząc teraz na stojącego przed nim olbrzyma, mrugał z taką częstotliwością, jakby chciał odgonić senną marę. Nie tylko zachowanie Franza, ale i jego wygląd wprowadził Rotha w konsternację. Wachmistrz wyglądał inaczej. Jego zwykle starannie przylizana grzywka była zmierzwiona, włosy lepiły się do czoła. Koschella zdawał się tego nie zauważać.

Starł krew z wargi, która wydawała się przygryziona, a potem, rozmasowując kark popatrzył w bok. Po chwili najwyraźniej uznał, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, bo ruszył chwiejnym krokiem w dół rynku, w stronę Wasserstrasse i cieszącej się nie najlepszą renomą wschodniej części miasta.

Klein pojawił się kilka minut później. Wsiadł do samochodu i nakazał zawieźć się do Hotelu Dworcowego. Roth nawet nie starał się czytać z kamiennego oblicza kapitana, nie zadawał też żadnych pytań. Odpalił maszynę i ruszył. Odczuł też niejaką satysfakcję, gdy dostrzegł w oknach ratusza liczne twarze odprowadzających ich wzrokiem urzędników.

Na obszerny Sellgittplatz wjechali chwilę później. Jürgen zaparkował tuż przed budynkiem hotelu. Zanim Klein wysiadł, wydał asystentowi kolejne polecenie: Roth miał odebrać i przewieźć do hotelu bagaże swojego nowego przełożonego. Jürgen poczekał więc, aż Klein zniknie w bramie Dworcowego, i ruszył z impetem. Już wkrótce, uśmiechnięty od ucha do ucha, gnał trasą w stronę gorzanowskiego pałacu.

W tym czasie Wilhelm Klein dotarł do recepcji i oparł się ciężko o ladę. Recepcjonista Anton Krupski rozważał wezwanie ochrony, by pozbyła się chwiejącego się, pijanego, jak mniemał, natręta. Tknęło go jednak przecucie, instynkt podparty wieloma latami doświadczenia pracy w zawodzie. Powstrzymał się przed gwałtowniejszą reakcją. Dyrektor hotelu uprzedził go o pojawieniu się gościa, którego miano obsługiwać tu ze specjalnymi względami. Doszły też do niego plotki o człowieku z blizną, który przyjechał do Kłodzka schwytać mordercę terroryzującego miasto. Obstawiał, że właśnie z nim ma teraz do czynienia.

– Kapitan Wilhelm Klein? Pokój dla pana przygotowany. Dyrektor Menzel kazał zarezerwować najlepszy apartament.

– Chcę pokój na samej górze, z dala od innych, z widokiem na dworzec.

– Ale... – Zamiast dokończyć Krupski skinął głową i sięgnął w stronę niewielkiej szafki z kluczami. – Osobne schody, całe poddasze, narożnik od strony Sellgittplatz i dworca do pańskiej dyspozycji.

Przyjmując spory napiwek od nowego gościa hotelu, Krupski wiedział, że postąpił właściwie i może być z siebie zadowolony. Wręczając klucze, dodał jeszcze:

– Dyrektor otworzył rachunek dla pana i pańskich gości. Wszystko w ramach współpracy z kłodzką policją.

Tym razem nie wywołał efektu, jakiego się spodziewał. Pospiesznie odnotował to w pamięci. Gość skinął głową i ruszył w stronę bocznego korytarza, który mu wskazano. Krupski jeszcze przez chwilę odprowadzał go wzrokiem. Musiał przyznać, że stary Menzel miał łeb na karku. Całe miasto, a kto wie czy nie cały Śląsk, będzie huczeć o tym dziwołagu. A przy okazji pewnie będą gadać o Hotelu Dworcowym. Darmowa reklama, która być może wpłynie na większą liczbę gości z wyższej półki. Przełoży się to zapewne na duże obłożenie w restauracji, a może i podwyżkę? Po latach chudych muszą wreszcie przyjść tłustsze.

Menzel szybko przywołał do siebie boya hotelowego.

– Leć, Hans, do restauracji, kosz owoców na poddasze zanieś. Wizytówkę dyrektora do środka włożysz, ale żeby na widoku była!

– Tak jest!

Młody zawinął się szybko, a recepcjonista zatarł dłonie. Dyrektor będzie zadowolony, a zadowolony dyrektor to i zadowolony pracownik, pomyślał.

*

Klein otworzył drzwi i chwiejnym krokiem wszedł do pomieszczenia. Wirowało mu w głowie; przesunął szorstkim językiem po spierzchniętych wargach. Od razu przysiadł na krześle ustawionym przy sekretarzyku. Usiadł na nim i oparł się łokciami o blat. Złapał głowę dłońmi i przytrzymał w pionie. Próbował zwalczyć nudności. Gdy zamykał oczy, wirowanie się wzmagало. Miał na to jeden sposób: odnalazł punkt zaczepienia, wpatrzył się ryse na mahoniowym blacie i na niej się skoncentrował.

Wciąż drżał na całym ciele, brakowało mu powietrza. Rozpiął sztywny kołnierzyk i z kieszeni wyciągnął chusteczkę, by otrzeć pot z czoła. Skóra była lepka i chłodna. Wiedział, że potrzebuje świeżego powietrza, ale bał się, że nie jest w stanie zrobić nawet kilku kroków w stronę okna.

Równomierne tykanie zegara, przyspieszone uderzenia serca. Klein starał się zsynchronizować rytm mięśnia pompującego krew z sekundnikiem. Gdy niemal mu się to udało, usłyszał pukanie do drzwi. Wprawiło ono serce w arytmie.

– Wejść.

– Kosz z owocami, z pozdrowieniami od dyrektora hotelu...

Klein nie spojrział nawet na wchodzącego, za to na biurku dostrzegł butelkę wody mineralnej. Złota Kaczka z Gorzanowa. Sięgnął po nią i przesunął w swoją stronę, nie był już jednak w stanie jej unieść.

Boy hotelowy postawił kosz na krześle pod oknem i odwrócił się w stronę Kleina.

– Otworzę. – Wyjął butelkę z ręki gościa, odciągnął porcelanowy koreczek i nalał płynu do szklanki.

– Czy coś dla szanownego mogę jeszcze...

– Okno – wyszeptał Klein. – Otwórz okno i wyjdź.

– Tak jest!

Dopiero teraz Klein spojrział na chłopaka. Być może to jego „tak jest” wypowiedziane w charakterystyczny sposób coś w nim poruszyło. Gdy poczuł powiew świeżego powietrza, uniósł szklankę i wypił wodę duszkiem. Następnie wyjął z kieszeni kilka monet napiwku. Chłopak je przejął i się uklonił.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział i pospiesznie wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

Klein miał wrażenie, że zna skądś twarz boya. W tej chwili jednak czuł się zbyt otepiały, by skoncentrować się na tym spostrzeżeniu. Wróciły nudności, dołączył do nich przenikliwy ból. Stary znajomy, który nie dawał o sobie zapomnieć. Chwilami tylko przycichał, a gdy wydawało się, że ma go pod kontrolą, odzywał się z wyrzutem jeszcze mocniej i intensywniej. Pokazywał człowiekowi miejsce w szeregu.

Klein podniósł się wreszcie z fotela i chwiejnie skierował w stronę okna. Tu rozpaczliwie złapał się parapetu. Przechylił się, mając wrażenie, że nagle utracił całą swoją wagę i zaraz wyfrunie na zewnątrz. Popatrzył w stronę nasypu i peronów stacji kolejowej. Dostrzegł tłum podróżnych. Dobiegł go odległy gwizd i wkrótce usłyszał stukot zbliżającego się w obłokach pary składu. Już kilka chwil później lśniąca czarna maszyna wyhamowała ze zgrzytem, a na peronie rozbrzmiały konduktorskie gwizdki. Tłum pod drewnianym dachem zamarł na sekundę, a potem znów ożył, gdy drzwi wagonów zostały otwarte. Kolorowa fala wpłynęła do przedziałów, słychać było ożywiony gwar. Zagłuszył go dopiero kolejny gwizd stalowej bestii. Wkrótce para buchnęła wzdłuż torów, wiązary szarpnęły osiami napędowymi i maszyna ruszyła w stronę Wrocławia. Białoszare obłoki zawirowały, przykryły peron, skłębiły się i rozrosły. Klein stracił ostrość widzenia. Wydało mu się, że para buchnęła w jego stronę, poczuł gorąco na policzkach i wszystko zniknęło w lepkiej, rozognionej szarości. Wtedy poczuł, że uginają się pod nim kolana, a on sam mknie na spotkanie z drewnianą podłogą.

*

Roth prowadził audi z lekką nonszalancją; złapał się na tym, że chce zrobić wrażenie na pasażerce. Co chwilę zerkał w jej stronę, choć ta uparcie go ignorowała. Gdy

pojawił się w pałacu i oznajmił służbie, jaki jest cel jego przybycia, nie musiał długo czekać na walizkę Kleina. Być może poprzedniego wieczoru kapitan nawet się nie rozpakował. Jürgena zdziwił nie tyle znikomy rozmiar torby podróźnej, ile bonus, jaki został do owego bagażu dodany. Agnes, tak przedstawiła się dwudziestokilkulatka. Zgodnie z poleceniem właściciela gorzanowskiego majątku miała towarzyszyć w drodze Rothowi i wraz z bagażem zostać odstawiona do pokoju hotelowego Wilhelma Kleina.

Jürgen uznał, że po dzisiejszym dniu już nic więcej go nie zdziwi. Szybko zapakował torby – tę pracodawcy i tę kobiety – do bagażnika, a potem ruszył wraz z pasażerką w stronę Kłodzka.

Kilka razy próbował pociągnąć ją za język, wypytać dyskretnie o Kleina – i o nią samą – ale odpowiadała półsłówkami. Na pewno nie można było jej posądzać o brak dyskrecji. Szybka jazda także nie robiła na niej wrażenia. Jürgen zorientował się, że różni się od większości dziewczyn, których opór i serca topniały pod wpływem adrenaliny i mocnych wrażeń. Siedziała sztywno i z zaciekawieniem obserwowała mijaną okolicę.

W pewnym momencie zdekoncentrowany Roth zbyt ostro wszedł w zakręt. W ostatniej chwili zauważył wyjeżdżającą z lasu furmankę i jedynie cudem uniknął zderzenia. Wypuścił powietrze i głośno się zaśmiał. Popatrzył na Agnes, spodziewając się, że dziewczyna będzie bliska omdlenia, ale ta nawet nie pobladła. Była opanowana, nie skomentowała incydentu, choć ledwie zauważalnie skrzywiła się z niesmakiem. Roth pomyślał, że ma do czynienia z twardą sztuką, i ciekawość, kim jest dziewczyna, rozpalala go do czerwoności. Zastanawiał się także, czy brała udział w porannej orgii.

Wkrótce wjechali na Sellgittplatz i okrążywszy niewielkie rondo, zaparkowali przed hotelem. Roth nie zdążył wyjść z samochodu, a już pojawił się przy nich boy hotelowy. Otworzył Agnes drzwi, po czym stanął przy bagażniku. Roth wręczył chłopakowi obie torby i w towarzystwie dziewczyny wszedł do hotelu.

Pierwszy schodami na górę pognął chłopak, zaraz za nim ruszyła Agnes. Roth nie spieszył się – należał do tych mężczyzn, którzy nie mają nic przeciwko, by podziwiać kobiecą kibić w ruchu. Bez skrupowania zatem patrzył na kształtne łydki i opięte wąską spódnicą pośladki. Kurteczka, którą dziewczyna miała na sobie, przykrywała wąskie barki. Spięte z tyłu włosy przykryte były zgrabnym kapelusikiem.

„Szara myszka” – tymi słowami określiłby Roth dziewczynę, gdyby go o nią zapytano. Szara, piegowata myszka, w której było coś bardzo intrygującego.

Znaleźli się na poddaszu. Boy zastukał w drzwi, raz potem drugi. bez odzewu.

– Może wyszedł? – zasugerował Roth.

– Kapitan Klein nie wychodził, tego jestem pewny.

– Przesuń się.

Jürgen przejął inicjatywę. Chciał poczuć na sobie spojrzenie dziewczyny, lecz ta traktowała go jak powietrze.

Zapukał i powiedział donośnie:

– Herr Klein! Przywiozłem bagaż.

Odpowiedzi wciąż nie było. Roth wyczuł zaniepokojenie Agnes. Wreszcie popatrzyła mu w oczy, co wywołało w nim chęć dokonania bohaterских czynów. Zapukał po raz ostatni i naciskając klamkę, pchnął drzwi.

Klein leżał nieruchomo na podłodze. Roth odepchnął boya, który zamierzał pierwszy wejść do środka, podbiegł do kapitana i przyklęknął obok.

– Jest puls – powiedział, dotknąwszy tętnicy szyjnej. Jednocześnie rozejrzał się szybko po pomieszczeniu, jakby w poszukiwaniu napastnika. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to, że Klein został napadnięty.

– Połóżcie go na łóżku.

Ton Agnes zmroził Rotha. Była równie opanowana jak wtedy, gdy niemal wbił się w furmankę.

– Zaraz, chwila...

Roth próbował oponować, ale kobieta powtórzyła polecenie tym samym nieznośnym sprzeciwu tonem.

Boy hotelowy nachylił się nad leżącym i delikatnie wsunął dłonie pod jego pachy. Po chwili wahania Roth złapał Kleina za nogi. Wywindowali kapitana w górę i położyli na łóżku.

– Ja się nim zajmę. Nic się nie stało. Proszę, żebyście obaj wyszli...

– Dziewczyno, chyba żartujesz? – oburzył się Jürgen. Zawsze wydawało mu się, że działa z zimną krwią i wie, jak się zachować. Teraz Agnes sprawiła, że się wahał. – Jak to: nic się nie stało? Wzywamy doktora, już!

– Ja się opiekuję panem Kleinem. Doktor nie jest mu potrzebny. Proszę wyjść i wrócić najwcześniej za godzinę, panie Roth.

Jürgen spojrzał na boya. Ten w ułamku sekundy ulotnił się z pokoju i stanął za progiem.

– Naprawdę, panie Roth, proszę wyjść. Wszystko jest pod kontrolą.

Powiedziała to teraz zupełnie innym tonem. Jürgen poruszył ustami, ale nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów. Widział łagodność w jej oczach, dostrzegał piegi na policzkach i nosie. Przeszło mu przez myśl, że dziewczyna jest czarownicą, która potrafi każdego omotać. Nie dziwił się, że takie jak ona wrzucało się kiedyś do nurtu Nysy lub paliło na stosie.

Ruszył w stronę wyjścia i przekroczył próg. Był na siebie zły. Odwrócił się, by jeszcze raz na nią popatrzeć. Potem chwycił za klamkę. Zamykał drzwi na tyle wolno, by dostrzec, jak Agnes sięga do torby i wyjmuje z niej prostokątne metalowe pudełko. Otworzyła je i choć nie widział zawartości, domyślił się, co w nim jest. Wraz z podmuchem wiatru od otwartego okna dotarł do niego szpitalny zapach

środka odkażającego. Gdy znalazł się na korytarzu, nie mógł przestać myśleć o uderzających o siebie metalowo-szklanych strzykawkach.

– Pójdę już na dół.

Roth spojrział na chłopaka. Otrzeźwiało, dopiero gdy ten znalazł się przy schodach.

– Czekał, jak się nazywasz?

– Hans, Hans Fredke, proszę pana.

– Nikomu ani słowa, Hans – rzucił za nim. – Bo pożałujesz!

– Się wie, proszę pana. – Chłopak obrócił się na pierwszym stopniu. – Ja dla pana kapitana wszystko...

Coś uderzyło Jürgena w słowa młodego, ale miał zbyt wielki mętlik w głowie, by pochwycić ulotną myśl. Spojrzął jeszcze raz na drzwi, a potem zszedł do samochodu. Musiał podjechać do ratusza – wolał się upewnić, że przełożeni wiedzą, że został przydzielony do zespołu kapitana Wilhelma Kleina. Zamierzał sprawiać wrażenie, że zaistniała sytuacja zupełnie nie przypadła mu do gustu. Tak naprawdę wiedział, że będzie łągał w żywe oczy.

*

Profesor Gustaw Taube wysiadł z dorożki o własnych siłach, lecz przy schodach ratusza się zatoczył. Wachmistrz Puder zdążył go na szczęście przytrzymać, zanim ten narobił sobie wstydu. Profesor zachichotał, widząc przerażony wzrok wachmistrza. Rzeczywiście wypił o jeden, może dwa kufle za dużo, ale nie miał zamiaru się usprawiedliwiać, należało mu się po tym, jakie atrakcje zgotował mu los.

– Wachmistrzu Puder, pan się nie martwi, z komisarzem dam sobie radę.

Taube czknął, a Puder odchrząknął. Nie wyglądał na przekonanego. Pewnie żałował, że nie był bardziej stanowczy i nie wyciągnął profesora z baru dwa piwa wcześniej.

Profesor wyprostował się, uniósł wyżej głowę i przypuścił szturm na drzwi wejściowe. W tej właśnie chwili ktoś je od wewnątrz otworzył, więc Taube siłą rozpędu dotarł do schodów napiętro, przeganiając wachmistrza o dobrych kilka kroków. Na piętrze nie starczyło mu jednak oddechu i oparł się o ścianę, ciężko dysząc.

– Odsapnę tylko – powiedział. Znów sięgnął po kapelusz z zamiarem użycia go jako wachlarza, ale dotknął jedynie swych wilgotnych włosów.

– Może profesor chce się odświeżyć w łazience – zaproponował Puder, który nagle zmienił zdanie i postanowił możliwie odwlec spotkanie z Richterem.

– Broń Boże! – profesor znów zebrał się w sobie. – Miejmy to już za sobą. Chcę tylko wrócić do domu i położyć się spać. Za dużo już tego dla mnie.

– Dla mnie też – mruknął Puder i przytrzymując profesora za ramię, obrócił go ku drzwiom prowadzącym do gabinetu sekretarza, a stamtąd do pokoju komisarza policji.

Heinrich Richter popatrzył na wchodzących, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że posłał po Taubego. Nie wstał na przywitanie, jedynie wskazał krzesło naprzeciw biurka.

– Proszę spocząć, profesorze.

Taube usiadł. Przez dłuższą chwilę nie mógł znaleźć odpowiedniej dla siebie pozycji, było mu strasznie niewygodnie.

Puder w tym czasie, gdy dostał wyraźny sygnał od przełożonego, że nie jest już potrzebny, z ulgą opuścił gabinet.

– Przykro mi, że dzisiejszego poranka stał się pan świadkiem tak nieprzyjemnego wydarzenia. Muszę z panem o tym porozmawiać, mam nadzieję, że pan to rozumie?

– Właśnie, nie za bardzo... – Taube czknął. Zaraz zasłonił usta i wstrzymał oddech. Zaczęły łzawić mu oczy, więc mocno zamrugał powiekami.

Richter dopiero teraz poczuł cierpki zapach alkoholu i papierosowego dymu. Zacisnął szczęki, ale zaraz się opanował.

– Taką pracę ma policja. Chcę zadać panu kilka pytań.

– Ale o wszystkim już mówiłem temu niezmiernie inteligentnemu policjantowi, Herr Kleinowi.

Richter poczuł, że w gardle pęcznieje mu skórzana piłka. Ciśnienie uderzyło mu do głowy. Zaczynał odnosić wrażenie, że będzie już tak za każdym razem, gdy tylko usłyszy nazwisko „Klein”. W końcu przełknął ślinę i walcząc z narastającą irytacją, rzekł:

– Proszę więc powiedzieć wszystko jeszcze raz, tym razem mnie, komisarzowi kłodzkiej policji.

Spoglądając na siedzącego naprzeciw policjanta, Taube szybko ocenił jego zdolności i nie był w stanie, mimo szczerych chęci, postawić znaku równości między nim a Kleinem. Uznał, że Richter nie zrozumie większości wyводу, który prowadził wspólnie ze swoim rozmówcą w barze śniadaniowym przy Rossmarkt. Opowiedział więc pokrótce o swoich urodzinach i nieszczęsnej drodze przez kamienny most. Pomiął swoje spostrzeżenia, a jego opowieść przerywało co chwilę czkanie, które najwyraźniej doprowadzało Richtera do apopleksji. Profesor wiele sobie z tego nie robił, uznawszy, że komisarz jest sobie sam winny, skoro nie zaproponował mu nawet szklanki wody.

W tym czasie Richter wstał. Podeszedł do okna i wyrztał na zewnątrz, dochodząc do wniosku, że Taube niewiele wniesie do sprawy. Jego uwagę przykuł samochód, który wjechał od strony Schwedeldorfer Strasse, jednej z najbardziej reprezentacyjnych ulic Kłodzka. Za kierownicą automobilu rozpoznał młodego asystenta policyjnego. Zdążył zerknąć na jego akta. Jürgen Roth, chłopak na posyłki. Wczoraj burmistrz wyznaczył go do asystowania Kleinowi. W najbliższym czasie będzie mu towarzyszył. Richter uśmiechnął się pod nosem. Każdy młody człowiek ma jakieś ambicje, wiele zależy od tego, czy spotka na swojej drodze osoby, które

okażą mu życzliwość, pomogą w karierze... A Roth wydawał się szalenie ambitnym młodzieńcem.

– Dobrze, profesorze. To wszystko, co chciałem usłyszeć.

Taube był tak zaskoczony, że przerywa mu się w połowie opowieści, że nawet przestał czkać. Komisarz, nic sobie nie robiąc z konsternacji profesora, wezwał Pudera. Oczywiście nie zamierzał łatwo odpuścić Taubemu, profesor działał mu na nerwy. Postanowił też, że i wachmistrz swoje odcierpi.

– Wachmistrzu, spiszecie szczegółowe zeznanie profesora. Chcę też mieć raport z naszych działań na kamiennym moście – poinformował policjanta, a po chwili dodał, zwracając się do obu: – To tyle.

Gdy podwładny i świadek z kwaśnymi minami opuścili gabinet, Richter sięgnął po słuchawkę. Liczył się czas, musiał działać, by uzyskać przewagę nad Kleinem. Najpierw zadzwonił do swojego przyjaciela, majora Kurta Schneidera, szefa kłodzkiej żandarmerii wojskowej, i umówił się z nim na wieczór. Potem skontaktował się z sekretariatem i nakazał w trybie pilnym sprowadzić asystenta policyjnego Jürgena Rotha. Zadowolony z siebie wyciągnął z szuflady teczkę z pierwszymi lepszymi aktami i rozłożył przed sobą. Zaczął udawać, że studiuje raporty, choć tak naprawdę nie wiedział nawet, czego dotyczą.

*

Roth wietrzył kłopoty. Gdy tylko znalazł się w ratuszu, otrzymał informację, że ma się stawić w gabinecie komisarza. Nie był naiwny, wiedział, że to wezwanie ma związek z Wilhelmem Kleinem. Przez całą drogę z Hotelu Dworcowego układał sobie w głowie, jak poprowadzi rozmowę z przełożonymi i kolegami, nie wyobrażał sobie jednak, że czeka go konfrontacja z samym Richterem.

Weź się w garść Jürgen, powtarzał sobie w myślach. Rozegraj to tak, żeby coś na tym ugrać. Wreszcie masz szansę na odmianę, może jednak nie utkniesz w tym zapyziałym pokoiku na końcu łańcucha pokarmowego.

Siedzący przy biurku Heinrich Richter z pewnością usłyszał otwieranie drzwi i kroki wchodzącego, nie zaszczycił go jednak nawet spojrzeniem. Jedyne uniósł dłoń, dając znak wezwanemu, że kończy zapoznawać się z jednym z ważnych dokumentów. Zmarszczka na czole komisarza świadczyła o tym, że zajmuje go sprawa wielkiej wagi. Dopiero gdy uniósł i obrócił jedną z kartek, z niejakim zdziwieniem zauważył, że dokument nie ma dalszego ciągu. Z niezadowoleniem odłożył papier do teczki i przeniósł wzrok na asystenta policyjnego.

– Niech pan siada, Roth – polecił oschle.

Jürgen podszedł do krzesła i usiadł sztywno. Oparcie wbijało mu się dotkliwie w żebra. Był to jeden z mebli służących do zadawania tortur, których nie brakowało w pokojach zajmowanych przez urzędników kłodzkiej policji.

Roth przezornie milczał. Osobiście do tej pory z komisarzem nie rozmawiał, jednak z opowieści kolegów wywnioskował, że Richter nie lubi, gdy się go zagaduje pierwszemu, ani tym bardziej, gdy mu się przerywa. Doświadczenia pracowników potwierdzały, że nieostrożny petent mógł poznać skalę furii przełożonego, a nie raz za takim delikwentem latały w powietrzu pieczętki, które zajmowały dużą przestrzeń solidnego biurka.

– Roth, Jürgen Roth... – Richter odchylił się w fotelu.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Wzywał mnie pan.

– W rzeczy samej! – Richter zacisnął powieki. Poczł ból z tyłu oka. Wzrok ostatnimi czasy mocno mu się popsuł i komisarz z przykrością stwierdził, że nie wolno mu już dłużej odkładać wizyty w zakładzie optycznym Maxa Weigmanna. Z ratusza miał do optyka zaledwie kilka kroków. Dawno temu zaplanował zakup zachwalanych szkieł Carla Zeissa i nowych modnych oprawek. Nie zdecydował się na to jednak i teraz pozostało mu jedynie pocieranie piekących oczu.

Roth w tym czasie siedział jak na szpilkach. Nie było to gołosłownym określeniem, bo siedzisko zajmowanego przezeń krzesła przy krawędziach najeżone było gwoździakami.

– Roth, będziesz towarzyszył naszemu gościowi, kapitanowi Kleinowi.

– Takie polecenie wydał mi burmistrz.

– I słusznie. – Richter utkwiał wzrok w asystencie. – Morderstwo majora Peschke musiało zainteresować armię. Jak widać, Berlin potraktował poważnie tanto zabójstwo i przysłał swojego człowieka. Jednak dzisiejszy incydent na kamiennym moście komplikuje mocno sprawy. Niewątpliwie mamy do czynienia z wielce delikatną materią.

Richter zrobił pauzę, która Rothowi wydawała się trwać w nieskończoność. Nie odezwał się jednak, mając w pamięci ostrzeżenia kolegów.

– Nie ma w tej chwili podstaw, by łączyć zabójstwo oficera i rajcy. Lecz ze względu na dobre stosunki z Übergangsheer nie widzę powodu, by Wilhelm Klein nie mógł prowadzić dochodzenia. Być może będzie współpracował z żandarmerią. Skontaktował się już z miejscową placówką?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Richter zmarszczył brwi i pokiwał głową, jakby ta informacja wydała mu się co najmniej osobliwa.

– Zostaliśmy powołani do chronienia mieszkańców przed działaniami takich degeneratów jak ten, który zabił rajcę Heinricha Dintera. To na nas spoczywa moralny obowiązek ujęcia zwyrodnialca, na ludziach, którzy poświęcili się służbie lokalnej społeczności i którzy tę społeczność najlepiej rozumieją...

Roth intensywnie myślał. Zaczynało mu świtać, do czego zmierza Richter. Tym razem pauzy w przemowie miały inny cel niż wywołanie odpowiedniego wrażenia. Komisarz sondował podwładnego, oczekiwał jego reakcji na swoje słowa.

– Panie komisarzu, każdy z nas, pracujących tutaj w policji, jest zbulwersowany i osobiście dotknięty tym, co się stało. Wierzę, że sprawca zostanie złapany i ukarany.

Richter uśmiechnął się wyrozumiale.

– Mam mieszane uczucia, Roth. Żywię nadzieję, że mnie rozumiesz. Nie może nas nic rozpraszać w prowadzeniu śledztwa. Wilhelm Klein ma uprawnienia do prowadzenia niezależnego dochodzenia i niech tak będzie. Jednak nie mogę dopuścić do sytuacji, w której jego działania będą utrudniać nasze. Jeśli, nie daj Boże, dojdzie do kolejnego zabójstwa, na kogo spadnie wina? Kogo będą oskarżać o nieudolność? Kapitana Kleina? Nie, Roth, dostanie się nam. A ja nie dopuszczę, by wizerunek stróżów prawa ucierpiał na skutek działań osób trzecich. Zdajesz więc sobie sprawę, że nie pozwolę, by dochodziło do zatajenia jakichkolwiek ważnych dla nas okoliczności...

Roth oblizwał wargi. Czy komisarz dawał mu właśnie do zrozumienia, że ma donosić na kapitana?

– Tacy młodzi, ambitni ludzie, jak ty, są nam potrzebni. Jest mi osobiście żal, że zostałeś oddelegowany do tak niewdzięcznego zadania. Stać cię na więcej niż bycie kierowcą... Kleina.

Roth próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek został oddelegowany do, jak to określił komisarz, bardziej wdzięcznego zadania niż obecne.

– Mam nadzieję, że to szybko się skończy i wrócisz do nas. – Richter w zamyśleniu pokiwał głową. – Wiem, że narzucono ci niewdzięczną rolę i zapewne obawiasz się, że stracisz wiele w oczach współpracowników i przełożonych. Ja jestem jednak pewny, że asystując Wilhelmowi Kleinowi, będziesz pamiętał, skąd się wywodzisz i gdzie masz szansę zrobić karierę. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, przydzielone zostaną ci zadania odpowiednie dla twoich kompetencji.

– Dziękuję, komisarzu – wychrypiął Roth.

– No... – Jeden z kącików ust Richtera nieznacznie się unióśł. – Wykonuj swoje zadanie sumiennie i pamiętaj, zwracaj się do mnie w każdej sprawie, która będzie budzić twoje wątpliwości. Bezpośrednio do mnie...

– Tak jest, Herr Polizeikommissar.

Richter, zadowolony z siebie, powrócił do studiowania zawartości teczki, zaś Roth opuścił gabinet w głębokim przeświadczeniu, że o to ma szansę rozegrać wiele spraw po swojej myśli. Wymagało to od niego daleko posuniętej ostrożności i wyczucia, lawirowania pomiędzy Richterem a Kleinem, ale dopóki jego własna sytuacja się nie wyklaruje, miał czas na rozeznanie się w tym chwiejnym układzie. Co zrobić? Wybrać wielką niewiadomą? Być lojalnym Kleinowi czy komisarzowi i swojemu wydziałowi, w którym nigdy nie znalazło się uznania?

Przytakuj, Roth, nie pal za sobą mostów, bądź sprytniejszy i nie pokazuj, że masz więcej rozumu od tych bulterierów, którzy nie widzą nic poza czubkiem własnego nosa. Kiedy przyjdzie czas, dokonasz wyboru. Nie pozwolisz jednak, by były to

czcze obietnice... Te słowa powtarzał sobie w duchu Jürgen Roth, schodząc po ratuszowych schodach. Uznał w końcu, że jeśli komisarz chce go obarczyć funkcją informatora, będzie musiał drogo za informacje zapłacić.

*

Zgrzyt. Odległe dudnienie. Wydało mu się, że powieki skleić skorupa krwi i błota. W nozdrzach poczuł zapach ziemi, żywicy, zgnilizny, potu. Wszystko to przenikało do krwioobiegu. Teraz w żyłach krążyła trucizna, ta, której pożądał. Ukojenie nadchodziło falami, jak przyptyw przykrywający poszarpany skalisty brzeg. Dudniące w oddali baterie dział cichły. Przerażliwe krzyki rozplýwały się w nicości. Z tejże nicości kapitan Wilhelm Klein powracał do świata żywych.

Poczuł na czole dotyk chłodnej dłoni. Delikatny, acz stanowczy ucisk. Przez chwilę jeszcze walczył z bezwładem ciała, w końcu uniósł powieki i wydało mu się po raz pierwszy od dłuższego czasu zaczerpnąć powietrza.

– Kim jesteś?

– Mów mi Agnes. Przesłał mnie hrabia Herberstein. Będę opiekować się panem przez cały czas pańskiego pobytu w Kłodzku.

Odsunął jej dłoń i usiadł na łóżku. Przez okno widać było jedynie skrawek ciemniejszego nieba. Kleinowi wciąż kręciło się w głowie, ale odczuwał już odprężenie i lekkość. Stał się wrażliwy na dźwięki: tykanie zegara, oddech dziewczyny, ocieranie się zasłon o parapet, zapach dochodzący z hotelowej restauracji.

Dotknął opuszką niewielkiej ranki na przegubie, a potem opuścił rękaw koszuli.

– Zjemy coś – orzekł. – Podobno podają tu knedle we wszelkiej postaci...

– Kleeßlahengst. Tak nazywają kłodzkich chłopów – powiedziała miękko. – W tej restauracji jednak knedle i kluski są jedynie dodatkiem do bardziej wyszukanych dań. Proszę się posilić. Ja niestety nie będę panu towarzyszyć.

Klein przyjrzał się dziewczynie. Naturalna cera nie nosiła śladów kosmetyków poprawiających ewentualne mankamenty urody. Tych swoją drogą nie było. Nie można było przecież uznać za mankament uroczych piegów na nosie i policzkach. Dziewczynę cechowała młodzieńcza naturalność. Pociągła twarz zdradzała inteligencję i rezolucję, a orzechowe oczy onieśmiały. Nieznajomą otaczała delikatna mgiełka perfum, której Klein pewnie by nie wyczuł, gdyby nie wyostrome zmysły. Nie widział dziewczyny dzień wcześniej w majątku w Gorzanowie. Być może jeszcze niedawno opiekowała się starym hrabią, teraz młody Herberstein przydzielił ją do opieki nad swoim przyjacielem, Kleinem.

Siedziała w bezruchu, wiedząc, że jest właśnie poddawana ocenie. Nie przeszkadzało jej to zupełnie.

– Kobieta zagadka.

Zaśmiała się, założyła nogę na nogę i tym razem to ona mu się przyjrzała, choć pewnie miała wcześniej okazję robić to bez skrępowania.

– Hrabia mówił, że w rozwiązywaniu zagadek jest pan znakomity, a jeszcze lepszy w ich wymyślaniu. Proszę spróbować pierwszej zdolności...

Przystał na tę grę. Wstał z łóżka, odnotowując, że czuje się całkiem dobrze. Podszedł do krzesła, które stało przy biurku, przesunął je i ustawił naprzeciw dziewczyny. Usiadł na nim tak, że ich kolana niemal się stykały. Teraz po raz pierwszy zobaczył u niej lekkie speszenie.

– Wydawałoby się oczywiste, że jest pani lekarzem... jednak zaryzykuję i powiem, że nie leczy pani ludzi na co dzień.

– Nie?

– Leczy pani chore, okaleczone, ułomne zwierzęta. Widać w pani oczach nadzieję i ból straty. Wielu z tych pacjentów, których miała pani pod opieką, nie udało się pomóc. Widziała pani ich klęski, próbowała pani wszystkiego, ale mimo rozpaczliwych prób i starań się nie podnieśli. Straciła ich pani. Odchodząc, nieświadomie zabrali część duszy swojej opiekunki. A właśnie tym pierwiastkiem ożywiającym ciało się pani zajmuje. Nie tyle leczy ciało, ile jest lekarzem duszy.

Milczała. Nie wydawała się zaskoczona, słysząc tę charakterystykę. Hardo przyglądała się Kleinowi.

– Czy jest pani zadowolona z odpowiedzi?

– Jeśli jest tak, jak pan mówi, to co tutaj robię?

Klein odchylił się w krzesle. Jej głos dopełniał obrazu całości. Agnes wtapiała się w otoczenie, stawała się częścią czyjegoś życia w sposób niewymuszony i niezauważalny. Być może pomagały jej w tym niewyczerpane zasoby empatii, być może wrodzony, naturalny dar dostrajania się do otoczenia. Klein potrafił wyobrazić sobie ten mechanizm, był właśnie świadkiem jego działania. Dziewczyna stawała się nagle częścią jego życia, niczym przedmiot stanowiący niezbędny element wyposażenia pokoju, transparentny bagaż z zawartością, która konieczna była do podjęcia codziennych wyzwań.

– Najwyraźniej jestem jednym z owych okaleczonych zwierząt – uśmiechnął się. – To oczywiste. Pospieszyła mi pani na ratunek, na ratunek duszy, której nie mam.

– Nie ma pan duszy – powtórzyła powoli. – Jeśli jest tak, jak pan mówi, i każdy z pacjentów odebrał mi część duszy, znaczy to, że jej objętość jest mierzalna i także ją straciłam. Mamy więc w tym pokoju dwie osoby pozbawione boskiego pierwiastka. Dwie osoby, którym nikt nie jest w stanie już nic odebrać.

– Nie mamy wiele do stracenia, prawda? – Tym razem nie doczekał się odpowiedzi, więc wstał z krzesła i sięgnął po marynarkę zawieszoną na oparciu. – Zejdę do restauracji. Jeśli uzna pani, że jest głodna, zapraszam.

– Dziękuję – Agnes uśmiechnęła się i także wstała. – Rozpakuję teraz swój bagaż. Pozwoli pan, że zajmę pokój na końcu apartamentu.

Skinął głową. Zapinając mankiety, obserwował ją jeszcze przez chwilę. Wyszła z saloniku i skierowała się do drzwi prowadzących w głąb kwatery. Klein zgadywał, że musi być tam łazienka i co najmniej jeden lub dwa dodatkowe pokoje. Postanowił jednak, że sprawdzi to później. Teraz zbyt mocno ssało go w żołądku. Wiedział, że gdy się posili, minie słabość, którą wciąż mimo wszystko odczuwał.

*

Hotel Dworcowy był jednym z elegantszych w mieście. Właściciel musiał mieć spore ambicje, bo zadbał o wiele detali, choć niektóre z nich zdradzały prowincjonalność jego gustu. Hotelowa restauracja wyglądała przyjemnie. Rzuciła się w oczy podłoga wyłożona mozaiką z trzykolorowych wielokątów foremnych. Ściany na wysokość blisko dwóch metrów obite były drewnianymi panelami.

Klein stanął w przejściu pomiędzy dwiema salkami, tuż przy oddzielającym je przepierzeniu. Naścienne kandelabry oświetlały okrągłe i prostokątne stoliki przykryte białymi obrusami. Nad blatami wisiały sznurowane lampy o ozdobionych frędzlami kloszach zupełnie niepasujących do wystroju. Większe pomieszczenie nie przypadło Kleinowi do gustu. Gdy na przeciwległej ścianie zobaczył swoje odbicie w lustrze stanowiącym mozaikę kilkudziesięciu lustrzanych kwadratów, wycofał się do pierwszej salki i zajął miejsce w łoży barowej, przy stoliku, zapewniającym pewną intymność i izolację od gości, których napływało do restauracji coraz więcej.

Ober pojawił się bardzo szybko. Klein nie kłopotał się otwieraniem karty i od razu zamówił butelkę lemoniady oraz danie główne: knedle i wołowinę. Mężczyzna przyjął zamówienie i zanim się oddalił, zapalił świecę na stoliku gościa, którą ten zaraz potem zgasił.

Klein zapadł się w miękkim siedzisku. Ogarnął go spokój. Słyszał dochodzące od strony stolików coraz głośniejsze odgłosy konwersacji. Po wojnie Kłodzko powoli wracało na właściwe tory. Sytuacja się normowała, restauracje znów zapełniały się klientami. Wcześniej zdobycie większej ilości mięsa na potrzeby restauracyjnych kuchni graniczyło z cudem, teraz życie towarzyskie ponownie zaczynało się skupiać w knajpkach, barach i bardziej renomowanych lokalach. Klein wsłuchał się w szcęk sztucców i brzęk talerzy. W tle słychać było grające radio, z głośników płynął walc Straussa. Zapachy i dźwięki mieszały się ze sobą, wypełniając każdy metr kwadratowy restauracji. Klein odniósł wrażenie, że gęsta substancja pokryła i jego ciało, co więcej, przeniknęła przez skórę w głąb ciała. Myśli stały się leniwe, ulotne, nie mógł ich pozbierać, ułożyć w odpowiednim szyku, który nadałby im pozory trzymania się reguł przyczyny i skutku. Złapał się na tym, że się uśmiecha, błogo i głupkowato. Wiedział, że gdyby teraz spojrzął w lustro, byłby dogłębnie zniesmaczony, zrobiłby wszystko, by zetrzeć z fizys dowód swojej słabości.

– Smacznego, Herr Klein, czy jeszcze czymś mogę służyć?

– Dziękuję... – Klein ruchem ręki dał sygnał kelnerowi, by się ulotnił, i podczas tego gwałtownego ruchu własna dłoń wydała mu się rozmywać. Skupił wzrok na podłodze. Mozaika zmieniła barwy, wielokąty obróciły się raz, potem drugi, i Klein uznał, że impulsem zmuszającym je do ruchu jest tykanie zawieszonoego na ścianie ogromnego zegara.

Przeniósł wzrok na talerz. Trójkątne knedle ułożone w półkolu jeden na drugim kojarzyły się z przewróconymi elementami domina. W kałuży sosu spoczywał ogromny kawałek miękkiego mięsiwa.

Klein chwycił sztucce, odciął kawałek knedla i zatopił go w gęstym sosie, po czym uniósł do ust. Łapczywie przeżuł i połknął, po czym odkroił kolejny kęs.

Wkrótce miał dość. Nigdy dużo nie jadł, fale głodu przychodziły i odchodziły szybko, zwłaszcza po takich epizodach jak ten dzisiejszy.

Niespiesznie sączył lemoniadę wprost z butelki, czując pobudzające działanie cukru. Zaspokoiwszy pragnienie, sięgnął po pudełko zapalek, na którym widniała reklama hotelu. Otworzył je i wysypał zawartość na obrus. Najpierw ułożył wielokąty, których wzór widniał na podłodze restauracji. Potem figury te przekształcił w kwadrat i prostokąt, a w końcu w dwa trójkąty równoboczne. Pierwszy z nich miał wierzchołek skierowany w górę, drugi w dół.

W myślach Kleina owe trójkąty znalazły się w wielowymiarowej przestrzeni. Obracały się wokół osi i nakładały na siebie. Ten skierowany wierzchołkiem w górę był symbolem męskim, drugi natomiast żeńskim.

Trzy wierzchołki, trzy palce w przesyłce zaadresowanej na ratusz, być może już trzy ofiary. Czy te symbole miały konotacje religijne? Ukazywały Boga i jego troistą naturę? Klein pobudzał myśli skojarzeniami, które nasuwały się mimowolnie, wybierał te, które jako pierwsze domagały się uwagi. Nie ulegało wątpliwości, że sprawca – lub sprawcy – komunikował się za pomocą ważnego symbolu. Jednak czy na pewno przypuszczenia, które kapitan poczynił w obecności profesora Taube, były słuszne?

– Wiadomość dla pana. Posłaniec z ratusza.

Klein popatrzył na opera, a potem na położony na stole talerzyk. Leżała na nim koperta i mały nożyk do otwierania listów. Kapitan niezwłocznie rozciął papier i wyjął śnieżnobiałą kartkę. Przeczytał treść listu.

Drogi Wilhelmie,

przesyłam Ci zaproszenie na jutrzejszy bankiet charytatywny. Wiem, że stronisz od takich imprez, jednak mam nadzieję, że zrobisz wyjątek. Wśród zaproszonych gości znajduje się większość spośród najważniejszych mieszkańców tego miasta. Być może w toku śledztwa będziesz miał z nimi do czynienia, warto więc, byś poznał je w sytuacji nieformalnej.

Bankiet wydaje rodzina Magnisów na rzecz Niemieckiego Związku Byłych Żołnierzy. Zależy im bardzo na Twojej obecności. Nie zmuszę Cię do włożenia

munduru galowego, bo wiem, że go nie nosisz, a jedyna torba, jaką ze sobą przywiozłeś (tak, mam świetnych informatorów), nie zawiera zapewne stroju odpowiedniego na takie okazje.

Polecam Ci sklep Działoszyńskiego, który znajdziesz przy Schwedeldorfer Strasse, lub też sklepy Weinsteina i Brassa, które napotkasz w rynku. (Zapewniam Cię nie dostaję procentów za reklamę tych miejsc).

Jeśli masz jakiegokolwiek pytania lub potrzeby, pozostaję do Twojej dyspozycji tak w urzędzie, jak i w zaciszu mojego domostwa, do którego serdecznie zapraszamy Cię wraz z małżonką i dziećmi.

Franz

Klein uniósł głowę. Napotkał na sobie badawcze spojrzenie Jürgena Rotha, który właśnie zbliżył się do jego stolika.

– Przyjdę, gdy pan skończy – oznajmił asystent policyjny i już miał się wycofać, gdy Klein dał mu sygnał, by został.

– Skończyłem – powiedział. Zaproszenie schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Zawiezie mnie pan do szpitala... – Widząc minę młodego mężczyzny, zaśmiał się i dodał: – W sprawie dzisiejszej ofiary. Chcę porozmawiać z doktorem Kuhnastem.

– Oczywiście – rzekł Roth. – Jak sobie kapitan życzy.

Klein domyślił się, że chłopak musiał być świadkiem jego słabości. Nie spodziewał się, by Agnes była w stanie samodzielnie unieść nieprzytomnego mężczyznę i położyć go na łóżku.

– Ruszajmy więc. Chyba że jest pan głodny, Roth? – zapytał, widząc wahanie asystenta.

Jürgen pokręcił głową. Owszem jeszcze kilka miesięcy temu w Kłodzku reglamentowano żywność i trudno było o coś treściwego do zjedzenia, ale on nigdy nie potrzebował wiele, by przeżyć. Zresztą tutejsza kuchnia oparta na diecie mączno-ziemniaczanej na dobrą sprawę mogła sobie poradzić w chwilach największych problemów z dostawami. Tak naprawdę nie o jedzenie mu chodziło, na talerz spojrzał tylko przelotnie. Jego wzrok na dłużej zatrzymał się na zapalkach, dwóch nałożonych na siebie trójkątach tworzących figurę, którą znał. Nazywano ją heksagramem.

*

Doktor August Kuhnast przeklinał w duchu brak światła w kostnicy. Miasto obiecywało, że lada miesiąc prąd popłynie z nowej miejskiej sieci elektrycznej, ale każdy kolejny miesiąc przeciągał się niemiłosiernie, a wzrok Kuhnasta się nie polepszał.

Szpitalne generatory były zawodne, doktor kazał więc ustawić więcej lamp karbidowych przy stole sekcyjnym. Rozstawienie źródeł światła miał już opanowane i nawet gdy pracował w nocy potrafił całkowicie zlikwidować ewentualne cienie i półcienie przy zwłokach. Nic jednak nie potrafiło zastąpić światła elektrycznego, a to, z którego korzystali, było zawodne.

Humor doktora pogorszył się jeszcze bardziej, gdy jeden z pracowników zawiadomił go o przybyciu Wilhelma Kleina w towarzystwie asystenta policyjnego. Przez chwilę Kuhnast zastanawiał się, czy nie odprawić tego tajemniczego, niezbyt przyjemnego człowieka, ale przypomniał sobie ostrzeżenie komisarza Richtera, który wskazywał na znajomość czy też może nawet pokrewieństwo Kleina z burmistrzem Franzem Ludwigiem. Obsesowe potraktowanie tego człowieka nie było wskazane. Kuhnastowi pozostało jedynie zaciśnięcie szczęk i przekazanie podwładnemu, by wpuścił gości.

Już po chwili do jego uszu dobiegły kroki wchodzących. Przywitał ich oschłym pytaniem:

– Zapewne chce pan wiedzieć, czy mam więcej informacji o tym, jak i kiedy został zabity rajca?

– Jestem pewny, że pana pierwsze spostrzeżenie, jeszcze tam, na moście, było słuszne, doktorze.

Kuhnast podniósł wzrok znad ciała i spojrzał na Kleina. Ci, którzy odwiedzali doktora w piwnicach szpitala, zwykle czuli unoszącą się w powietrzu mdłą woń i widząc rozkładające się zwłoki, przeważnie potrafili wydobyć z siebie najwyżej kilka bełkotliwych słów. Spłycał się przy tym ich oddech, a głos mocno zmieniał, gdyż zaczynali oddychać samymi ustami. Klein tymczasem wypowiedział zdanie wielokrotnie złożone, w dodatku zupełnie normalnym głosem. Kuhnast zastanawiał się, czy zmysł powonienia tego człowieka nie został uszkodzony albo czy nie miał na co dzień do czynienia ze zwłokami i wydzielanym przez nie fetorem.

– Słuszne, to prawda. Ofiara zmarła cztery do sześciu godzin przed znalezieniem. Przyczyną śmierci było zatrzymanie akcji serca spowodowane upływem krwi. Rajca po prostu się wykrwawił. Liczne rany cięte i kłute, które możemy zaobserwować, same w sobie nie stanowiły zagrożenia dla życia, a organy wewnętrznych ofiary pozostały nienaruszone. Dopiero przecięcie tętnicy szyjnej...

– A płuca?

– Czyste, brak większej ilości wody... Zabito go wcześniej, na most przetransportowano zwłoki. Być może, tak jak pan zauważył... rajca był w wodzie. Podczas tortur pozostawał związany, część obtarć i uszkodzeń stawów świadczy jednak o tym, że poddano go jeszcze jednej próbie. Ciało, już po śmierci rajcy, najprawdopodobniej wciągnięto na dużą wysokość... To może potwierdzać pana teorię, że rajcę wciągano z poziomu Młynówki na most. Bo chyba dobrze zrozumiałem pańskie intencje?

– Tak. To właśnie miałem na myśli, doktorze.

Klein patrzył na leżące na stole bladospine zwłoki. Klatka piersiowa i brzuch były rozcięte, w misach leżały organy denata.

– Znalazł pan coś jeszcze?

– Żadnych dodatkowych śladów. Woda dokładnie obmyła ciało, sznur także nie wyróżnia się niczym szczególnym. Rajca Dinter cieszyłby się życiem jeszcze kilka miesięcy, może rok...

– Wątroba?

– Jest pan spostrzegawczy – powiedział Kuhnast ze szczerym uznaniem. Sięgnął po misę i położył ją na stole przy nogach denata. – Marskość, rak... zaawansowany, nieoperacyjny. Liczne torbiele trzustki, ale to już panu mniej powie.

– Wręcz przeciwnie, dzięki panu...

– Dzięki mnie? – Patolog dał się zaskoczyć po raz kolejny.

– Znajoma mi jest pana praca doktorska o torbielach trzustki, której promotorem był tajny radca medyczny, profesor Anton Biermer.

– Ach, tak... – Tyle tylko był w stanie wydusić z siebie Kuhnast, który nagle zapałał większą sympatią do Wilhelma Kleina. – Profesor Biermer zasłużył się mocno dla nauki, swego czasu to był dla mnie zaszczyt, że zechciał być moim promotorem...

– Opisanie niedokrwistości złośliwej przez Biermera na pewno przysłużyło się medycynie.

Roth, który cały czas stał w pobliżu, nie odezwał się słowem. Przysłuchiwał się rozmowie mężczyzn z zapartym tchem. Początkowo brak oddechu spowodowany był przyprawiającą o nudności wonią, potem rozwojem sytuacji, która przypominała wyjętą wprost ze sztuki teatralnej. Widział, jak z Kuhnasta, którego nigdy nie opisałby jako człowieka życzliwego, nagle ulatuje cała wyniosłość, doktor topniał pod wpływem słów Kleina niczym woskowa świeca. Jürgen nie mógł pozbyć się uśmiechu, gdy obserwował, jak jego przełożony urabia doktora i formuje go na nowo. Takiej manipulacji do tej pory nie widział i nie obstawiałby w żadnym zakładzie, że jej ofiarą padnie właśnie stary piernik August Kuhnast, znany ze swej opryskliwości. Jürgen coraz bardziej podziwiał Kleina. Zrozumiał, że oto on sam otrzymał okazję, by wiele się nauczyć, i że powinien czas spędzony u boku kapitana maksymalnie wykorzystać. Ba, już teraz, w jeden dzień wyedukował się bardziej niż przez ostatnie miesiące pracy w kłodzkiej policji.

– Doktorze, mam także pytania dotyczące majora Friedricha Peschke. Czy byłby pan łaskaw podzielić się spostrzeżeniami, a także powiedzieć mi więcej o wynikach jego sekcji.

Kuhnast niemal unosił się nad ziemią. Jürgen wciąż patrzył na to z fascynacją. Mowa ciała i tembr głosu zdradzały, że człowiek ten nie czuje się doceniany. Roth zdał sobie sprawę, że wystarczy kilka odpowiednio dobranych słów, by rozmówca zaczął niemal lewitować.

– Śmierć na miejscu, strzał w potylicę. Oddano go z odległości mniej więcej stu metrów, ale to powiedzą panu specjaliści od balistyki z żandarmerii wojskowej. Ja potwierdziłem jedynie ich obserwację. Wytypowali nawet dach kamienicy, z której morderca dokonał egzekucji.

– Zapoznałem się z tym raportem. Precyzyjny strzał, ofiara była wtedy wśród tłumu ludzi przemierzających Grüne Strasse.

– To prawda. – Kuhnast skinął głową. – Morderca zsynchronizował wystrzał z uderzeniem dzwonu pobliskiego kościoła. Wybuchu paniki nie było. Ludzie nie wiedzieli, co się stało, próbowali udzielić majorowi pomocy...

– W raporcie pojawiły się jedynie zdjęcia uszkodzonej twarzoczaszki. Była jednak wzmianka, która najpewniej pochodzi od pana, o ranie ciętej na piersi denata.

Kuhnast cmoknął głośno.

– Pozwolę sobie zauważyć, że wreszcie przyszedł do mnie ktoś, kto myśli i komu zależy. Tylko proszę mnie nie cytować.

Klein odczekał, aż w chłodnym, pokrytym białymi kaflami pomieszczeniu przestanie rozbrzmiewać urywany śmiech patologa, i powiedział:

– Staram się ustalić, w którym momencie powstała ta rana.

Kuhnast się zamyślił.

– Dopiero tutaj, przy oględzinach ciała odkryłem rozcięcie. Zostało zadane ostrym narzędziem, najpewniej nożem. Jestem w stanie zrozumieć, że nikt wcześniej rany nie zauważył. Denat był cały zakrwawiony, a krwią nasiąkła przede wszystkim jego koszula. Przyczyna śmierci była aż nazbyt widoczna, żeby doszukiwać się innych obrażeń. A kiedy rana powstała? Nie było śladów szycia, koniecznego przy tak długim i głębokim rozcięciu. Powstało więc ono najpewniej tuż przed zastrzeleniem majora albo tuż po nim...

– Ten, kto je wykonał, mógł być w grupie udzielającej pomocy lub wśród tych, którzy dostarczyli ciało do kostnicy.

– Tak, brałem to pod uwagę. Myślę, że kłódzka policja także. Nie rozumiem jednak motywu. Po co tak wielkie ryzyko? To jest zupełnie pozbawione sensu!

– Czy może pan dokładniej opisać tę ranę na piersi denata?

– Rozcięcie prowadziło od dołka szyjnego do lewego sutka ofiary. Proste, idealne cięcie. Powiedziałbym, że ranę zadano z dużą wprawą. Zresztą... – Kuhnast spojrział nagle na zwłoki leżącego przed nimi rajcy. – Chyba wiem, do czego pan zmierza, kapitanie. Zdaje się, nie będzie dla pana rewelacją, gdy powiem, że jedna z ran na ciele rajcy Dintera została zadana w podobny sposób. Tym razem jednak linia cięcia przebiega pomiędzy sutkami.

– Od lewej strony do prawej? – dopytał Klein.

– Tak. – Kuhnast się zawahał. – Co to miałyby wszystko... co to miałyby znaczyć? Panie Klein. Ten kierunek cięć... Mamy do czynienia z szaleńcem tatuującym swoje ofiary?

– Z szaleńcami. Choć nie byłbym do końca przekonany, czy rzeczywiście ci, którzy stoją za tymi morderstwami, są szaleńcami, czy jedynie chcą za takich uchodzić.

Roth pochłaniał kolejne informacje. Teraz i on nie miał wątpliwości, że cięcia, o których rozmawiali Kuhnast i Klein, dowodzą powiązania pomiędzy oboma morderstwami. Co więcej, logika podpowiadała, że tak w pierwszym, jak i w drugim zabójstwie uczestniczyło przynajmniej dwóch sprawców. Major Peschke został zastrzelony przez snajpera. Ten zapewne miał towarzysza, kryjącą się w tłumie na Grünstrasse osobę, która dokonała cięcia na piersi majora. Zabójstwo rajcy Dintera także wymagało współpracy minimum dwóch osób, bowiem wciągnięcie ciała i ustawienie go na cokole kamiennego mostu było nie lada wyzwaniem.

– Pozostała jeszcze jedna sprawa, doktorze. Dziś burmistrz otrzymał przesyłkę. Jak mi nie mam, jej zawartość przesłano do pana.

– Tak. – Kuhnast wyglądał na zmęczonego. Oparł się ciężko o metalowy stół. – Zapewne wie kapitan, co było w paczce.

Klein potwierdził skinieniem głowy.

– Co udało się panu stwierdzić, doktorze?

– Trzy palce. Mały, serdeczny i środkowy. Należały do mężczyzny, którego wiek określiłbym na czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Trudno stwierdzić, czy w trakcie obcinania członków osoba ta była już martwa. Rozumiem, że także tę sprawę łączy pan z zabójstwami?

Klein milczał, a Kuhnast nie nalegał na odpowiedź. Chwila niezręcznej ciszy najgorzej podziałała chyba na Rotha, który nagle zaczął czuć się nieswojo. W końcu doczekał się pożegnania obu mężczyzn i u boku kapitana opuścił kostnicę. Zdecydował się odezwać dopiero w samochodzie, gdy ruszyli w stronę Kłodzka:

– Zabójcy zostawiają nam wiadomość, kapitanie Klein?

– Tak. – Wilhelm patrzył gdzieś w dal, na mijany krajobraz. Jego głos wydawał się nieobecny. – Na to wygląda.

– Z czymś takim jeszcze się nie spotkałem. Jaki mają cel? Zostawiają na dwóch ciałach cięcia, obcięte palce zapowiadają trzecią ofiarę. Jeśli na jej klatce piersiowej pojawi się podobna rana, będziemy mieli wtedy... geometryczną figurę.

– Trójkąt, panie Roth, tak właśnie będzie.

– Co to oznacza? – Roth wciąż miał w pamięci stolik w hotelowej restauracji i obrus, na którym leżały ułożone w heksagram zapałki.

– Dowiemy się już niedługo. Obawiam się, że dzisiejszego wieczoru nie zazna pan odpoczynku. Będę miał dla pana zadanie, Roth.

– Oczywiście! – Jürgen się uśmiechnął. Nie czuł zmęczenia. W tej chwili w jego arteriach buzowała adrenalina. Miał wrażenie, że mógłby przenosić góry, gdyby tylko kapitan go o to poprosił. Zapytał szybko: – Jakie są pana polecenia?

Klein przeniósł na niego wzrok. Wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi.

– Uda się pan we wskazane przeze mnie miejsce. Znajdzie tam pan punkt, z którego będzie mógł niezauważony prowadzić obserwację. Jeśli pojawi się tam osoba lub osoby, które będą wzbudzały pańskie podejrzenia, podąży pan za nimi, ustali miejsce ich pobytu, a jeśli to możliwe, także tożsamość. Liczę na pana.

Jürgen przypomniał sobie Kuhnasta, który pod wpływem słów Kleina wydawał się unosić nad ziemią. Teraz on sam lewitował nad samochodowym siedzeniem.

– Nie będzie pan prowadził tych czynności sam. W nocy dołączy do pana pomocnik. Miejsce będziecie obserwować do godzin porannych do mojego przybycia.

– Tak jest!

Jürgen za wszelką cenę starał się nie zdradzić z emocjami. Wreszcie otrzymał zadanie. Nie mógł się doczekać chwili, w której oznajmi swojej Adele, że nie zostanie u niej na noc. Był na tropie morderców z Kłodzka. Ba, mógł się przyczynić do ich ujęcia i w ten sposób zapisać złotymi zgłoskami w historii tego miasta. Dokonał dobrego wyboru. Wciskając pedał gazu, miał wrażenie, że jego życie nabiera prędkości jak niezawodny Alpensieger.

*

Kłodzki Browar Mieszczański zlokalizowany przy Baderberg, a dokładniej mieszczący się przy nim lokal firmowy, był częstym miejscem spotkań Richtera i majora Kurta Schneidera. Obaj mężczyźni doceniali klimat browaru, który wyróżniał się na tle zwykłych piwiarni bogatą kartą znakomitych dań restauracyjnych i szerokim wyborem piw i win. Poza tym sama świadomość, że tuż za ścianą pracują maszyny parowe, a w kotłach warzelnych ogrzewanych parą dojrzewa wyśmienity złocisty trunek, miał znaczenie decydujące. Sam zapach po wejściu do browaru nie pozostawiał wątpliwości, do jakiego królestwa wkraczają amatorzy piw górnej i dolnej fermentacji. Słodkawa woń słodu i chmielu, do tego zapach potraw przyrządzanych w kuchni natychmiast poprawiały samopoczucie. Między innymi z tych powodów obaj mężczyźni przedkładali walory dawnego browaru Zimmermanna nad znajdujący się zaledwie kilka kroków dalej browar Müllera. Kolejnym powodem był fakt, że w Kłodzkim Browarze mogli porozmawiać względnie swobodnie.

Richter przybył na spotkanie pierwszy. Zdążył zamówić golonkę i lagera. Rozejrzał się po pomieszczeniu, odnotowując fakt, że większość stolików jest pusta. Popularność browaru od dłuższego czasu spadała, do Richtera dochodziły informacje, że spółka Bürgerliches Brauhaus Glatz GmbH jeszcze w tym roku zdecyduje się go zamknąć. Nie była to dobra informacja. Trudno było znaleźć w centrum Kłodzka równie dyskretne miejsce spotkań.

Po kilku minutach w browarze pojawił się Kurt Schneider. Na jego widok Richter niemal parsknął śmiechem. W czarnym płaszczu major wyglądał jak tajniak,

w dodatku taki, który połączył kij od szczotki. Lata musztr i wojskowych manewrów uczyniły jego ruchy oszczędny i precyzyjny. Był mężczyzną niezmiernie chudym, z twarzą pobrużdżoną wiekiem, a nieustannie malujący się na niej grymas sprawiał, że wyglądał na wiecznie niezadowolonego. Tak zresztą było – fizys w wypadku majora doskonale odzwierciedlała stan duszy.

Schneider przemknął między stolikami i w końcu, zdjąwszy płaszcz, usadowił się w bocznej łoży zajmowanej przez komisarza policji.

Przywitali się zdawkowo skinieniem głowy. Kurt Schneider zapalił papierosa i z lubością zaciągnął się dymem. Po chwili złożył identyczne zamówienie jak komisarz. Mężczyźni przez dłuższą chwilę milczeli, obserwując się przez kłęby papierosowego dymu. W końcu odezwał się major:

– Chciałeś się spotkać, więc skończ się głupawo uśmiechać. Mów, co ci leży na wątrobie.

– Wyczułem, że to ty masz potrzebę spotkania. – Richter nie zamierzał spoważnieć. Piwo wprawiło go w dobry humor, podobnie widok spiętego bardziej niż zwykle Schneidera. – W końcu na twoim podwórku pojawił się nowy ogar, który może sporo namieszać.

– Na naszym podwórku – upomniał komisarza Schneider. – I nie ogar, a co najwyżej pudel.

Richter upił łyk piwa. Wolał nie zaogniać stosunków ze starym wiarusem. Ich nieformalny układ był chwiejny, oparty na obopólnych korzyściach, w tym nieocenionej wymianie informacji. Major należał do sojuszników dosyć ważnych, nawet jeśli Kłodzko, tracąc status twierdzy, uszczupliło władzę wojskowych w mieście.

– Co wiesz o naszym pudlu? – zapytał w końcu.

Nie spodziewał się, że kącki ust Schneidera mogą jeszcze mocniej ulec sile grawitacji. Major wyglądał teraz wręcz groteskowo.

– Jego akta zostały utajnione.

Komisarz uniósł brwi.

– Ale chyba coś o nim wiesz?

– Niezbyt wiele. Urodził się niedaleko stąd, w Strehlen, w 1888 roku.

– Dobry początek, mów dalej...

– Już rok później matka Kleina przeprowadziła się wraz z nim do Berlina. Ojciec nieznany. Pewnie już wiesz, że istnieje pokrewieństwo między naszym pudlem a burmistrzem Ludwigiem. Matka Kleina i burmistrz byli kuzynostwem.

– To wszystko? – Richter nie krył rozczarowania.

– Moi informatorzy potwierdzili, że studiował medycynę w Berlinie, potem wpadł pod skrzydła Oddziału IIIb Sztabu Generalnego. Tuż przed wojną odbył liczne wyjazdy do Francji, Rosji, Wielkiej Brytanii.

– Cholera, szpieg.

Schneider wzruszył ramionami. Znów zaciągnął się dymem. Przez chwilę przytrzymał go w płucach, wreszcie wypuścił z ust, unosząc podbródek.

– Wydaje się, że wywiad. Niewątpliwie człowiek pułkownika Waltera Nicolai. Brał udział w walkach na froncie. Od tego momentu brak jakichkolwiek informacji, wiadomo jedynie, że jeszcze w trakcie działań wojennych nadano mu kilka ważnych odznaczeń i stopień kapitana. Zaginął za linią wroga. Najprawdopodobniej odniósł poważne rany, które wymagały specjalistycznego leczenia...

– Co z towarzyszami broni? Nie wierzę, że nie znalazłeś nikogo, kto służyłby z Kleinem.

– Nie znalazłem, podobno wszyscy z jego oddziału zginęli. Nie jestem jednak w stanie tego sprawdzić, bo nie znam żadnego nazwiska...

Richter sięgnął po kufel, ale zaraz go odłożył.

– Jego dowódcy?

– Oddział Kleina podlegał głównodowodzącym w Berlinie, nie wiadomo, komu bezpośrednio. Wszyscy nagle stracili pamięć.

– Cholera... – Richter się zamyślił. Patrzył na Schneidera, który nie tknął podstawionego mu pod nos piwa i jedzenia. Już to było do niego niepodobne. Co więcej, widząc, jak major ucieka przed nim wzrokiem, po raz pierwszy odczuł niepokój. – Myliłeś się w takim razie, majorze...

– Co masz na myśli? – Schneider przecesał wolną dłonią krótkie siwe włosy, ścierając przy tym pot z czoła.

– To nie pudel, mój drogi, tylko wilk.

Major oblizał usta i po chwili palcami ściągnął z dolnej wargi odrobinę tytoniu.

– Twoja kolej, komisarzu – powiedział. – Musisz znaleźć kogoś, kto się zbliży do Kleina i dowie o nim więcej. Przede wszystkim, dlaczego wysłali tutaj właśnie jego.

Richter pozwolił sobie na tajemniczy uśmiech, czym przykuł uwagę Schneidera.

– Mam kogoś takiego – wyrzekł powoli – wydaje się jednak, że przycisnąłem go zbyt słabo. Być może jest mniej inteligentny, niż oceniałem, i nie pojął aluzji...

– Od kiedy w policji pracują inteligentni ludzie, Richter?

– Cóż, wielu odrzucamy, wtedy idą w kamazie albo do żandarmerii. Chyba nie jest z nami najgorzej.

– Daruj sobie te złośliwości. Twoja sytuacja także nie jest wesoła. Kolejny trup w mieście, morderca... Mam nadzieję, komisarzu, że to nie zwiastun rychłego końca twojej kariery.

– Tak jak zastrzelenie majora Friedricha Peschke zwiastunem końca twojej?

Schneider zgasił papierosa. Spojrzał na golonkę, jakby zamiast niej zobaczył odbezpieczony granat. Odsunął od siebie talerz i sięgnął po kufel piwa.

– Widać, znów jesteśmy na siebie skazani, komisarzu. Obaj przywiązani do stołków, chronimy swoje plecy i unikamy rykoszetów. Śmierć Peschkego zapoczątkowała pasmo nieszczęść. Nie z takich kłopotów wychodziliśmy i wierzę, że będzie tak i tym razem.

– To prawda. Choć przypominam sobie, że jeszcze kilka miesięcy temu, tutaj, przy tym samym stoliku, użyłeś do określenia majora tego samego słowa co do określenia Kleina: „pudel”. Nie mam racji?

– Bo Peschke był pudlem. Krążył wokół swojego ogona. Oficjalnie zaraz po zakończeniu wojny popadł w niełaskę w Berlinie i zesłano go do Kłodzka na banicję. Wydawało mi się to mocno naciągane. Podejrzywałem, że przydzielono go do komendantury tylko po to, by węszyć. Nie miał jednak co wywęszyć, bo w naszym garnizonie nikt nie kwapi się do wypowiedzenia lojalności Rzeszy.

– I tylko to go interesowało? Czy w kłodzkim garnizonie nie przyszłoby komuś do głowy poprzeć puczu, takiego jak ten Kappa w Berlinie?

– Przybył jeszcze przed puczem mój drogi, a sam pamiętasz, co się działo w Kłodzku zaraz po zakończeniu działań wojennych. Gdyby nie Franz Ludwig, mogła się tu polać krew.

– I mówisz to z takim spokojem? Przed chwilą sugerowałeś, że zastrzelony major Peschke także miał coś wspólnego wywiadem! Jeśli ktoś dokonał egzekucji na jednym z ludzi Nicolai, nie powinieneś się dziwić, że wysyłają kolejnego, żeby sprawdził, kto stoi za morderstwem.

Richter zauważył, że kąciki ust Schneidera próbują się unieść. Major musiał toczyć epicką walkę z własną mimiką.

– Oczywiście, że cię nie dziwi. – Komisarz także się uśmiechnął. – Do dzisiaj jednak rzeczywiście nie byłeś pewny, czy Peschke pracował dla wywiadu...

Schneider odstawił energicznie kufel piwa, niemal wylewając zawartość na blat.

– Z tym majorem sprawa jest bardziej skomplikowana, mój drogi. – Wzruszył ramionami. – Mógł pracować dla wywiadu w czasie wojny, jednak to, że popadł w niełaskę i został zesłany do Kłodzka, jest faktem. Major miał wiele za uszami, potrafił zadbać o swoje interesy i może się to komuś nie spodobało...

– Rozumiem, że temat ten pozostawisz w niedopowiedzeniu? – Komisarz nie starał się ukrywać sarkazmu.

– Tajemnica wojskowa – zaśmiał się Schneider, zaraz jednak spoważniał i zapytał: – Co wiecie o śmierci rajcy?

– Tajemnica policyjna – odgryzł się Richter. Lecz po chwili zaczął mówić: – Wiele wskazuje na to, że morderstwa Peschkego i rajcy są ze sobą powiązane, a to, zdaje się, dobra wiadomość dla ciebie. Nie ma powodu, żeby węszyć tylko na twoim podwórku. – Richter zawiesił głos. – Najprawdopodobniej na tych morderstwach się nie skończy, ale na razie także zostawię pewne informacje dla siebie. Wiem, że pojawienie się w Kłodzku mordercy, który zabija na lewo i prawo jest ci na rękę. Rzuca to inne światło na śmierć Peschkego i odciąga podejrzenia od tego burdelu, który macie w komendanturze...

– Zapewniam cię, że nie jest większy od tego, który macie u siebie. – Schneider upił kolejny łyk lagera i wytarł usta dłonią. – Teraz wy będziecie na świeczniku, nie zazdrozczę ci.

– Złapię tego lub tych, którzy za tym stoją. Możesz być pewny.

– Z całego serca ci tego życzę. – Oficer sięgnął po kolejnego papierosa. Odpalił go i popatrzył na rozmówcę. – Klein otrzymał z Berlina wszelkie uprawnienia do samodzielnego prowadzenia sprawy, nie mam nad nim władzy. Będziesz musiał sobie z nim poradzić sam. Najprawdopodobniej wyłączy żandarmerię z działań. Klein nie odpuści i napsuje ci krwi. Gdyby śledztwo dotyczyło jedynie wojskowego, być może nie odczułbyś tego tak bardzo, jednak kolejna ofiara sprawiła, że często będziecie sobie wchodzić w drogę.

– Skąd ta twoja nagła troska? Wydajesz się bardziej przejęty śmiercią rajcy Dintera niż śmiercią majora Peschke...

– Cóż – Schneider wzruszył wąskimi ramionami – wojskowy musi być gotowy na śmierć. Cywil nie.

Ta deklaracja mocno rozbawiła komisarza.

– To prawda, że Klein otrzymał nadzwyczajne uprawnienia, ma za sobą także burmistrza Ludwiga, jednak nie mam zamiaru się tym przejmować. Ty za to wydajesz się mieć więcej zmartwień ode mnie, Kurt.

– Nie mam zmartwień. – Major wypuścił kłęb dymu, jakby chciał zasłonić twarz przed lustrującym spojrzeniem komisarza. – Chcę jedynie ci pomóc.

– Wierzę ci na słowo... Draż sprawę Kleina. Może twoi informatorzy coś jeszcze wywęszą.

– Cały czas to robią. Myślę, że niedługo będziemy mieli o nim ciekawe informacje...

*

Roth zaparkował na Louisenstrasse naprzeciw Miller's Garten. Stamtąd przeszli w stronę centrum, przekraczając Wilhelmstrasse. Po drugiej stronie ulicy skorzystali z chodnika biegnącego wzdłuż parku. Wkrótce Klein wskazał Jürgenowi charakterystyczny budynek Górnego Młyna. Młody asystent policyjny w lot zrozumiał, że właśnie to miejsce ma być przedmiotem jego obserwacji.

Po wydaniu krótkiej instrukcji Wilhelm Klein oddalił się w kierunku Minoritenstrasse, zostawiając Rotha samego. Ten dosyć szybko odnalazł dyskretny punkt obserwacyjny, z którego mógł bez przeszkód przyglądać się budynkowi, miał także wystarczająco dobry widok na zastawki wodne regulujące dopływ Młynówki i kraty zbierające śmieci. Przykucnął przy ścianie budynku w niemal zupełnych ciemnościach. Nie przeszkadzało mu to, podobnie jak bijący od ściany chłód – rozgrzewały go bohaterские myśli, którym się poddał. W jednej z nich rozbrajał i unieszkodliwiał bandytów odpowiadających za morderstwa.

W tym czasie Wilhelm Klein kluczył wąskimi uliczkami, zmierzając na umówione spotkanie. Szedł jak najbliżej Młynówki, by móc przyjrzeć się jej brzegom. Spacerowiczów było wciąż sporo, korzystali z pierwszych ciepłych dni. Kilkoro

rozwrzeszczanych obdartych dzieci przebiegło wśród drzew. Starszy mężczyzna ciągnął wózek wypełniony węglem, mamrocząc coś pod nosem. Klein wkroczył na mostek, wymijając parę trzymającą się pod ramię. Świetlny refleks odbijający się w płynącej wodzie wstrzymał go w miejscu. Obraz wyostrzył się, potem zbladł. Klein nie był zdolny do przejścia na drugą stronę, coś go powstrzymało. Ogarnął go chłód, pod wpływem którego zadrżał. Dostrzegł to w dole, tuż pod przerzuconym nad dawną fosą mostem. Z nurtu Młynówki wynurzały się na powierzchnię okrągłe balony głów, białe owale niemych twarzy. Klein potrząsnął głową, próbując odegnąć to przywidzenie. Bezskutecznie. Rozróżniał upiorne postaci w przemoczonych mundurach, ściskające w skostniałych dłoniach broń z nasadzonymi na lufę bagnetami. Wyczekiwali w błotnistym okopie sygnału do ataku, do wyjścia i szturm na pozycję wroga. On także czekał na ten sygnał. Naraz każda z tych twarzy zwróciła się w jego stronę. Rozpoznawał ich, pamiętał ich imiona. Stali w milczeniu, czekając na to, co zrobi. A on nie był w stanie się poruszyć. Wizja w końcu wyblakła, widmowe ciała porwał żwawy nurt, a Klein, wsparł się ciężko na barierce.

– Czy dobrze się pan czuje?

Para, którą wcześniej wyminął, zainteresowała się jego stanem. Wyszczерzył się w odpowiedzi, czując, że wciąż tkwi w oparach szaleństwa. Kobieta zlekła się jego grymasu. Pociągnęła za ramię swego towarzysza, który także stracił zapał do niesienia pomocy. Klein zatoczył się ponownie i wreszcie ruszył na drugi brzeg Młynówki. Wkrótce znalazł się pod kamiennymi murami otaczającymi staromiejską dzielnicę Kłodzka. Szedł wzdłuż nich aż pod kamienny most. Chciał zobaczyć miejsce zbrodni z tamtej perspektywy.

Stelaż okalający postument zarezerwowany na co dzień dla Świętego Franciszka Ksawerego wciąż tkwił na miejscu. Wartę pełnił przy nim jeden z asystentów policyjnych. Większość przechodniów idących w stronę rynku od strony Rossmarkt zatrzymywała się na chwilę przy plandece. Gdy ruch na moście zaczynał się blokować, policjant interweniował, przynaglając ludzi do szybszego przechodzenia.

Klein przez chwilę jeszcze spacerował przy rzece, potem jednak zawrócił i ruszył schodami ku górnej części miasta, wspinając się od strony Baderberg do browaru Müllera.

Gdy znalazł się przy wejściu do budynku, wyminął dwóch zataczających się robotników. Mężczyźni głośno dyskutowali o nowej przędzalni w Ołdrzychowicach wybudowanej przez Hermanna Lindheima. Klein słyszał już o tej pierwszej w Prusach przędzalni mechanicznej, nie chciał jednak sprowadzać mężczyzn na ziemię i studzić ich nadziei na nagłą poprawę bytu. Uważał, że wśród przedsiębiorców brak filantropów, a w tych czasach liczy się tylko pieniądź.

Chwilę później znalazł się w pomieszczeniu wypełnionym kwaśnym odorem potu i dymem papierosów. Ściany i podłogę browaru Müllera pokrywało ciemne drewno, pochłaniające i tak znikome światło. Gwar był spory, co chwilę ktoś wybuchał

rubasznym śmiechem. Ojcowie rodzin raczyli się zasłużonym piwem po ciężkim dniu pracy.

Klein dostrzegł przy jednym ze stołów Franza Koschellę, z którym się tutaj umówił. Koschella był w całkiem dobrym nastroju. Popijał piwo z dużego kufła i przelykał trunek z wyraźnym smakiem. Gdy zobaczył stojącego naprzeciw Kleina, jego rysy nieco stężały, ale odstawił kufel na blat ławy i warknął do siedzących obok:

– Wypad...

Klein usiadł po drugiej stronie stołu. Uważniej rozejrzał się po pomieszczeniu. Niedaleko stał kaflowy piec, który emitował dosyć dużo ciepła. Amatorzy piwa, którzy go obsiedli, wyglądali na bardziej wstawionych od innych klientów. Za wysokim, solidnym barem uwijał się mężczyzna, nalewając trunek do kufli podstawianych przez okrągłą rumianą kobietę. Obwodu w piersiach kelnerce mogła pozazdrościć niejedna beczułka piwa. Z nalewaków sączył się płyn, piana spływała po brzegach naczyń, które dziewczyna sprawnie zgarniała i roznosiła między stolikami.

Przed Kleinem także pojawił się kufel, choć wcale nie składał zamówienia. Kapitan patrzył z podziwem na kelnerkę. Jakimś sobie znanym tylko sposobem potrafiła niczym baletnica przemykać między niezgrabnymi gośćmi, nie roniąc nawet kropli. Nurkowała pod mocnymi ramionami robotników, by zaraz pojawić się przy jednym ze stołów. Zaraz potem przemykała między dwiema górami ludzkiego mięsa, tłustymi dorobkiewiczami, którzy napierali na nią rozdętymi brzuszyskami. Umykała im bez szwanku, zbierając w locie puste już kufle, które natychmiast zanosila do baru i ustawiała na kontuarze.

– Ta dziewczyna jest tak drobna i krucha... No, nie licząc cycków. W każdym razie radzi sobie wyśmienicie.

– Jaka dziewczyna? – Koschella, zdaje się, nawet jeśli był stałym gościem browaru, nigdy nie docenił pracy kelnerki.

– Czego się dowiedziałeś? – Klein przeszedł do rzeczy. – Masz coś dla mnie, Franz?

– Może i mam. – Koschella uśmiechnął się krzywo, choć grymas mógł być spowodowany defektem jego szczęki. – Nie ustaliliśmy jeszcze, panie Klein, zasad współpracy. Co będę miał z tej całej pomocy?

– Myślałem, Koschella, że już wszystko sobie wyjaśniliśmy. Wydawało mi się, że masz dość oleju we łbie, by zrozumieć, że pracujesz teraz dla mnie. Jak się ta współpraca będzie układać, zależy w dużej mierze od ciebie. Jeśli uznam, że nie przykładasz się do obowiązków i lekceważysz moje polecenia, szukaj pracy u Lindheima w Ołdrzychowicach. Jeśli zaś czujesz się jeszcze policjantem, daję ci szansę spełnienia ambicji, które pewnie miałeś jako gówniarz biegający po mieście w obdartych portkach. Nic ci nie obiecuję, bo nie czuję takiej potrzeby. W tej chwili musisz dokonać wyboru, bo więcej do tematu powracać nie będę.

Koschella upił piwa. Już miał odstawić kufel, ale się rozmyślił i wlał resztę płynu do gardła, niemal nie poruszając grdyką. Otarł rękawem usta i wąsy i powiedział:

– O rajcy jest dosyć głośno.

– W jakim sensie?

– On tutaj nie był lubiany. Znano go w kilku burdelach, w których menu byli młodzi chłopcy. Ten chuj w ustach... wszyscy mówią, że to zemsta, że musiał komuś dopiec, może nawet skrzywdzić, i dostał za swoje. Zresztą była taka sprawa przed dwoma laty. Rajca popił i niemal zakatował chłopaka w burdelu.

– Był za to sądzony?

– Nie. Załatwili to między sobą: rajca, burdelmama i chłopak.

– Co to za chłopak? Gdzie go znajdę?

– Zmartwię cię... szefie. To nie jest zemsta. Młody dostał tak dużo forsy, że pewnie dałby się za nie jeszcze raz zgwałcić i okaleczyć. Wyemigrował do Stanów. Podobno robi tam karierę w branży filmowej. Ja już wiem, co to za filmy z nim kręcą...

– Dobrze, do burdelmamy być może wrócimy w swoim czasie. Co mówią o majorze Peschke?

– Mało o nim wiadomo. Ludzie za bardzo go nie znali. Przyjechał rok temu, gryzipiórek. Rzadko się pokazywał na mieście. Podobno grzeczny, uprzejmy. Z nikim za wiele nie rozmawiał. Praca, praca, praca. Ponoć miał lada miesiąc ściągać do Kłodzka swoją rodzinę. Cholera wie, czy to prawda, bo tak naprawdę nic o nim nie wiadomo. Wydaje się, że raczej nie miał powiązań z rajcą. Rozminęli się. Ten wyjechał, zanim pojawił się drugi.

– Co jeszcze mówią w mieście?

– Naprawdę to pana interesuje?

– Jeśli zadaję pytanie, to znaczy, że interesuje.

Koschella rozejrzał się za kelnerką, ta była jednak na drugim końcu pomieszczenia. Klein podsunął mu swój kufel. Franz niechętnie skinął głową w podziękowaniu.

– Mówią, że to nie koniec. Że teraz na górze się przetrzebi, że w mieście jest jakiś mściciel, który rozlicza za stare sprawy tych, którzy nagrzeszyli.

Franz chciał sięgnąć po piwo, ale Klein uprzedził go i położył na naczyniu dłoni.

– Zmieniłem zdanie. Z piciem na dziś skończyłeś, Koschella. Pójdiesz do domu i się wyśpisz. O drugiej w nocy zmienisz mojego obserwatora przy Górnym Młynie. Powiesz mu, że ma wrócić o siódmej. Sam też pojawię się o tej godzinie. Czeka cię długa noc i długi dzień. Radzę wziąć moją radę do serca.

Franz patrzył na Kleina z niedowierzaniem. Wciąż trzymał ucho kufla, jakby zastanawiając się, czy nie odsunąć dłoni kapitana i na przekór nie zrobić chociaż jednego łyka. Po chwili dał za wygraną. Wstał, ukłonił się i wyszedł z browaru. Ku swojemu zdziwieniu skierował się prosto do domu przy Frankensteiner Strasse. Nigdy nie lubił, gdy ktoś wydawał mu polecenia, mierzył go każdy z tych dupków na

górze, którzy rozkazywali jedynie po to, by czuć się ważnymi i zademonstrować swoją siłę. Nienawidził przełożonych, którzy mieli nikłe pojęcie o tym, co się dzieje w mieście, i których każde zarządzenie było głupsze od poprzedniego. Teraz nie poznawał samego siebie. Ten mężczyzna o poparzonej twarzy i oczach, które wydawały się płonąć ogniem piekielnym, potrafił go okiełznać. Koschella zaklął pod nosem.

Klein nie ruszył się od stolika. Wiedział doskonale, jakie myśli krążą nowemu podwładnemu po głowie. Przywołał wzrokiem kelnerkę. Ta podpłynęła do niego i położyła na blacie świstek, na którym widniały pojedyncze kreski oznaczające wypite przez Franza piwa.

– Zapłacę.

– Za siebie i za Koschellę?

– Tak. Za siebie i za Franza.

– Szczęściarz z niego – uśmiechnęła się.

Klein pieniądze wyciągnął w jej stronę. Dużo więcej, niż opiewał rachunek.

– Mam jednak do ciebie dwie prośby.

– O! A jakie to prośby ma do mnie pan kapitan?

Klein nie okazał zdziwienia, że dziewczyna wie, kim jest. Nieraz przekonał się, że informacja w miastach, takich jak to, roznosi się z prędkością zarazy.

– Kto zawiaduje Górnym Młynem i gdzie go znajdę?

– Tylko tyle? – Filuternie przechyliła głowę. – To blisko, na Kirchgasse, dom numer 2. Szukać trzeba Paula Wickela. Jeszcze jakaś prośba? – Mrugnęła zalotnie.

– Szukam dobrego fotografa.

– To do Marxa trzeba iść. Na Wilhelmstrasse 9. Dobry człowiek i zdjęcia ładne robi. Będzie pan zadowolony.

– Dziękuję.

Dziewczyna znów się uśmiechnęła, odsłaniając małe krzywe ząbki, po czym ze śmiechem zniknęła pomiędzy klientami z naręczem zebranych ze stolików kufli.

Klein wyszedł z browaru i stanął na rogu rynku i Baderberg. Przyjrzał się posągowi świętego Waclawa umieszczonemu na styku ścian narożnej kamienicy. Uderzyła go symbolika tej rzeźby. Ubrany w rzymską zbroję święty trzymał stopę opartą na herbowym lwie czeskim i dzierżył w dłoni godło Habsburgów. Po chwili kapitan spojrział w dół Baderberg. Wśród wciąż licznych przechodniów dostrzegł komisarza Richtera. Szedł w górę schodów w towarzystwie starszego, trzymającego się sztywno dżentelmena. Jego Klein także znał, z akt, z którymi zdążył się zapoznać przed przyjazdem do Kłodzka. Komitywa obu mężczyzn wcale go nie zdziwiła. Niezauważony przez nich skręcił za róg budynku, a potem ponownie w lewo w Kirchgasse, pod dom numer 2. Był to pierwszy z dwóch adresów, które miał odwiedzić tego wieczoru. Przed tym, co zaplanował na poranek nadchodzącego dnia, musiał załatwić kilka spraw.

Roth walczył ze snem. Zrobiło mu się zimno, do tego był się w stanie skupić głównie na pieczeniu spuchniętych stóp. Ekscytacja powoli ustępowała i zaczynał się zastanawiać nad sensem wielogodzinnego stania na czatach. Dał się ponieść emocjom, lecz teraz analiza całego dnia nie pozwalała mu jednoznacznie ocenić działań kapitana. Jaki sens miało wystawienie go w pobliżu młyna i czekania na Bóg wie kogo? Czyżby Klein sądził, że właśnie tutaj dojdzie do kolejnej zbrodni? Na jakiej podstawie? A jeśli nawet, to dlaczego zostawił Rotha samego?

Jürgen zdrzął. Obmyślał plan, na wypadek gdyby rzeczywiście ktoś podejrzany się tutaj pojawił. Był uzbrojony, mógł interweniować, jeśli doszłoby do jakiejś niecodziennej sytuacji. Mógł także śledzić osobę, która pojawiłaby się w nocy przy młynie i zachowywała w sposób podejrzany. Ale czy to raczej Klein nie zachowywał się podejrzanie? Roth parsknął pod nosem. Był teraz pewny, że kapitan poddaje go testowi. Poddaje próbie jego oddanie i posłuszeństwo. Przeszło mu przez myśl, że ma do czynienia z wariatem. Ślady po obrażeniach tego mężczyzny świadczyły o doznanej traumie – kto wie, czy nie doznał pomieszania zmysłów.

Jürgen czuł, że ma problem z trzeźwą oceną sytuacji. Zmysły zaczynały płatać mu figle. Chwilami odnosił wrażenie, że w wodzie dostrzega rzeczy, których dostrzegać nie powinien. Cienie, poruszenia pod taflą, świetlne refleksy... Wyobrażenia podsuwała mu obrazy, których w rzeczywistości nie było.

– Do domu idziesz, Roth. Wyspać się, o siódmej masz być tu z powrotem.

Roth aż podskoczył ze strachu. Na szczęście zdołał zdusić okrzyk przerażenia, przez co nie dał pełnej satysfakcji Koschelli, który niepojętym sposobem zmaterializował się za jego plecami.

– Idź do diabła – zaklął, patrząc ze złością na wachmistrza.

– Obawiam się, że obaj już jesteśmy w jego szponach.

Krzywy uśmiech nadał twarzy Franza upiorny wygląd. Roth nie skomentował tej uwagi, ale uznał, że jest ona nader trafna.

– Do jutra więc – powiedział. – Nic podejrzanego się nie działo. Tylko nie wskocz z żalu do wody, Koschella, że będziesz tu sterczeć tyle godzin.

– O mnie się nie martw, młody.

Roth zrezygnował z dalszych docinków. W pierwszej chwili chciał iść do samochodu, ale uznał, że zostawi pojazd naprzeciw Miller's Garten. I tak musiały teraz odstawić auto do policyjnego garażu, a stamtąd miał dalej do domu przy Königshainer Strasse. Pożegnał więc Franza i ruszył w stronę miejskiej promenady.

Gdy znalazł się pomiędzy drzewami w jednej z wąskich alejek skweru, wyobrażenia znów zaczęła płatać mu figle. Przez chwilę wydało mu się, że w krzewach przy nurcie Młynówki dostrzegł ukrywającą się postać. Idąc dalej w stronę Minoritenstrasse, odczuwał większy niepokój. Chciał zignorować to

przecucie, jednak nagle zawrócił. Przemykając między drzewami, zbliżył się do miejsca, w którym, jak mu się zdawało, widział niewyraźną postać.

Miał rację. Osobnik, widać spłoszony jego pojawieniem się, wyszedł z kryjówki i ruszył brzegiem Młynówki w stronę starego miasta.

Roth z mocno bijącym sercem przyspieszył. Przypomniawszy sobie instrukcje Kleina i teraz słowa przełożonego nie wydawały mu się już tak wielkim szaleństwem, jak wcześniej. Starał się za wszelką cenę nie stracić śledzonego z oczu. Tamten poruszał się bardzo szybko i zwinnie, nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu. Chwilami Rothowi wydawało się, że podąża za duchem. Wtedy podjął decyzję: uznał, że nie będzie się więcej bawić w kotka i myszkę i dokona zatrzymania. Przyspieszył kroku, starając się utrzymać równy oddech. W tym momencie uciekinier odwrócił się na chwilę. Serce Rotha ominęło jedno uderzenie. Wydawało się, że osobnik nie ma twarzy. Musiał pomalować skórę czymś czarnym lub nałożyć maskującą pończochę. Teraz było jasne, że nie jest to zwykły przechodzień ani ciekawski.

Roth rzucił się w pościg, wyciągając broń.

Miał właśnie krzyknąć, by tamten się zatrzymał, ostrzec go przed oddaniem strzału, ale potknął się na niewidocznym głazie. Nie do końca rozumiał, co się dzieje. Poczł mocne uderzenie w głowę, a nocne niebo i korony drzew zawirowały mu przed oczami. Osunął się w zimną bolesną otchłań.

*

Klein gorączkował. Męczyły go sny i bolesne wizje. Brakowało mu oddechu, klatkę piersiową uciskała żelazna obejmka, a druga, rozżarzona do czerwoności, ścisnęła głowę. W majakach pojawiała się ciemna postać z zasłoniętą twarzą. Próbował ją pochwycić, a gdy wreszcie mu się to udało, doznał zawodu. Po zerwaniu nakrycia z głowy widma widział swoją własną twarz.

Zanurzał się w odmętach chorobliwego snu, z przeświadczeniem, że zbliża się koniec. Wtedy jednak poczuł na skroniach chłodny dotyk dłoni. To wrażenie stało się dla niego jedynym punktem styczności ze światem rzeczywistym. Skupił się na fakturze naskórka, który zdawał się wysysać z niego gorączkę. Poddając się temu doznaniu, bodaj po raz pierwszy czuł się bezbronny.

Gdy rano otworzył oczy, dostrzegł, jak Agnes odgarnia kołdrę i wysuwa się naga z łóżka. Patrzył na nią w milczeniu, gdy nakładała na siebie nocną koszulę. Dopiero, gdy się upewnił, że nie śni odezwał się:

– Byłaś tu. Byłaś ze mną przez całą noc...

Odwróciła się do niego. Nie wyglądała na spłoszoną.

– Czas wstać. Kazałeś się obudzić wcześniej...

Uniósł się na łokciach.

– Czy my... w nocy...

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– No tak, wybacz pytanie. W moim stanie zapewne nic by się nie podniosło oprócz gorączki.

Nie odpowiedziała. Obróciła się i wyszła, przechodząc do własnego pokoju.

Dopiero wtedy odrzucił kołdrę i spojrzął na swoje nagie ciało. Było chłodne, a prześcieradło pozostawało wilgotne od nocnego potu. Dotknął czoła, konstatuując dwie sprawy. Gorączka opadła, za to co innego, mimo wcześniejszej deklaracji, uniosło się aż nazbyt wyraźnie.

Wstał i skierował się do łazienki, gdzie obmył się pospiesznie. Potem ubrał się i przez chwilę stał pośrodku salonu, jakby chcąc się upewnić, czy niczego nie zapomniał. Zdał sobie sprawę, że patrzy na drzwi pokoju Agnes. Przez moment kuśiło go, by zapukać, ale nie wiedział, co chce jej powiedzieć. Sięgnął po płaszcz i kapelusz, a potem wyszedł na korytarz. Gdy znalazł się na Sellgittplatz, uznał, że do Górnego Młyna dotrze pieszo.

*

Georg Marx był przyzwyczajony do wczesnego wstawania. Nigdy nie musiał nastawiać budzika, bowiem jego biologiczny zegar zawsze pozwalał mu się budzić dokładnie o zaplanowanej godzinie. Wyregulował ten wewnętrzny mechanizm częstymi wypadami na piesze wędrówki w pobliskie góry. Zabierał wtedy ze sobą plecak ciężki od sprzętu fotograficznego, a wracał w późne weekendowe wieczory ogorzały od wiatru i słońca, z podnieceniem wyczekując wywołania kolejnej kliszy.

Tym razem jego wewnętrzny zegar rozregulował się zupełnie, a to za sprawą wieczornej wizyty nieoczekiwanego gościa, z którym odbył długą i wielce ciekawą pogawędkę. Jej wynikiem był zupełny brak snu i napięcie przerastające wszelkie dotychczasowe doznania.

Georg odkupił atelier od wdowy Marthy Völkel, która po śmierci męża postanowiła odsprzedać to miejsce jego uczniowi. Przez kilka lat wojny Marx radził sobie całkiem nieźle, wykonując zdjęcia żołnierzy, ich żon, a także bliższych lub dalszych członków ich rodzin. Wszyscy chcieli mieć pamiątkę przed wyruszeniem ukochanych poborowych, synów, wnuków i mężów na front. Po Wielkiej Wojnie wyszło jednak źródło utrzymania Georga i powoli popadał w bankructwo. Tego, że wojna się skończyła, wcale nie żałował, wiele razy widział bowiem wdowy po tych, którzy jeszcze niedawno prężyli się z dumą w jego pracowni przed obiektywem aparatu. Miał zaledwie trzydzieści trzy lata, a odnosił wrażenie, że jego kariera się zatrzymała, i nie ma pomysłu na przyszłość. Wszystko zmieniło się w chwili pojawienia się w progach atelier Wilhelma Kleina.

Mężczyzna ten okazał się nie tylko miłośnikiem pieszych wędrówek, ale i, co ważniejsze, poddał Georgowi pomysł, który rozpałił jego umysł. Pasja fotografa w połączeniu z jego talentem miała się przyczynić do obrania nowego kierunku i zrobienia milowego kroku w przód w rozwoju kariery. Marx widział siebie

w krótkim czasie jako wielkiego wydawcę pocztówek krajobrazowych z widokami miast i wsi kłodzkiej ziemi. W jednej chwili opracował cały pomysł od produkcji po dystrybucję i wiedział, że potrzebował tego impulsu, który zawdzięczał nieznanemu. Co więcej, do czasu wprowadzania zamierzeń w życie, mógł także podreperować swój budżet, współpracując blisko z Kleinem przy jego śledztwie. Pierwsze zadanie miał wykonać już za chwilę, i to niemal rzut kamieniem od atelier.

Georg ubrał się szybko, przemył twarz i ułożył starannie włosy. Przez chwilę szukał okularów, ale na szczęście leżały na komódce przy łóżku. Ubrał się i zarzuciwszy na ramiona plecak ze sprzętem, wyszedł z domu przy Wilhelmstrasse, by po krótkim marszu znaleźć się przy Górnym Młynie.

Stało tam już kilku mężczyzn, którzy na jego widok uprzejmie dotknęli dłońmi rond meloników i kapeluszy. Georg rozpoznał kupca Paula Wickela i jego pomocników, którzy na co dzień pracowali w młynie. Stał tam też wachmistrz Koschella. Ten ostatni niedawno odwiedził go z prośbą o zdjęcie do policyjnej legitymacji. Miał dosyć typowe życzenie, by Marx poprawił mankamenty urody fotografowanego. Wachmistrz miał duży problem ze zgryzem, część jego szczęki, zapewne wielokrotnie złamanej, oraz braki w uzębieniu powodowały znaczną asymetrię twarzy. Z tym jednak Georg poradził sobie dosyć łatwo.

Marx podszedł do mężczyzn. Wystarczyła wzmianka o kapitanie Kleinie i poleceniu, by stawił się przy Górnym Młynie, by nikt go o więcej nie pytał.

Przyjrzał się zebranym i nie uszło jego uwadze, że są zmieszani. Niepewnie patrzyli na siebie, nie wiedząc do końca, co ze sobą zrobić. Marx był pewny, że do powstania tej zbieraniny, do której teraz sam się zaliczał, przyczynił się Wilhelm Klein.

– Pizga, znów idzie ziąb!

Georg się uśmiechnął. Uwagi dotyczące pogody, zawsze były pierwszym ratunkiem upadającej konwersacji.

– Pociągnie chłodem, to jeszcze śnieg zejdzie z gór.

Pomocnicy kupca Paula Wickela pocierali ręce, jakby już w tej chwili chwycił siarczysty mróz.

Jedynie Franz Koschella stał sztywno, paląc papierosa i wpatrując się w toń przy zastawkach młyńskich. Marx odruchowo także spojrział w tę stronę, ale nic w mętnej wodzie nie dostrzegł.

– Panowie, można zaczynać. Pomanewrujcie tym ustrojstwem tak, żebym miał tu jak najmniej wody.

Pojawienie się Wilhelma Kleina wywołało poruszenie. Wydało się, jakby wprowadził w ruch zardzewiałe tryby mechanizmu i jednym słowem pobudził wszystkich do życia.

– Młody, biegnij do Josefa na zastawkę, on wie, co ma robić – polecił Wickel swojemu pomocnikowi. Potem zwrócił się do Wilhelma: – Te tutaj zastawki i kraty

też zaraz pójdą w ruch. Za kwadrans woda się będzie opuszczać, wedle życzenia pana kapitana.

– Świetnie – odpowiedział krótko Klein, opierając się o barierkę przy kanale. Obok niego stanął wachmistrz Koschella.

– Nie zmarzłeś w nocy, Franz?

– Nie, kapitanie – wychrypiął wachmistrz. – Mniejszy chłód na dworze od tego w małżeńskim łożu.

– Skąd ta szczerość?

– A myślałem, że to powszechne po dwudziestu latach małżeństwa.

– Może i powszechne, wierzę ci na słowo.

Marx przysłuchiwał się tej dziwnej rozmowie, przygotowując aparat. Położył plecak w bezpiecznym miejscu i zaczął wyjmować potrzebne akcesoria.

– Chłopaki, do roboty się bierzcie, Josef już swoje zrobił – oznajmił nagle Wickel, wpatrując się w nurt Młynówki.

Jego pomocnicy żywo skoczyli do zastawek i zaczęli przy nich majstrować. Woda obniżała się dosyć szybko. Mechanizmy zgrzytnęły, jakby z wyrzutem, że od lat nikt się nimi nie interesował.

Marx nie wiedział, jak się zachować. Nigdy nie był policyjnym fotografem, a Klein nie poinstruował go, jakie dokładnie czeka go zadanie. Nie chciał jednak pytać, żeby nie okazać braku profesjonalizmu. Uznał, że lada moment wszystkiego się dowie.

I rzeczywiście. Najpierw usłyszał głośnie westchnienie pracowników Wickela, a potem donośne przekleństwo samego kupca. Podążył wzrokiem za ich spojrzzeniami i zamarł. Opadając, woda odsłoniła dwie dłonie przymocowane w przegubach łańcuchami do dolnego wspornika jednej z kratownic.

– Herr Klein!

Na te słowa wszyscy odwrócili się w stronę parku. Po chwili między drzewami pojawił się zataczający się mężczyzna. W pierwszej chwili Marx był pewny, że ma przed sobą zakrwawioną zjawę. Dopiero słowa wachmistrza Koschelli uświadomiły mu, że to jeden z policjantów.

– Roth, gdzie ty się, kurwa, podziewałeś? Kto ci przywalił w łeb?

Asystent policyjny dotoczył się do barierki i mocno na niej wsparł. Zaraz stanęli przy nim kapitan Klein i wachmistrz Franz Koschella.

Jürgen Roth był blady jak ściana. Dłoń trzymał przy głowie, jakby bał się, że ta zaraz mu odpadnie.

– Jak do tego doszło? – Klein chwycił go za ramię, obawiając się zapewne, że młody policjant straci równowagę i fiknie przez barierkę.

– Gdy Franz mnie zmienił, wracałem do domu. – Roth musiał walczyć z mdłościami, bo na chwilę zaniemówił i głośno przełknął ślinę. – Zobaczyłem, że ktoś obserwował teren przy młynie. Chciałem go śledzić, ale drań się zorientował, że

za nim idę, i zaczął uciekać. Próbowałem go dogonić, ale wtedy... Cholera, dostałem, jak to trafnie określił Koschella, w łeb. Musiało ich tam być dwóch...

Mówiąc to, Roth obrócił się w stronę kanału i spojrzał na kratownicę. Teraz on także dostrzegł dłonie wystające nad powierzchnię wody.

– Ten topielec nie ma trzech palców – zauważył dosyć przytomnie jak na odniesione obrażenia. – Trzech palców lewej dłoni...

Wszyscy oprócz Kleina znów popatrzyli w tamtą stronę, jakby nie mogli uwierzyć, że zbrodnia, której pośrednio byli świadkami, może być jeszcze bardziej nieludzka.

– Jürgen, dasz radę podjechać do ratusza? – przerwał ciszę Klein.

– Tak, Herr Klein.

– Powiadomisz komisarza Richtera oraz burmistrza o kolejnym morderstwie. Niech przyślą swoich ludzi, a przede wszystkim niech wezwą doktora Kuhnasta. Potem dowiedz się od burmistrza, czy do Kłodzka dotarł już pies tropiący. Jeśli tak, niech wyślą człowieka z psem w miejsce, w którym cię napadnięto, być może podejmie tam jakiś trop. Zajmij się też raną na głowie.

– Tak jest!

– Ciesz się, że cię nie zabili, Jürgen – powiedział Franz, odpalając kolejnego papierosa. – Mielibyśmy czwartego trupa do kolekcji.

– Nie zabili Rotha, bo nie mieli go w planach – powiedział Klein ni to do nich, ni to do siebie.

– To wszystko to jest jakimś większym planem? – zapytał Franz, unosząc teatralnie brwi.

Klein chyba pytania nie dosłyszał. Koschella z Jürgenem popatrzyli na siebie znacząco. Ten pierwszy podszedł i odezwał się szeptem:

– A nie mówiłem, ci Roth? Nie mówiłem czasem o diable? Otóż obaj tkwimy w jego szponach. Tyle że ja lubię zapach siarki. A ty?

Roth nie był w stanie odpowiedzieć. Nie wiedział już, czy ból głowy wzmógł się przez cios zadany mu w potylicę, czy przez myśli, które go przytłoczyły. Nie pomagał fakt, że śmiech Koschelli odprowadził go aż na drugą stronę ulicy i dźwięczał mu w uszach, nawet gdy znalazł się na Louisenstrasse, a potem odpalił silnik samochodu.

*

Zaledwie dziesięć minut później wokół młyna zaroilo się od policjantów. Niektórzy byli ściągani prosto z łóżek, o czym świadczyły mocno rozwichrzone fryzury i nieprzytomne spojrzenia. Dojście zostało zablokowane, a stolarz Paul Francke ustawiał kolejną konstrukcję zasłaniającą miejsce zbrodni przed ciekawskimi gapiami.

Na polecenie Kleina wodę z kanału w całości spuszczone. Następnie rozstawiono specjalną drabinę, po której Klein w towarzystwie Georga Marxa i Koschelli zeszli na śliskie betonowe podłoże. Tutaj także przydała się pomoc Franckego, który zrzucił na dno kanału drewniane deski, po których można było w miarę swobodnie przemieścić się w stronę ciała.

– Nie ograniczaj się, fotografuj wszystko, co uznasz za słuszne.

Usłyszawszy polecenie Kleina, Georg Marx skinął głową. Już od dłuższego czasu wykonywał zdjęcie za zdjęciem. Oprócz obrazów z oddalenia starał się nie pominąć ważnych szczegółów. To skupienie na wykonywanych czynnościach pozwoliło mu zepchnąć na granicę świadomości obraz rozdętego, sinego ciała mężczyzny, który zwisał przypięty łańcuchami do jednej z kratownic. Patrząc przez obiektyw, Marx miał wrażenie, że znalazł się za hermetyczną barierą, która trzyma go z daleka od miejsca zbrodni. Błysk magnezji – twarz mężczyzny opleciona czarnym pasem, czymś na kształt upręży. Usta szeroko otwarte, w nich błyszczący przedmiot o zaokrąglonym kształcie. Kolejny błysk – metalowe warkocze łańcuchów spinające członki...

– Znam go. – Koschella przykucnął, żeby przyjrzeć się skierowanej w dół twarzy trupa. – I nie mam dobrych wieści... Jeśli się nie mylę, to wicedyrektor Banku Rzeszy, Johann Beier.

– Wystarczy, panie Marx – poinformował fotografa Klein. Przez chwilę jeszcze obserwował trupa, a przede wszystkim łańcuchy, którymi ten był przypięty do żelaznych prętów. – Zanim jednak wróci pan do atelier, proszę zrobić zdjęcia wszystkim gapiom wokół Młyna.

– Oczywiście – potwierdził krótko Marx. – Jak skończę, od razu wezmę się do ich wywołania.

– Proszę podesłać je do Hotelu Dworcowego na moje nazwisko. Wystarczy zostawić je w recepcji.

Marx skinął głową. Odetchnął z ulgą. Aparat przestał go chronić przed makabrycznym obrazem i teraz odwrócił wzrok od trupa, ciesząc się, że rano nie zdecydował się na zjedzenie śniadania. Zabrał swoje rzeczy i ruszył w stronę drabiny, by wykonać zdjęcia napływającemu tłumowi gapiów.

Klein odprowadził go wzrokiem i zauważył, jak Georg mija się przy drabinie z komisarzem Richterem i policyjnym fotografem. Obaj, patrząc na ulatniającego się Marxa, poczerwienieli na twarzy.

– Jak pan to miejsce wyczał szefie, co? – zapytał szeptem Koschella. – Jak nic to samo pytanie zada panu komisarz.

Klein nie zdążył lub nie chciał odpowiedzieć. Zaraz pojawił się przy nich komisarz Richter. Stał na szeroko rozstawionych nogach i zwrócił się do Wilhelma:

– Panie Klein, myślę, że będziemy musieli odbyć poważną rozmowę. To, co pan robi...

– Robię to, co uznaję za słuszne – przerwał kapitan. – Został pan powiadomiony o kolejnej ofierze w tym samym momencie, w którym upewniliśmy się, że na nią natrafiliśmy. Ofiary nie ruszaliśmy, zbadanie ciała i miejsca zbrodni pozostawiam pańskim technikom.

Richter z trudem nad sobą panował. Nie przywykł, by mu przerywano w sposób tak obcesowy. Wydawało się, że się zapowietrzył. W końcu jednak się przełamał.

– Tak czy owak będę chciał z panem porozmawiać – rzekł, siłąc się na spokój.

– Oczywiście, komisarzu Richter.

Klein obrócił się i ruszył w stronę drabinki. Koschella przez chwilę stał zdezorientowany, ale zaraz dołączył do przełożonego. Richter odprowadzał wzrokiem bezczelnego kapitana, międląc pod nosem coraz to bardziej wymyślne przekleństwa.

W tym momencie u góry kanału pojawili się asystenci policyjni. Ustąpili Kleinowi miejsca przy szczycie drabiny, a gdy ten znalazł się na wysokości chodnika, każdy z nich uchylił kapelusza i grzecznie go przywitał. Widząc to, Koschella nie mógł się nie uśmiechnąć. Po raz pierwszy w życiu cieszył się, że krzywy zgryz zamaskuje jego emocje. Gdy bowiem zaraz po przywitaniu Kleina koledzy zaczęli pozdrawiać także jego samego, poczuł niekłamana dumę i satysfakcję.

Kilkanaście metrów od kordonu policyjnego drogę zagroził im samochód, z którego wysiadł Roth.

– Niezłe zamieszanie, co? – wyszczerzył zęby. Oczy mu błyszczały, a głowę zdobił spory opatrunek. – Wiemy już coś więcej, kapitanie?

– Koschella rozpoznał ofiarę... – Klein wskazał Franza.

– Johann Beier, wicedyrektor Banku Rzeszy – wychrypiał zapytany.

Roth zagwizdał pod nosem.

– Coraz grubsze szychy... Coś łączyło ofiary.

– Do tego przejdziemy w odpowiednim czasie, Roth. – Klein uniósł dłoń, kończąc temat. – Co z psem, o którego prosiłem burmistrza?

– Przyjechał już wczoraj wieczorem z Wrocławia. Wachmistrz Puder ma jako takie doświadczenie z psami. Wskazałem mu miejsce, powinien zaraz się tam pojawić.

– Nie ma więc na co czekać. – Klein spojrzał w niebo, na którym zaczęły gromadzić się ciężkie chmury. – Lada chwila zacznie padać. Zobaczmy, czy pies podejmie trop.

– Suka, panie kapitanie. Ten pies to suka.

Klein się zaśmiał, a Koschella teatralnie postukał palcem w czoło.

Chwilę później znaleźli się na promenadzie, gdzie czekał już na nich wachmistrz Puder z siedzącym u nogi owczarkiem. Policjant zsalutował Kleinowi i popatrzył na psa. Potem z przepraszającym uśmiechem zwrócił się do przybyłych mężczyzn:

– Tylko tę sukę mogli užyczyć... Flora. Stara już i przeszła, jak widać, niejedno.

Flora patrzyła jedynie na Kleina. Uniosła łeb, a jej nozdrza rozszerzyły się nieznacznie.

Kapitan zbliżył się powoli i wyciągnął w stronę suki wierzch dłoni. Zwierzę, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, obwąchało jego rękawiczkę, a potem wsadziło nos w rękaw marynarki. Ogon, który do tej pory był zupełnie nieruchomy, uderzył o ziemię.

Klein przykucnął przy suce i dotknął jej boku. Już wcześniej Roth zauważył, że pies nie ma w tym miejscu futra. Wyglądało na to, że uległ jakiemuś wypadkowi.

– Zna pan tego psa? – zapytał Koschella. – To znaczy sukę?

– Nie – odpowiedział krótko Klein.

– I tak łatwo pan ją do siebie przekonał?

– Pana też nie znałem, ale to nie znaczy, że nie dał się pan oswoić.

Roth, słysząc to, parsknął, a Puder udał, że zainteresowały go czubki okolicznych drzew.

– Koniec gadania, panowie. Wachmistrzu Puder, asystent Roth wskaże panu miejsce. My z Koschellą pójdziemy za wami. Zobaczymy, jak daleko poprowadzi nas trop.

Puder skinął głową i razem z psem ruszył za Jürgenem. Po chwili znaleźli się przy krzakach, przy których Roth wypatrzył podejrzanego.

Pies chwilę pokręcił się w miejscu. Nie wydawało się jednak, żeby coś go zainteresowało.

– Może powinienes mu wydać jakąś komendę, Puder? – rzucił Koschella. – „Szukaj” albo „łap złodzieja”?

Puder zignorował tę uwagę. Postanowił dać Florze czas.

– Może pies stracił węch? – Franz zwrócił się tym razem do Rotha. – Jak nic poparzyło go jak naszego kapitana. Na pysku też ma ślady...

Jürgen pokręcił głową, a Koschella wzruszył ramionami, krzywiąc się w uśmiechu.

– Pożartować nie wolno? Co z ciebie taki sztywniak, Roth?

– Mamy coś! – Puder ruszył za psem, który nagle pociągnął go w kierunku Młynówki.

– Tamtędy szedł, a ja za nim – powiedział Jürgen z przejęciem.

Pies zatrzymał się przy gęstych krzakach nad kanałem. Przez dłuższą chwilę chodził w kółko, potem spojrzał na Rotha.

– W tym miejscu dostałem w łeb – dodał cicho asystent. – Obudziłem się w krzakach, resztę wiecie...

– Chyba wyczuwa tutaj twój zapach – wyszeptał Koschella, szczerząc się jak wilk. – Oby nie pomyślała, że to ciebie ma szukać. Trzymaj portki w garści, bo ci dupę wygryzie.

Jürgen zignorował wachmistrza, patrzył to na sukę, to na Kleina. W tym momencie Flora znów mocno pociągnęła przed siebie, tym razem w stronę mostu

prowadzącego na drugi brzeg kanału. Klein nie ruszył za innymi. Jeszcze przez chwilę krążył wokół miejsca, w którym Roth został napadnięty. Dołączył do ekipy z opóźnieniem.

Ruszyli w stronę starówki. Za browarem Zimmermanna skręcili, kierując się w stronę placu kościelnego i kościoła jezuitów.

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonów z kościelnej wieży. Ptaki poderwały się z pobliskich dachów, a uliczki ożyły tłumem wiernych spieszących na mszę. Ludzie idący Kirchgasse przystawali, popatrując na niezwykle obrazek stojących obok siebie policjantów i niespokojnego psa.

Klein ignorował ciekawskich i uważnie rozglądał się dookoła. Wreszcie podszedł do owczarka i poklepał go po łbie.

– Na razie wystarczy – zakomunikował.

– Tak jest, kapitanie. – Puder znów zasalutował.

– Nie róbcie tego więcej, wachmistrzu – upomniał policjanta kapitan – Nie jesteśmy w wojsku.

– Tak jest... – Zmieszany Puder podał psu smakołyk. O dziwo, ten nie zwrócił na niego uwagi. – No bierz, zasłużyłaś należy ci się!

Dopiero wtedy owczarek kłapnął pyskiem, jakby uważał, że wcale nie zasłużył na nagrodę.

– Bydlę nie dość, że pozbawione węchu, to jeszcze głuche – Koschella powiedział to do Jürgena, niemal nie poruszając ustami.

Roth zaczynał się już przyzwyczajać do ciągłych uszczypliwości Franza. Patrzył na Floreę, która mieląc pokarm w paszczy, nie spuszczała wzroku z Kleina. Jürgena przeszły dreszcze, sam nie wiedział, dlaczego po raz kolejny poczuł się nieswojo. Z odrętwienia wyrwało go dopiero polecenie kapitana.

– Odwiedzimy jeszcze jedno miejsce. Kamienica, z której dachu oddano śmiertelny strzał do majora Peschke, znajduje się w pobliżu, prawda?

*

Browar Hübnera znajdujący się w kamienicy na rogu Kirchgasse i Grüne Strasse był zamknięty dla gości, jednak przez szybę widać było krzątających się właścicieli.

Koschella kilkakrotnie uderzył w drzwi. Po chwili w oknie pojawił się niski łyśawy człowieczek i z podejrzliwością zlustrował stojących przed drzwiami browaru mężczyzn. Uchylił drzwi w momencie, w którym oprócz pięści Koschelli w ruch miał pójść także policyjny but.

– Szanowni panowie policjanci czego sobie życzą? Zamknęliśmy już...

– „Już” to żeście właśnie otworzyli – oznajmił Koschella i pchnął drzwi, zmuszając liliputa zagrządzającego przejście, by odskoczył.

– Proszę, zapraszam jak najserdeczniej. – Mały człowieczek spojrzał na wchodzących i się uklonił. Nie zająknął się nawet, widząc, że na świeżo wymyta

podłogę wchodzi pies. – Panowie jakąś sprawę do mnie mają czy napić się chcą piwa?

– Na dach chcemy wejść.

– Znowu?

– Tracisz słuch, Hübner, w tym hałasie. Za dużo nocnych libacji, sąsiedzi się skarżą na pijaczków sikających w bramach. Choć ja uważam, że to nie szczytny czyn, tylko twoje piwo.

– Co też wachmistrz mówi! Moje piwo najlepszej marki!

– Spróbuję przy okazji, teraz prowadź na górę.

– Oczywiście. – Właściciel browaru spojrzął jeszcze raz na przybyszy, głównie na milczącego Kleina. Poblądł raptownie i skoczył do baru po klucze, a potem poprowadził gości wąskim korytarzem.

Minęli kilka skrzyń i beczek. Pod wnęką schodową stały w rzędzie butelki i kufle. Po prawej wyminęli spiżarenkę, z której dochodził zapach wędzonki i kwaszonej kapusty. Lokal domagał się gruntownego wietrzenia.

Mężczyźni wyszli po skrzypiących schodach na piętro, a następnie na poddasze. Tutaj do słodko kwaśnych zapachów dołączył smrodek kociego moczu i kurzu.

Liliput sięgnął po krzesło, które stało w rogu pomieszczenia, i podstawił je pod drabinkę. Wspiął się na nią zwinnie i zdjawszy kłódkę z zasuwki, otworzył okienko w dachu.

– Proszę bardzo – powiedział triumfalnie, zeskakując ze szczebli na drewnianą podłogę. – Możecie, panowie, przebywać tam, ile chcecie.

Koschella wyminął browarnika bez słowa, podciągnął się na rękach i zaraz znalazł na dachu.

– No, przynajmniej przestało padać, to może nie skręcimy karku. – Dobięgl ich głos z góry.

– Flora też ma tam wejść? – zapytał Puder, którego zapewnienia Koschelli chyba wcale nie uspokoiły.

– Też – potwierdził Klein.

Roth zaraz zaofiarował się do pomocy. Poprosił wachmistrza, żeby ten wszedł na górę, a sam podniósł sukę. Wyczuł pod futrem kości – Flora nie należała do szczególnie mocno zbudowanych okazów. Gdy już znalazła się na dachu, asystent przepuścił Kleina, po czym sam podciągnął się na rękach.

– Musimy przejść dachami aż do narożnej kamienicy przy Schwedeldorfer Strasse – oznajmił Koschella i ruszył przed siebie, nie czekając na towarzyszy.

Wyminęli kominy i otwory wentylacyjne, do tego kilka okienek pokrytych sadzą. Widać było, że dach w wielu miejscach wymaga gruntownej naprawy. Puder niemal skręcił kostkę na dziurze w papie dachowej. W końcu się zatrzymali. Franz stanął przy krawędzi dachu, w miejscu, z którego, jak oznajmił, zamachowiec oddał strzał.

Pies zakręcił się niespokojnie.

– Chyba znowu coś wyczuwa – zauważył Puder.

– Szczać mu się chce. – Koschella skrzywił się, patrząc na owczarka. – Tylu ludzi się od tego czasu kręciło, że nic by nie wyczuł.

– Takim znawcą psów jesteś, wachmistrzu? – wtrącił się Roth.

– Mnie się wydaje, panie kapitanie, że zareagowała na ten sam zapach co w miejscu, którym asystent policyjny dostał w łeb... – Puder zignorował Franza i Rotha. – Inaczej siedziałyby spokojnie.

– Jak na moje oko – Koschella zeskokczył z niewysokiego obramowania narożnika i założył ręce na piersi – to kundel patrzy teraz na Rotha dosyć podejrzliwie. Może tam i tu wyczuł jego zapach?

– Przecież nigdy nie wchodziłem na ten dach.

– Ach tak? – Koschella uniósł brwi. – A na strzelnicy byłeś wcale dobry...

– Skończ, już Franz. Na strzelnicy być może asystent Roth jest od ciebie lepszy, ale do tego strzału nie nadawałby się nawet on – Klein odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Podczas wymiany zdań policjantów obszedł dach, spojrzął na sąsiednie budynki, a także na wewnętrzne podwórze ukryte pomiędzy ułożonymi w trapez kamienicami.

Widząc minę Koschelli po tej reprimendzie, Roth zacisnął usta, starając się nie roześmiać. Tamten spiorunował go wzrokiem, ale przezornie darował sobie komentarz.

– Mnie się wydaje, że to nie jest takie trudne stąd trafić – wyrwał się Puder, stając obok Franza na krawędzi i wychylając się w stronę ulicy. Major został zastrzelony na przecięciu Grüne z Kirchgasse, to jakieś niecałe sto metrów. Strzelec miał wystarczające pole widzenia... choć przez krótki czas.

– W sumie już wiemy, dlaczego wybrał takie, a nie inne miejsce zabójstwa. – Jürgen wychylił się, by spojrzeć w stronę feralnego skrzyżowania. – Ale i tak wydaje mi się dziwne, że strzelał właśnie stąd. Jest kilka innych dachów, z których miałyby łatwiej.

– Wcale nie jest powiedziane, że stąd strzelał – powiedział Klein.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Roth zdecydował się odezwać pierwszy.

– Balistyka potwierdziła... wojskowi przeprowadzili eksperyment. Oddali strzał z tego miejsca. – Wskazał lewy narożnik kamienicy. – Mówili, że inna opcja nie wchodzi w grę.

– Udawajmy, że masz broń taką, jak zabójca, czyli karabin mauser gewehr 98. Przygotuj się do oddania strzału.

– Z jakiej pozycji? – zapytał asystent, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

– No właśnie, z jakiej? – powtórzył niczym echo Klein.

Jürgen popatrzył na Pudera i Franza, jakby się spodziewał, że ci zaczną się z niego śmiać, ale o dziwo policjanci byli poważni.

– Nie położyłbym się tutaj. – Roth próbował przyłgnąć do betonowego murku, ale ta pozycja była niewygodna. Cokolwiek by zrobił, jedna z nóg wystawałaby poza krawędź dachu.

– Spróbuj innej pozycji – zaproponował Klein.

Roth wstał, potem przykucnął, próbował unieść wyimaginowaną broń.

– Brakuje mi podpory, długo tak bym nie wytrzymał.

– Major zawsze wracał tędy z komendantury do domu przy Judengasse. Opuszczał rynek zaraz po pracy, zatrzymywał się jedynie u Hugona Drosdatiusa, w delikatesach, tu na dole. – Koschella wskazał palcem widoczną naprzeciw sporą witrynę z bogatą wystawką win i artykułów spożywczych, wokół której rozstawione były reklamy przypraw firmy Maggi. – Tamtego dnia ominął jednak sklep, poszedł wprost w stronę domu. Zamachowiec nie potrzebował wiele czasu na oddanie strzału...

Wszyscy popatrzyli na witrynę sklepu. W dole kilku przechodniów wskazywało ich sobie palcami.

– My też tu długo nie jesteśmy, a jednak dostrzegli nas ci z dołu – powiedział Puder. – A tamtego dnia strzelca nikt nie widział.

– Skąd pana zdaniem, kapitanie, dokonał swojego dzieła zamachowiec? – O dziwo, to Koschella zlitował się nad asystentem policyjnym Rothem, który wciąż próbował zająć wygodną pozycję do oddania strzału.

– Chodźcie za mną... – Klein oddalił się od krawędzi dachu, wskoczył na podwyższenie i przystanął obok sporego komina. – Roth, teraz zajmijcie pozycję, która umożliwi wam oddanie strzału i jednocześnie zapewni ochronę przed oczami ewentualnych świadków.

Jürgen po chwili wahania przykucnął przy kominie i rozejrzał się wokół, potem popatrzył w stronę przecięcia Grüne Strasse i Kirchgasse.

– Malutki przesmyk – zauważył. – Widać przechodniów przez sekundę, może dwie...

– Był wtedy wiatr?

– No tak... – Skinął głową Jürgen.

– Był, asystencie Roth, nawet bardzo silny. – Wypowiadając te słowa, Klein patrzył w dal, wydawałoby się, ponad linię budynków, na górującą nad miastem bryłę twierdzy. – Wiało tego dnia z północy. Zamachowiec miał więc boczny wiatr, który był odczuwalny zwłaszcza na przecięciu ulic, tam, gdzie został zabity major.

– Miał więc pan rację, kapitanie – odezwał się Koschella. – Ani ja, ani strzelec wyborowy Roth nie mielibyśmy szansy na oddanie w tych warunkach celnego strzału.

– Major skręcił z Schwedendorfer Strasse w Grüne Strasse – ciągnął Klein, zignorowawszy tę uwagę. – Jeden z dwóch zamachowców szedł przed nim w stałej odległości. Gdy strzelec dostrzegł w celowniku swojego towarzysza, wiedział dokładnie, w którym momencie w polu jego strzału pojawi się major. Nie popełnił błędu, co więcej, strzał zsynchronizował z uderzeniem dzwonu...

– Wciąż jednak aktualne jest pytanie, po co tyle zachodu. Na cholere podejmują takie ryzyko? – zastanawiał się Roth.

– Każde z tych zabójstw to numer popisowy – skomentował krótko Klein.
– Jaki? – zdziwił się Puder.
– Lepiej z nami nie zadzierać – odezwał się zamyślony Koschella. – Planujemy i wykonujemy plan tak, jak chcemy. Nikt nam w tym nie przeszkodzi. To sygnał dla nas, że się nas nie boją i mają głęboko w dupie całą kłódką policję.
– Mniej więcej – zgodził się Klein.
– Chce kapitan powiedzieć – Puder spojrzał na psa, który strzygł uszami, jakby przysłuchiwał się rozmowie – że są tak pewni siebie, że dają nam sygnał, że mogą wszystko? Pod naszym nosem?
– Pod naszym nosem dokonali trzech spektakularnych zabójstw, więc pewnie tak – skomentował Roth. On także osobiście odebrał ten, jak to określił Klein, popis morderców jak zniewagę. – Pozostaje pytanie, jak nie dać się dalej dymać w dupę i jak ich złapać.

Klein uśmiechnął się na te słowa.

– Ty, Roth, znajdziesz powiązania między ofiarami, przetrząsniesz wszystkie papiery i dokumenty. Chcę, żebyś sprawdził listy wszystkich organizacji i stowarzyszeń w Kłodzku. Jeśli na listach powtórzą się nazwiska zabitych choć raz, pójdziesz tym tropem.

Roth skinął głową, chociaż powrót do papierkowej roboty nie był spełnieniem jego marzeń.

– Franz, przekop miasto, sprawdź ponownie każdą, nawet najgłupszą plotkę.

Koschella sięgnął po papierosa i zapałki. Po chwili zaciągnął się dymem.

– A ja? – Puder poczuł się nagle częścią tej grupy. Po raz pierwszy od dawna miał wrażenie, że coś się wokół niego dzieje tak, jak należy. – Co ja mam robić?

– Będziecie, Puder, szefem nowo utworzonej kłódkiej jednostki Hundepolizei. To wasza pierwsza podopieczna. Nie oddamy jej tym z Wrocławia. Zostanie w Kłodzku pod waszą opieką. Pomoże nam pan w śledztwie, wachmistrzu.

– Tak jest!

Tym razem zamiast do czoła wachmistrza Pudra palce powędrowały do wąsa. Klein skinął głową z uznaniem dla refleksu policjanta.

– To na razie tyle, panowie – powiedział. – Roth i Koschella, jutro o ósmej rano odprawa w Hotelu Dworcowym, w moim pokoju. Chyba że jeszcze coś do tego czasu wypłynie...

Wydawszy te dyspozycje, Klein ruszył w stronę dachu browaru Hübnera i wkrótce zniknął policjantom z oczu. Ci stali jeszcze chwilę, w końcu jednak skierowali się w stronę zejścia, każdy pogrążony we własnych myślach.

*

Subiekt Adolf Herke wychynął z salonu z konfekcją damską i męską przy Ring 11, by zgodnie z poleceniem przełożonego Izaaka Brassy ocenić czystość witryn sklepu

oraz sąsiadującego z nim domu towarowego Salamandra należącego do wspólnika pana Brassa, Salomona Weinsteina. Subiekt w odbiciu witryn zobaczył odbicie słońca i chmury, co pozwoliło mu uznać, że czystość szyb nie budzi większych zastrzeżeń.

Gdy wracał do sklepu natknął się na wysokiego, chudego mężczyznę, którego rozpoznał dzięki opowieściom, którym raczyły jego i innych subiektów odwiedzające sklep klientki.

Chłopak zwinnie skoczył przed jegomością, otwierając mu drzwi, a gdy dźwięk dzwoneczka zaanonsował przybycie klienta, w ukłonie wprowadził go do wyperfumowanego królestwa Izaaka Brassa.

– Dzień dobry! Czy możemy w czymś pomóc szanownemu panu?

Spojrzenie przybysza było chłodne i czujne. Herke przywykł jednak do różnej maści klientów i nie spieszył się nawet trochę. Pewności siebie nauczył go Brass, zarówno częstymi upomnieniami, jak i kijem od szczotki, którym uwielbiał garbować skórę mało pojętnych podwładnych.

– Wieczór, przyjęcie. Wszystko...

Adolf odczuł przyjemny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Poprowadził klienta w stronę fotela i pstryknął palcami na jednego z kolegów. Ten w mig pojawił się, z jak szanownym gościem ma do czynienia, i zaproponował mu do picia kawę lub herbatę. Zniknął zaraz potem na pięterku w gabinecie właściciela, tymczasem Adolf przeszedł do rzeczy. Przystąpił do rozeznania się w guście klienta. Brass każdego z subiektów dokładnie przeszkolił, każąc wykuć odpowiednie formułki i szybko rozróżniać typy klientów. Uczył, jak ze swobodą przechodzić od rozmowy grzecznościowej o pogodzie do sprzedaży klientowi niepotrzebnej kolejnej koszuli i spinek. W tym wypadku rozmowy o pogodzie można było sobie z wejścia darować, sam wstęp przybysza i jego hasłowe trzy słowa świadczyły o tym, że w dysputy wdawać się nie lubi i zakup, którego ma dokonać, jest dla niego niezbyt miłą koniecznością. Adolf postanowił przeprowadzić więc Herr Kleina przez cały etap kompletowania garderoby w miarę bezboleśnie. Wiedział przy tym, że klient dostrzeże ewentualny błąd w sztuce i małą dbałość o jego potrzeby. Inaczej rzecz ujmując, Herr Klein całym sobą zdawał się krzyknąć: „Muszę dokonać zakupu, i zdaję się na ciebie, jeśli jednak sprzedasz mi szajs, wsadzę ci go tak głęboko w gardło, że się nim zadławisz!”. Mowa ciała to wspaniała sprawa, myślał Adolf, obejmując wzrokiem zwisające z wieszaków najlepsze berlińskie marynarki należące do unikalnej kolekcji salonu.

Drugi subiekt pojawił się z parującą filiżanką, którą ustawił na stoliku przed klientem. Ze srebrnej tacy zestawiał także cukiernicę, talerzyk z ułożonymi w kolorową piramidkę galaretkami z fabryki marmolady Hermanna Maya, oraz kieliszek likieru Róża Kłodzka, z którego produkcji słynęła ta sama rodzina.

– Szanowny pan raczy zdradzić, jakie to będzie przyjęcie?

– Hotel Cesarski, ponoć tutejsza śmietanka towarzyska.

– Tak też przypuszczałem. Pozwoliłem sobie wybrać zaledwie dwie marynarki z naszego bogatego asortymentu. Jedna z nich na pewno przypadnie panu do gustu, kapitanie.

– Sprawdźmy więc.

Klein wstał, nie spróbował nawet podanej herbaty ani skrzących się cukrem galaretek, i ruszył za subiektem w stronę przebieralni.

Adolf zadbał o dodatkowe oświetlenie, które rozjaśniło wypełniony lustrami salon. Przebieralnia była w rzeczywistości sporym pokojem, w którym można było spocząć na szeszlunku i w spokoju dokonać wyboru. Tu także, na miejscu, kupiec Brass dokonywał niezbędnych poprawek, gdy zaistniała taka potrzeba, lub też ściągał miary z klientów, którzy zażyczyli sobie ubrań wyjątkowych, szytych przez współpracujących z salonem krawców.

Adolf podał klientowi pierwszy z fraków.

– Strój męczyzny powinien być wykwinny w każdym szczególe, a jednocześnie tak spokojny i tak dobrze leżący, by człowiek ten wyglądał dystyngowanie bez zwracania uwagi swym strojem, kapitanie. Tą zasadą kierujemy się w naszym salonie...

– Cytujesz Brummella? – Klein wyglądał na rozbawionego. – Nie sądziłem, że brytyjski dandys zainspiruje pracowników kłódzkiego salonu mody...

– Cóż – Adolf nie dał się zbić z tropu i wyszczerzył się w uśmiechu – byłem pewny, że słowa te należą do innego dżentelmena, jego nazwisko także zaczyna się na ową szlachetną literkę B. Izaak Brass cały czas nam powtarza ową formułkę jak swoją.

– A więc frak...

Adolf skinął głową.

– Nie wygląda pan na przekonanego do formalnych ubiorów. Jednak mogę zagwarantować, że będzie się pan czuł swobodnie, a jednocześnie strój podkreśli pańską charyzmę.

Klein przebrał się i przyjrzał sobie w lustrze.

– Widzę, że frak wzbudza w panu mieszane uczucia, kapitanie.

– A nie spodziewał się pan tego? Wybrał pan przecież dwie marynarki z bogatego asortymentu salonu Brass. Albo więc asortyment nie jest tak znaczny, jak pan zapewnia, albo jest pan pewny, że druga propozycja przypadnie mi do gustu, zwłaszcza po fiasku prezentacji tej pierwszej.

Adolf uśmiechnął się i skłonił głowę.

– Powracamy do tematu angielskich dżentelmenów. Pańska intuicja i inteligencja przypomina mi postać Sherlocka Holmesa. Tyle że pan jest człowiekiem z krwi i kości.

– A pan zdolnościami, zdaje się, nie ustąpiłby pola doktorowi Watsonowi.

– Dziękuję szanownemu panu za komplement. Mam dla pana kapitana inną propozycję, być może odważną, ale... coś mi mówi, że trafioną.

Adolf ściągnął z wieszaka drugą z marynarek i wręczył ją Kleinowi.

– Smoking, brytyjski, skoro mowa o Brytyjczykach.

Klein przejął wieszak z rąk subiekta i włożył jednorzędową marynarkę.

– Ewentualne poprawki jesteśmy w stanie zrobić na miejscu...

Adolf był zadowolony z efektu. Widać było, że Klein włożył właśnie drugą skórę. Bardzo często był świadkiem sytuacji takich jak ta, gdy wydawało się, że uszyte przez krawców ubranie czeka na swojego właściciela, a gdy go znajdzie, nagle przejmuje we władanie ciało, na którym zapragnęło się zaprezentować.

– Brniemy w to dalej...

Adolf przyjął te słowa jako pochwałę. Skłonił się i wycofał z przebieralni. Zajęty kompletowaniem pozostałych elementów garderoby nie zauważył Izaaka Brassa, który wyszedł z gabinetu i zatrzymał się u szczytu schodów. Kupiec szczególnie sobie upodobał to właśnie miejsce. Wyglądał, jakby unosił się w powietrzu nad drewnianymi regałami, chłonąc zapachy i obrazy stanowiące esencję tego miejsca.

Adolf wkrótce znów zniknął w przebieralni. Podał Kleinowi koszulę i spodnie i ponownie ulotnił się w poszukiwaniu innych akcesoriów.

Gdy ponaglał swojego kolegę, by ten szybciej wyciągnął muszkę z jednej ze szklanych witrynek, obok pojawił się Brass i poklepał go po ramieniu.

– Spokojniej, młody człowieku – upomniał go. – Spieszyć się tak nie wypada. Teraz pobiegiesz do Salamandry i dobierzesz dla kapitana Kleina odpowiednie obuwie. Ja zajmę się naszym klientem.

Herke skinął głową, choć niechętnie. Żał było mu choć na chwilę opuszczać sklep Brassa. Jednak świadomość, że dobierać będzie odpowiednie obuwie dla Herr Kleina, była równie kusząca. Dziś mógł zdobyć uznanie swojego szefa, ale przede wszystkim kapitana, o którym mówiło już całe miasto.

Subiekt wybiegł więc ze sklepu, a Izaak Brass skierował się do przebieralni.

– Szanowny pan, pozwolę sobie zauważyć, wygląda w smokingu pierwszorzędnie. Proszę jednak odzienia jeszcze nie ściągać. Ubrania nieszyte na miarę mają to do siebie...

– ...że nie są szyte na miarę – dokończył Klein, rozpinając koszulę.

– Z ust mi to szanowny pan kapitan wyjął. – Brass się uśmiechnął. W jego dłoni jakimś niepojętym sposobem znalazły się nagle rozwijana miarka, ołówek i notes. – Potrwa to tylko minutkę. Wiem, że w związku z ostatnimi wydarzeniami kapitan ma teraz ręce pełne roboty. Takie to niespokojne czasy nastąpiły! Wojna niby się skończyła, ale duchy przeszłości długo o sobie nie dadzą zapomnieć.

– O jakich duchach pan mówi?

Kupiec poprawił marynarkę na plecach klienta, ocenił długość rękawów, cmokając z uznaniem, i dopiero wtedy się odezwał, zapisując jednocześnie uwagi i miary w notesie.

– To jedynie głędzenie starego człowieka, który widział niejedno i przeżył niejedno. Wojna, niby się skończyła... ale ona wciąż żyje w sercach ludzi i długo nie

da o sobie zapomnieć. Wojna potrafi obudzić w człowieku demony, wyciągnie wszystko, co w nim najgorsze. Półtora roku mija, bieda u nas aż piszczy, długo wychodzić będziemy z kryzysu. Jedni szybciej, drudzy wolniej. Te różnice między ludźmi będą jeszcze długo widoczne. Wystarczy kilku takich, co będą wiedzieli, jak wykorzystać niezadowolenie innych, rzucą kilka wspaniałych haseł, znajdą wroga, który będzie odpowiedzialny za całe zło. A kiedy już każdy ubrudzi ręce, by wroga zniszczyć, nie będzie odwrotu... Powiedziało się „A”, to i „B” trzeba powiedzieć. Z kolei to „B”, to może być czymś, co zachwieje wiarą w człowieka.

Klein szeroko rozłożył ręce, gdy kupiec mierzył mu obwód klatki piersiowej. Milczał, domyśliwszy się, że starszy mężczyzna jeszcze nie skończył.

– Weźmy, na przykład, niedawną próbę przewrotu w Berlinie. Oprócz tego ze wschodu płynie czerwona zaraza, która jeśli nie natrafi na opór Polaków, nie zatrzyma się nawet w Berlinie. Ledwie wczoraj baliśmy się Czechów, że wkroczą wojskiem do hrabstwa i zajmą Kłodzko, wszyscy byli skłonni się bić na śmierć i życie. Teraz Czesi już nie stanowią takiego zagrożenia, ale kto wie, co przyszłość przyniesie. Mnie się tam wydaje, że najgorsze czasy dopiero nadejdą i przyczyn złego nie należy szukać na zewnątrz, a w środku... Ryba od głowy się psuje...

– Więc te zabójstwa to duchy przeszłości czy zwiastun tego, co nadjedzie?

– Nierozzerwalne jedno z drugim, kapitanie, ciężko mi to mówić... Słyszałem o tym, co rano się stało przy młynie. Mieszkam w tym mieście długo i kocham je. Ślepy jednak nie jestem. Trzy zabójstwa, w dosyć szczególnie wybranych miejscach...

– Co pan ma na myśli?

– Kapitanie – Brass przesunął miarką wzdłuż ramienia Kleina – przecież pan wie. Inni zaraz też zaczną snuć domysły, puszczać plotkę w miasto. Ci szukający sensacji i ci, którzy z natury lubią podburzać i psuć krew. Ja wiem, że pan dostrzega rzeczy szybciej niż inni.

– Sugeruje pan, że poszukiwanie wrogów już się zaczęło?

– Proszę wybaczyć, że nadużywam swojej roli. Może lepiej, jeśli zapomni pan o bredniach starca. Musi pan jednak zrozumieć: niektórzy wciąż sądzą, że Żyd gotuje ludzi w smole i upuszcza im krew w szatańskich rytuałach. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Winnych szukać będą tam, gdzie najłatwiej. Ten, kto dopuścił się tych strasznych rzeczy, niech za grzechy odpowie, ale gorsze, gdy ludzie doszukują się przyczyn w sferach, w których są ignorantami. Wiem, że nie dopuści pan do żadnej nagonki i znajdzie prawdziwych morderców, nie kierując się uprzedzeniami.

– Nie kieruję się uprzedzeniami.

– Wiem, szanowny panie, wiem. – Brass skłonił głowę i pobrał ostatnią miarę.

W momencie, w którym zapisywał uwagi w notesie, w przebieralni pojawił się Adolf z pudełkami butów z Salamandry.

– Wybrałeś odpowiednie dla kapitana? – zapytał Brass.

– Oxfordy, czarne z lakierowanej skóry. – Subiekt miał wypieki na policzkach, był zadowolony z wyboru.

– Wyśmienicie. Proszę przymierzyć, kapitanie. Wszystko, co pan wybrał, prześlemy do pańskiego hotelu w ciągu godziny. Proszę wybaczyć mi także moją wcześniejszą bezpośredniość. Życzę udanego wieczoru i dziękuję za wybranie naszego sklepu. – Właściciel ukłonił się klientowi.

– Dziękuję także, panie Brass.

Kupiec uśmiechnął się i wyszedł z przebieralni.

Klein włożył buty i wykonał w nich kilka kroków. Okazały się wcale wygodne.

– Resztę dodatków proszę wybrać według własnego uznania, spisał się pan znakomicie – powiedział, wręczając subiektowi spory napiwek.

Potem wyszedł ze sklepu odprowadzany pełnym zachwytem wzrokiem Adolfa i zamyślonym spojrzeniem Izaaka Brassa.

*

Klein znalazł się na Judengasse kilka minut później.

Popatrzył w okna kamienicy na pierwszym piętrze, należące do mieszkania, które – jak pamiętał z raportu policyjnego – wynajmowane było przez majora Peschke. Wszedł przez bramę budynku i odnalazł pokój dozorca. Po krótkiej rozmowie ze starszym zarumienionym mężczyzną i przejęciu od niego klucza ruszył w górę. Drzwi były opieczętowane, więc zdjął pieczęcie. Otworzył, po czym przekroczył próg. Znalazł się w dawno niewietrzonym mieszkaniu, w którym unosił się zapach pleśni i kurzu.

Na apartament składały się korytarzyk i jedno sporych rozmiarów pomieszczenie będące zarazem kuchnią i sypialnią majora. Pewnym luksusem była dostępna prywatna łazienka. Większość sprzętów musiała stać tu od lat, nadwyreżana przez kolejnych najemców. Klein stanął na środku pokoju i omiół wzrokiem meble i przedmioty. Przechylony obraz z martwą naturą przedstawiający owoce na srebrnej paterze. Po jednej stronie szafa, na poły otwarta, komoda, łóżko z żelazną ramą i biurko. Po drugiej piec, kilka garnków i stolik wyznaczający część jadalną. Był to pokój pozbawiony osobistych akcentów, pokój osoby, która nie czuła związku z miejscem, przybywała tylko na chwilę, by zaraz ruszyć dalej. I która mimo to spędziła tu ponad pół roku.

Klein podszedł do biurka. Przesunął palcem po blacie, zbierając grubą warstwę kurzu. Następnie ruszył w stronę stołu w części kuchennej. Zasiadł na rozchybotanym krześle.

Kilka dni temu otrzymał z rąk przełożonego w Berlinie oprawny w skórę notes, dziennik majora Peschke. Była to książka adresowa z zaledwie kilkoma nazwiskami i numerami telefonów. Świadczyła o tym, że major nie nawiązał zbyt szerokich stosunków w mieście, co potwierdzały słowa Koschelli. Znalazł się też w notesie

zapis przemyśleń dotyczący spraw, wydawało się, błahych, zupełnie do majora nieprzystających. Tym bardziej nie pasowały w tych notacjach ostatnie słowa, które major zapisał w przeddzień swojej śmierci.

– Są zepsuci do szpiku kości. Zdrajcy ojczyzny – wyszeptał kapitan.

Podłoga skrzypnęła, jakby pobudziły ją te słowa. Kleina przeszedł chłód. Siedział jednak jeszcze chwilę, niby na coś czekając.

W końcu wstał i ruszył w stronę drzwi. Zastanawiał się, jakich zdrajców ojczyzny miał na myśli major Peschke.

*

Około drugiej po południu Klein wszedł do budynku Hotelu Dworcowego. W samą porę, by uniknąć ulewy, która przetoczyła się nad miastem. Poszarpane brunatne chmury przysłoniły niebo, krople deszczu ciężko zabębniły o bruk. Zerwał się wiatr wyrywający parasole z rąk tych, którzy nie zdążyli znaleźć schronienia. Gwałtowny podmuch wepchnął Kleina do ciepłego przedsionka, gdzie przywitał go nieznany mu wcześniej hotelowy boy. Kapitan wyminął recepcję i skierował się do swojego apartamentu.

Już w pokoju zdjął kapelusz i płaszcz, po czym usiadł za biurkiem. Zapatrzył się w rozpościerający się za oknem Sellgittplatz. Świat w jednej chwili stał się ponury i odpychający. Temperatura spadła do zaledwie kilku stopni. Dorożkarz, który oczekiwał na klientów tuż przy wejściu na perony, okrył swoją klacz brezentem, a sam skulił się we wnętrzu budy. Klein przez chwilę także miał ochotę zaszyć się w tym pokoju i nie wystawiać czubka nosa spod pierzyny. Nie pozwolił sobie jednak na tę słabość z kilku powodów. Jednym z nich, najbardziej dokuczliwym, był głód, który właśnie dał o sobie gwałtownie znać.

Kapitan wstał z krzesła. Przez chwilę nasłuchiwał, lecz wszelkie odgłosy, skutecznie zagłuszało bębnienie kropli deszczu o szybę. W końcu podszedł do drzwi pokoju Agnes. Były otwarte, jej samej jednak w środku nie było. Gdyby nie oparta o ścianę walizka, mógłby przysiąc, że ten pokój od dawna pozostawał pusty, a jego lokatorka jest jedynie wytworem jego wyobraźni.

Wyszedł na korytarz. Służba hotelowa zdążyła zapalić światła, przez co wydawało się, że nastał już wieczór. Wyminął kobietę z podręcznym wózkiem, na którym piętrzyły się śnieżnobiałe wykrochmalone ręczniki i przybory do czyszczenia. Zszedł na parter, do restauracji.

Całun chmur szczelnie pokrył niebo za oknami. Także tutaj zapalono wszelkie możliwe światła. W głównej sali był spory tłum. Wśród klientów panował radosny nastrój, pobrzękiwały naczynia i sztućce, z radia sączyły się dźwięki skocznej muzyki. Klein dostrzegł, że ustronne miejsce, które sobie upodobał, jest wolne. Skierował się tam i usiadł przy stoliku.

Przez krótką chwilę studiował kartę. Zastanawiał się nad „królem potoku górskiego w marchewkowej bryzie”, ale postanowił jeszcze raz dać szansę tradycyjnym miejscowym kluskom. Czekał na kelnera, popijał wodę mineralną i rozmyślał o wydarzeniach poranka i poprzedniego dnia.

W pierwszej chwili nie zauważył, że stoi przed nim parujące danie. Poniewczasie skinął głową kelnerowi, który zdążył się już oddalić, i chwycił za sztućce.

Jadł z zapałem, czując rozchodzące się po ciele ciepło. Nigdy w pełni nie doceniał smaku i zapachu dań. Służyły tylko jako niezbędne paliwo. Już po kilku kęsach jego zapał osłabł, a oręż w postaci widelca i noża stał się ciężki i nieporęczny.

Klein mimowolnie zlustrował pomieszczenie. Widział ze swojego miejsca recepcję i teraz dostrzegał obecnych tam dwóch znajomych mu mężczyzn. Koschella i Roth wdali się w dyskusję z portierem. Stary recepcjonista musiał widzieć wchodzącego do restauracji Kleina, teraz jednak bronił jego prywatności, nie zdradzając miejsca pobytu. Franz rozeźlony uporem pracownika hotelu aż poczerwieniał na twarzy. Roth wykazał się większą trzeźwością umysłu i spostrzegawczością. Klepnął Koschellę w plecy i dyskretnie wskazał wnętrze restauracji. Już po chwili obaj mężczyźni pojawili się przy stoliku Kleina.

– Przepraszamy za najście, kapitanie – zaczął Koschella. – Ważna sprawa...

– Jak ważna, to siadajcie. – Klein wskazał im krzesła naprzeciw.

– No, ważna – potwierdził basowo Koschella. Przed zajęciem miejsca ściągnął płaszcz i kapelusz, po czym rzucił je na wieszak zamontowany przy ścianie. – Uznaliśmy z Rothem, że przyda się z panem porozmawiać dzisiaj, przed tą jutrzejszą odprawą, jeśli to nie problem...

Mówiąc, Franz spoglądał na talerz Kleina, widać jednak jedzenie przełożonego nie pobudziło jakoś szczególnie jego soków trawiennych. Usiadł ciężko przy stole, a po chwili dołączył do niego Roth.

– Macie pytania, Koschella. To dobrze, kto pyta, mniej błądzi...

– Mniej? – Koschella zaśmiał się, wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę papierosów i położył ją przed sobą na blacie. – Może i racja... Więc pytania mamy. Ale zbiorę to najpierw do kupy, żebyśmy mieli jasność co do całego tego bałaganu.

Przez chwilę milczeli. Franz zbierał myśli, a Klein go nie poganiał.

– Są trzy trupy – odezwał się w końcu wachmistrz. – Najwyraźniej te morderstwa są ze sobą powiązane. Tylko za cholere nie wiem jak...

Roth wyczuł na sobie spojrzenie Koschelli, ale nie miał na razie zamiaru włączać się do rozmowy.

– Dobra – Franz potarł szczękę, po czym oparł łokcie na blacie – to inaczej. Coś zacząłem niuchać i teraz to zbiorę do kupy. Zacznę od orientacji politycznych i zawodów, bo tutaj mi się wydaje może się coś zgrywać albo wręcz przeciwnie...

– Śmiało, wachmistrzu – zachęcił Klein.

Koschella skinął głową i zaczął wyrzucać z siebie słowa jak katarynka:

– Według moich informacji major Peschke światopoglądowo był bliski partii centrum. Rajca Dinter ma pochodzenie robotnicze, popierał tę nową NSDAP. Wicedyrektor banku, Beier, jak żywcem wyjęty z Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej. To może mieć znaczenie, ale nie musi...

– Coś jeszcze panu przychodzi do głowy, Franz?

– No, miejsca zbrodni, tu mi coś nie gra... a panu, kapitanie?

Roth wciąż milczał. Na pytanie, które chciał zadać Koschella, znał odpowiedź, był bowiem świadkiem rozmowy Kleina z doktorem Kuhnastem. Nie chciał jednak się zdradzać. Postanowił poczekać, co z tej rozmowy wyniknie.

Klein odłożył sztucę na talerz; wydawało się, że zrobił to z ulgą.

– Znacie miasto jak własną kieszeń, nawet bez mapy traficie w każdy zakamarek. Wyobraźcie sobie jednak, Koschella, że macie teraz przed oczami plan Kłodzka.

– No mam. – Franz wyglądał teraz tak, jakby rzeczywiście przyglądał się niewidzialnej mapie.

– Zaznaczcie na niej trzy miejsca zbrodni...

– Trójkąt – parsknął niecierpliwie Koschella. – To bez mapy wiadomo. Ale co w tym niezwykłego? Trzy miejsca zbrodni, trzy wierzchołki. Zawsze będą stanowić trójkąt!

– To trójkąt równoboczny. – Roth zdecydował się wtrącić. – Ten trójkąt jest równoboczny. Wątpliwe, by był to przypadek.

– To nie jest przypadek – potwierdził Klein.

Franz zaczął bawić się paczką papierosów, obracając ją w dłoniach.

– Ale pytanie jest wciąż aktualne – powiedział, wpatrując się w przełożonego. – Skąd pan wiedział, że to będzie właśnie taki trójkąt, i jak się pan, na Boga domyślił, gdzie ukryli trzeciego trupa?

– Zaczniemy od początku. – Klein wyprostował się na krześle i wytarł usta chusteczką. – Zaczniemy od wydarzenia sprzed tygodnia, czyli pierwszego zabójstwa i majora Peschke. Mieliśmy tam co najmniej dwóch sprawców. Jednym z nich był snajper umiejscowiony na dachu nad Grüne Strasse, drugim jego pomocnik. Musiał przebywać w pobliżu majora i po tym, jak oddano celny strzał, był jednym z pierwszych, którzy próbowali udzielić mu pomocy. Zostawił on na piersi majora znak, cięcie przechodzące od dołka szyjnego do lewego sutka.

– Co z drugą ofiarą, Dinterem?

– Drugą odnaniezoną ofiarą był rzeczywiście rajca. Na jego piersi wśród licznych obrażeń także pojawił się znak, cięcie pomiędzy sutkami. Wykonane od lewej do prawej strony...

– Drugi bok trójkąta równobocznego. Czy ci popaprańcy wskazywali nam kolejne miejsca zbrodni? – Franz kręcił głową, nie dowierzając temu, co słyszy.

– Na to wygląda – potwierdził Jürgen.

– Zaraz. – Koschella wyciągnął wreszcie papierosa z paczki i zaczął obracać go w palcach. – Pierwsze zabójstwo było jawne, jak to pan określił, kapitanie,

spektakularne, tym bardziej drugie. Major Peschke zginął wśród tłumu przechodniów. Rajcę odnaleziono kilka godzin po śmierci w miejscu, w którym ciała nie można było przeoczyć. Wiadomo było, że ktoś szybko znajdzie zwłoki. To morderstwo było równie spektakularne. Przy trzecim trupie jednak odnalezienie zwłok wicedyrektora mogło trwać cholernie długo!

– Palce – wtrącił Roth. – Zabójcy wysłali palce wicedyrektora Beiera w przesyłce do ratusza. Dali nam w ten sposób sygnał, że będzie trzecia ofiara...

Wachmistrz Koschella zaśmiał się głośno.

– I myślisz Roth, biedaku, że którykolwiek z nas wpadłby na to, gdzie ukryto zwłoki Beiera? Udałoby się nam to bez pomocy z zewnątrz? Ten plan miał cholernie dużą dziurę... z całym szacunkiem dla nas wszystkich, pracujących w kłodzkiej policji, ta misterna układanka mogła się posypać. Trup z młyna wypłynąłby, dopiero gdyby przegnił albo gdyby nastąpiła susza. Tylko kapitan Klein mógł wpaść na to, gdzie znaleźć trzeciego denata...

Roth przygryzł wargi i przezornie milczał. Wachmistrz miał sporo racji w ocenie działań kłodzkiej policji. On sam był najlepszym przykładem indolencji. Nie domyślił się, dlaczego Klein wysłał go w nocy na Górny Młyn, myślał, że to forma testu. I być może tak było, ale Roth w takim razie go oblał.

– To jakaś upiorna zabawa. – Koschella uważnie wpatrywał się w Kleina, jakby chciał go zmusić do jakiejś reakcji. Włożył papierosa do ust i potarł zapalką o draskę. Zaciągnął się dymem. – Mam wrażenie, że zabójcy podjęli grę, ale z panem. Rajcę znaleziono na moście noc po pańskim przyjeździe, być może w tym samym czasie wiceprezes banku został przywiązany do kratownicy w Górnym Młynie... Jeśli chcieli przetestować śledczego, który dotarł do nas z Berlina, to im się udało, tylko nie wiem, czy szybkość, z jaką pan to rozgryzł, nie przerosła ich oczekiwania.

Klein słuchał z uwagą tego wywodu, wydawało się nawet, że wachmistrz zdobył w jego oczach uznanie. W rzeczywistości była to sprawa, która nie dawała mu spokoju podczas posiłku.

– Może zbierzmy to, co wiemy? – zaproponował Roth, chcąc także czymś się wykazać. – Mamy kilka punktów zaczepienia. Nawet więcej, niż można byłoby się spodziewać.

– W porządku – zgodził się Klein. Sięgnął po butelkę wody mineralnej, odkorkował ją i nalał sobie do szklanki. – Omówmy je więc.

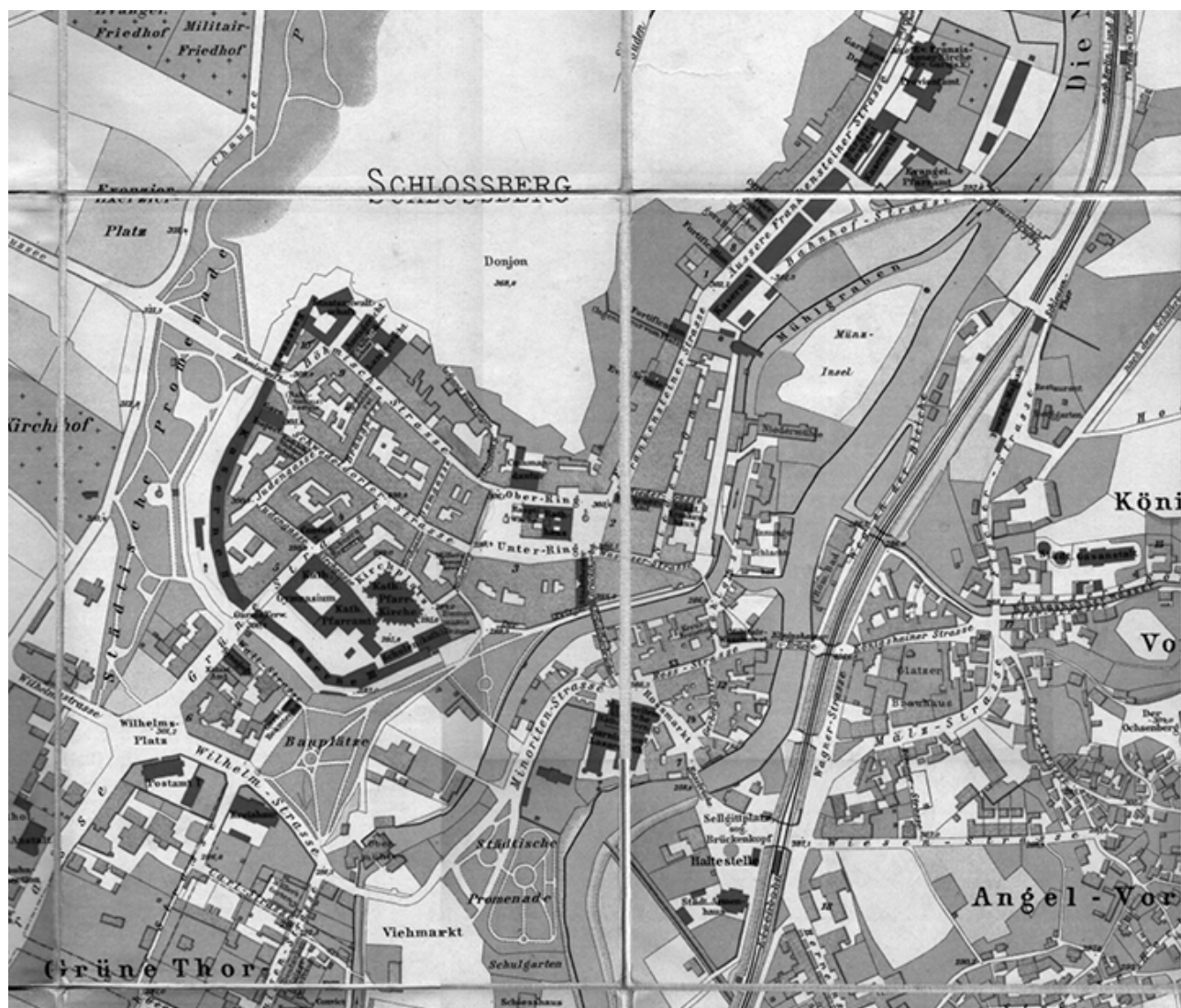
– Czas, miejsce, ofiary, sposób zabójstwa... – Roth poczuł się mile połączony zainteresowaniem przełożonego. Uznał, że powinien przejąć inicjatywę podczas tej rozmowy.

– Czas chyba możemy pominąć. – Franz przysunął sobie popielniczkę. – Żadna z tych dat z niczym mi się nie kojarzy. Najprawdopodobniej były przypadkowe, chyba że rzeczywiście pojawienie się kapitana Kleina przyspieszyło pokazówkę zabójców...

– Więc miejsce – kontynuował niezrażony Roth. – Tu mamy spore pole do popisu. Trójkąt równoboczny, każde z miejsc, w których znaleźliśmy ofiary, zostało starannie wybrane. Symbolika trójkąta musi mieć znaczenie.

– Zaraz, a może to koniec tej całej zabawy? – Grymas na twarzy Koschelli zdradzał, że wcale tak nie myśli. – Trójkącik na mapie odznaczony, geometryczny zabójca osiągnął spełnienie, teraz na jakiś czas odpuści, przynajmniej dopóki nie zapala miłością do jakiejś nowej figury geometrycznej...

– To nie koniec zabójstw, ale w jednym masz rację Koschella, zabójstwa skończą się w momencie, gdy ci, którzy je popełniają, zamkną listę swoich ofiar w takiej czy innej konfiguracji.



– Listę? – zapytał Roth, patrząc z niedowierzaniem na Kleina.

– Przejdźmy do kolejnego punktu zaproponowanego przez Jürgena: ofiary. – Kapitan powrócił do spożywania posiłku, jakby nagle nabrał apetytu.

– Na pierwszy rzut oka... – Roth zamrugał gwałtownie, próbując wrócić myślami na odpowiednie tory. – Na pierwszy rzut oka nic nie łączy ofiar. Chociaż znaczące jest, że każda z nich piastowała ważną funkcję i pochodziła co najmniej z klasy średniej. Mamy wojskowego, miejskiego rajcę i wicedyrektora banku... Pierwsza z ofiar, major Peschke, pojawiła się w Kłodzku więcej niż pół roku temu, rajca Dinter był już wtedy nieobecny w Kłodzku, przeniósł się do Wrocławia. Najprawdopodobniej więc nigdy nie widzieli się na oczy, choć to trzeba jeszcze sprawdzić. Na razie dostaliśmy telegraficzną informację z Wrocławia, że Dinter miał jakoby wyjechać z miasta w sprawach służbowych. Nawet rodzinie nie zdradził, gdzie jedzie i kiedy wróci. W jakim celu pojawił się w Kłodzku, pewnie jeszcze długo pozostanie zagadką. Wracając do tematu: Dinter i Peschke się nie znali, ale wicedyrektor banku mógł znać się z rajcą. Wątpliwe natomiast, żeby miał jakieś bliższe stosunki z majorem. Ten ostatni z nikim nie nawiązywał znajomości i miał opinię odludka...

– Ich profesje. – Koschella przysłuchiwał się wywodowi Rotha w milczeniu, zapomniał nawet o papierosie, który zmienił się w słupek siwego popiołu. Strzepnął go do popielniczki. – Finansjera, wojsko, władze miejskie... Brakuje jeszcze jakiegoś księżulka i można byłoby pomyśleć, że to jakieś kółko wzajemnej adoracji. Trzeba się im bliżej przyjrzeć. Może rzeczywiście łączy ich członkostwo w jakimś stowarzyszeniu, organizacji miłośników figur geometrycznych, na przykład.

– A co z ostatnim poruszonym przeze mnie punktem? – zapytał Roth. – Sposób zabójstwa?

– Koschella? – Klein wyczekująco spojrział na wachmistrza.

Franz się skrzywił. Znowu poczuł się jak czasach w gimnazjum, kiedy profesorowie wywoływali go do tablicy.

– Dobrze zaplanowane i zorganizowane. Każde z tych zabójstw miało być głośne, przyciągać uwagę... Powiedziałbym, że brawura granicząca z szaleństwem. Do tego profesjonaliści. Przemysłili każdy szczegół...

– Więc dlaczego zostawiają takie ślady jak ten trójkąt? – przerwał Roth. – Chyba naprawdę prowadzą jakąś grę. Są pewni siebie, działają tak, jakby chcieli nam powiedzieć, że w niczym im nie przeszkodzimy. Co więcej, byli tak bezczelni, że sprawdzali, czy pójdziemy tym tropem, i obserwowali nasze poczynania przy młynie. Jeśli naprawdę planują kolejne zabójstwa...

– Drugi trójkąt? – zakpił Koschella.

Nikt na tę uwagę się nie roześmiał.

– Jest kilka możliwości. – Klein ponownie odsunął od siebie talerz. Sięgnął po pudełko zapalek, które wcześniej przywłaszczył sobie wachmistrz Koschella, i przesunął je w stronę Rotha. – Układaj, Jürgen...

Roth się zaczerwienił. Wiedział, czego oczekuje od niego przełożony. Musiał wiedzieć, że poprzedniego dnia jego uwagę przykuła ułożona na stole figura z zapalek. Nie zdecydował się udawać, że nie wie, czego od niego oczekuje

przełożony. Otworzył pudełko i próbując zapanować nad drżącymi dłońmi, wyjął zapalniczki. Ułożył figurę w sposób, jaki zapamiętał.

– Kurwa, poważnie? – Koschella zarechotał, płosząc przechodzącego obok ich stolika gościa hotelowego. – Co to jest?

– Heksagram – wyjaśnił Roth. – Tarcza Dawida, pieczęć Salomona.

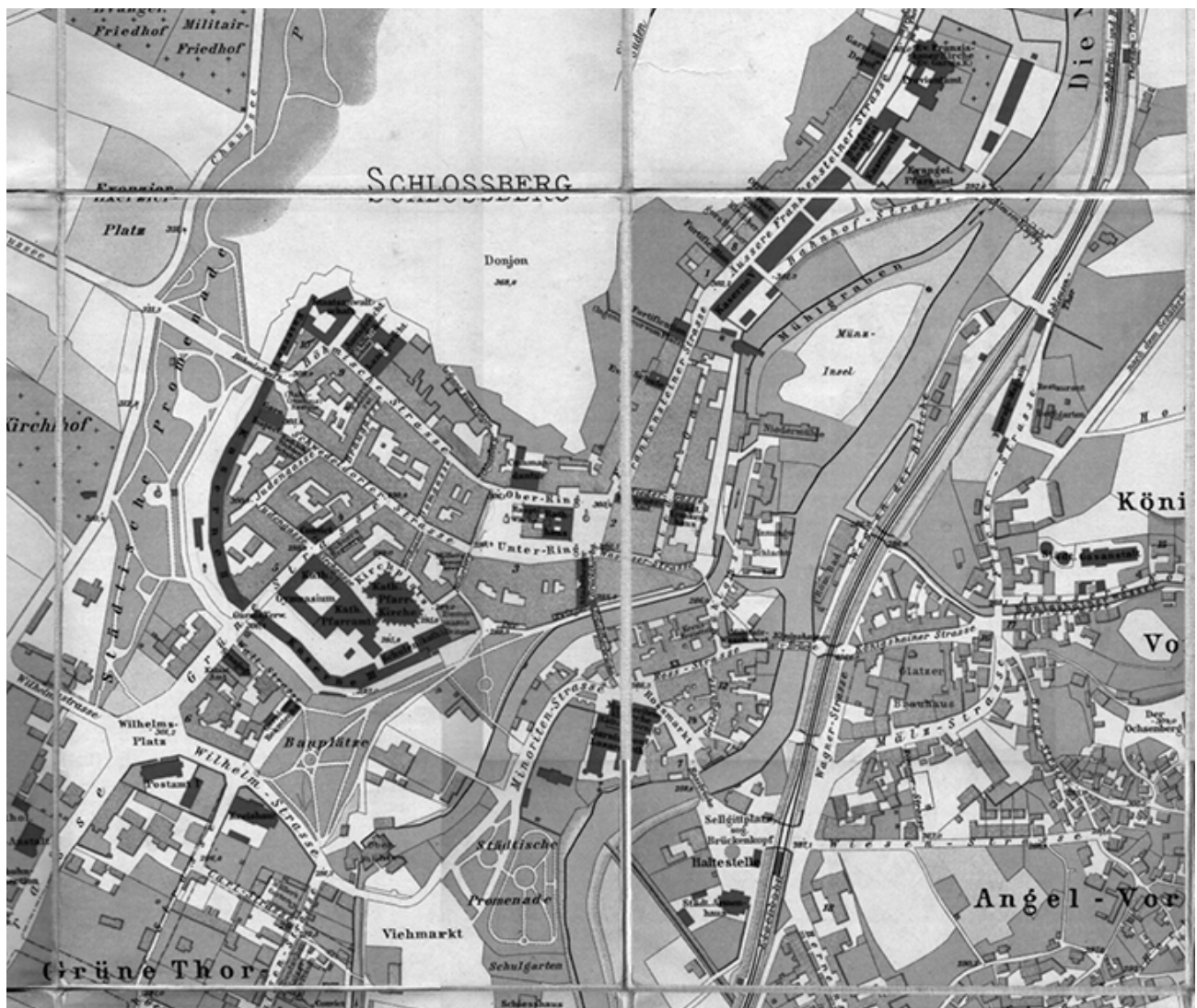
– To jakieś żydowskie pierdoły! Chcesz mi powiedzieć, że zabójstw dokonują Żydzi?

– Nie. – Jürgen zmieszał się, popatrzył na kapitana, szukając u niego pomocy. – To chyba byłoby zbyt proste...

– Jak nie? – Koschella wskazał palcem figurę z zapalniczek. – Dla mnie to oczywiste. Jakieś rytualne mordy, pieczęć Dawida, magia i zabobony. Rozpanoszyli się w naszym mieście, jakby im było mało tego, co już mają.

– Równie dobrze możemy o morderstwa oskarżyć piwowarów – przerwał Klein.

– Piwowarów? – Roth i Franz spojrzeli na siebie, przeczuwając jakiś żart.



– Dwa splecione trójkąty. To równie dobrze może być gwiazda piwowarska, tajemny amulet i znak cechu piwowarów. Wierzchołki jednego symbolizują trzy żywioły: wodę, powietrze i ogień, drugi oznacza kiełkowanie, scukrzanie i fermentację...

Koschella zaczął się obłąkańczo śmiać, sięgnął po serwetkę leżącą na stole i wydmuchał nos. Obok nich przeszedł sztywno kelner, któremu z trudem przyszło udawanie, że nie zwrócił uwagi na poruszenie przy stoliku Kleina.

– To by się zgadzało. – Franz w końcu się uspokoił i wytarł łzawiące oczy. – W wodzie znaleźliśmy wicedyrektora, w powietrzu wisiał rajca, a major zastrzelony z broni na proch, co jak w mordę symbolizuje ogień. Kolejną ofiarę znajdziemy na polu, zakopią ją głową w dół aż zakiełkuje, następną w cukrowni, a ostatnią w beczce po piwie.

Koschella znów wybuchnął histerycznym śmiechem, chwilami się zapowietrzał, a z jego gardła dobywały się dźwięki podobne do tych wydawanych przez osła. Roth patrzył na niego jak na wariata, ale widząc, że nawet Klein się uśmiecha, sam uległ zaraźliwemu śmiechowi. Franzowi pod wpływem tego rechotu wypadł z dłoni papieros. Schylił się więc po niego, uderzając przy tym czołem o blat stołu. To wzbudziło kolejną salwę śmiechu.

– Mam nadzieję, że zrozumiałeś, Kochella, że wysuwanie pochopnych wniosków nie jest wskazane – Klein odezwał się dopiero, gdy wachmistrz się uspokoił. – Bo dlaczego niby uznałeś, że cech piwowarów jest mniej podejrzany od żydowskiej diaspory?

Roth zauważył, że w oczach Kleina pojawił się jakiś błysk. Z napięciem oczekiwał na reakcję Franza na te słowa. Ten był już całkiem poważny, wytarł rękawem usta i odpowiedział:

– Ma pan rację, kapitanie. Musimy jednak poczynić pewne założenia i sprawdzić fakty. I teraz, po pana słowach, prawdę mówiąc, nie wykluczałbym piwowarów. Przypomnę wam tylko, że major został zabity przy browarze Hübnera i jeśli mam być szczery, nigdy ten liliput mi się nie podobał...

– Czy powinniśmy założyć, że pozostałe wierzchołki tej gwiazdy, żydowskiej czy piwowarskiej, są potencjalnymi miejscami, w których dojdzie do kolejnych zabójstw? – zapytał Roth.

– To kolejne trzy miejsca. – Koschella zgasił papierosa w popielniczce. – Trzeba je obstawić i czekać...

– Na to wygląda – powiedział Klein. – W tej chwili nie jestem w stanie znaleźć dla tego rozwiązania alternatywy.

– Ale to będzie oznaczało współpracę z komisarzem Richterem. Sami nie będziemy w stanie przypilnować tych miejsc – zauważył Franz.

Roth wypuścił głośno powietrze z płuc. Nagle zdał sobie z czegoś sprawę.

– Gdy Richter zobaczy heksagram... – zaczął ostrożnie. – Nie skończy się na obstawieniu potencjalnych miejsc zabójstwa. W mieście rozpocznie się nagonka na

Żydów, komisarz na pewno wyśle swoje psy, zaczną się aresztowania wszystkich, których mamy w kartotekach.

– I w czym problem? – zdziwił się Koschella. – Może dzięki temu zapobiegniemy kolejnym trupom.

– Nie wydaje mi się – odparł Roth. – Richter jedynie zdradzi, że wiemy, jaki może być plan morderców.

Koschella zaśmiał się pobłaźliwie.

– Herr Klein dzisiejszym popisem dał już do zrozumienia tym łajdakom, że wie, na czym polega ta ich gra. Wiedział, gdzie będzie trzecie miejsce zbrodni, więc mogli mieć pewność, że dojdzie do tego całego heksagramu...

– Jeśli to heksagram – wtrącił nagle Klein, czym zupełnie zbił z tropu obu podwładnych.

– Podejrzewa pan, że chodzi o coś innego?

– Mówiłem, na razie nie widzę i nie znam innego rozwiązania, ale to nie znaczy, że takie nie istnieje. Jest jednak coś jeszcze, co chciałbym, żebyśmy omówili... Mordercy, co ustaliliśmy, komunikują się za pomocą symbolu, trójkąta czy heksagramu. Jakie jednak cechy waszym zdaniem zostały przez nich podkreślone? Wymieńcie ewentualne motywy i tło przy rozpatrywaniu trzech morderstw razem i każdego z osobna.

Koschella skinął głową. Wyciągnął kolejnego papierosa.

– Tło seksualne przy rajcy. To, że włożyli mu własnego kutasa w gardło, musi mieć znaczenie. Tym bardziej że rajca... – Franz zawahał się, popatrzył na Kleina, ale nie widząc żadnej reakcji, kontynuował: – ...tym bardziej że rajca był odmieńcem. Gdyby nie pozostałe morderstwa, pomyślałbym, że jakaś ciota dokonała na nim zemsty.

– Major Peschke – wtrącił się Roth – został zastrzelony przez snajpera. Mordercy zadali sobie dużo trudu, żeby dokonać morderstwa w ten sposób. Ustaliliśmy wspólnie, że zabójstwa dokonał najprawdopodobniej inny wojskowy. To była niemal egzekucja. Szukałbym więc sprawców wśród wojskowych.

– A bankier? – Franz pokręcił głową. Zwilżył językiem bibułkę papierosa, bo od ugniatania palcami cygaretką się porwała. – Przypięty łańcuchami, najprawdopodobniej próbował przez chwilę utrzymać się na powierzchni, ale żelastwo ściągnęło go na dno. Tutaj powiedziałbym, że zemsta na tle finansowym. Może jakiś dłużnik banku podobnie się czuł, gdy nie mógł spłacić zaciągniętego kredytu i odsetki pociągnęły go na dno?

Roth patrzył na wachmistrza z coraz większym zainteresowaniem. Nigdy nie miał okazji dobrze go poznać, teraz Franz wydał mu się całkiem inteligentnym i dowcipnym człowiekiem.

– Ale mimo szczerych chęci wciąż nie wiem, w jaki sposób można połączyć zabójstwa i motywy... – zakończył Koschella, akcentując swoją bezradność odpaleniem papierosa i zaciągnięciem się dymem.

– W każdym wypadku zwróciliście uwagę na jedną rzecz – odezwał się w końcu Klein. – Karę i zemstę...

– Zemsta – powtórzył Roth. Podrapał policzek, wyczuwając pod palcami dokuczliwy zarost. – To może być nasze powiązanie...

– Koschella. – Klein nagle przysunął się do stołu i nad nim nachylił. – Bank. Zrobisz tam dokładny wywiad, porozmawiasz z pracownikami i dyrektorem. Przejrzysz ich akta, być może znajdziesz coś na temat rajcy. Mam na myśli pożyczki, kredyty... Banki mają swoich detektywów i szczegóły w aktach, których mógłby im pozazdrościć niejeden komisariat. Chcę wiedzieć, z kim się spotykał wicedyrektor, co robił w czasie wolnym, czy ktoś mu groził, czy miał przyjaciół i wrogów. Co do ciebie, Roth, twoje zadanie jest wciąż aktualne. Masz przeszukać akta policyjne i archiwalia w poszukiwaniu informacji o stowarzyszeniach. Do tego zrobisz dokładne rozeznanie w magistracie.

– A co z majorem? który z nas ma rozeznaczyć się w jego sprawie? – zainteresował się Franz.

– Zostawcie to mnie, wachmistrzu.

Klein nie usłyszał sprzeciwów.

– Pozostaje ostatnia kwestia – zaczął nieśmiało Roth. – Trzeba chyba powiadomić komisarza Richtera, jeśli mamy obstawić potencjalne trzy miejsca zbrodni...

– Pan to robi – zdecydował Klein. – Proszę mu przekazać nasze ustalenia. Na razie to wszystko.

Roth i Koschella pożegnali się zdawkowo z przełożonym i opuścili hotel. Klein także wstał od stołu i ruszył w stronę swojego pokoju. Po drodze zatrzymał go recepcjonista: wręczył dwa listy, które dostarczyli mu posłańcy.

Klein otworzył koperty w swoim pokoju. W pierwszej znalazł zrobione przez Marxa fotografie. Kapitan nie pomylił się co do tego fotografa – wykonał on szczegółowe, świetnej jakości zdjęcia, uwieczniając na nich także ciekawskich zgromadzonych przy Górnym Młynie. Klein zanotował w pamięci, że będzie musiał jeszcze zdobyć zdjęcia z kamiennego mostu wykonane przez fotografa policyjnego. Otworzył drugą kopertę. Znalazł w niej karteczkę. Przeczytał wiadomość, a potem sięgnął po płaszcz i kapelusz i wyszedł z hotelu, kierując się w stronę przemokniętego dorożkarza.

*

Roth miał wrażenie, że głowa wkrótce eksploduje mu od nadmiaru informacji. Rozmowa w Hotelu Dworcowym przerosła jego wszelkie wyobrażenia. Po raz pierwszy uczestniczył w konwersacji, w której każdy z uczestników był równorzędnym partnerem, przynajmniej jeśli chodzi o swobodę wygłaszania poglądów i wnoszenia propozycji. Nie miał jednak złudzeń, że nie jest w stanie przebić Kleina pod względem doświadczenia i przenikliwości czy też intuicji.

Wkrótce znalazł się w ratuszu. Nie zdążył dobrze otrzepać płaszcza z nadmiaru wody, gdy został wezwany na dywanik komisarza Richtera. Wchodząc na piętro, pochwalił się w duchu za swoją przezorność. Jego ostatnie pytanie zadane Wilhelmowi Kleinowi w Hotelu Dworcowym miało szerszy kontekst. Był pewien, że jeszcze dziś Richter będzie chciał wyciągnąć z niego jakieś informacje, a zgodnie z zasadą, którą postanowił się kierować, wolał mieć przyzwolenie Kleina na przekazanie wzajemnych ustaleń osobom trzecim.

Przeszedł obok sekretarza Ottona Fenglera, który stał przy swoim biurku z łyżką przyłożoną do skroni i kwaśnym wyrazem twarzy. Odprowadzany wzrokiem przez tego wieloletniego pracownika ratusza domyślał się, że ten współczuje mu wizyty u Richtera i zastanawia się, czy asystent policyjny wyjdzie z owego spotkania w jednym kawałku.

Jürgen był jednak dobrej myśli. Zapukał do komisarskich drzwi. Otworzył, gdy dobiegło go chrapliwe polecenie, by „wchodził i nie robił przy tym, kurwa, przeciągów”.

– Jürgen Roth. Wzywał mnie pan, panie komisarzu! – Zdążył dostrzec dwie pieczętki leżące pod drzwiami. Wykonał dłuższy krok, by na żadną nie nadepnąć. Jedna z nich, mógł się założyć o sto marek, miała chwilę wcześniej bliski kontakt z głową sekretarza.

– A tak, tak! – Richter poderwał się od biurka i stanął przy Jürgenie na szeroko rozstawionych nogach. Zaplótł przy tym ręce za plecami, przez co przypominał pewnego francuskiego dyktatora. – Siadaj pan!

Jürgen wykonał polecenie. Stracił nieco pewności siebie, gdy zobaczył, że sztuczny uśmiech Richtera maskuje frustrację, której najwyraźniej nie złagodziło ciskanie w podwładnych akcesoriów biurowych.

– Nie mam czasu na pogaduszki, asystencie Roth, ani na zabawy tego całego Kleina!

Jürgen wbił wzrok w ustawiony na blacie biurka potencjalny arsenał komisarza. Jedna z pieczętek, wielkości pięści dorosłego mężczyzny, budziła zasłużony respekt.

– Co masz mi do powiedzenia, Roth? Bo chyba masz mi coś do powiedzenia?

– Panie komisarzu, dziś rano odkryliśmy z kapitanem Kleinem zwłoki wicedyrektora banku, Herr Johanna Beiera, i...

– Nie mówicie mi tego, co wiem, Roth! – wrzasnął Richter. – Chyba nie macie mnie za głupka! Chcę wiedzieć, w jaki sposób Klein ustalił to miejsce zbrodni! I co ważniejsze: co jeszcze wie!

Roth błyskawicznie przeanalizował sytuację. Nie mógł dłużej kluczyć i udawać, że unika odpowiedzi. Richter już teraz żądał dowodu pełnej lojalności i opowiedzenia się po jednej ze stron. Podjął więc decyzję.

– Miejsce ustalił na podstawie ran, linii na piersi, które mordercy zostawiali na ciele denatów. Gdyby je zestawić, utworzyłyby trójkąt równoboczny. Trzeci wierzchołek owego trójkąta, po porównaniu z planem miasta, wskazywał Górny

Młyn. Klein nakazał spuszczenie wody w kanale, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Gdy woda odsłoniła zwłoki wicedyrektora...

– Dobrze, dobrze. – Richter, wydawało się, nieco się uspokoił. Jeszcze przed chwilą krążył wokół podwładnego jak lew zastanawiający się, czy aby na pewno ma pełny żołądek. Teraz zatrzymał się przy biurku i nawet uśmiechnął. – Doktor Kuhnast powiedział mi o całej tej teorii z trójkątem dziś rano...

Roth skinął głową. Zdał sobie sprawę, że komisarz właśnie poddał go testowi.

– Nasi ludzie pracują teraz nad kilkoma teoriami. Wszyscy jesteśmy pewni, że to nie koniec zabójstw.

– Tak, kapitan Klein także tak uważa i... – Roth zamilkł, słysząc stęknienie komisarza. Najwyraźniej samo nazwisko kapitana miało na niego negatywny wpływ.

Richter zasiadł za biurkiem i zaczął przesuwając stojące na nim drobiazgi. Spowodował tym u asystenta policyjnego nerwowe przełknięcie śliny.

– Mów pan... – zachęcił go komisarz słodkim głosem, w którym Jürgen mimo wszystko wyczuwał jedynie jad.

– Heksagram... ale kapitan nie jest tego pewny.

– Na jakiej podstawie mu to przyszło do głowy? – komisarz wydawał się zaskoczony.

– Nie do końca wiem – wydusił z siebie Roth. – Być może te rany na ciele ofiar. Widziałem, jak kapitan układał zapalki w różnej konfiguracji...

– Zapalki? – Richter wybuchnął nerwowym śmiechem. – Czy ty słyszysz, Roth, jak to brzmi? On wróży z fusów! Nawet jeśli określimy potencjalne miejsca przyszłego zabójstwa, nie możemy pilnować ich całą dobę, przez Bóg wie jaki okres! Nie! – Richter przybrał mentorski ton, co spowodowało, że Jürgen był w stanie jedynie kiwać głową. – Nam powinno zależeć na schwytaniu tych degeneratów! Na zapobieżeniu przestępstwu, a nie znajdowaniu kolejnych zwłok!

Roth wciąż kiwał głową, chociaż akurat z tym ostatnim stwierdzeniem komisarza nie był w stanie się zgodzić. Przypomniał sobie historię sympatyzującej z Francuzami Charlotte Ursinus, która w czasie oblężenia twierdzy kłodzkiej przez wojska napoleońskie zatrąła studnię z wodą pitną, by zmusić załogę do poddania się wrogowi.

– Nie możemy sobie pozwolić – ciągnął Richter – by mieszkańcy przestali nam ufać, by stracili wiarę w nasze kompetencje. Dziś rano dostałem ten list, był umieszczony w takim samym pudełku jak palce wicedyrektora Beiera...

Richter wyciągnął z kieszeni kopertę. Wyjął z niej złożoną na pół kartkę i rzucił ją na biurko przed nos asystenta.

– Rozpoczęły się aresztowania i przesłuchania...

Jürgen nagle się spocił. Rozpoznał wyrysowany atramentem znak dwóch zachodzących na siebie trójkątów równobocznych. Wiedział, co oznacza ta deklaracja, wraz z Kleinem i Koschellą przewidzieli ten scenariusz. Aresztowania mogły dotyczyć wszystkich podejrzanych Żydów, którzy znajdowali się

w kartotekach kłodzkiej policji. Richter chciał jak najszybciej złapać mordercę, nie bacząc na konsekwencje.

– Czyli kapitan Klein ma rację, nie wróżył z fusów – wyszeptał pod nosem.

– Co? Co tam mówicie, asystencie Roth? – Richter kipiał złością. Nie czekał na odpowiedź, wyrzucał z siebie kolejne zdania. – W tej chwili wyciągamy z melin wszelkie szumowiny, tych, którzy kiedykolwiek działali wbrew prawu. Dorwiemy tych zwyrodnialców, Roth, za wszelką cenę. I nikt nam w tym nie przeszkodzi.

– Tak jest, komisarzu!

– Roth. – Richter nagle odchylił się w fotelu. – Zagramy teraz w otwarte karty.

Jürgen przezornie zacisnął usta.

– Najchętniej wyciągnąłbym cię od Kleina i wcielił do mojego zespołu. Jesteś mi jednak potrzebny u boku tego... człowieka. Chcę wiedzieć o nim wszystko, chcę znać jego przeszłość. Wyciągnij to z niego albo z kogoś, kto go zna. Zrób to dyskretnie, ale jednocześnie jeśli to będzie konieczne, użyj wszelkich środków, które pomogą ci w zdobyciu informacji... I pamiętaj, że cały czas jestem do twojej dyspozycji, w razie pytań...

Chyba w razie następnego donosu, pomyślał Roth, ale był w stanie jedynie po raz kolejny skinąć głową.

– To wszystko! – zakończył komisarz i odwrócił się do okna.

Asystent policyjny szybko ulotnił się z gabinetu. Sekretarz, na którego natknął się za drzwiami, przyjrzał mu się uważnie i wynik tej obserwacji wcale go nie zadowolił. Jürgen skłonił głowę i po chwili znalazł się na korytarzu mrocznego gmachu. Zadrzał, czując chłód bijący od ścian. Przewidywania Kleina sprawdziły się, kapitan się domyślił, że w śledztwie i wskazaniu kolejnych miejsc zabójstw pojawi się heksagram. Zabójcy podrzucili ten trop także Richterowi, jakby obawiali się, że kłodzcy policjanci sami na niego nie wpadną. Dokładnie rozrysowali mu swój plan i podali go na tacy. Zbyt łatwo... Jürgen wiedział już, dlaczego Klein nie był przekonany do tezy, jakoby wierzchołki heksagramu wskazywały miejsca kolejnych zbrodni. Wyraźnie chodziło tu o coś więcej.

Jürgen cieszył się teraz tylko z jednego. Wszedł ze spotkania z Richterem bez szwanku i z przeświadczeniem, że rozegrał sprawy całkiem przyzwoicie. Wykazał chęć współpracy, przekazując ustalenia poczynione przez grupę Kleina, cóż z tego, że uczynił to na prośbę kapitana. Zaniepokoiło go jednak, że pod koniec rozmowy komisarz wysunął dosyć nieoczekiwane żądania. Wyciągnięcie informacji o przeszłości Kleina – od niego samego czy z innych źródeł – zdawało się niemożliwością. Czyżby Richter nie był w stanie sam dowiedzieć się więcej o kapitanie? W jaki więc sposób miał, na Boga, wejść w posiadanie takich informacji asystent policyjny Roth?

Jürgen wkroczył do archiwum akt miasta. Od razu skierował się do stojących pod ścianami mebli. System archiwizacyjny Metlitzky, który wprowadziła niedawno

kłodzka policja, całkiem dobrze spełniał swoją funkcję. Roth nieraz mógł się o tym przekonać, poszukując karteczki z sygnaturami potrzebnych akt.

Wkrótce jeden z urzędników przyjął zamówienie, więc Jürgen zasiadł za rozchybotanym stolikiem. Nie mógł się skupić – starał się myśleć o żądaniu Richtera, lecz przed oczyma miał Agnes, dziewczynę, którą poznał poprzedniego dnia. Żywił słabość do pewnych siebie kobiet, obfitych biustów i zaokrąglonych pośladków. W tym wypadku Agnes zbliżała się do jego ideału kobiecości jedynie pod względem charakteru, była bowiem szczupła i wysportowana. Mimo to, ku jego zdumieniu, zawładnęła jego umysłem całkowicie.

– To wszystko, co mamy, trzymaj pan...

Skoroszyty wylądowały z hukiem na blacie stolika, wzniesając obłok kurzu. Roth pomyślał, że musi być w nim pełno zarodników grzybów.

– Dziękuję – odpowiedział uprzejmie, uśmiechając się do starszego archiwisty. Nauczył się, że z osobnikami, którzy większość czasu spędzali pośród regałów i opasyłych akt, należy postępować z wyczuciem. Mężczyzna kiwnął głową i uniósł dłoń o zszarzałych od kurzu palcach, po czym usiadł za jednym z biurk.

Roth spojrział na skoroszyty. Nie było ich zbyt wiele, chociaż w Kłodzku prowadziło działalność ponad czterdzieści różnych bractw, stowarzyszeń i organizacji. Nie budziły one jednak zbyt wielkiego zainteresowania policji, skoro każda z teczek była cienka niczym plasterek wędliny z delikatesów Hugona Drosdatiusa.

Sięgnął po najgrubszy skoroszyt i rozsypał sznureczek wiążący okładki. To znów go pobudziło, przez chwilę wyobrażał sobie, że rozsypuje w ten sposób bućki Agnes, a potem podciąga jej spódnice, próbując się dostać do skrywanego pod bielizną delikatnego, pokrytego piegami ciała.

Wyciągnął kilka kartek. Większość raportów pisano odręcznie i miał problem z ich rozczytaniem. Na maszynie przepisano Statut Towarzystwa Górskiego Hrabstwa Kłodzkiego, założonego z inicjatywy burmistrza Dusznik w 1880 roku. Roth zapoznał się mimowolnie z celem związku, jakim było upowszechnianie zainteresowania górami Hrabstwa Kłodzkiego wśród szerokich kręgów społeczeństwa... Wzgórza, doliny i szczyty znów stały się podszyte seksualnym podtekstem. Jürgen z trudem skoncentrował się na sekcjach związku i ich zarządcach. Nie mówiąc już o komitetach, delegatach i członkach towarzystwa...

Pojawili się na listach burmistrz, wiceburmistrz, wojskowi, policjanci, przemysłowcy. Wśród nich nie zabrakło wiceprezesa banku i rajcy.

Roth się ożywił. Przeglądał listy w poszukiwaniu imienia i nazwiska zabitego majora Peschke. Nie zraził się tym, że nie było go wśród członków towarzystwa – mogło przecież brakować zaktualizowanej listy. Miał jednak dowód, że przynajmniej na kilku zebraniach rajca i bankier byli wymienieni wśród delegatów.

Przypatrzył się symbolowi towarzystwa, pełnikowi europejskiemu, zwanemu różą kłodzką. Przyszło mu do głowy, że sześć ostro zakończonych liści u dołu łodygi

wskazywać może miejsce zbrodni równie dobrze jak heksagram, zaraz jednak uznał, że chwytanie się tego typu tropów przypomina działania wiszącego nad przepaścią desperata. Ten punkt zaczepiania był zupełnie irracjonalny.



– Słyszał pan?

Koło Rotha nieoczekiwanie zmaterializował się archiwista.

– Że niby co? – zapytał Jürgen z roztargnieniem.

– Podobno go mają, tego sukinsyna, co morduje u nas w Kłodzku. Próbował uciec podczas aresztowania.

Asystent policyjny przez kilka sekund wpatrywał się w mężczyznę, jakby nie docierały do niego żadne słowa. Nagle poderwał się z miejsca, pochwycił kapelusz i wybiegł z archiwum na poszukiwania Wilhelma Kleina. Zarodniki grzybów popędziły za nim ciemnymi korytarzami kłodzkiego ratusza.

*

Wachmistrzowie Paul Seipelt i Lothar Schulz spotkali się na Ross Strasse równo o piętnastej. Zapach dochodzący z piekarni Bittnera był obojędniczący, jednak obaj wiedzieli, że nie mają czasu na zaspokojenie głodu. Czekają ich zadanie, z którego musieli się wywiązać. W ciągu ostatnich kilku godzin praca kłodzkiej policji stanęła na głowie. Na polecenie komisarza wytypowano kilku mężczyzn żydowskiego pochodzenia, z których każdy miał okazałą kartotekę. Byle przewinienie kwalifikowało do natychmiastowego stawiennictwa w towarzystwie policyjnej eskorty w sali przesłuchań kłodzkiego magistratu. Seipelt zdążył już dziś dostarczyć dwóch delikwentów, do rozmowy z kolejnym czuł się zmuszony poprosić o pomoc wachmistrza Schulza. Znał dosyć dobrze mężczyznę, z którym miał się

rozmówić. Hugo Schuhmann, zwany Paserem, posiadał najgrubszą kartotekę wśród zatrzymanych i uznawany był za niebezpiecznego. Miał na koncie kilka pobić, handel kradzionym alkoholem i papierosami, sutenerstwo, pobicia. Uzbierało mu się na kilka lat odsiadki. Wszystko to sprawiało, że Seipelt czuł się pewniej, mając u boku takiego osiłka jak Lothar Schulz.

– Poczekasz na wewnętrznym dziedzińcu, gdyby Paserowi przyszło coś głupiego do głowy. Wejdę do niego sam, żeby się za bardzo nam nie wystraszył.

– Na strachliwego to on nie wygląda, Paul. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Zabezpiecz tyły, Lothar. Jeśli coś będzie nie tak, dam znać. – Seipelt poklepał się po zgrubieniu pod płaszczem. Miał nadzieję, że nie będzie musiał użyć służbowej broni.

Schulz przeszedł na róg z Mühlgasse i skręcił w bramę prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec. Seipelt postanowił dać mu chwilę i powiódł wzrokiem po okolicznych sklepach. Kilka kroków od niego stało dwóch robotników z papierosami w zębach. Wachmistrz już dawno przestał zwracać uwagę tym, którzy nie przestrzegali rozporządzenia o zakazie palenia na ulicach i w miejscach publicznych. Skoro przez ponad sto lat nie udało się wyegzekwować przepisu, to nie miał złudzeń, że kiedyś się coś w tej materii zmieni. Tylko pokręcił więc głową i popatrzył do góry, na małe okienka poddasza, na którym Paser urządził sobie gniazdko. Po chwili znalazł się w wąskiej sieni, skąd skierował się w stronę schodów i ciemnej klatki schodowej. Przystanął, by zrobić rozpoznanie miejsca. Dostrzegł kantorek, w którym właściciel przynależnej do budynku witryny sklepowej miał swój składzik. Obok znajdowało się wyjście na wewnętrzny dziedziniec, widać go było przez niedomknięte drzwi. Tam w razie potrzeby mógł szukać pomocy u Schulza.

Pierwsze piętro kamienicy przy Ross Strasse musiał zajmować bogatszy kupiec, panował tam bowiem porządek, a drzwi do mieszkania były solidne i zadbane, im jednak wchodziło się wyżej, tym ogólny wygląd ścian i schodów stawał się coraz mniej przyjemny.

Seipelt wyczuwał woń kiszonej kapusty wymieszany z piwnicznym zapachem psujących się ziemniaków i smrodem kloacznych wyziewów. Małe okienko na półpiętrze było zamknięte na głucho.

Seipelt wspiał się wyżej po wąskich schodach i stanął przed izbą Schuhmanna.

Dwukrotnie uderzył pięścią w zbutwiałe drzwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, kopnął w nie, okazały się jednak solidniejsze, niż się spodziewał. Kilkanaście minut temu dostał informację, że Hugo siedzi w swojej norze i jest zbyt pijany, by z niej wyjść o własnych siłach.

Miał właśnie kopnąć w drzwi jeszcze mocniej, ale tknęło go i po prostu nacisnął klamkę.

Ujrzał stół przykryty ceratą, a na nim butelki. Po podłodze walały się śmieci i szkło, a okna pokrywała warstwa tłustego brudu. Uderzył go w nozdrza zaduch

i smród trawionego alkoholu. Podeszedł do barłogu, w którym spodziewał się znaleźć lokatora, ale wśród rozmemłanych koców i poźółkłej pościeli nie dostrzegł nikogo.

Zbliżył się do stołu, na którym pośród butelek stał talerz z niedojedzonym kawałkiem mięsa. Jego wzrok przykuło wybrzuszenie pod ceratą. Ostrożnie ją unióśł. Na blacie spoczywał gruby zwitek marek.

Wachmistrz wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Był pewny, że Paser nie zostawiłby otwartych drzwi do swojego zawszonego królestwa na długo, tym bardziej że ukrywał tu całkiem sporą sumkę. Coś było nie tak.

Nagle rozległo się głuchoe stuknięcie, na które Seipelt być może nie zwróciłby uwagi, gdyby nie stał się nagle bardziej podejrzliwy.

Ruszył w stronę drzwi, ostrożnie stawiając kroki na wypaczonych deskach podłogi. Po chwili był już pewny, że wie, gdzie znaleźć Schuhmanna. Wyciągnął broń i stanął przed klozetem.

– Wyłaż, Hugo! – zawołał. – Jak srasz, to kończ, podciągaj spodnie i otwieraj drzwi! Liczę do trzech!

Za drzwiami słychać było rumor i szcęknięcie, nie wyglądało jednak na to, że urzędujący na kloaczonym tronie delikwent zamierza wyjść.

Tym razem Seipelt nie żałował butów i kopnął na wysokości klamki, wyłamując deskę. Nachylił się tylko po to, by w powstałej dziurze dostrzec podeszwy. Schuhmann – bo któż by inny – zniknął w wąskim okienku prowadzącym na dach.

Seipelt zaklął i sięgnął do wnętrza klozetu, by namacać zasuwkę. Gdy tylko drzwi się otwały, skoczył w stronę okienka. Stanął na desce sracza, ale robił to tak niefortunnie, że noga ześliznęła mu się do wnętrza kloaki.

– Gówno! – wrzasnął.

Po tej celnej uwadze Seipelt wyszarpnął but i wspiął się wyżej. Tym razem utrzymał równowagę i podciągnął się na okiennej ramie. Stamtąd wreszcie wygramolił się na dach i przez kilka chwil łapał równowagę, ze wszystkich sił starając się nie poślizgnąć na dachówkach. Przez cały ten czas przeklinał, wyobrażając sobie tortury, jakim podda Schuhmanna, gdy go dorwie.

Wyglądało na to, że los się doń uśmiechnął. Paser z małpią zręcznością przeskoczył na dach sąsiedniej kamienicy, dopadł do jednej z rynien i opuścił się po niej na dół, na wewnętrzny dziedziniec.

Seipelt wychylił się ostrożnie za krawędź, by się upewnić, że osiłek Schulz zrobił swoje. W rzeczy samej, Schuhmann leżał rozciągnięty na ziemi, a stojący nad nim wachmistrz wymierzał mu kopniaka za kopniakiem. Paul wymienił spojrzenia z kolegą i ruszył w drogę powrotną, myśląc tylko o tym, że już za chwilę wytrze uwalany but o kapotę drania zwanego Paserem.

W czasie, w którym doszło do wydarzeń przy Ross Strasse, Franz Koschella wchodził do Banku Rzeszy. Neobarokowa kamienica tworząca południowo-wschodni narożnik rynku jakiś czas temu zastąpiła popularną Tawernę. Ku ubolewaniu wachmistrza miejsce uciech i przedstawień teatralnych, a także siedziba sklepu z kapeluszami Loewego, zostało wyburzone i zastąpione królestwem mamony.

Franz napał na masywne odrzwia banku niczym rozjuszony byk. Już po chwili pokierowany przez strażnika, który nie chciał wdawać się z nim w dyskusję, stanął przed gabinetem dyrektora Sigmunda Wintera.

Karl Plaschke, jeden z sekretarzy, zastąpił mu drogę, ale został błyskawicznie przyparty do drzwi. Pospiesznie się wycofał na swoje stanowisko – wachmistrz nie musiał nawet wyciągać legitymacji policyjnej. Zaraz też stanął naprzeciw siedzącego za biurkiem mężczyzny, który patrzył nań z lekkim niepokojem wyrażonym nerwowym skubaniem sumiastego wąsa.

– Czego szanowny pan sobie życzy?

– Wachmistrz Koschella. Przyszedłem w sprawie Johanna Beiera.

– Tak, tak, proszę siadać. – Dyrektor wskazał wachmistrzowi fotel. – Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci tym wydarzeniem, wciąż nie możemy uwierzyć, że nasz pracownik...

– Dostawaliście jakieś pogroźki? – przerwał Koschella. Skorzystał jednocześnie z zaproszenia i już po chwili rozparł się w wygodnym siedzisku, zakładając nogę na nogę.

– Nie rozumiem.

– Czy pojawił się w banku jakiś niezadowolony klient, który nazwał was szumowinami i krwiopicjami? Zajęliście komuś za długi dom, firmę, towar?

– Rozumiem, o co panu chodzi, chcę jednak zapewnić, że zawsze działamy w interesie klienta, a nasz bank dokłada wszelkich starań, by pomagać w spełnianiu marzeń i wspieraniu przedsiębiorczości licznej rzeszy mieszkańców naszego hrabstwa!

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– Nie było takich sytuacji – stwierdził Winter, nie kryjąc oburzenia. – Szczycimy się dużą etyką i...

– A wicedyrektor Beier? Miał wrogów? – Franz przerywał obcesowo. Zależało mu na wytrąceniu dyrektora z równowagi. – Na pewno go pan dobrze poznał. Praca w banku należy do czasochłonnych, musieliście panowie spędzać tu wiele czasu, omawiając strategię, licząc pieniądze uciulane przez dorobkiewiczów, planując, jak sięgnąć do portfeli, jak to pan ujął, licznej rzeszy mieszkańców naszego hrabstwa.

– Jak pan śmie?

– Panie Winter, im szybciej pan sobie uświadomi, że złapanie mordercy jest priorytetem kłodzkiej policji, która użyje wszelkich środków, by osiągnąć cel, tym lepiej dla pana. Może się bowiem zdarzyć, że w pośpiechu kogoś skrzywdzimy,

urazimy jego dumę, narazimy na szwank reputację. Jednak będzie to usprawiedliwione rangą sprawy. Mieszkańcy Kłodzka i okolic nie będą nic mieli przeciw zdecydowanym i twardym działaniom policji, jeśli usłyszą, że jej czyny służą ujęciu groźnego mordercy.

– Czego pan chce? – Winter oklapł w fotelu, a Koschella uznał, że dopiął swego. Urobił i rozmiękczył sztywnego urzędnika.

– Co pan wie o wicedyrektorze? Proszę mi opowiedzieć, z kim się spotykał, czy był uczciwy, czy miał słabości. Lubił hazard? Miał długi? Kochanki? Kochanków?

– Przecenia pan zażyłość naszych stosunków.

– Nie spotykaliście się poza biurem? Na prywatnych spotkaniach, choćby na piwie, na rautach jakiegoś towarzystwa, do którego wspólnie należeliście?

– Obaj jesteśmy... byliśmy członkami Towarzystwa Górskiego... Jako bank wspieramy je finansowo. Kilka wycieczek w góry, ma pan rację, były takie okazje do spotkań w większym gronie. Jednak Herr Beier należał do osób dyskretnych, tak już mają pracownicy banku, i ta dyskrecja dotyczy także ich życia osobistego. Nigdy nie wspominał, że ma jakichś wrogów. Grał w karty na pieniądze, ale bardziej dla przyjemności niż zarobku, stawki zresztą w naszym towarzystwie były raczej symboliczne.

Franz zastanowił się, co dla bankiera oznacza „symboliczna stawka”, ale powstrzymał się przed sarkastyczną uwagą.

– Kochanki? Preferencje seksualne?

Winter pokręcił głową, jakby nie dowierzał, że ktoś zadaje mu takie pytania.

– Nie miał żony ani dzieci. Kawaler. Nie pojawiał się w towarzystwie przyjaciółek ani... przyjaciół.

– Jak pan opíše jego preferencje polityczne?

– Cóż – tu Winter się zawahał. Znow nieszpokojnie pociągnął za wąsy. – To chyba nie była tajemnica. Herr Beier należał do konserwatystów.

– Niemiecka Narodowa Partia Ludowa?

– Tak – potwierdził Winter.

– Pan także do niej należy?

Bankier zamilkł, znow się usztywnił.

– Nie – zaprzeczył.

– Czyli jak rozumiem, różniliście się poglądami?

– Należę do Partii Centrum, jednak nie mają dla mnie znaczenia preferencje polityczne moich współpracowników i pracowników.

– Świetnie! – Koschella wyciągnął z kieszeni płaszcz notes i ołówek, po czym zapisał kilka zdań. Robił to na tyle długo, by znow wytrącić Wintera z równowagi.

– Czy ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie...

– Udostępni mi pan teraz akta klientów, chcę mieć do nich wgląd.

– Przekracza pan swoje uprawnienia! – Winter uniósł się w fotelu. – Będzie pan musiał wrócić tu z oficjalnym nakazem. Jeśli to wszystko, żegnam pana!

Koschella, wciąż pisząc w notesie, zadał jeszcze jedno pytanie:

– Pan też jest kawalerem, tak jak Johann Beier. Prawda, Herr Winter?

– Co to ma do rzeczy? – Dyrektor opadł z powrotem na fotel.

– Cóż – Franz oderwał wzrok od zapisanej strony i przeniósł go na oblicze urzędnika – rajca Dinter, który został zamordowany kilka kroków stąd, był zadeklarowanym homoseksualistą. Takie podejrzenia można wysnuć też wobec wicedyrektora... Być może wątek seksualnych preferencji ofiar odgrywa znaczącą rolę? Tak. – Koschella kilkakrotnie skinął głową, jakby ta myśl wydała mu się szalenie ciekawa. – W tej chwili wydaje mi się, że jest to aspekt, który należy głębiej zbadać... ale to już na przesłuchaniu, na które będę chciał pana zaprosić.

– Skontaktuję się z moim prawnikiem! – Winter sięgnął po słuchawkę telefonu, który miał na biurku. – Skontaktuję się także z burmistrzem!

– Będzie miał pan taką okazję, ale już na miejscu, w pokoju przesłuchań.

Winter zaczerwienił się – zabrakło mu tchu.

– Nie jestem homoseksualistą, wachmistrzu! – wydusił wreszcie. – Nic mnie nie łączyło z wicedyrektorem. To jakiś absurd! Mam panu udowodnić, że wolę kobiety?

– Bardzo proszę.

Dyrektor wybałuszył oczy.

– Mam przyjaciółkę – wydukał. – Ale... nie mogę zdradzić jej imienia i nazwiska, bo...

– Ach! Domyślam się. Cudzołóstwo... – Franz ze zrozumieniem pokiwał głową. – Nie wiem w sumie, co gorsze. Podejrzenia o homoseksualizm czy problemy pana i pańskiej wybranki z jej mężem, któremu przyprawiacie rogi.

– Jest pan szantażystą.

– Mówiłem panu, użyjemy wszelkich środków, by osiągnąć cel, jeśli będzie to usprawiedliwione rangą sprawy – odpowiedział twardo Koschella. – Dostęp do akt!

W sekretariacie nastąpiło nie lada zamieszanie, gdy dyrektor w towarzystwie wachmistrza opuścił biuro. Sekretarz po raz pierwszy od dawna widział przełożonego tak mocno poruszonego. Zaczerwieniona twarz i szkliste oczy świadczyły o tym, że Winterem musiała wstrząsnąć śmierć wicedyrektora. Karl Plaschke zdziwił się tylko, że obaj mężczyźni kierują się do pokoiku stanowiącego tajne archiwum banku, do którego dyrektor strzegł dostępu bardziej niż do skarbcza. Przezornie jednak milczał.

Stojąc przed regałami wypełniającymi pomieszczenie, Franz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Wilhelm Klein miał rację, mówiąc, że bankowcy dysponują aktami, których mógłby im pozazdrościć niejeden urząd policyjny. Czuł się oszołomiony tym odkryciem, więc dał sygnał Winterowi, by ten zostawił go samego. Dyrektor z wyraźnym ociąganiem opuścił bankowe archiwum, przed wyjściem przekazując Koschelli klucz.

Franz zdjął płaszcz i melonik i rzucił je na biurko wciśnięte pomiędzy regały. Podszedł do jednej z szafek i odszukawszy odpowiednią literę alfabetu, wysunął

szufladkę.

Heinrich Dinter. Według akt jeszcze za życia rajca wystosował prośbę o pożyczkę na niebagatelną sumę dwóch tysięcy marek. Bankowy detektyw weryfikujący wiarygodność pożyczkobiorcy negatywnie ocenił jego zdolność do spłacenia zobowiązania: napisał wprost, że rajca nie utrzyma posady ze względu na skandal obyczajowy z jego udziałem i podejrzenie o malwersacje finansowe. Przewidywał – jak się okazało, słusznie – że rajca opuści Kłodzko i uda się do Wrocławia, gdzie mógł liczyć na wsparcie rodziny. Mimo negatywnej opinii pożyczka została zaakceptowana przez wicedyrektora Beiera. Co więcej, prośba o jej zwiększenie o tysiąc marek także doczekała się jego akceptacji.

Koschella zagwizdał pod nosem. Przeszedł do kolejnego z regałów, by odszukać akta pierwszej ofiary, majora Peschke. Zgodnie z jego przypuszczeniami major nie miał tu prowadzonej kartoteki. Niezrażony postanowił odnaleźć szufladkę z literami „Ko”. Tak jak się spodziewał, znalazło się też coś na niego. Czytając własne akta, Franz coraz bardziej doceniał pracę bankowych śledczych, którzy prześwietili tak jego, jak i jego rodzinę. Przy okazji dowiedział się, ile warte jest jego ciasne mieszkanie na poddaszu jednej z kamienic przy Frankensteiner Strasse, oraz że skłonność do alkoholu, z którą zmagał się od lat, przekreśliła jego szanse na awans.

Wachmistrz objął wzrokiem cały pokój. Poczul się jak pan życia i śmierci dzierżący w ręku wiedzę o duszach śmiertelników ściśniętą w papierowych aktach. Podwinął rękawy i zaczął alfabetycznie wymieniać w myślach wszystkich znajomych – z pracy i tych po drugiej stronie barykady, z którymi miał do czynienia na co dzień na ulicy. Może i pił za dużo. Ale alkohol nigdy nie przeżarł mu mózgu. Wachmistrz Franz Koschella miał fotograficzną pamięć i pewność, że jego szanse na awans nie zostały przekreślone na zawsze.

*

Dorożka zatrzymała się przed budynkiem liceum, na Gartenstrasse. Wilhelm Klein zapłacił woźnicy, wysiadł z budy i w strugach deszczu przemierzył chodnik, kierując się do głównego wejścia. Drzwi uchylił mu woźny, który o dziwo nie psioczył nawet na pozostawione przez Kleina mokre ślady na świeżo wymytej podłodze.

– Pan zapewne do dyrektora Taube – zapytał gwoli formalności.

– Tak, dostałem od niego wiadomość. Gdzie znajdę jego gabinet?

– Pierwsze piętro, potem w prawo... siedzi w sali numer osiem, tej, w której prowadzi zajęcia. To jego główny gabinet.

Klein skinął głową i ruszył w górę schodów. Pamiętał dobrze zapach szkolnych korytarzy, tę mieszaninę woni środków czystości, zaduchu i wszechobecnego kurzu. Na piętrze zgodnie z instrukcją skręcił w prawo. Przystanął przy gablocie, w której uczennice umieściły gazetkę historyczną. Zapoznał się z informacjami o Cesarstwie Niemieckim i Republice Weimarskiej, która powstała po rewolucji listopadowej.

Musiał przyznać, że dosyć dokładnie opisano różnice pomiędzy monarchią konstytucyjną a liberalną demokracją. Pojawiło się nawet zdjęcie ostatniego kanclerza i nowego prezydenta republiki. Po prawej stronie gabloty pozostało sporo wolnego miejsca. Być może ekspozycja nie została jeszcze ukończona, jednak Kleinowi przyszło do głowy, że to omen kolejnych zmian, które dotkną państwo niemieckie w najbliższej przyszłości. Wielu uważało teraźniejszość jedynie za stan przejściowy.

– Już pan jest? – Taube wychynął z sali i w kilku szybkich krokach podszedł do swojego gościa. – Patrz pan, panie Klein, jak to na papierze wszystko wygląda prosto. Kolejni uczniowie tej szkoły będą wkuwać fakty i daty i zapewne będą mieć problem z określeniem różnic pomiędzy monarchią konstytucyjną a demokracją. Nie będą jednak pamiętać ani doceniać wagi poświęceń tych ludzi, którzy oddali życie w obronie jednej czy drugiej Rzeszy, a pewnie i kolejnej, która prędzej czy później nastanie. Za kilka lat zapomną o wojnie, naturalny mechanizm obronny spowoduje, że to, co miało być przestrogą, stanie się jedynie przyczynkiem do odgrzebania starych resentymentów. Zresztą niech pan patrzy na to, co działo się miesiąc temu. Pucz Kappa w Berlinie, Brygada Marynarki Ehrhardt z symbolem swastyki na hełmach, która miała im przynosić szczęście. Nawet pewnie ci idioci nie wiedzą, że to symbol religijny obecny w większości kultur i religii świata... Swymi działaniami są w stanie go obrzydzić.

– Chciał się pan ze mną zobaczyć, profesorze, w pilnej sprawie...

– No tak. – Taube westchnął ciężko, być może żałując, że nie znalazł w Kleinie rozmówcy na tematy polityczne. – Proszę za mną, chcę coś panu pokazać.

Przeszli do sporej sali, w której największą uwagę przykuwała ogromna tablica ścienna. Przed nią stało biurko, a naprzeciw – puste w tej chwili szkolne ławki.

Na ścianach Klein dostrzegł sporo starannych rysunków technicznych, a także zdjęć kłódzkich budynków. Taube rzeczywiście musiał się tu czuć jak w swoim królestwie.

– Dziś dotarła do mnie informacja o śmierci wicedyrektora banku... Nie mogłem nie myśleć o naszej ostatniej rozmowie, o geometrii, przedświadości, która wymusiła na mnie i na panu skojarzenie z określoną figurą geometryczną... – Taube zrobił przerwę, jakby oczekiwał żywszej reakcji rozmówcy. – Zastanawiał się pan, panie kapitanie, co dalej? Czy figura została skończona, a tym samym zbrodnie się dopełniły?

– Profesorze, mordercy nie zakończyli jeszcze tego, co zaplanowali – odrzekł spokojnie Klein, obserwując Taubego, który tkwił pomiędzy biurkiem a tablicą, jakby niepewny, co zrobić. – Rzeczywiście symbolika ma dla nich znaczenie lub też chcą, żebyśmy myśleli, że ma...

– Celnie, Herr Klein. – Taube jakby nagle odzyskał oddech i wewnętrzną równowagę. – Zastanawiałem się, Herr Klein, czy podzielić się z panem tym, co wciąż nie daje mi spokoju. Mam obawy... sądzę, że te nasze ustalenia pośrednio

popchną do działania ludzi żądnych odwetu za te makabryczne zbrodnie. Obawiam się, że możemy stać się jedynie narzędziem w rękach zbrodniarzy, których planem jest wykorzystanie naszej pychy, naszego dążenia do odkrycia prawdy... ale jakiej prawdy?

– Proszę podzielić się tym, co pan ustalił – rzekł spokojnie Klein.

Taube podszedł do tablicy. Drewniane rolki skrzyknęły i tablica uniosła się, odsłaniając drugą, identyczną, znajdującą się w głębi drewnianej konstrukcji. Na niej Klein dostrzegł znajome figury geometryczne.

– Nie wydaje się pan zaskoczony, kapitanie.

– I nie jestem, spodziewałem się, że pan także zaproponuje to rozwiązanie. Heksagram nasuwał się po analizie pańskiego rysunku, po zbadaniu ran widocznych na ciałach denatów.

Taube westchnął z ulgą i usiadł przy biurku. Przez chwilę wpatrywał się w tablicę.

– Jeśli kolejne zabójstwa dokonane zostaną w miejscach wskazanych przez wierzchołki tej gwiazdy, może dojść w mieście do sytuacji trudnej, być może zamieszek, szukania winnych wśród Żydów...

– Ma pan rację. Kłodzka policja najpewniej rozpocznie działania mające na celu aresztowanie i przesłuchanie mieszkańców pochodzenia żydowskiego, którzy mają bądź mieli problemy z prawem.

– I mówi to pan z takim spokojem? – Taube zatrzęsł się z oburzenia. – Czy nie widzi pan, że tego właśnie chcą od nas ci mordercy? Przecież żaden z Żydów nie użyłby tego symbolu do inscenizowania kolejnych śmierci! To absurd.

– Zgodzi się pan jednak, profesorze, że symbolika ma tu znaczenie. Jeśli nawet przyjmemy, że miejsca morderstw, które na mapie układają się w wierzchołki Gwiazdy Dawida, wybrano w celu zmylenia tropu, być może wprowadzenia w mieście chaosu i wywołania poczucia zagrożenia wśród społeczności żydowskiej, to już sam pomysł...

– Sam pomysł musiał się pojawić z jakiejś przyczyny. I to ona może nam wskazać morderców. Przedświadomość... – Taube gwałtownie wstał i podszedł do tablicy. Sięgnął po kredę i zaczął kreślić figury trójkątów. – Pójdzie pan, panie kapitanie, w głąb Gartenstrasse. Zaledwie kilka kamienic stąd znajdzie pan budynek, pod który fundamenty czternaście lat temu wylał Paul Niekisch, a którego nadzorcą i wykonawcą budowy był mistrz budowlany Schwarz. Proszę się przyjrzeć bocznej stronie fasady od wschodu. Zobacz pan tam nadbudowę z okrągłym oknem... Być może tam znajdzie pan odpowiedź...

Taube skończył rysować, obok napisał kilka słów. Wytarł dłonie w spodnie, które nosiły już podłużne smugi kredy, i spojrzał na swojego gościa.

Klein przez chwilę wpatrywał się w tablicę, wreszcie skinął głową i podziękował nauczycielowi. Mężczyźni pożegnali się, wymieniając uścisk dłoni.

Kapitan opuścił budynek szkoły i ruszył w kierunku wskazanym przez Taubego.

Mocniejszy podmuch wiatru niemal go przewrócił. Klein stanął mocniej na nogach i postawił kołnierz płaszcza. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot. Do Kłodzka zbliżała się pierwsza wiosenna burza. Wydawała się jakimś ponurym zwiastunem nadchodzących zmian.

Kapitan popatrzył na kamienice stojące wzdłuż Gartenstrasse. Ruszył w głąb ulicy i wkrótce zatrzymał się przed imponujących rozmiarów budynkiem, który pasował do opisu profesora. Furtka była zamknięta, a okna zaciemnione, więc najprawdopodobniej nikogo w środku nie było. Klein stanął tak, by zobaczyć okrągłe okno, o którym mówił Taube. Bez trudu dostrzegł figurę wyrytą we szkłe, którą wyrysował na swojej tablicy stary belfer. Była to piramida złożona z trzech trójkątów, symbol kłodzkiej łoży wolnomularskiej Pod Trzema Trójkątami.

Zamarł, nie zważając na rześisty deszcz, który dostawał się za kołnierz płaszcza. Coś wciąż nie dawało mu spokoju, coś, co wcześniej przy witrynie ze szkolną gazetką powiedział do niego Taube... W końcu postanowił odłożyć kwestię na później i ruszył w stronę starego miasta. Przystanął przed budynkiem poczty. Spojrzał w stronę Hotelu Cesarskiego, do którego miał dziś zawitać, po czym uważnie zlustrował okoliczne kamienice. Gdy zakończył obserwację wkroczył do pocztowego gmachu z czerwonej cegły, wymijając palących papierosy robotników.

*

Jürgen Roth wbiegł do holu Hotelu Dworcowego, dysząc i świszcząc, do tego spocony i mokry od stóp do głów. Drogę z rynku na Sellgittplatz pokonał sprintem, zwinnie wymijając przechodniów uzbrojonych w parasole. Zmęczył się tak mocno, że powziął solenne postanowienie, by więcej czasu poświęcać aktywności fizycznej.

– Kapitan u siebie? – zapytał boya hotelowego, który poprzedniego dnia pomógł mu podnieść z podłogi nieprzytomnego Kleina.

– Dopiero zacząłem zmianę – oznajmił pogodnie chłopak. – Podobno jednak wybył zaraz po południu. Jedyne pani Agnes jest w apartamentach, niedawno przyszła z miasta.

Roth przez chwilę zastanawiał się, co zrobić. Nogi miał wciąż jak z waty, więc nie uśmiechała mu się wspinaczka po kilkudziesięciu schodach. Mimo to uznał, że zostawi wiadomość dla przełożonego jego asystentce.

– Idę do pani Agnes. – Sam nie wiedział dlaczego poinformował o tym boya. Być może chciał by imię kobiety ponownie rozbrzmiało we wnętrzu hotelowego holu. Skinął na pożegnanie pracownikowi hotelu i skierował się w stronę bocznej klatki schodowej.

Na półpiętrze stanął jak wryty, bowiem Agnes właśnie schodziła na parter.

– Dzień dobry – wydukał. – Wiem, że nie zastałem kapitana Kleina, ale chciałem zostawić mu wiadomość, ważną wiadomość.

– Będzie mi pan ją przekazywał tutaj, na schodach, czy usiądziemy na dole jak ludzie i tam mi ją pan oznajmi?

– Muszę ją wpieryw napisać...

– Tym bardziej nie robi pan tego tutaj – zaśmiała się.

Pod jej spojrzeniem Roth poczuł, że się czerwieni. Stracił pewność siebie, co chciał zamaskować szelmowskim uśmieszkiem. Przepuścił Agnes przed sobą i ruszył za nią w dół schodów, nie odmawiając sobie lustrowania jej zgrabnej figury. Znów miała na sobie wąską spódnice i krótki żakiecik. Krój ubioru podkreślał jedrność pośladków, powodując u Rotha zwiększony dopływ krwi do podbrzusza.

– Paskudna dzisiaj pogoda, nie zmokła pani na przechadzce?

– Już pan wie o przechadzce? Śledzi mnie pan?

Rothowi spodobała się ta frywolność, z chęcią uznałby ją za próbę flirtu. Z holu przeszli do części restauracyjnej, odprowadzani dyskretnymi spojrzeniami boya i recepcjonisty. Agnes zajęła miejsce przy stoliku i zaprosiła Rotha, by usiadł naprzeciw.

– Nie miałbym śmiałości pani śledzić – odpowiedział wreszcie asystent policyjny. Zajmując miejsce, starał się usiąść tak, by nadać swojej pozycji odrobinę nonszalancji. Popatrzył na wciąż uśmiechającą się Agnes. Miał wrażenie, że coś kryje się pod tym uśmiechem. Coś, czego nie potrafi odczytać. – Jednak moja praca wymaga zdobywania najrozmaitszych informacji...

– Na przykład od boya hotelowego?

Roth czerwienił się coraz bardziej, na szczęście pojawienie się kelnera wybawiło go od odpowiedzi.

– Poproszę o coś do pisania, kartkę i kopertę dla pana policjanta – Agnes zwróciła się do sztywnego mężczyzny, którego przyłizane włosy lśniły pomadą. Ober spojrział krytycznie na Jürgena, którego płaszcz wciąż ociekał wodą.

– Czy coś jeszcze szanowna pani sobie życzy?

– Na razie wystarczy karta dań. – Przejęła od mężczyzny gustowne menu i położyła je na stole.

Kelner skłonił się i przeszedł w stronę baru. Zanim Roth wymyślił temat rozmowy, który dałby mu szansę pochwalenia się przed Agnes swoją elokwencją, ober wrócił z tacą. Znalazły się na niej zamówione przybory listowe.

– Może zostawić pana samego? – zapytała Agnes.

– Nie, skądże znowu. – Roth odchrząknął. – Nie jest to tajna wiadomość. Chciałem jednak, żeby kapitan zapoznał się z nią jak najszybciej. Myślę, że ma pani szansę go zobaczyć i przekazać... w sumie to nie muszę jej zapisywać, czy byłaby pani łaskawa...

Skinęła głową. Wyciągnęła z małej torebki cygaretkę i szklaną firkę. Roth sięgnął po zapalnik i nachylił się nad blatem. Gdy przytrzymała jego dłoń, by odpalić papierosa od zapalanej zapalniczki, poczuł przyjemny dreszcz.

– Komisarz Richter rozpoczął w związku ze sprawą morderstw aresztowania wśród społeczności żydowskiej. Zaledwie kwadrans temu pochwyciono jednego z podejrzanych. Podobno stawiał czynny opór policjantom. Uważają, że to on stoi za morderstwami.

– Rozumiem. – Agnes skinęła głową. Wydawała się poważna. Taka podobała się Rothowi jeszcze bardziej. – Przekażę kapitanowi pana słowa, kiedy tylko go zobaczę. Dziękuję za pana... lojalność.

– Ja także dziękuję – odpowiedział Roth, podnosząc się z miejsca. Chciał zostać w towarzystwie Agnes jak najdłużej, ale właśnie wydało mu się, że zobaczył w jej oczach coś na kształt uznania, i postanowił, że nie zepsuje tego wrażenia daremnymi próbami podtrzymania konwersacji. Miał przeczucie, że do tego typu kobiet przemawiają nie tyle słowa, ile czyny. – Wracam do swoich zadań. Życzę miłego dnia.

Uniosła dłoń, a on zamiast ją uścisnąć, pocałował. Wydało mu się, że tym razem ona się zaczerwieniła. Nie był jednak tego pewny, bo okręcił się na pięcie i wymaszerował z restauracji.

– Do widzenia, panie wachmistrzu! – rzucił za nim boy hotelowy, gdy znalazł się przy drzwiach wyjściowych.

Roth się zatrzymał. Przyszło mu do głowy coś, co dotyczyło tego chłopaka.

– Wyjdź na chwilę ze mną – powiedział, odwracając się do niego i chwytając za łokieć. – Musimy porozmawiać.

Nie przestając się uśmiechać, boy rozejrzał się tylko, czy nie obserwuje ich recepcjonista, po czym otworzył przed asystentem policyjnym drzwi i wkrótce obaj znaleźli się na zewnątrz, pod chroniącym od deszczu zadaszeniem.

– Powiedz mi, Hans, skąd znasz kapitana?

– No z hotelu, panie wachmistrzu.

– Czyżby? Bo na podstawie sposobu, w jaki mówiłeś o Wilhelmie Kleinie, odniosłem wrażenie, że znasz go nieco dłużej.

Chłopak wzruszył ramionami.

– To jak, Hans? Odpowiesz na pytanie czy mam ci ten głupawy uśmieszek zetrzeć z twarzy?

– Wachmistrz spostrzegawczy jest. Nie na darmo pracuje w policji.

– Daruj sobie komplementy dla klientów tej rudery, ja do nich nie należę.

– W porządku. – Chłopak skinął głową, podrapał się pod czapeczką z wyszytą nazwą hotelu. – Kapitan na pewno mnie nie pamięta, ale kiedy doszło do tamtych wydarzeń, to byłem jednym z pierwszych, którzy znaleźli kapitana w okopach...

Roth poczuł, jak drętwieje.

– O czym ty mówisz?

– O wojnie, wachmistrzu, i o tym, jak kapitan został nazwany przez Francuzów Niemieckim Diabłem.

Jürgen patrzył na chłopaka ze zdumieniem.

- Służyłeś w fizylierach Moltkego?
- Służyłem, wachmistrzu, 38 Regiment. Jak inaczej wiedziałbym o kapitanie Kleinie?

*

Roth szedł w stronę starego miasta jak w malignie, raz po raz trącany przez przechodniów. W końcu zatrzymał się przy barierce na kamiennym moście. Opowieść Fredkego była krótka, jednak zmroziła go i spowodowała w głowie zamęt, z którego nie był w stanie się otrząsnąć. Historia, którą usłyszał, była przerażająca i niewiarygodna zarazem, a jedno z ostatnich zdań wypowiedzianych przez chłopaka wciąż huczało mu w uszach. „Kapitan odniósł wiele ran... Na przykład wciąż nosi rękawiczki, nie zdejmuje ich nigdy, widziałem, jak go okaleczyli, nie miał trzech palców u lewej dłoni...”

– Roth? Tak cię przytłoczyło twoje marne życie, że zamierzasz skoczyć do Młynówki?

– Wachmistrz Koschella...

Jürgen musiał być blady jak ściana, bo Franz popatrzył na niego z czymś w rodzaju troski. Rzeczywiście, po słowach wachmistrza wydawało mu się, że zaraz zwymiotuje.

– Asystencie policyjny, weź się w garść. Co tu robisz? Miałeś siedzieć w archiwum!

– Aresz... aresztowania się zaczęły. Richter... Seipelt i Schulz mieli dokonać zatrzymania jednego z wytypowanych podejrzanych. Ten uciekał, uważają, że to on był jednym z tych... morderców...

Jürgen zdawał sobie sprawę, że mówi nieskładnie, ale mimo wysiłku wciąż nie mógł się pozbierać.

– A na jakiej podstawie Richter odtrąbił sukces? Szedłeś powiedzieć o tym Kleinowi? Wracasz z hotelu?

Na te wszystkie pytania Roth był w stanie odpowiedzieć jedynie skinieniem głowy.

– Co on na to?

– Nic... nie było kapitana, zostawiłem wiadomość... – Jürgen ugryzł się w język. Informacje o Agnes wolał pozostawić sobie. Po chwili dodał już trzeźwiej: – Zostawiłem wiadomość dla niego.

– Na pewno już wie o wszystkim bez twoich wiadomości...

Roth dopiero teraz dostrzegł, że Koschella jest jakiś odmieniony. Wyglądał na radosnego, co było do niego zupełnie niepodobne, co więcej, zdawał się patrzeć na niego w dziwny sposób, jakby nieco pobłaźliwie...

Franz rzeczywiście był w dobrym humorze. Roth nie mógł wiedzieć, że przeglądając kartoteki Banku Rzeszy, postanowił poszukać informacji o młodym

asystencie policyjnym. Co prawda nie odnalazł tam nic o samym Jürgenie, ale nie brakowało rewelacji o jego rodzicach.

Po przeczytaniu kilku treściwych stron Franz skonstatował, że synalek z domu Roth nikomu nie dał odczuć, że pochodzi z bogatej rodziny. Mógłby zapewne pławić się w luksusach lub zostać zarządcą w jednym z tartaków tatusia zlokalizowanych w pobliżu Świdnicy. Roth jednak zapragnął spełnić swoje dziecięce marzenia. Franz uśmiechał się przez cały czas rozmowy z asystentem policyjnym, bo wyobrażał sobie małego Jürgenę w ubranku marynarza. Chłopakowi nie udało się spełnić dziecięcych marzeń, ale miłość do munduru pozostała.

– O co chodzi, wachmistrzu Koschella?

– Nic takiego...

– Wydaje mi się jednak, że o coś wachmistrzowi chodzi.

Koschella nie mógł odmówić chłopakowi ambicji. Młody najwyraźniej wżgardził pieniędzmi tatusia i koneksjami, które bez wątpienia pozwoliłyby mu szybko zrobić karierę w rodzinnym mieście lub nawet we Wrocławiu. Postanowił zacząć od zera w kłodzkiej policji, być może po to, by coś samemu sobie udowodnić. Franz nieraz miał okazję obserwować toksyczne relacje rodzinne, te pomiędzy ojcem i synem opierały się najczęściej na wielkich oczekiwaniach i chęci kontrolowania poczyznań potomka. Tutaj też mogło dojść do konfliktu, który spowodował odcięcie się rozpuszczonego synalka od apodyktycznego ojca.

Franz miał jednak wrażenie, że ambicje Rotha choć wielkie, nie idą w parze z nieprzeciętną inteligencją czy choćby sprytem. Nie wróżył młodemu człowiekowi wielkiej kariery w policji.

– Wracaj, Jürgen do archiwum, i pamiętaj, co jest twoim priorytetem. Zasuway tak, żeby wióry leciały...

Roth zacisnął szczęki, słyszając chrapliwy śmiech wachmistrza. Odebrał tę uwagę osobiście.

– Właśnie tam zmierzam – odpowiedział. – Znam swoje obowiązki.

– No, to świetnie. – Franz wyminął młodzieńca wciąż wstrząsany śmiechem. Ruszył w dół miasta, tam, gdzie w kilku spelunkach miał swoich informatorów.

Roth odprowadzał go wzrokiem, lecz po niedługiej chwili pokręcił głową i ruszył w stronę ratusza.

Koschella tymczasem zboczył z obranej trasy i skierował swe kroki do Gospody Pod Niebieską Gwiazdą, by skorzystać z aparatu telefonicznego. Wkrótce wybrał numer ratusza i wywołał do telefonu Paula Seipelta.

– Mów, kogo przydybaliście dla starego – rzucił bez wstępów.

– Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć, dla dobra śledztwa...

– Dla dobra śledztwa lepiej, żebyś powiedział. – Franz miał właśnie przed oczami kartotekę bankową Seipelta. Lektura była krótka, ale bardzo ciekawa. Seipelt wydał mu się teraz człowiekiem mocno zamkniętym w sobie. Nie wiedział o jego uzależnieniu od hazardu, o problemach z żoną i domowych kłótniach. Udzielona

przez bank pożyczka w wysokości dwustu marek na remont mieszkania nie była niczym nadzwyczajnym, jednak według bankowego detektywa remont nie został przeprowadzony, a spłaty okazały się nieterminowe. Adnotacja wiele mówiła o polityce Banku Rzeszy: Seipelt to policjant, z którym warto utrzymywać kontakty, przedłużamy możliwość spłat pożyczki o pół roku. Skory do współpracy...

– Mamy Schuhmanna.

– Tego pasera? – Koschella zaśmiał się głośno w słuchawkę. – I chcesz mi powiedzieć, że to on stoi za tymi morderstwami?

– Zobaczymy. – W głosie Seipelta wyczuwalna była zarówno rezerwa, jak i wahanie. – Coś było na rzeczy, bo spierdalał, jakby mu się w gaciach paliło. Chłopcy wzięli go w obroty.

– No, jak ten twój osiłek Schulz dorwał mu się do dupy, to tylko podsycił ten ogień w gaciach – rechotał Franz.

– Czego jeszcze chcesz, Koschella?!

– Kto był na rewizji w domach rajcy i bankiera?

– Ja.

– Znalazłeś coś ciekawego?

Seipelt zawahał się, Franz był jednak pewny, że puści farbę. Można było powiedzieć, że się lubią, co więcej, Paul był dłużny Koschelli kilka przysług. Poza tym jego bankowa charakterystyka okazała się wielce trafna – był skory do współpracy.

– Język połknąłeś?

– Franz, ja ci tego nie mówiłem. Obaj mieli dziwne upodobania, pejczy kajdanki... takie zabawki, że człowiek długo się zastanawia, do czego mogły służyć. Chyba obaj byli odmieńcami...

– Podnieciło cię to, Paul?

– Odwal się. To jakaś grubsza sprawa.

– Masz rację – Franz spoważniał. – Ale z tego, co wiem, nic podobnego nie znaleziono w mieszkaniu majora.

– Nie – potwierdził Paul. – I to jest zastanawiające, nie sądzisz?

– Będziemy w kontakcie. Nie przesadzajcie z tym Schuhmannem. Mnie się widzi, że on za wiele z tym nie ma wspólnego.

– Może...

Koschella się rozłączył. Przez chwilę patrzył na pustą ladę recepcji. Siedzący tam wcześniej starszy mężczyzna ulotnił się i zniknął w jednym z korytarzy. Wachmistrz zmienił plany na dzisiejsze popołudnie: postanowił wrócić do domu i zjeść obiad w towarzystwie żony. Nie zamierzał spieprzyć sobie pożycia małżeńskiego jak Seipelt, poza tym miał do przemyślenia kilka spraw.

Wilhelm Klein odszukał mapę Kłodzka na ścianie głównego holu poczty. Przez jakiś czas uważnie ją studiował. Docierały do niego strzępy rozmów urzędników, odgłos przybijania pieczętek i szelest papieru. Od strony wewnętrznego dziedzińca rozlegał się stukot końskich kopyt i terkot sunących po bruku dylizansów pocztowych. Kapitan podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Widać było stąd stajnię i poczekalnię dla tych, którzy oczekiwali ważnych przesyłek.

Ruch w holu był znaczny, co chwilę ktoś wchodził na pierwsze piętro do urzędu telefonicznego, ktoś inny spieszył nadawać listy lub paczki. Ta ciągła krzątanina uspokajała Kleina, odnajdywał w niej rytm, wyczuwał otaczające go drgania. Życie toczyło się tutaj według ustalonych reguł, wprowadzono w ruch procedury, które nadawały mu tempa, szeregowały i systematyzowały. Klein w takich chwilach doznawał uczucia, że nie tylko śmierć i podatki są nieuniknione – nieunikniony był właśnie ciągły ruch, niewidzialna maszyna, którą powołano do istnienia, i wypełniający ją duch. Tak jak po jednych urzędnikach przyjdą drudzy, tak po człowieku narodzi się nowy, a na gruzach jednego państwa powstanie następne.

W takich chwilach Klein dostrzegał własną kruchość, ulotność chwili, błahość spraw, które zaprzętały mu umysł. W takich chwilach na szczęście potrafił także zadusić zarodek bólu, który kiełkował w jego komórkach nerwowych.

Odsunął się od okna. Pod jednym z filarów znalazł książkę adresową. Wyszukał interesujące go nazwisko i zapamiętał adres. Opuścił budynek pocztowy i przeszedłszy przez Wilhelmsplatz, skręcił w Grüne Strasse.

Przestało padać, zerwał się jednak lodowaty wiatr. Nie bacząc na przenikliwe podmuchy, Klein zatrzymał się przed synagogą i zadarł głowę, by przyjrzeć się budynkowi. Kopuła wznosząca się bezpośrednio nad przedsionkiem była imponująca, przypominała te, które widział we Wrocławiu i Hanowerze. Poniżej kapitan dostrzegł wykusz z gwiazdą Dawida. Przyjrzał się jej. Podobna symbolika zdobiła także drzwi wejściowe.

Na fasadzie domu modlitwy odnalazł tablicę z listą żydowskich bohaterów wojennych z hrabstwa kłodzkiego. Przeczytał kilka nazwisk. Znał je, wśród poległych był syn Działoszyńskiego, tego samego, którego modny sklep polecał mu Franz Ludwig.

Z rozmyślań wyrwał Kleina zachrypnięty głos chłopca nawołującego przechodniów do zakupu gazety:

– Kto stoi za krwawymi morderstwami? Czy kapitan Klein uchwyci skrytobójców? Kupujcie specjalne wydanie!

Gazeciarz powtarzał formułki niczym katarynka. Odnosiło to jednak skutek, bo wokół niego zbierało się sporo chętnych pragnących zaspokoić ciekawość.

Klein także podszedł do gazeciarza. Nie spodziewał się co prawda odnaleźć odpowiedzi na pytania wykrzyczane przez chłopaka, chciał jednak wiedzieć, do jakich informacji dotarli żurnaliści.

Na widok Kleina chłopak zaciął się, jakby awarii uległa korbka wprawiająca w ruch jego struny głosowe. Wręczył mu sztywno egzemplarz gazety, przyjmując zapłatę, i ulotnił się z pustą torbą, zapewne po nowe egzemplarze rozchodzącego się w okamgnieniu nakładu.

Tymczasem Klein ruszył w stronę starówki. Idąc, przebiegł wzrokiem po wytłuszczonych nagłówkach artykułów. Informacje podawane w „Der Gebirgsbote” były stonowane, w przeciwieństwie do wykrzykiwanych haseł reklamujących wydanie specjalne. Być może miał na to wpływ fakt, że gazetę finansowała Partia Centrum, która starała się łagodzić nastroje w mieście. Żurnaliści dotarli do informacji o aresztowaniach, mających miejsce w godzinach przedpołudniowych. Podano nazwisko żydowskiego pasera Schuhmanna, który uciekał podczas próby zatrzymania, jednak autor artykułu powątpiewał, by aresztowany mógł być sprawcą brutalnych morderstw. W wydaniu specjalnym pojawiło się także zdjęcie Kleina, które jeden z fotografów musiał wykonać na kamiennym moście. Sugerowano, że kapitan został wysłany z Berlina, by wspomóc kłódką policję w odnalezieniu sprawcy zabójstw. Mnogość przymiotników świadczyła o tym, że autor próbuje zamaskować nimi brak informacji o kapitanie. W „Der Gebirgsbote” apelowano o kontakt z policją ewentualnych świadków ostatnich wydarzeń lub też inne osoby, które dysponowały jakąś wiedzą na ich temat.

Klein wrzucił gazetę do najbliższego kosza na śmieci, znów bowiem sięgnęło i papier rozmiękł, a farba drukarska zaczęła się rozmazywać, tworząc brunatne smugi. Niespełna dziesięć minut później kapitan przystanął na skrzyżowaniu Domgasse z Böhmische Strasse. Omiótł wzrokiem podcienie kamienic. Na jednej z nich, tuż nad magazynem butów Heinricha Gallwitza, umieszczono figurę Jezusa na krzyżu. Klein policzył domy od strony rynku, upewniając się, że numeracja się zgadza, i skierował się w lewo. Dotarł do schodów prowadzących pod arkady, skąd widać było Böhmische Strasse w całej rozciągłości.

Kilka wózków ustawionych przy metalowych barierkach blokowało przejście, Klein jednak zręcznie przecisnął się między nimi. Przy wejściu do sieni natknął się na chłopaka. Zauważył, że ojciec smyka ze względu na niezwykle podobieństwo nie zdołałby się go wyrzec.

- Jak masz na imię?
- Opitz.
- Tato w domu?
- Zupę je.
- A ty zjadłeś?
- Już wcześniej jadłem, matka każe pusty talerz zostawić.
- Ma rację.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Przyszedł pan do taty? Zrobi mu pan krzywdę?
- Nie. Przyszedłem z nim tylko porozmawiać.

– To pan na sam koniec schodów pójdzie. I ma pan szczęście, bo to z pana byłaby mokra plama.

Klein nie zdążył zareagować, bo chłopak wystrzelił jak z procy. Po kilku sekundach od strony ulicy dobiegł tupot jego łycho obutych stóp.

Wilhelm wszedł do kamienicy i rozchwianymi schodami ruszył na poddasze, jak ujął to chłopak, na sam ich koniec.

Było tu dosyć schludnie, żona Koschelli musiała dbać o mały korytarzyk, który potraktowała jak przedłużenie poddasza. Ustawiono tu wąską półeczkę z szufladkami, gdzie zapewne trzymano rzeczy, dla których zabrakło miejsca w domu. Między drewnianą poręczą a ścianą rozpięty był sznurek, na którym wisały portki pana domu i ubrania potomstwa.

Klein przeszedł obok zewnętrznej umywalki i zapukał.

– Opitz, jak znowu się wygłupiasz, to ci skórę wygarbuję!

Drzwi otworzyła pulchna kobieta. Zmierzyła wzrokiem gościa, wycierając duże dłonie w fartuch.

– Słucham?

– Przyszedłem do pani męża, Franza.

Gdzieś wewnątrz mieszkania zaszurało krzesło i wkrótce w drzwiach pojawił się także Koschella. Kończył zakładać szelki, które zapewne zdjął, zasiadając do stołu.

– Jak kapitan mnie znalazł?

Wachmistrz wyglądał na bardziej zmieszanego niż żona, zajęta taksowaniem przybysza od stóp do głów.

– To nie było trudne, książka adresowa i młody przewodnik, który wskazał mieszkanie na końcu schodów.

– Mała szelma. – Kobieta zaśmiała się rubasznie. Dopiero pod wpływem ostrego spojrzenia męża odeszła od drzwi i zniknęła w głębi poddasza.

– Wejdzie pan kapitan?

Widać było, że Koschella walczy ze sobą. Dopiero wtedy, gdy Klein skinął głową, przesunął się, wpuszczając gościa do wnętrza niewielkiej izby.

– Jadłem zupę, miałem wrócić do miasta zaraz potem...

– A może pan kapitan głodny? – odezwała się stojąca przy kuchni kobieta. – Bo ten mój mąż, chojrak, po mieście lata, nic nie je, a potem się skarży, że go żołądek boli. Chudy jak patyk, zawieje, to się przewróci, ale komu ja to mówię? Pan też wygląda jak chodząca śmierć, jakby tylko o chlebie i wodzie całymi dniami był.

Franz pobladł, nie zdecydował się jednak na konfrontację z żoną. Sapnął tylko:

– Barbara...

– To jak? – Kobieta zamieszała w garnku parującą strawę.

– Zjem, jeśli można.

– A pewnie, że można.

Barbara Koschella sięgnęła po chochlę i zaraz postawiła przed kapitanem talerz. Podała mu też łyżkę.

– Smacznego – powiedział Franz i ściągnął ściereczkę z koszyka z pieczywem. Ukroił po męsku, nie patrząc na to, czy pajda będzie równa i czy zmieści się w ustach.

– Smacznego – odpowiedział Klein, przejmując monstrualną kromkę chleba.

Jedli w milczeniu. Franz chwilami mlaskał, ale zaraz się mitygował i kończył zupę tak, by nie wydawać zbyt wielu odgłosów. Musiało go to kosztować sporo wysiłku, bo opróżniwszy talerz, otarł pot z czoła

– Zupa bardzo dobra, pani Barbaro – oznajmił Klein, który także uporał się ze swoją porcją.

– A czemu miałyby być niedobra? – zdziwiła się żona Koschelli. – Matka i babka zup nauczyły mnie robić, ale nie takich, co to zaraz przeleczą przez kiszki i człowiek ich nie poczuje, tylko takich, co łyżkę można w nich postawić i wiadomo, że uczciwe i treściwe.

– Zostaw nas, kobieto, na chwilę – zniecierpliwił się Franz. – Kapitan powiedział tylko, że dobra, a ty zaraz o matce i babce, a do tego o kiszkach...

– Ty też byś czasem powiedział miłe słowo – wymamrotała kobieta i odstawiła z łoskotem jakiś garnek. – Idę znaleźć tego małego cholernika, co się szwenda. W sobotę miał się kapać, ale się wywinął, dziś mu nie daruję...

Wciąż gderając, wyszła na korytarz. Jeszcze przez chwilę słychać było jej ciężkie kroki.

Obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Franz wydłubywał coś językiem z zębów, a Klein z trudem powstrzymywał śmiech. Starając się zachować powagę, rozejrzał się po poddaszu. Musiał przyznać, że Barbara była dobrą gospodynią. Nie czuć tu było stęchlizny ani kurzu. Ściany były pobielone, bez tapet, pod którymi zwykle leżały się pluskwy i inne robactwo, przy oknach powieszono muślinowe zasłanki. Na wyposażenie izby składały się trzydrzwiowa szafa z lustrem, kuchenka, łóżko i szyfonierka na bieliznę. Z boku przy piecu stała cynkowana wanienska, w której najpewniej mały Opitz miał zmyć brud z całego tygodnia.

– Myśli pan, że to Żydzi? – zapytał nagle Franz. – Że te morderstwa to oni?

– Nie wiem, kto zabija, Koschella.

– Ale nie wyklucza pan tego żydowskiego wątku? Bo Richter na pewno już go nie odpuści. Zwęszył krew. Założę się, że komisarz kazał obstawić wszystkie miejsca, w których wypadają wierzchołki tej całej gwiazdy Dawida. I jak tak pomyślę, to śmiech mnie ogarnia, bo jedno z nich, jak w mordę strzelił, wypada w rynku, tuż pod nosem komendantury. Jak tam się coś wydarzy, to będzie mogiła. Richter wpadnie w szał. Jeśli mordercy rzeczywiście mają wszystko dograne w najdrobniejszych szczegółach, to i sto patroli i tajniacy nic nie poradzą. Widziałem nawet, że wystawili kogoś na wieży obserwatorium areo...aste...

– Astronomicznego – pomógł mu Klein.

– Właśnie. Stamtąd jest dobry widok na tę część rynku, która jest zagrożona, ale mnie się wydaje, że gdzieś tkwi haczyk.

– Co macie na myśli, Koschella?

Franz poprawił się na krześle i sięgnął po skórkę chleba. Urwał kawałek, wpakował sobie do ust i zaczął rzuć.

– Jak ja bym popełnić miał kilka zabójstw, to raczej nie dawałbym policji gotowego rozwiązania. No, znaczy się, jako Żyd nie malowałbym na mapie symbolu, który się będzie ze mną kojarzył. Chyba że... no, chciałbym rzucić na kogoś podejrzenie, namieszać w głowie policji, żeby sprawdzała zły trop...

– A co, jeśli wam powiem, Koschella, że następnego trupa znajdziemy w innym miejscu, nie tym, które pokazują ramiona gwiazdy?

– No, to dobre. – Franz przeżuł, po czym przełknął kęs. – To by się narobiło. Już całe miasto huczy, że policja wie, o co chodzi w tym diabelstwie. Gdyby rzeczywiście było tak, jak kapitan mówi, to wtedy bym pomyślał, że to może jednak Żydzi. Podpuścili nas, pomyśleliśmy o tym, że to oni stoją za trzema zabójstwami, roztrąbiliśmy to zresztą na całą okolicę za sprawą naszego kochanego komisarza... Morderstwo w innym miejscu rozwali całą koncepcję, pokaże nieudolność policji i nikt już do żydowskiego wątku nie wróci. Zagrywka byłaby pierwsza klasa. Richter wątek żydowski by odpuścił i wtedy, jeśli rzeczywiście zrobili to jacyś Żydzi, to wystawiliby na strzał kogo innego.

– Marnujesz się, Franz.

Wachmistrz przełknął skórkę chleba. Zanotował, że kapitan po raz pierwszy odezwał się do niego po imieniu.

– To wciąż gra. – Klein wydłubał ze swojej kromki miękką środek i wsunął sobie do ust. – Trup będzie w innym miejscu. Jeśli nie dziś wieczorem, to za jakiś czas, kiedy wątek żydowski narobi wystarczającego zamieszania.

– Więc to jednak Żydzi, kapitanie?

– Raczej nie, Franz.

– To już nic z tego nie rozumiem...

– Przyjdzie na to czas. Na razie odszukaj Rotha, chcę żebyście przed dwudziestą mieli obaj baczenie na kamienicę przy Wilhelmsplatz na rogu Gartenstrasse i Wilhelmstrasse.

– Tej naprzeciw poczty?

– Zgadza się. Znajdź punkt gdzieś wysoko, tak żeby mieć dobry widok na dach i elewację. Jeśli zauważysz, że dzieje się coś podejrzanego, zawiadom mnie.

– Jak mam pana zawiadomić? Gdzie pan wtedy będzie?

– Naprzeciw, w Hotelu Cesarskim, na bankiecie, na który zostałem zaproszony.

Franz zagwizdał pod nosem.

– Będzie tam wielu gości, szychy.... Myśli pan, kapitanie, że... – Koschella zmarszczył czoło. – Będą aż tak bezczelni? Zabójstwo na oczach burmistrza, starosty i Bóg wie kogo jeszcze? I niech mi wolno będzie zapytać, jak ja niby mam pana zawiadomić?

– Będę miał was na oku, Franz. Wiem, że coś wymyślisz w razie potrzeby.

Chwilę potem Klein wyszedł z kamienicy przy Böhmische Strasse. Na dole, oparty o ścianę czekał na niego mały Opitz, bardzo z siebie zadowolony. Najwyraźniej udało mu się skryć przed matką.

– Pan jest tym kapitanem, co przyjechał do miasta złapać bandytów?

– Podobno.

– I złapie ich pan?

– Zmykaj do domu, matka każe ci się kąpać.

– Złapie pan, ja się założyłem z Erwinem, że pan ich złapie. Złapie ich pan z tatą...

Chłopak zniknął na schodach prowadzących do kamienicy, a Klein ruszył za tłumem w stronę rynku.

Nim znalazł się u wylotu ulicy, zorientował się, że wydarzyło się coś znaczącego. W stronę rynku ciągnęło sporo osób, niektóre biegły, Klein wyraźnie wyczuwał napięcie i podniecenie. Słyszał przytłumione strzępki rozmów, ale nie był w stanie nic z nich wywnioskować.

Przyspieszył kroku. Został wypchnięty z wąskiej arterii na zachodnią pierzeję rynku tuż przy domu handlowym Gustawa Glücksmanna. Szpaler ludzi ustawił się w dużym okręgu na wolnej przestrzeni rynku, a gwar stał się jeszcze głośniejszy. Mężczyźni, kobiety i dzieci stali się częścią pulsującego organizmu. Klein poczuł ucisk w gardle. Wydało mu się, że od strony gawiedzi dotarły do niego okrzyki przerażenia.

Zatrzymał się przy cukierni Moltkego, nie będąc w stanie wykonać kolejnego kroku. Czy naprawdę mógł aż tak się pomylić? Czy pewność siebie sprawiła, że źle odczytał intencje morderców? To miejsce, w którym zebrał się tłum... Wskazywał je przecież jeden z wierzchołków Gwiazdy Dawida. Zignorował zagrożenie, szukając go zupełnie gdzie indziej. A teraz, jeśli rzeczywiście dokonano tu kolejnego morderstwa, będzie musiał zrewidować wszystko, co do tej chwili ustalił.

Rozejrzał się. W niewielkiej odległości od kawiarni dostrzegł obserwującego tłum policjanta. Ruszył w jego stronę. Młody stróż prawa rozpoznał go i udzielił wyczerpujących informacji.

– Reklamę sobie robią. Fabryka Henkel z Düsseldorfu kilka tygodni temu wystosowała pismo do policji o pozwolenie. Kilka ładnych panienek z parasolami kręca nimi naprawdę z wprawą. Na tych parasolach napis jest Pensil...

– Persil – Klein mechanicznie poprawił stróża prawa. Widać było, że chłopak nie ma pojęcia o produktach chemicznych, których na co dzień używają panie domu.

– Właśnie. Jak ich komisarz zobaczy, to się wścieknie. Chyba zapomniał, że wydano to pozwolenie, a przecież kazał nam pilnować tego miejsca...

Podszedł do nich chłopak roznoszący ulotki. Kapitan wziął jedną i spojrzał na szczęśliwą kobietę z uniesionym triumfalnie pudełkiem z nazwą środka czyszczącego. Pomyślał, że żona wachmistrza Koschelli zapewne również doceniłaby walory tego produktu.

– Co gorsza, mamy kilka wezwań do aktów wandalizmu.

– Jakich?

Policjant się zawahał.

– Rozbijają witryny niektórych sklepów...

– Sklepów, których właścicielami lub najemcami są Żydzi?

Młodzieniec potwierdził skinieniem głowy, nerwowo spoglądając na zgromadzonych.

– Niedobrze się dzieje. W tym tłumie też pewnie niektórzy mają w kieszeniach kamienie. Jak tak dalej pójdzie, to w mieście wybuchną zamieszki. Ci od reklamy na szczęście zaraz przejdą na Frankensteiner Strasse i będzie po sprawie.

Rzeczywiście, tłum po chwili przemieścił się na Górny Rynek. Klein pożegnał się z młodym policjantem i ruszył za gapiami. Na południowo-wschodnim narożniku odbił w Brücktorberg, którą zamierzał dojść do hotelu. Zanim dotarł na kamienny most, minął sklep z kapeluszami Loewy'ego. Jedna z witryn została wybita, a wśród odłamków szkła, pomiędzy kapeluszami, spoczywał sporych rozmiarów kamień. Kolejny z policjantów stał na chodniku, próbując koordynować przepływ ludzi. Gapie przystawali przy rozbitej witrynie, blokując przejście zmierzającym w tę stronę szklarzom.

Na kamiennym moście zaczepił Kleina kolejny gazeciarz. Wymachiwał egzemplarzami konserwatywnego „Glatzer Zeitung”. Tym razem nagłówki prasowe kipiły emocjami, a ich wydźwięk sugerował, że znaleziono już winnych. Nie tylko Schuhmann, ale i cała społeczność żydowska mieli być odpowiedzialni za bestialskie morderstwa.

Klein zszedł na Rossmarkt, minął hotel Pod Białą Różą i wkroczył na koński most. Pomyślał, że ci, którym zależało na wywołaniu zamieszania w mieście, osiągnęli sukces. Przeszedł czas na kolejny akt gry. Dzisiaj Klein miał się przekonać, czy przystępując do owej rozrywki, nie przecenił swoich sił. Nie chciał zawieść młodego Opitza.

*

– Pójdiesz tam ze mną?

Agnes uśmiechnęła się, nie odpowiedziała w pierwszej chwili.

– Pytałem, czy...

– Słyszałam.

Pomogła mu zdjąć płaszcz. Klein usiadł ciężko na krześle. Czuł się wyczerpany. Wyrzwał przez okno. Kłęby ciemnych chmur przetaczały się nad nasypem kolejowym. Obraz za szybą był rozmazany, silniejsze podmuchy wiatru napierały na szkło, niosąc ze sobą krople deszczu. Kleina przeszył bolesny chłód. Zdał sobie sprawę, że Agnes coś do niego powiedziała, jednak nie zarejestrował nawet jednego słowa.

– Przygotowałam ci kąpiel. Jeśli cały dzień będziesz chodził w przemoczonych rzeczach, rozchorujesz się – powtórzyła.

– Nie jesteś moją matką.

– Nie jestem – potwierdziła.

Klein popatrzył na nią. Zauważył, że nie jest łatwo ją urazić.

– Chodź ze mną na to przyjęcie – poprosił. – Nie mogę się tam rozsypać... W odpowiednim momencie przejmiesz ciężar rozmów na te wszystkie gówniane tematy.

– Myślałam, że mnie zapraszasz, bo potrzebujesz mojego towarzystwa.

– To też. Ale potrzebuję czegoś więcej. Masz dar obserwacji, chcę, żebyś go wykorzystała. Czworo oczu zobaczy więcej niż dwoje.

– Czyżbyś podejrzewał, że na przyjęciu pojawi się ktoś, kto zamieszany jest w te morderstwa?

– Albo to, albo wśród gości znajdzie się następna ofiara. Jeśli morderstwa dotyczą osób wysoko postawionych, to jest takie prawdopodobieństwo. Najpewniej istnieje powiązanie między dotychczasowymi i przyszłymi ofiarami. Ktoś może poczuć się zagrożony i przez to nie będzie zachowywać się naturalnie, a wiem, że potrafisz wyczuć czyjś strach...

– Jeśli ktoś przeczuwa, że zostanie kolejną ofiarą, dlaczego nie zgłosi tego policji? – zapytała.

Klein się zamyślił.

– Być może ze względu na to powiązanie – powiedział. – Co, jeśli strach przed jego ujawnieniem jest większy niż obawa przed utratą życia?

– Wiesz, jak zachęcić kobietę do wyjścia na bal – powiedziała ze śmiechem. – Pójdę z tobą. Będę obserwowała i typowała. Tych wystraszonych, tych pewnych siebie i te wszystkie damy, które będą cię pochłaniać wzrokiem.

– Je możesz sobie darować.

– Myślisz, że kobieta nie jest zdolna do takich morderstw?

Wzruszył ramionami. Nie to miał na myśli.

– Dam ci pieniądze na zakupy. Potrzebujesz jakiejś sukienki...

Znów się zaśmiała, pokręciła głową.

– Twój przyjaciel, młody hrabia Herberstein, jest przewidujący – oznajmiła. – Zabezpieczył mnie na wypadek niespodziewanych wydatków. Idź się wykąpać, ja podjadę do salonu Działoszyńskiego.

– Dobrze – zgodził się. Był zbyt zmęczony, by dodać coś więcej.

Przez chwilę patrzył, jak się ubiera, jak poprawia włosy i nakłada gustowny kapelusz. Wymienili przelotne spojrzenia. Potem zamknęły się za nią drzwi, a Klein zrzucił z siebie ubranie i przeszedł do łazienki.

Jürgen wyszedł przed ratusz, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Utknął w tym pieprzonym archiwum na dobre. Drapało go w gardle, swędziały oczy i skóra, kurz wlażył we wszelkie zakamarki ciała. Roth miał dość. Nie znalazł nic, czym mógłby się pochwalić przed Kleinem.

W pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał, gdy obok niego rozległ się głos Adele. Odwrócił się do niej. Machała mu dłonią, przepychając się wśród tłumu. Skrzywił się. Kiedyś nie zwracał uwagi na to, jak jest hałaśliwa i prostolinijna. Patrzył z niejakim zdziwieniem na jej zaczerwienione policzki i sklezione potem włosy. Niedawno dotyk ciepłej, wilgotnej skóry sprawiał, że czuł mrowienie w podbrzuszu i twardnienie członka, teraz wydało mu się, że dociera do niego jedynie wyczuwalna z daleka cierpka woń potu i taniego mydła.

– Mam coś dla ciebie. – Stała przed nim. Materiał sukni opinał się na jej piersiach i Jürgen z żalem odnotował, że nawet to nie robi na nim wrażenia. – Świeża, z piekarni Bittnera.

Spoglądał do koszyka, jakby pod chustką czaiły się pająki i skorpiony. W końcu sięgnął do środka. Wyjął słodką bułkę.

– O której dziś do mnie przyjdiesz?

Wzruszył ramionami. Chciał, by sama doszła do wniosku, że powinna wracać do swoich obowiązków i mu nie przeszkadzać.

– Masz cienie pod oczami, przepracowujesz się.

Uniosła dłoń, ale zanim dotknęła jego twarzy, odchylił głowę.

– Idź już – powiedział. Odłożył bułkę z powrotem do koszyka. – Nie mam teraz na nic czasu, za dużo się dzieje. Wieczorem jestem potrzebny...

– Mi też jesteś potrzebny – powiedziała szybko.

Poczuł zawrót głowy. Wyminął ich jeden z policyjnych asystentów i Roth zauważył jego szydery uśmiezek. Miał ochotę zmasać mu go z twarzy. Sam nie wiedział, skąd w nim ta narastająca agresja.

– Idź już! – wysyczał i nagle zamarł.

Zobaczył Agnes. Szła ku niemu powoli, jakby chcąc dać mu czas na dokończenie prywatnych spraw. Poczuł, że robi mu się gorąco. Adele wyczuła jego zmieszanie i odwróciła się w stronę nadchodzącej kobiety.

Roth obserwował obie, wstrzymując oddech. Agnes podeszła do Adele i ukloniła się z delikatnym uśmiechem. Spojrzała na Jürgena, który był pewny, że płoną mu policzki. Dostrzegł błysk w oczach swojej kobiety, a przez jej twarz przemknęło coś na kształt zrozumienia. Wyprostował się.

– Dzień dobry asystencie policyjny Roth. Dzień dobry pani.

– Dzień dobry – odpowiedziała Adele, przekładając koszyk przez łokieć.

Obie czekały. Roth wreszcie się ocknął i przedstawił je sobie.

– Słyszałam już o pani i Herr Kleinie.

Agnes się zaśmiała.

– O kobietach mówi się wiele, w sposób różnoraki, jednak żaden z rzekomych znawców tak naprawdę ich nie zna.

Adele skinęła głową. Niepewność w jej spojrzeniu zastąpiło zaniepokojenie.

– Za to mężczyźni nie są dla nas żadną tajemnicą...

Popatrzyły na siebie z uśmiechem. Roth nie do końca wiedział, co się właśnie wydarzyło.

– Nie chciałam państwu przeszkadzać – odezwała się Agnes. – Zobaczyłam znajomą twarz przypadkiem. Nie znam miasta, a chciałam zapytać o radę.

– Czym mogę pani służyć? – wychrypiał Roth.

– Wydaje mi się, że pytanie to skieruję bardziej do pani niż do pana. Sprawy kobiece. Szukam miejsca, w którym mogłabym nabyć suknię na dzisiejsze przyjęcie.

– Z chęcią zaprowadzę panią do kilku domów mody – zaproponowała Adele. – Jak na prowincję, są całkiem dobrze wyposażone.

– Będę wdzięczna! Nie chcę się jednak pani narzucać.

Adele machnęła ręką.

– Chętnie z panią się przejdę.

Agnes skinęła głową. Popatrzyła przelotnie na Rotha. Jürgen dostrzegł w jej oczach dziwny błysk. Ścisnęło go w żołądku.

Pożegnały się i ruszyły w stronę Schwedeldorfer Strasse.

Roth patrzył za oddalającymi się kobietami. Czuł mrowienie w podbrzuszu i ucisk w spodniach. Nie wiedział, czy bardziej podnieca go wąska kibić Agnes i jej zapach, który wciąż unosił się w powietrzu, czy kołysząca szerokimi biodrami Adele.

Ze zdziwieniem doszedł do wniosku, że gdyby jego kobieta zapytała go ponownie, o której wróci do domu, powiedziałby, że rzuca wszystko i wraca możliwie szybko. Po to, by znów ją przycisnąć do skrzypiącego materaca i wyobrazić sobie, że wijące się pod nim ciało należy do współpracownicy kapitana Kleina.

*

Wsiadając do dorożki, Klein zastanawiał się, czy zabranie ze sobą Agnes było dobrym pomysłem. Nie był pewien, dlaczego zdecydował się na jej towarzystwo. Być może rozpaczliwie szukał w kimś oparcia, a może odzywały się w nim potrzeby, o których, wydawało mu się, niemal zupełnie zapomniał.

Kapitan wrócił wspomnieniami do wojskowego szpitala, w którym spędził ponad rok. Zajmujące się nim pielęgniarki nie należały do urodziwych: były to duże, mocne kobiety z wąsikami. Wykonywały jednak swoją pracę rzetelnie i bez kręcenia nosem, gdy trzeba było zadbać, by unieruchomiony Klein nie cierpiał od odleżyn, zmienić pod nim pościel czy obmyć nienagane w oczach ciało. Pomyślał któregoś dnia, że można włożyć między bajki opowieści o pięknych pielęgniarkach i romansach pomiędzy tymi opiekuńczymi, anielskimi istotami a ich pacjentami. Wystarczyło jednak, że stanął na nogi, by ponownie dane mu było zweryfikować swoje spojrzenie

na sprawę. Blond piękności przechadzały się między łózkami przystojnych oficerów, flirtowały z nimi, towarzyszyły podczas spacerów. Omijały, widać, tylko pacjentów z tak rozległymi i ciężkimi ranami jak jego.

– Zamyśliłeś się – ujęła go pod ramię. – Zajmują cię te morderstwa?

– O dziwo nie, myślałem o tobie.

– Pochlebiasz mi. – Nie spieszyła się. Przechyliła głowę, by popatrzeć mu w oczy. – Co o mnie myślałeś?

– Dlaczego się nami zajmujesz... Nami, to znaczy takimi jak ja.

– Bo tego potrzebujesz. Dla ciebie wojna wciąż trwa. Tutaj. – Uniosła dłoń i dotknęła jego skroni, a potem musnęła jego koszulę na wysokości jego serca. – I tu także. Widziałam tych, którzy tak jak ty borykali się z własnymi demonami. Wielu z nich się poddało, przegrało bitwy, które przyszło im stoczyć już po zakończeniu wojny we własnych domach u boku rodzin, do których tęsknili. Ty wciąż walczysz. I widzę, że jesteś mocniejszy, niż ci się wydaje.

– Jestem wrakiem człowieka, w dodatku uzależnionym od morfiny. Podawano mi ją dzień w dzień, bym nie gryzł własnego ciała, próbując zabić jeden ból drugim...

– Z tej słabości czerpiesz siłę.

Klein wyjrzał przez okno. Dorożkarz zwolnił. Na rogu Wilhelmstrasse i Wilhelmsplatz utworzyła się kolejka. Kilkanaście powozów, kilka automobili. Pojazdy podjeżdżały pod główne wejście Hotelu Cesarskiego, a gdy wysiadali z nich pasażerowie, odjeżdżały, robiąc rundkę wokół ronda. Spieszyły na kolejne kursy.

Gdy przyszła ich kolej, wyskoczył z dorożki pierwszy i podał dłoń Agnes. Dziewczyna uniosła rąbek swojej sukni i płaszcza, by nie zahaczyć materiałem o schodki. Odszukała oparcie w ramieniu kapitana i zaraz znalazła się obok niego na chodniku.

Przywitało ich dwóch wyfraczonych odźwiernych, którzy przyjmowali zaproszenia i wskazywali drogę do głównego wejścia.

Agnes znów ujęła Kleina pod ramię i oboje weszli do hotelu przez otwarte na oścież drzwi. W szatni kłębił się już spory tłumek. Szatniarki przejmowały płaszcze i futra i przekazywały bileciki z numerami wieszaków. Wszyscy rozglądali się wokół, szukając znajomych twarzy. Goście witali się, poklepywali, wymieniali uściski.

Kleina zakręciło w nosie od woni perfum i tytoniu. Kapitan raptownie zapragnął zrejterować i rozpląnąć się w ciemności nocy. Agnes jednak uścisnęła mocniej jego łokieć i oboje, jakby walcząc z uderzającą w nich falą przyboju, ruszyli naprzód.

– Myślę, że gdyby nie szczytny cel tego przyjęcia, większość z gości wymówiłaby się od uczestnictwa. Nastroje w mieście nie są kwitnące, widziałam dziś niepokój w oczach mijanych ludzi.

– Pewnie masz rację. – Klein przejął jej płaszczyk, zdjął także swój. Kolejka przesuwiała się sprawnie. – Może w ten sposób manifestują to, że nie dadzą się zastraszyć?

Wkrótce oddali okrycia szatniarce i ruszyli w stronę schodów. Tutaj także trzeba było dużej wprawy, by wyminąć stojących. Mężczyźni we frakach, kobiety w wieczorowych sukniach, lśniąca biżuteria, wypomadowane wąsy, sztywne lśniąca fryzury... Początkowo stonowane śmiechy powoli nabierały mocy. W kręgu swoich znajomych goście rozluźniali się, znikła gdzieś sztywność ruchów i niepewność, jak zachować się w obliczu zabójstw, które wstrząsnęły miastem. Czy rzeczywiście wstrząsnęły? Klein odnosił wrażenie, że znalazł się daleko od tamtych wydarzeń. W świecie ukrytym pod szklaną bańką, gdzie wszyscy czują się bezpiecznie. Nie mógł nie zauważyć, że gdy szli na piętro, rozmowy cichły. Grupki pogrążone dotąd w ożywionej konwersacji nagle traciły zainteresowanie tematem. Twarze zwracały się w stronę Kleina i jego partnerki choćby na ułamek sekundy.

Wyczuwał na sobie spojrzenia, reagował na te, które wydały się bardziej nachalne i odważne. O dziwo, nikogo nie peszył, mężczyźni uprzejmie witali go skinieniem głowy, kobiety uśmiechem. Wkrótce i on wymusił w sobie odruch delikatnego pochylenia czoła.

– Twój smoking robi wrażenie.

Uśmiechnął się w duchu, docenił jej żart.

Na piętrze, przy drzwiach prowadzących do głównej sali, stali kelnerzy z tacami z kieliszkami wina. Agnes sięgnęła po jeden i wkroczyli do wnętrza. Tutaj także zgromadził się spory tłum, grupki gości wydawały się jednak bardziej onieśmielone. Być może spowodowane to było wielkością pomieszczenia i jego oficjalnym wystrojem. Flagi państwowe, herb Kłodzka, wielki napis „Zbiórka dla weteranów wojny” przytłaczały, do tego światła zdawały się aż nazbyt intensywne. Klein nabrał ochoty, aby natychmiast stąd wyjść.

– Ktoś chyba zmierza się z nami przywitać... Czy to nie burmistrz?

– Tak...

Franz Ludwig radził sobie w tłumie doskonale, wydawało się, że z większością zgromadzonych wymienił choćby kilka słów. Był poważny, jednak dobrotliwy wyraz twarzy łagodził znacznie oficjalną pozę.

– Kochani, dziękuję, że przyszliście...

– Burmistrzu, poznaj Agnes...

– Agnes Braun – dziewczyna wybawiła Kleina z kłopotu; przecież nawet nie zapytał jej o nazwisko.

– Wygląda pani olśniewająco. – Ludwig ucałował dłoń, którą Agnes, zapewne nienawykła do tego typu powitań, podała dosyć sztywno i z ociąganiem. – Wilhelmie, nie wiem, gdzie poznałeś tak piękną towarzyszkę, ale nie pozwól jej odfrunąć.

Agnes, uwolniwszy dłoń z uścisku burmistrza, pogładziła Kleina po ramieniu. Popatrzył na nią, uśmiechnęła się niewinnie. Wiedział, że dobrze się bawi.

– Zastanawiałem się, czy nie odwołać aukcji, ale zawiódłbym hrabinę, Gabriele von Magnis, która włożyła wiele wysiłku w jej przygotowanie. Uznałem, że nie

wolno nam okazać słabości. Nie powinniśmy chować się w skorupach.

– To prawda – zgodziła się Agnes. – Na tym im zależy: na wywołaniu strachu. Jeśli osiągną taki efekt, będą czuć, że wygrali.

– Dobrze powiedziane.

Obok nich pojawiło się kilku mężczyzn, którzy widząc burmistrza rozmawiającego z Kleinem, postanowili do nich dołączyć. Agnes dyskretnie się ulotniła – wbrew zapowiedziom najwyraźniej nie zamierzała nieustannie wspierać Wilhelma. Ludwig zapoznawał swojego krewnego z każdym z dżentelmenów. Klein, ściskając prawicę, przedstawiał się gwoli formalności.

– Panie kapitanie, wiem, że ledwie pan do nas przyjechał, ale czy ma pan już jakąś teorię, coś, co pozwoli nam wierzyć, że sprawcy zostaną szybko zatrzymani?

Klein, decydując się na uczestnictwo w przyjęciu, zdawał sobie sprawę, że będzie zmuszony wysłuchiwać i odpowiadać na pytania podobne temu, które zadał starosta Kłodzka Franz Peucker. Starał się odpowiadać uprzejmie, lecz wymijająco, jednak kolejne pytania stawały się coraz bardziej szczegółowe i natarczywe.

– Dwa dni, dwóch zamordowanych. Czytałem w prasie o figurach geometrycznych, które podobno miały wskazywać miejsce morderstw. Czy sprawcy kpią z nas, z naszej policji? Czują się tak bezkarni? Czy myśli pan, że rzeczywiście w morderstwach brał udział ten cały Schuhmann?

Klein nie miał oparcia ani w burmistrzu, który wymówił się obowiązkami związanymi z dopilnowaniem przebiegu loterii, ani w Agnes, która przy jednym ze stołów posilała się właśnie ułożonymi w piramidki przekąskami.

Cierpliwość powoli go opuszczała, kręciło mu się w głowie, wyczuwał na sobie coraz więcej spojrzeń. Wszyscy oczekiwali zapewne, że złoży oficjalne oświadczenie dotyczące zabójców, a być może niczym prestidigitator wyciągnie jednego z nich z kapelusza.

Na szczęście wkrótce w sali rozbrzmiały głosy organizatorów przyjęcia. Gdy na scenie pojawił się burmistrz w towarzystwie kilku weteranów, Klein zręcznie usunął się w cień i manewrując pomiędzy wpatrzonymi w przemawiającego Franz Ludwiga gośćmi, ruszył w stronę stołów.

Agnes już tam nie było, nie zdołał też wypatrzeć jej w tłumie. Postanowił więc zainteresować się przekąskami.

– Polecam pstrąga w galarecie. Co prawda uważam, że powinien pływać w mocniejszym trunku niż te, które tutaj podają, ale z braku laku...

Klein popatrzył na mężczyznę, którego akcent zdradzał słowiańskie pochodzenie.

– Karel Svoboda – przedstawił się nieznanemu, wyciągając do Wilhelma pulchną dłoń. W drugiej trzymał talerz z rzeczonym pstrągiem, trzęsącym się niczym w febrze podczas energicznego wymieniania uścisku. – Cieszę się, że mogę pana poznać, Herr Klein.

– Przyjemność obopólna.

– Nie zdziwił się pan, widząc tu Czecha? Jeszcze niedawno obawiano się, że my, Czesi, przejmemy siłą hrabstwo kłodzkie wraz z tym pięknym miastem.

– Ale nie przejęliście.

– I prawdę mówiąc, ulżyło mi z tego powodu, Herr Klein. Uważam, że to narobiłoby nam tylko kłopotów.

– Skąd ta myśl?

– Z doświadczenia, kapitanie. Wojna zakończyła się niedawno, traktat wersalski narzucił nowy ład, który nie wszystkim przypadł do gustu. Kryzys gospodarczy w Niemczech, odczuwalny jest także tutaj, jeszcze kilka miesięcy temu racjonowano w Kłodzku żywność. To nie minie szybko. Na biedzie łatwo robić politykę tym, którzy nie są u władzy. Populistyczne hasła łatwo się przyjmują na niestabilnym gruncie, wystarczy odpowiedni moment, by pociągnąć za sobą ludzi. Wtedy nawet radykalne twierdzenia, których człowiek rozsądny nigdy by nie zaakceptował, znajdują zrozumienie i poparcie.

– Co pan sugeruje?

– Ta wojna to preludium do prawdziwych zmagania w pańskiej ojczyźnie, Herr Klein. Przejąć Kłodzko po to, by za kilka lat je stracić? Dać pretekst tym, którzy szukać będą wspólnego wroga, by uzasadnić swoje rewizjonistyczne żądania? Nie ma mowy... Poza tym wciąż uważam, że Niemcy nie powinny się obawiać zewnętrznego zagrożenia. Jeśli jakoweś istnieje, to tu, w samych Niemczech...

– Dlaczego mi pan to mówi?

– Bo jest pan człowiekiem rozsądnym, Herr Klein. Wie pan, czym jest groza wojny. A to, co się tutaj dzieje, stanowi swego rodzaju dowód postępującego szaleństwa. Tak, mam na myśli wstrząsające morderstwa. Kryje się za nimi coś więcej niż zemsta czy obłąd. Pan przecież także to widzi. Zabójstwa mają miejsce w szczególnym czasie. Są przejawem choroby trwającej nie tylko nasze małe, pozostające na peryferiach Niemiec Kłodzko, ale i całą Rzeszę. Większość Niemców wcale nie uważa, że ich kraj przegrał wojnę, a Wersal był dla nich policzkiem. Te nastroje, oskarżenia o zdradę, będą narastać i narastać...

– Tak jak Brytyjczycy patrzy pan na las, a nie na pojedyncze drzewa? W ten sposób dostrzega pan więcej, panie Svoboda?

– Chyba coś w tym jest, nie uważa pan? – Szeroko się uśmiechając, Czech nałożył na talerz kolejną porcję jedzenia. – A pstrąg wyśmienity, naprawdę powinien pan go skosztować.

Aukcja przyciągnęła w tej chwili uwagę większości zgromadzonych. Klein nałożył na talerz niewielką kanapkę z paszтетem i korniszonem, po czym podszedł do jednego z okien wychodzących na Wilhelmsplatz.

Rondo opustoszało, na ulicach także nie było zbyt wielu przechodniów. Ci, którzy potrzebowali rozrywki, siedzieli w browarach lub restauracjach, inni pewnie wybrali zacisze domowe. Wilhelm spojrział w górę na dach kamienicy znajdującej się naprzeciw hotelu. Wypogodziło się i szczyty budynków rozjaśniało światło księżyca.

Nie dostrzegł żadnego ruchu, wiedział jednak, że gdzieś tam, wysoko, siedzą przyczajeni Koschella i Roth.

Z zamyślenia wyrwało go chrząknięcie. Odwrócił się i spostrzegł komisarza Richtera w towarzystwie sztywnego mężczyzny. Widział ich obu na Baderberg.

– Major Kurt Schneider – przedstawił się starszy mężczyzna o chudej pomarszczonej twarzy, lustrując Kleina chłodnym spojrzeniem. – Nie zdecydował się pan na odwiedzenie komendantury i żandarmerii. Pomyślałem więc, że sam się z panem przywitam.

– Wilhelm Klein, majorze.

– Dalej będzie nas pan unikał? Być może nie docenia pan naszego doświadczenia i znajomości tematu. Kto wie, czy nie okażą się przydatne.

– Nie mam wątpliwości, że rzeczywiście jest tak, jak pan mówi...

Klein w niedopowiedzeniu zostawił domysł, czy chodzi mu o unikanie wojskowej braci, o niedoceniecie doświadczenia żandarmerii, czy też o to, że zgadza się z uwagą o przydatności tejże.

Richter się uśmiechnął. Dotknął delikatnie ramienia majora, najwyraźniej dając mu sygnał, by ten nie dał się ponieść emocjom.

– Kapitan Klein na pewno odwiedzi majora, gdy uzna to za konieczne – wtrącił komisarz – prowadzi jednak niezależne śledztwo. Najpewniej zgodnie z instrukcjami, które otrzymał od przełożonych w Berlinie.

– Zasłanianie się tajnymi poleceniami Berlina... – Stary major wypuścił powietrze ustami, wydymając wargi jak kłacz. – Nie jesteśmy w Berlinie, tylko w Kłodzku. Wszystkim nam zależy na ujęciu tych... degeneratów. Zastrzelenie majora Peschke w biały dzień, ta egzekucja, była policzkiem wymierzonym nam, wojskowym.

– Kolejne dwa zabójstwa już nie? – Richter próbował zażartować. Zaraz jednak, widząc, że jego towarzysz niebezpiecznie się zapowietrza, dodał: – Być może udało nam się złapać jednego ze sprawców.

– Chyba sam w to nie wierzysz, mój drogi... – major znów parsknął. Zdawał się nie zauważać, że Richter nie przyjął zbyt przychylnie tych słów. – Zobaczymy, co będzie dalej. Zabójstwa odkrywane są teraz dzień po dniu. Jeśli jutro kapitan Klein wyciągnie kolejnego trupa z jakiejś sadzawki, uznam, że ktoś chce nas wszystkich zbłaźnić i pogrzebać żywcem.

– Tutaj pan jest, kapitanie!

Pomiędzy rozmawiających wparował doktor Kuhnast, który przywitał się z Kleinem jak ze starym, dawno niewidzianym znajomym. Richter i Schneider obserwowali to ze zdumieniem. Zнали patologa od lat i nigdy nikomu nie okazywał on tak wylewnie swojej sympatii.

– Miał pan słuszość, drogi Wilhelmie, absolutną słuszość co do zamiarów morderców. To, w jaki sposób obaj przeanalizowaliśmy dostępne dane, by wyciągnąć te, wydawałoby się, zupełnie niewiarygodne wnioski, wciąż powoduje u mnie dreszcz emocji.

Richter nie wyglądał na zadowolonego pojawieniem się Kuhnasta. Porwał kieliszek z tacy przechodzącego kelnera i ścisnął szklaną stopkę równie mocno jak szczęki.

– Nie mieliśmy sposobności spotkać się rano... a zdążyłem wykonać sekcję. – Kuhnast zniżył głos, choć w panującym w sali i tak nikt nie usłyszałby ich rozmowy. – Bankier zabity w mniej więcej tym samym czasie co rajca Dinter. W płucach odrobina wody, nie zdążył się utopić...

– Może wicedyrektor Beier zabity został gdzieś indziej? – podsunął Richter. – Rajcy przecież także nie zamordowano w miejscu odnalezienia ciała. Na kamienny most został dostarczony już martwy.

– Nie, nie... Ofiara była zakneblowana, by nie mogła krzyczeć. W ustach miała kulę, którą przytrzymały rzemieńne pasy. Zamiarem tych, którzy przygotowali tak wyrafinowaną torturę, było utopienie bankiera w kanale starego młyna. Majstrowali przy zastawkach, by podnieść wodę. W tym czasie ofiara była już przywiązana łańcuchami do kratownicy.

– Ale sam pan powiedział, że płucach było mało wody – włączył się major Schneider. – To chyba świadczy o tym, że bankier nie utonął.

– Nie zdążył. Zabił go rozległy zawał serca wywołany najpewniej silnymi emocjami. Co więcej... – Kuhnast zawiesił głos. Przez cały czas wpatrywał się w Kleina. To na nim chciał zrobić wrażenie. – Co więcej, uważam, że w tym samym czasie, kiedy zamordowano bankiera, przetransportowano ciało drugiej ofiary, rajcy, w stronę kamiennego mostu. Wszystko odbyło się za jednym zamachem, pod osłoną nocy i mgły, która, jak panowie pamiętacie, była w tym dniu wyjątkowo gęsta.

– To tylko świadczy o dobrym zorganizowaniu morderców i potwierdza, że musiało być ich co najmniej dwóch. – Richter zwilżył usta i odstawił kieliszek na stół. – Niezbędne były długie i żmudne przygotowania, tak w wypadku śmierci majora Peschke, jak i rajcy oraz wicedyrektora Banku Rzeszy.

– Ten twój Paser byłby zdolny do przeprowadzania równie skomplikowanych operacji? – zapytał z ironicznym uśmiechem major Schneider.

– Może być jednym z wykonawców – odpowiedział ostrożnie Richter. – Tak czy owak uważam, że w najbliższym czasie nie dojdzie do kolejnych morderstw. Jak to ująłeś, równie skomplikowane operacje wymagają przygotowań, sporej ilości czasu na dopracowanie szczegółów...

– A co pan o tym myśli, drogi Klein? – przerwał komisarzowi Kuhnast, wpatrując się w milczącego przez cały ten czas Wilhelma jak w wyrocznię.

– Tak jak powiedział komisarz Richter – Klein odstawił talerzyk z niedojedzoną kanapką – morderstwa, z którymi mieliśmy do czynienia, wymagały dużo wysiłku i szczegółowych planów. Jednak każde z nich, także te przyszłe, zostały obmyślane i zaplanowane już dawno temu. Teraz jesteśmy jedynie świadkami ich realizacji.

– Ale to znaczy... – Kuhnast po raz pierwszy popatrzył na Richtera i majora, jakby szukając u nich potwierdzenia, że dobrze zrozumiał słowa Kleina. – To znaczy,

drogi Wilhelmie, że do kolejnych morderstw może dojść w każdej chwili?

Klein nie zdążył odpowiedzieć. Od strony podwyższenia rozległy się odgłosy nawoływań, którym towarzyszyły gromkie oklaski. Zapraszano na scenę komisarza Richtera i majora Schneidera. Obaj uśmiechnęli się sztucznie, pożegnali i ruszyli przez tłum w stronę sceny.

– To szybko się nie skończy, prawda, drogi panie Wilhelmie? – zapytał Kuhnast, gdy zostali sami.

– Będzie miał pan dużo pracy, doktorze, i to już niebawem...

– Proszę pamiętać, że jestem do pańskiej dyspozycji. – Kuhnast westchnął ciężko i uniósł dłoń do kogoś, kto przywoływał go do siebie. – Moja małżonka, idę ją przypilnować. Gotowa wydać całą moją pensję na losy!

Mężczyźni się pożegnali. Klein dostrzegł, że tuż obok niego otwarto drzwi prowadzące na balkon, i postanowił to wykorzystać. Zanurkował między ciężkimi zasłonami i oto znalazł się w miejscu, z którego rozciągał się doskonały widok na cały Wilhelmsplatz.

Odczuwał coraz większy niepokój. Wydało mu się, że znów ma gorączkę, lecz ukłucie chłodu przywróciło mu wewnętrzną równowagę. Ta część miasta wydała się wymarła. Ostatnie światła w budynku poczty zgasły, a bramę wjazdową dla dyliżansów pocztowych zamknięto. Kilku dorożkarzy ustawiło wozy przy krawężniku. Najpewniej czekali na klientów, którzy zamówili ich usługi na konkretną godzinę.

Wilhelm popatrzył w stronę kamienicy. W wielu oknach paliło się złociste światło, sama fasada tonęła jednak w ciemnościach. Wydawało się, że ściana pochyła się w stronę placu, jakby przygniatana niewidocznym ciężarem. Podobny ciężar umiejscowił się głęboko w brzuchu Kleina. Kapitan miał wrażenie, że coś przeoczył, coś umknęło jego uwadze. Świadomość, na czym polega błąd, wydawała się być na wyciągnięcie ręki, wciąż jednak wszystko mu umykało, po głowie kołatały się jakieś słowa, zdania wypowiedziane przez tych, których spotkał w ciągu ostatnich dni...

Pogoń myśli stawała się nieznośna. Klein zacisnął dłonie na balustradzie. Dźwięki dochodzące przez otwarte drzwi załamywały się, przycichały i znów zyskiwały na intensywności wwiercając się w uszy. Kapitan miał coraz większe problemy ze skupieniem się; uchodzące z sali ciepło zdawało się go przenikać, przez co ponownie odniósł wrażenie, jakby miał się unieść w powietrzu.

Odbił się biodrem od barierki, by wprawić ciało w ruch. Pochylił się, jakby szykując do szarży, i ruszył przed siebie, w tłum. Rejestrował obrazy z lekkim opóźnieniem, wydało mu się nawet, że dźwięk wyprzedza doznania wzrokowe. Tę dysharmonię przyjął z rozbawieniem. Zdał sobie sprawę, że w dłoni trzyma muszkę, którą wcześniej musiał bezwiednie rozwiązać.

Stojący przy nim ludzie wydawali się drzeć pod wpływem tubalnego głosu dobiegającego ze sceny. Postaci rozmazywały się, twarze traciły ostrość. Przed Kleinem zatrzymała się dziewczyna z małym wiklinowym koszykiem. Uniosła go

z uśmiechem. Klein z wysiłkiem skoncentrował wzrok na papierowych losach. Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, wrzucił go razem z muszką do koszyka. Wyminął dziewczynę, starając się znaleźć wyjście z sali.

– Cóż za zapierająca dech w piersiach rywalizacja! Drodzy państwo, pozostało dwoje licytujących, panienka Agnes Braun i szanowny pan Otto Langer! Przypominam, walczą o nagrodę ufundowaną przez kapitana Edwarda Metza, wielkiego miłośnika naszego miasta, dzięki któremu kłodzka twierdza stała się obiektem turystycznym przyciągającym coraz większą liczbę przyjezdnych z najdalszych zakątków kraju. Artykuły kapitana w prasie lokalnej niewątpliwie przybliżają nam historię tego obiektu obronnego. Przypominam także, że wszystkie fundusze z licytacji zasila działalność Niemieckiego Związku Kombatantów! Opiekujemy się sierotami po poległych żołnierzach, a także tymi, którzy wrócili z wojny ranni i okaleczeni...

Klein zatrzymał się w pół kroku i odwrócił w stronę sceny.

– Powróćmy jednak do licytacji – ciągnął mężczyzna. – Kwotę pięćdziesięciu marek, która umożliwi spędzenie niezapomnianej kolacji w nowej restauracji w kłodzkiej twierdzy zaproponował Herr Langer! Czy panienka lub ktoś z tu obecnych zamierza przebić ofertę?

– Tak! Podbijam do sześćdziesięciu marek!

Na sali rozległy się gromkie brawa. Klein rozpoznał głos Agnes, ruszył powoli w jej stronę, przechodząc między rozbawionymi uczestnikami zabawy.

– Jaka będzie odpowiedź szanownego dżentelmena?

– Siedemdziesiąt marek!

– Proszę państwa, Hotel Cesarski aż kipi od emocji – prowadzący wprawnie podgrzewał atmosferę licytacji. – Czyżby tej oferty nie dało się już przebić?

– Sto marek! – Agnes pomachała dłonią i wyzywająco spojrzała na swojego przeciwnika.

Klein zobaczył mężczyznę, który przebijał licytację Agnes. Otto Langer był wysoki i szczupły, wyglądał na wysportowanego. Jednocześnie cechowała go jakaś nonszalancja w ruchach i pewność siebie. Uśmiechnął się do Agnes, skłaniając głowę, po czym uniósł dłonie, dając za wygraną. Znów się skłonił i zaczął bić brawo.

– A więc mamy rozstrzygnięcie! Wspaniała i hojna oferta od przepięknej damy! Szczęśliwy ten, który wraz z nią spędzi wieczór przy świecach w naszej twierdzy! A teraz zapraszamy na występ Męskiego Towarzystwa Śpiewaczego, które od wielu lat związane jest z Hotelem Cesarskim...

Klein wychwycił spojrzenie Agnes. Przyjmowała gratulacje od osób z najbliższego otoczenia. Po chwili stanęła przed nim rozpromieniona.

– Przyznaję, troszeczkę mnie poniosło – nie potrafiła ukryć rozbawienia.

– Wydaje mi się, że po prostu nie lubisz przegrywać.

– Coś w tym jest. – Ujęła jego ramię. – Muszę ci powiedzieć, że ten Langer to bardzo miły mężczyzna... Wiesz, że licytował się ze mną, by to właśnie mnie

zaprosić na tę kolację?

– Trzeba było mu na to pozwolić.

– Miałam taki zamiar, podbijałam cenę w szczytnym celu. Nie wiedziałam, że się wycofa – parsknęła śmiechem. – Obawiam się, że będziesz musiał mi trochę dołożyć do tych stu marek. Hrabia Herberstein jest przewidujący, ale okazało się, że nie miał nosa co do wysokości tych nieprzewidzianych wydatków.

– Jesteś nieobliczalna. – Widząc jej zaczerwienione policzki i rozgonione oczy, Klein nie mógł się nie uśmiechnąć. – Możemy więc chyba wybaczyć hrabiemu jego brak przezorności.

Powoli przeszli w stronę stołów, przy których wolontariuszki zbierały zadeklarowane w licytacjach kwoty. Kolejka była spora, jednak nikt się nie niecierpliwił. Co chwilę oklaskami nagradzano występy chóru. Rozmowy toczyły się w leniwej, przyjemnej atmosferze. Coraz więcej osób korzystało z bufetu, a to był niechybny znak, że przyjęcie dobiegało końca.

– Ach, to państwo! Cóż za wspaniała para! – Dystygowana kobieta siedząca za stołem klasnęła w dłonie na ich widok. Koronki zdobiące jej suknię zafalowały, skrząc się cekinami. – Byłam świadkiem pani licytacji. Cieszę się, że to pani ją wygrała. Choć przyznam, że miałam nadzieję, że mój mąż weźmie udział w aukcji i powalczy o tę nagrodę. Byłby to wspaniały prezent na naszą trzydziestą rocznicę ślubu...

– Może był w tym czasie zajęty... – Agnes stanęła w obronie nieznanego. Jego żona wyglądała na impulsywną kobietę.

– Niestety nie. Wyobraża sobie pani, że nie dotarł na przyjęcie? – Kobieta rozejrzała się, jakby w nadziei, że jej małżonek właśnie się pojawił i będzie mogła uczynić mu stosowne wyrzuty. – Musiały zatrzymać go ważne sprawy. Wciąż liczę, że jeszcze tu dotrze. Z gmachu sądu przy Gartenstrasse nie jest w końcu tak daleko. Jeśli się nie postara, to chyba będą nas czekać ciche dni.

Kobieta zaśmiała się nazbyt frywolnie.

– Może nie będzie tak źle – zauważyła nieśmiało Agnes.

– Będzie, będzie. Ależ gdzie moje maniery! Pozwólcie państwo, że się przedstawię: Laura Wiese. – Kobieta wstała i uściśnęła po męsku prawicę Kleina i Agnes. Wilhelm musiał przyznać, że pani Wiese ma krzepę.

– Oto wylicytowana kwota – powiedział, przekazując banknoty zdrętwiałymi palcami. Kobieta włożyła je z uśmiechem do metalowej kasetki i przekazała certyfikat z wygranej licytacji jego partnerce.

– Chciałabym, żeby to pani wzięła to zaproszenie – powiedziała Agnes. – Pani męża na pewno zatrzymały ważne sprawy, jestem pewna, że gdyby tu był, zrobiłby wszystko, by wygrać tę licytację.

– Ależ nie mogę, moje dziecko, to nie wypada. – Pani Wiese uniosła rękę, wzbraniając się przed przyjęciem certyfikatu. – Taka piękna, zakochana para, powinniście pójść na tę kolację razem.

– Proszę, niech pani uczyni nam tę przyjemność – nalegała Agnes z promiennym uśmiechem. – To pani robi mężowi niespodziankę...

Ten argument odniósł skutek, bo kobieta wyraźnie się wzruszyła.

– Toż to istny anioł, niech pan jej nie wypuści z rąk! – zwróciła się do Kleina. Ten przezornie milczał, obawiał się kolejnych uścisków dłoni. – Zrobimy tak: dołożę także sto marek do puli przez nas zebranej. W ten sposób uczynimy jeszcze więcej dobra. Dziękuję ci, kochanie.

Obawy Wilhelma okazały się uzasadnione, choć jednocześnie zdał sobie sprawę, że mogło być gorzej. Kobieta miała bowiem zamiar ich objąć, na szczęście przeszkodził jej w tym szeroki blat stołu. Skończyło się na kolejnym uściśnięciu dłoni.

– A panu, kapitanie, także chcę podziękować za hojny dar. Muszka, którą pan przekazał na licytację, osiągnęła zawrotną cenę dwustu pięćdziesięciu marek i okazała się niewątpliwie najcenniejszym fantem, jaki mieliśmy podczas naszych aukcji.

Klein nie był w stanie odpowiedzieć. Czuł się zbyt zaskoczony, nie zarejestrował bowiem, kiedy owej muszki się pozbył. Ponadto kobieta zamknęła jego dłoń w żelaznym uścisku i potrząsała nią tak energicznie, jakby zamierzała mu ją oderwać.

– Wszystkiego najlepszego w trzydziestą rocznicę ślubu! – Agnes chyba zdała sobie sprawę z tortur swego towarzysza. Nachyliła się przez stół w stronę kobiety, wymieniły pocałunek w policzek. Pani Wiese szepnęła jej coś na ucho, co Agnes skwitowała śmiechem. Po chwili oboje odeszli od stołu.

Towarzystwo śpiewacze zakończyło występ. Sala opustoszała, od strony schodów prowadzących do szatni dobiegały głośne rozmowy. Klein i Agnes także ruszyli po swoje okrycia.

– Nie jesteś ciekawy, co szeptęła mi na ucho pani Wiese?

– Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy...

– Ależ z ciebie mruk. – Pokręciła głową. – I tak ci powiem. Zdradziła, kto wylicytował twoją muszkę.

– Na pewno ktoś niespełna rozumu.

– Kobieta, do tego przedstawicielka zacnego rodu, Gabriele von Magnis. Powinam być zazdrosna? Jest młodsza ode mnie o ładnych kilka lat! Jak tak dalej pójdzie, nie dotrwamy nawet do pierwszej rocznicy ślubu, a co dopiero do trzydziestej!

– Nie pamiętam, żebyśmy w ogóle się pobierali...

– No tak, to chyba przez tę miłą kobietę, panią Wiese, uległam temu złudzeniu. Sprowadziłeś mnie na ziemię. Wiedziałam, że tak będzie. Piękne, zamożne arystokratki. Gdzie mnie się z nimi równać?

Klein zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. Agnes cechowała pogodą ducha, której jemu zawsze brakowało. Jej energia i pozytywne nastawienie szybko udzielały się

innym.

– Masz rację – powiedział z udawaną powagą. – Nie możesz się z nimi równać.

Poczuł twarde łokieć pod żebrami. Agnes fuknęła coś pod nosem, a potem kopnęła go w kostkę.

– No właśnie, o tym mówiłem – jęknął. – Za grosz wychowania i ogłady.

Przystopował, gdy popatrzyła na niego naprawdę groźnie. Wydawało mu się, że podjął jej grę, ale chyba przecenił swoje umiejętności odczytywania kobiecych intencji.

– Przy takim neandertalczyku jak ty trudno zachować choćby pozory ogłady. Z kim przestajesz, taki się stajesz.

– No i już – skomentował.

– No i już. – Zaplotła ręce na piersi. Po chwili przejęła od niego płaszcz i dodała z wyrzutem: – Nawet mnie dzisiaj nie skomplementowałeś. Że wspaniała suknia, że ja wyglądam w niej niczym piękny kwiat, że światło księżycy to, romantyczne świece tamto... Za późno! – dodała szybko, widząc, że zbiera się do odpowiedzi.

– Chciałem tylko powiedzieć, że zabrałaś mój płaszcz. – Podał jej drugi, który pozostał mu w dłoniach.

– A no tak, dobrze. – Uniosła brew nieco zbita z tropu.

– Możemy iść? – Nadstawił ramię, by mogła się na nim wesprzeć.

– Możemy – odpowiedziała, wymijając go ostentacyjnie. W rzedającym tłumie ruszyła w stronę wyjścia.

Klein podążył za nią. Zdał sobie sprawę, że dzięki niej na chwilę zapomniał o swoich wcześniejszych lękach i obawach. Wróciły jednak ze zdwojoną siłą, gdy znalazł się przed hotelem. Dorożki krążyły wokół Wilhelmsplatz, zabierając pasażerów. Pośrodku ronda pojawił się policjant kierujący ruchem. Klein wbił wzrok budynek kamienicy, przy której wciąż powinni przebywać Franz i Roth. Nie dali mu żadnych znaków, nie wydarzyło się nic, czego się wcześniej obawiał.

– Co tam widzisz? – Agnes w końcu ujęła go pod ramię. – Szukasz kolejnej ofiary?

Popatrzył na nią. Była poważna, sprawiała wrażenie, jakby doskonale wiedziała, co dzieje się w jego głowie. I nie mógł oprzeć się wrażeniu, że rzeczywiście tak było.

– Chyba nie miałem racji... Najprawdopodobniej nie doceniłem swojego przeciwnika.

– Przeciwnika? Myślałam, że tych, którzy dokonują zabójstw, jest kilku...

W tym momencie od budynku poczty dobiegły ich okrzyki dorożkarzy. Klein miał wrażenie, że czas zwolnił. Obrazy znów się rozmyły, a dźwięk wyblakł, przemieniając się w nierzeczywiste echo.

Do zgromadzonych przed hotelem dotarły głośny huk, rzenie koni i tętent kopyt na bruku. Klein zszedł z chodnika na ulicę i wyrzwał zza dorożki. Rosnący hałas

dobiegał od strony poczty. Nagle wśród tłumu rozległy się okrzyki zgrozy, goście wpadli w popłoch.

Klein zobaczył dwa spłoszone konie, które wbiegły galopem na Wilhelmsplatz. Ich grzywy powiewały w obłąkańczym pędzie, mięśnie drgały pod skórą, a w oczach widać było szaleństwo. Ten obraz nałożył się na inny, tamten z przeszłości. Płonące grzywy wierzchowców gnających z otwartymi brzuchami w ostatnim śmiertelnym galopie; miażdżone kopytami głowy nieszczęśników, którzy długimi godzinami umierali w błocie; świst pocisków, eksplozje szrapneli, grudy błota i odłamków, wszystko w błysku rac oświetlających piekło...

– Zatrzymać je!

Klein wyszedł naprzeciw wierzchowcom. Ludzie krzyczeli z przerażenia, widząc, jak mężczyzna staje im na drodze i unosi ręce. Brutalna siła nadciągała niczym taran. Kobiety mdlały, mężczyźni odwracali oczy, pewni, że śmiałek zostanie rozniesiony końskimi kopytami.

Wierzchowce zarżały rozdzierająco. Szczepione ze sobą ułamanym dyszlem próbowały ominąć przeszkodę. Lecz ten, który wyszedł im na spotkanie, nie cofnął się nawet o krok. Wtedy kopyta uniosły się, konie zetknęły się bokami, pod jednym z nich ugięły się nogi, mimo to niesiony przez towarzysza nie stracił równowagi. Kopyta uderzyły z hukiem o bruk.

Tłum patrzył w milczeniu, jak Klein zatrzymuje wierzchowce. Jak te dotykają przed nim pyskami ziemi.

– Wilhelmie!

Klein odwrócił się na okrzyk Agnes, która nagle znalazła się u jego boku. Patrzyła na niego z przerażeniem, wydawało się, że chce się cofnąć o krok, widząc obcy, diaboliczny wyraz jego twarzy. W jego oczach wciąż odbijały się języki ognia płonących grzyw wierzchowców.

Jeden po drugim ludzie zaczęli zbliżać się do zwierząt. Rozbrzmiały kolejne okrzyki.

Klein przywołał do siebie policjanta, kazał odsunąć się napierającemu tłumowi. W kilka chwil pojawili się przy nim Franz Koschella i Roth, którzy opuścili swoje stanowiska na dachu kamienicy.

– Boże! Ratujcie tego człowieka!

Wilhelm obszedł wierzchowce. Widział już wcześniej, że konie ciągną za sobą bezwładny ciemny toból zostawiający za sobą krwawy ślad.

– Kolejna ofiara – krzyknął ktoś w tłumie. – Zabili następnego!

U boku Kleina pojawili się komisarz Richter i kilku policjantów. Odgrodzili tłum od leżącego ciała. Spomiędzy zgromadzonych wybiegł doktor Kuhnast i przykucnął przy nieruchomym ciele.

Klein wiedział, jaki będzie wynik oględzin. Dostrzegł wcześniej, jak głowa nieszczęśnika podskakuje na bruku ulicy, jak kości czaszki zapadają się, a potylicy

zamienia w krwawy strzęp. Mimo to twarz mężczyzny jakimś cudem pozostała przy tym nienaruszona.

– Sędzia Konrad Wiese! To sędzia Wiese!

Wilhelm poczuł palce Agnes kurczowo zaciskające mu się na łokciu. Zobaczył, jak żona sędziego chwieje się, jak stojący przy niej próbują ją powstrzymać przed upadkiem.

– Panie kapitanie. – Przed Kleinem wyrósł Koschella, był blady, wyglądał jak upiór. – Kapitanie, co robimy?!

– Weź Rotha, pójdziecie za mną...

Klein spojrział na ciało sędziego Wiese. Jeden z żołnierzy odciął rzemienie, którymi przywiązano jego nogi do dyszla. Ciało przykryto kocami przyniesionymi przez fiakrów.

Tłum w milczeniu rozstępował się przed Kleinem, ludzie nie odzywali się nawet słowem. Bańka, pod którą dopiero co czuli się bezpiecznie, przysła. Wilhelm także patrzył tylko przed siebie, jakby dostrzegał w oddali coś, czego nie było dane dojrzeć innym. Koschella i Roth szli u jego boku odprowadzani wściekłym spojrzeniem komisarza Richtera.

*

– Roth, biegnij do fotografa Marxa, powiedz mu, że jest potrzebny. Będzie wiedział, co ma robić.

Jürgen skłonił się, nawet nie spoglądając na szefa, i pognał w dół Wilhelmstrasse. Korek na ulicy znów zrobił się ogromny. Dorożki stały w długim szeregu po obu stronach jezdni, blokując przejazd.

W tym czasie Klein i Koschella podeszli pod bramę wjazdową prowadzącą na tyły poczty. Wilhelm zauważył, że jest otwarta. Przystanęli na pustym wybrukowanym placu i rozejrzeli się uważnie. Krwawy ślad prowadził od Wilhelmsplatz właśnie do tego miejsca. Pośrodku podwórza widać było większą, owalną plamę krwi.

– Obudzę stróża. Albo zapił, albo go zabili – powiedział Franz i ruszył w stronę przybudówki.

Klein popatrzył na wiatę, pod którą sortowano paczki i listy. Od stajni dobiegało niespokojne rżenie. Okna poczty pozostawały wygaszone, budynek wydawał się całkowicie wymarły. Jedyнным znakiem tego, że coś się tutaj wydarzyło był krwawy ślad na bruku i otwarta brama.

Rozległ się odgłos uderzenia pięścią w drzwi.

– Wyłaź!!!

Drzwi musiały zostać w końcu otwarte, bo słyhać było, że Koschella z kimś rozmawia. Po chwili Franz przytargał za fraki dozorcę. Mężczyzna był pijany, ledwie trzymał się na nogach.

– So się stao? So to za napaś? Zgłośz polisji!

Pijacka czkawka przerwała mu tyradę, w samą porę, bo Koschella uniósł zaciśniętą pięść, by postawić go do pionu.

– Zapijaczona świnio! – ryknął. – To tak pilnujesz tego miejsca? Zabili sędziego pod twoim nosem! Wyciągnęli dwa konie ze stajni, trupa do nich przywiązali i wypuścili na miasto! Odpowiesz za to własną głową, skurwielu. Na pewno byłeś z nimi w zмовie.

– Panie! – Dozorca wybałuszył oczy. Wydawało się, że nagle otrzeźwiał. Patrzył to na Kleina, to na Koschellę, a najdłużej na krwawą kałużę u swoich stóp. – Jak to? Jak...?

– Jak, to nam powiesz na dołku. Nawet nie zauważysz różnicy między celą a tą swoją psią budą, w której zalewasz pałę!

– Ja nic... nic nie wiem. Nic nie słyszałem...

Franz uderzył dozorcę otwartą dłonią w potylicę. Mężczyzna opadł na kolana, zaczął łkać.

– Mów, skurwysynu – warknął Franz. Uderzył jeszcze raz.

Mężczyzna usiłował zasłonić głowę. Nie był jednak w stanie obronić się przed furią wachmistrza.

– Wystarczy, Franz.

Klein podszedł do skamlącego dozorcę, nachylił się nad nim i ujął jego usmarkany podbródek. Uniósł go i spojrzał w małe załzawione oczka.

– Słyszałeś coś dziś wieczorem? Coś wzbudziło w tobie niepokój?

– Jak Boga kocham... nic nie słyszałem...

– Uspokój się i zastanów – Klein mówił spokojnie jak do dziecka. – Musiałeś coś słyszeć, ale może nie chciało ci się wyjść i sprawdzić.

– Konie...

– Co konie? – warknął przynaglająco Franz.

– Konie ostatnio były niespokojne, bardziej niż zwykle... Wychodzę w nocy na obchód. Wczoraj... wczoraj wydawało mi się, że ktoś był na podwórzu. Sprawdzałem wszystko, ale byłem pewny, że mi się tylko wydawało. Dzisiaj to samo było... ale tym razem...

– Tym razem nie chciało ci się ruszyć dupy, żeby sprawdzić? – Koschella chwycił mężczyznę za ucho i pociągnął. Ten jęknął żałośnie. – Co z nim robimy?

Obok nich pojawił się Roth, który zdążył już wrócić z atelier.

– Zostawiamy go Richterowi. Wiese był dziś do późna w pracy. Musieli go zgarnąć albo w budynku sądu, albo w drodze na przyjęcie... – Klein nagle zamilkł.

– Co się stało? – zapytał niespokojnie Franz, widząc minę szefa.

Ten utkwiał w nim nieruchomy wzrok.

– Dorożki – powiedział. – Roth, Koschella! Zatrzymajcie wszystkie dorożki! Zablokujcie drogi wyjazdowe!

Wachmistrz i asystent policyjny bez zbędnych pytań ruszyli biegiem w stronę bramy. Tu się rozdzielili. Roth pobiegł w prawo w dół Wilhelmstrasse, zatrzymując

przy okazji pierwsze budy, które opuszczały rondo. Koschella natomiast puścił się biegiem w lewo, w stronę Hotelu Cesarskiego. Klein także wybiegł z podwórza. Widział, jak Jürgen każe jednemu z fiaków ustawić swój wóz w poprzek drogi. Potem ruszył w lewo i przebiegł przy ścianie budynku poczty, kierując się w stronę Gartenstrasse. Pierwsze dorożki opuszczały plac, udając się w tamtym kierunku. Kapitan przyspieszył i wskoczył na budę pierwszego z pojazdów wyjeżdżających z ronda.

– Zatrzymać dorożkę, ustawić ją w poprzek drogi, nikt nie ma prawa stąd wyjechać!

Zajrzał do wnętrza budy. Siedząca tam kobieta krzyknęła ze strachu. Jej towarzysz zachował zimną krew. Wydaje się, że w lot pojął zamiar Kleina.

Kapitan zeskoczył z budy i wbiegł na rondo.

Z zadowoleniem zanotował, że Koschella działa szybko i sprawnie. Kilku policjantów i żołnierzy, którzy zdążyli pojawić się przed hotelem, oddelegował w stronę wyjazdów z Wilhelmsplatz z poleceniem utrzymania blokady. Zobaczył także komisarza Richtera, który szedł teraz w jego kierunku z zaciśniętymi pięściami i piorunami w oczach. Obaj mężczyźni spotkali się na środku ronda.

– Co pan na miłość boską robi, Klein?! Ci ludzie mają już dość wrażeń na dziś, a pan każe im tu zostać? Mamy kolejnego trupa, a pan zamiast uspokoić nastroje wzbudza panikę swoim działaniem! Napiszę skargę do Berlina...

– Nikt nie panikuje, komisarzu. Ci ludzie wiedzą, że szukamy morderców, i zrobią wszystko, żeby nam pomóc. W dorożkach mogą być ci, których szukamy...

Richter się zapowietrzył.

– Czemu pan od razu nie mówi? – warknął. – Kogo szukamy?

– Fiaków bez licencji. Przy sprawdzaniu każdej z dorożek proszę mieć przy sobie kogoś, kto zdoła rozpoznać zaproszonych gości... Jeśli wśród pasażerów będzie nieznajomy, należy go zatrzymać.

– Kurwa – zaklął Richter pod nosem. Odwrócił się od Kleina i wrzasnął: – Seipelt, Schulz! Do mnie! Natychmiast!

Komisarz ruszył w stronę hotelu, a u boku Kleina znalazł się Koschella.

– Sytuacja opanowana. Tylko dwie dorożki zdołały odjechać, ustaliłem jednak, kto w nich siedział. Zabroniłem opuszczania placu także tym, którzy zdecydują się iść na piechotę... Drzwi do hotelu kazałem zamknąć.

– Świetna robota, Franz. Miej broń w pogotowiu.

– A kapitan ma jakąś pukawkę?

– Czy w tym smokingu wyglądam na angielskiego szpiega z rewolwerem pod pachą?

Koschella wzruszył ramionami.

– To co robimy, szefie?

– Sprawdźmy najpierw te dorożki, które są najbliżej Rotha i poczty.

Franz bez słowa ruszył za kapitanem. Na placu panowało duże poruszenie, jednak ludzie zgromadzeni przed hotelem zachowywali się spokojnie. Richter w towarzystwie policjantów i jednego z organizatorów aukcji stanęli pośrodku Grüne Strasse. Dorożki powoli ustawiały się w kolejce do tego wyjazdu.

Mijając powozy, Klein lustrował fiaków i ich pasażerów. Kilka dorożek było pustych, dopiero czekały na zabranie gości. Wilhelm zastanawiał się, czy intuicja czasem go nie zawiodła.

Roth widział zbliżających się do niego kapitana i wachmistrza. Nie poznawał sam siebie. Walczył z myślami. Wydarzenia, które miały miejsce chwilę wcześniej, bez wątpienia nim wstrząsnęły, wciąż jednak przed oczami miał Agnes ściskającą ramię Kleina. To wspomnienie doprowadzało go do szaleństwa.

– Mieście broń w pogotowiu.

Jürgen skinął głową, lecz słowa kapitana ledwie do niego docierały.

– Załadowane dorożki mają podjeżdżać do mnie po kolei. Zatrzymujecie się w tym miejscu! – krzyknął Koschella, pokazując fiakrom fragment chodnika. – Pierwsza buda, podjeżdżać!

Woźnica zmusił starą szkapę do ruchu. Klacz uderzyła kopytami w bruk, dorożka zatrzęsała się i po chwili podjechała do Koschelli.

– Papiery...

Starzec wyciągnął spod kozła zezwolenie i podał je wachmistrzowi. Klein w tym czasie przyjrzał się pasażerom. Dwie kobiety i mężczyzna. Widział ich w kolejce przy szatni.

– Następni – powiedział i ukłonił się pobladłym damom. Mężczyzna siedzący w ich towarzystwie niepewnie uniósł dłoń. Po chwili klacz ruszyła w dół Wilhelmstrasse.

– To chyba trochę potrwa, kapitanie – zaklął Koschella, patrząc na kolejkę ciągnącą się od ronda. – Kurwa mać!

Kolejna dorożka powoli ruszyła w stronę wachmistrza. Klein znowu zlustrował pasażerów. Rozpoznał ich, wykupywali losy z rąk sędziny Wiese. Zostawił więc Rotha i Franza samych i ruszył niespiesznie w stronę hotelu. Przez cały czas dyskretnie przypatrywał się kolejnym pojazdom.

Po chwili zatrzymał się przy jednej z dorożek. Siedzący na koźle fiakier wydawał się przysypiać. Jego głowa opadała, a czapka zsunęła się niemal na nos. Klein pochylił się, by zawiązać but.

Koschella, który właśnie odprawił kolejny powóz, odszukał wzrokiem przełożonego. Ze zdziwieniem patrzył, jak kapitan, który przed chwilą zawiązywał but, nagle wyprostowuje się i sięga w stronę woźnicy. Rozległ się huk. Franz zobaczył, jak Klein upada na bruk, a fiakier wymachuje trzymaną w dłoniach bronią.

Koschella natychmiast wymierzył do woźnicy, lecz w tym momencie spłoszone hukiem konie zaprzężone do najbliższego powozu ruszyły wprost na niego.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Roth, który także rzucił się na pomoc Kleinowi został niemal stratowany końskimi kopytami i jedynie refleks ocalił go przed śmiercią.

Koschella odszukał wzrokiem kapitana, był pewny, że ten został trafiony, ku jego zdumieniu jednak Klein właśnie dopadał budy uciekającego pojazdu. Wskoczył na tył i uczeplił się rami. Franz wycelował w woźnicę, ale na drodze stanęła mu buda innego wozu.

– Wysiadać! – wrzasnął. – Wysiadać, ale już!

Jednym susem znalazł się na koźle i zrzucił z wozu woźnicę. Pasażerowie przytomnie wyskoczyli na chodnik i ulicę. W tym czasie Roth zdążył się pozbierać i dołączył do wachmistrza. Ten znów wrzasnął, tym razem na klacz, szarpnął lejce i ruszył w pogoń za dorożką, której udało się przedrzeć przez blokadę.

Końskie kopyta uderzały ciężko o bruk. Koschella widział uciekający pojazd jakieś dwieście metrów przed sobą. Klein uczeplony był jego tylnej burty. W tym pędzie wachmistrzowi spadł z głowy kapelusz, ale nawet tego nie zauważył.

– Czy on zwariował?!

Franz ledwie usłyszał słowa Jürgena w świstie wiatru. Też patrzył z przerażeniem, jak Klein, który znalazł oparcie dla nóg, powoli się podciąga, najprawdopodobniej z zamiarem przedostania się na przód dorożki. Nie wyglądało to dobrze – nie miał bronii i jeśli popełniłby błąd i dał się dostrzec domniemanemu mordercy, byłby odsłonięty jak na strzelnicy.

Minęli Górny Młyn i wjechali w Minoritenstrasse. Powóz przed nimi zaczynał się oddalać.

– Roth, ta chabeta długo nie pociągnie, spróbuję wycisnąć z niej wszystko, co się da. Na zakręcie, strzelaj!

– To się nie uda! – zawołał Roth. – Za bardzo trzęsie, trafię Kleina!

– Spróbuj!

Koschella krzyknął na klacz i strzelił w powietrzu lejcami, zmuszając zwierzę, by przyspieszyło. Po prawej pojawiły się wieże Minoritenkirche. Dorożka przed nimi właśnie wchodziła w zakręt. Zobaczyli woźnicę, którego dotąd zasłaniała buda wozu.

– Teraz, Roth! Jak nie do woźnicy, to w konia!

Roth uniósł broń i przymierzył. Nie oddał jednak strzału. Uciekająca dorożka zniknęła za zakrętem.

Koschella pozwolił zwolnić klaczy, widział bowiem, że zwierzę lada chwila padnie. Jak na złość trafili na wiekowy egzemplarz.

Wjechali na Rossmarkt, w oddali widzieli uciekający powóz, który dotarł już do końskiego mostu.

– Druga dorożka! – krzyknął Roth, wskazując powóz przed hotelem Pod Różą.

Koschella wstrzymał konie tuż obok. Zeskoczyli na ulicę i przesiedli się do drugiego powozu. Zignorowali fiakra, który wybiegł za nimi z budynku, krzycząc

i wymachując rękami.

– Jazda, kurwa! – Franz zdzierał gardło, zmuszając konia do wysiłku. – Choćbyś miała zdechnąć!

Uciekinier zdążył już pokonać Sellgittplatz i przejechać pod kolejowym wiaduktem. Wkrótce i oni dotarli do tego punktu.

Wpadli w Herrenstrasse. Udało im się przybliżyć do uciekiniera na tyle, by widzieć w oddali budę powozu.

– Jak wyjedzie na przedmieścia, to go zgubimy w tych ciemnościach!

Franz wiedział, że Roth ma rację. Tylko przy niektórych budynkach paliły się lampy. Pospiesznie analizował w myślach sytuację. Gdy miną zajazd Pod Białym Lwem, znajdą się na rozwidleniu już poza terenami zabudowanymi. Tam ścigany może wybrać jedną z trzech dróg: na Złoty Stok, na Jaszkową Dolną lub na Łądek.

Koschella zastanawiał się, co planuje Klein. Naraz dojrzał z daleka, że cień kurczowo uczepony boku pojazdu znów przesuwa się do przodu. Gdy byli na wysokości zajazdu powóz przed nimi zniknął w ciemnościach.

– Gówno!

Franz popędził konia i wkrótce także znaleźli się poza zasięgiem światła lamp. Odbili po łuku w prawo, tam, gdzie od rozwidlenia prowadziły dwie z trzech prowincjonalnych dróg. Koschella zwolnił. Próbował dosłyszeć tętent, wydawało się jednak, że dorożka rozplynęła się niczym widmo.

– Skręcili pewnie w drogę na Łądek!

– Zamknij się, daj posłuchać!

W tym momencie powietrze przeszył suchy odgłos wystrzału.

Koschella znów popędził konia i skręcił w stronę Jaszkowej. Gnali niemal na oślep, bowiem latarenka dorożki dawała znikome światło. Franz pamiętał, że po prawej stronie jest plac manewrowy i strzelnica wojskowa, jednak nie był w stanie ich dostrzec. Nagle poczuł, że serce podchodzi mu do gardła: wprost na nich galopowała oszalała klacz. Był pewny, że już po nich, że jak nic dojdzie do zderzenia, lecz zwierzę uskoczyło z drogi i rżąc przeraźliwe, pognało w stronę pól. Przejechali jeszcze kilkaset metrów, gdy Roth wskazał coś na poboczu. Teraz i wachmistrz dostrzegł wywróconą kołami do góry dorożkę. Zatrzymali się obok i czym prędzej wysiedli.

– Uważaj, Jürgen!

Franz ruszył przed siebie, celując w ciemność. Zdawał sobie sprawę, ile ryzykuje, nie miał jednak wyboru. Liczył, że nie stanie się zaraz cięższy o kulkę ołowiu.

Po chwili obaj dopadli do wraku i dokładnie go przeszukali.

– Pusto. Kurwa mać.

Wachmistrz rozejrzał się wokół. Otaczały ich wysokie suche trawy i karłowate drzewka pokryte delikatnym listowiem. Nie sposób było zobaczyć nic więcej.

Obszedł nerwowo dorożkę, badając ślady odcisnięte w miękkiej ziemi.

– Bierz lampkę, Roth! – zakomenderował półgłosem. – Idziemy!

Jürgen podbiegł do wozu i po chwili wrócił do wachmistrza z latarnią.

– Nieś ją jak najdalej od siebie, na odległość wyciągniętej ręki – poinstruował go Koschella. – Będziemy wystawieni na odstrzał jak kaczki. Módl się, żeby ten, który będzie strzelał, mierzył w światło.

– Pocieszył mnie wachmistrz. – Roth z trudem przełknął ślinę, błyskawicznie jednak zastosował się do polecenia.

– Tędy.

Koschella ruszył po śladach pierwszy. Asystent policyjny szedł krok w krok za nim. Nagle dobiegł ich dźwięk kolejnego wystrzału. Jürgen potknął się, zaraz jednak złapał równowagę. Obaj pędem puścili się w stronę, z której dobiegł ich huk.

– Nasi jadą! – Roth odwrócił się tylko na chwilę. – W miejscu, w którym zostawili dorożkę pojawił się samochód, dotarły do nich okrzyki policjantów, którym udało się dotrzeć na miejsce.

Wydawało się, że Koschella nie dosłyszała tej informacji, nie zwolnił nawet na chwilę. Wkrótce wpadli na małą polankę, gdzie Franz dostrzegł nieruchomą pochyloną postać. Wachmistrz wymierzył do niej i krzyknął:

– Policja! – Nie doczekał się jednak reakcji. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ma przed sobą Kleina. – Uciekł? Ten drań uciekł? – wysapał, zatrzymując się przy kapitanie.

Popatrzył na skrytą w cieniu twarz i przeszył go dreszcz. Oczy Kleina przypomniały dwie bezdenne studnie.

– Nie, nie uciekł. Nie w taki sposób...

Roth uniósł światło latarni. Dopiero teraz obaj policjanci dostrzegli leżące u stóp Kleina ciało. Kula roztrzaskała podbródek mężczyzny i przeszła przez czubek głowy. Fragmenty mózgu i kości czaszki wypłynęły na zewnątrz. Dłoń wciąż kurczowo zaciskała się na rękojeści pistoletu. Pochylony nad nim Klein trzymał go za drugą dłoń. Zupełnie jakby się z nim żegnał, pomyślał Franz.

Jürgen z trudem łapał powietrze, walcząc z nudnościami. Koschella po raz kolejny zaklął. Zdał sobie sprawę, jak blisko byli schwytania jednego z morderców. Stali w milczeniu nad trupem, każdy pogrążony w swoich myślach. Kilka chwil później dołączyli do nich kolejni policjanci. Zamarli w bezruchu, jak chwilę wcześniej Franz. Spoglądali tylko to na trupa, to na Kleina.

Po jakimś czasie kapitan wyprostował się, odwrócił i ruszył przez łąkę w stronę drogi. Koschella napotkał pytający wzrok Seipelta, który był w grupie pościgowej, ale w odpowiedzi wzruszył ramionami. Podążył za przełożonym. Początkowo był pewny, że to Klein zabił uciekiniera, ale przypomniał sobie, że kapitan nie miał broni. Uświadomił sobie za to coś innego: morderca złamał nogę. Musiał zdawać sobie sprawę, że nie zdoła uciec, dlatego strzelił sobie w łeb. Franza przeszedł dreszcz. Zastanawiał się, kto jest na tyle zdeterminowany, by posunąć się do samobójstwa, byle uniknąć schwytania. Odpowiedź mogła być tylko jedna. Tylko ktoś, kto liczył się z takim scenariuszem i był przygotowany na najgorsze. Zatem

przeciwnicy nie mieli zamiaru cofnąć się przed niczym, co gorsza, nie mieli nic do stracenia. Z takimi, pomyślał Franz, niemal nie sposób wygrać.

*

Koschella i Roth dowieźli Kleina pod Hotel Dworcowy. Tam kapitan wysiadł z dorożki, nawet się nie żegnając. Wachmistrz i asystent przezornie milczeli, widząc, w jakim stanie jest przełożony. Nagle jednak, już na schodach, Klein odwrócił się i zanim Franz przynaglił konia do jazdy, zakomunikował:

- Znajdźcie Georga Marxa, ma jeszcze obfotografować ostatniego denata...
- Tak jest – potwierdził głucho Koschella.

Kapitan otworzył drzwi hotelu i wszedł do środka. Wyminął pochrapującego recepcjonistę i wkrótce znalazł się w swoim apartamencie.

Przy jego biurku paliło się światło najpewniej zostawione przez Agnes. Przystanął i omiół wzrokiem sprzęty, wzorzysty dywan, obrazy w pozłacanych ramach. Zdjął poszarpany płaszcz i rzucił go na łóżko. Podobnie uczynił z brudnym smokingiem.

Obrazy w jego umyśle nakładały się na siebie, tworząc gmatwaninę symboli i znaczeń. Wciąż próbował go zgłębić i oswoić, wyłuskać zeń jakikolwiek sens. Napotykał jednak na opór materii, przeszkodę gdzieś we wnętrzu, w procesach zachodzących w mózgu.

Czuł, że brakuje mu niewiele, by dostrzec prawdę, zrozumieć zasady gry, w której stał się figurą.

Wiedział, co powinien zrobić, i zupełnie chłodno uznał, że ten moment musiał nadejść. W sumie czekał tylko na pretekst. Nie mógł stanąć w miejscu, przegrać z własnymi ograniczeniami. Musiał wyostrzyć zmysły i rozluźnić spięte mięśnie.

Jego torba podróżna stała przy ścianie obok szafy. Skórzana podniszczona waliza z zardzewiałymi sprzączkami. Patrzył na nią przez chwilę, jakby rozważał wszystkie za i przeciw. Ruszył ciężko w jej stronę, przykucnął. Odciągnął zapięcia i włożył dłoń pomiędzy ubrania.

Metalowe pudełeczko załśniło w jego dłoni, odbijając światło lampki. Podszedł z nim do biurka i położył na blacie. Popatrzył na lustro wiszące na ścianie. W odbiciu z trudem rozpoznawał samego siebie. Zadrżał, mózg zdawał się eksplodować w oczekiwaniu na nagrodę.

Usiadł na krześle, podwinął rękaw. Otworzył pudełko. Wyciągnął buteleczkę i nią zakołysał, patrząc pod światło na przelewający się w niej płyn. Napełnił strzykawkę.

Uderzenie serca, jedno, drugie, kolejne. Odchylił głowę, wstrzymał oddech, a potem zaczerpnął powietrza. Pociemniało mu w oczach i w ułamku sekundy w ciele rozlał się przyjemny dreszcz. Ból odchodził, każdy możliwy rodzaj bólu...

Miał wrażenie, jakby stanął pomiędzy wymiarami, jakby był zdolny oddzielać każdą z widocznych i niewidzialnych warstw otoczenia. Cienie nabrały głębi, tworząc odrębny świat osadzonym na rozświetlonej powierzchni płótna. Dźwięki

rozwarstwiły się, a on był w stanie każdy z nich zarejestrować, spowodować, by rozbrzmiewał długie sekundy lub zbladł, przechodząc w pisk na granicy słyszalności.

Obrazek na ścianie. Zdjęcie dwóch cylindrycznych części wieży zwieńczonych blankami, poniżej budynek z oszklonym dachem. Klein znał to miejsce, był kiedyś na szczycie Śnieżnika, przechodził przez halę pamięci cesarza Wilhelma, a potem kręconymi schodami wspinał się na wysokość ponad trzydziestu metrów, by podziwiać rozciągającą się z góry panoramę. Daleko w dole widział prostokąty pól, nitki dróg, romby lasów...

Agnes. Wydało mu się, że wcześniej niż stąpanie bosych stóp usłyszał bicie jej serca. Odwrócił się. Stała przed nim zupełnie naga, tak blisko, że czuł ciepło ciała. Pochylił się w jej stronę, przylgnął czołem do jej brzucha i to dotknięcie sprawiło, że poczuł się tak, jakby zespolił się z jej skórą, jakby jej wewnętrzna energia przeniknęła przez powłokę, mięśnie i kości.

Odchyliła jego głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy.

– Jednak sprzedałeś duszę diabłu...

Nie widział w niej wyrzutu. Chciał odpowiedzieć, ale nie był w stanie. Wtedy odwróciła się od niego i wyszła z pokoju. Wiedział, że tym razem to ona go potrzebowała.

Wstał. Zachwiał się, zdołał jednak dojść do łóżka i się położyć. Świat zawirował, jakby w każdej chwili miał się wykołować. On jednak był już zupełnie gdzie indziej; na ulicach Kłodzka, a chwilę później wysoko ponad nimi. Widział kamienny most, a na nim rajcę Dintera, Górny Młyn i spienioną wodę przykrywającą głowę wicedyrektora banku... Znalazł się nad rozciągniętym na Grüne Strasse trupem majora Peschke... Stamtąd przedostał się na Wilhelmsplatz, by zobaczyć brudny, lepki ślad ciągnący się od zajezdni budynku poczty. Wciąż miał wrażenie, że podczas tej wędrówki ktoś go obserwuje. Nie było to jednak spojrzenie ludzkiej istoty, ale czyjaś zimna obecność, której był świadom. Milczący byt rozsiadł się w najlepszym punkcie obserwacyjnym, na wzgórzach górujących nad miastem.

Potem pojawiły się kolejne miejsca, anonimowi ludzie o bezkształtnych twarzach. Punkty łączyły się, obracały, wirowały, tworząc znajome figury. Sześcioramienna gwiazda poruszyła się, by zaraz zblednąć, i jej miejsce zajęła piramida złożona z trójkątów. W każdym z nich pojawiła się pulsująca źrenica, patrząca podejrzliwie to w lewo, to w prawo. Potem i one zniknęły, spłonęły gwałtownie, obracając w proch. Nad miastem zerwał się porywisty wiatr. Popiół pokrywający arterie ulic zawirował, zmienił położenie, trójkąty przekształciły się w kwadraty, cztery z nich połączyły się jednym wspólnym wierzchołkiem...

Roth przyciskał Adele do materaca całym ciałem, poddała mu się całkowicie. Jej uległość podniecała go, gdy się podniósł na ramionach, widział pod sobą jej kształtne pośladki, linię kręgosłupa i długi poruszający się rytmicznie warkocz. Wchodził w nią brutalnie. Ugniatał w palcach jej skórę i widział czerwone plamki, które następnego dnia miały zamienić się w siniaki. Chciał sprawiać jej ból, a zarazem rozkosz. Chciał słyszeć jej jęki i westchnienia, a jednocześnie wyobrażać sobie, że zanurza się w ciepłym i wilgotnym wnętrzu innej kobiety. Świadomość, że znajduje się od niej zaledwie kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie nasypu kolejowego, bolała jak diabli.

Adele krzyczała, a on do niej mówił, szeptał słowa, które wychodziły z niego przy kolejnym pchnięciu, gdy mięśnie brzucha napinały się, wyrzucając powietrze z płuc.

Znieruchomiała w momencie, gdy poczuł dreszcz, który wydawał się wyszarpywać wnętrzności. Zatracił się w intensywności doznań, w woni wydzielanej przez jej ciało. Po raz pierwszy znalazł się na granicy omdlenia, wyrzucając z siebie całą złość wraz z krzykiem i uderzeniem nasienia.

Odsunęła się i podkurczyła nogi. Oparłszy się plecami o wezglowie, patrzyła na niego jak na kogoś obcego.

Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że wymawiał imię tej, z którą chciał się kochać, tej, która zaszła mu za skórę i zawładnęła myślami.

– Adele...

– Idź do tamtej dziwki, którą wołałeś!

– Adele...

Zbliżył się do niej na klęczkach, sunąc na wilgotnym materacu. Pochylił się i pocałował jej mokre od łez policzki, rozchylił językiem niechętnie wargi. Próbowana go odepchnąć, ale przytrzymał jej nadgarstki. Jedną z jej dłoni na siłę odciągnął w dół, rozwarł jej palce i wsunął pomiędzy nie ponownie nabrzmiały członek.

Był bestią, samcem, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że takiego go pragnie.

Uderzyła go w twarz. Zaraz jednak palcami drugiej dłoni przesunęła w górę i w dół jego członka, powodując, że stwardniał jeszcze bardziej.

– Adele, mam na imię Adele...

Ugryzła go boleśnie w wargę i pociągnęła na siebie znów rozchylając uda. Wbiła paznokcie w jego pośladki, a on tym razem chciał sprawiać jej tylko ból.

Rano wyszedł od niej lekki i spokojny. Wyminął grupę robotników zmierzających Königshainer Strasse w stronę fabryki Thiele & Maiwald. Ci apatyczni mężczyźni wiedzieli, co ich dzisiaj czeka. Ich dni były do siebie podobne, w zgrzycie i huku montowali dźwigi towarowe i osobowe. Potem wracali do domu lub szli do browaru, a nazajutrz byli o jeden dzień bliżej śmierci. Roth nie potrafił wyobrazić sobie siebie wśród takich ludzi, w fabryce, sklepie czy rodzinnym tartaku... Czuł, że stworzony jest do większych spraw.

Skreślił obok zajazdu Pod Złotą Koroną w Mälzstrasse. Przy kamienicy, na której reklamował się sklep z rowerami i maszynami do szycia, przekroczył ulicę i znalazł

się pod wiaduktem. Na Sellgittplatz popatrzył w okna na poddaszu hotelu. Wyobraził sobie, że za zasłoną swojego pokoju stoi naga Agnes i wiedząc, że nie może jej dostrzec, przesuwa dłonią po skórze, dotykając twardej skóry sutków.

Wkrótce popychany jakąś wewnętrzną gorączką znalazł się przy moście nad Nysą. Tam zatrzymał się i zapatrzył w nurt rzeki, próbując się jednocześnie uspokoić. Po chwili wypatrzył wachmistrza Pudera, który wybrał się na poranny spacer ze swoją podopieczną. Jürgen wyjrzał zza jednego z przęseł, by lepiej się przyjrzeć, wszak widok był zgoła niecodzienny.

Flora wyciągnęła Pudera na skwer przy miejskiej promenadzie. Wachmistrzowi zapewne nie chciało się iść zbyt daleko od domu. Ziewał bezustannie, a gdy suczka się załatwiła, pociągnął za smycz, najwyraźniej z zamiarem powrotu pod ciepłą pierzynę. Nieoczekiwanie Flora zaparła się łapami jak osioł i nie ruszyła się z miejsca nawet o centymetr. Wachmistrz wyrzucił z siebie niewybredną wiązanekę, która dotarła aż do uszu rozbawionego Rotha. Oglądał tę scenkę, zastanawiając się, jaki będzie jej finał. W końcu Puder wyciągnął z kieszeni chusteczkę i nie przestając przeklinać, przeniósł w niej produkt przemiany materii psa do najbliższego kosza na śmieci. Dopiero wtedy pies statecznie raczył się ruszyć, szarpiąc za smycz tak mocno, że Puder niemal wyłożył się na trawie jak długi. Jürgen doszedł do wniosku, że to suka wzięła sobie na wychowanie wachmistrza, a nie odwrotnie, po czym rażno pogwizdując, ruszył w stronę rynku.

Na Brücktorberg w sklepie z papierosami kupił gazetę i zmierzając w stronę ratusza, zaczął ją czytać. Mieszkańcy Kłodzka, którzy nabyli tego dnia egzemplarz „Die Grafschaft Glatz”, mogli się dowiedzieć o bohaterskim wyczynie kapitana Kleina, który dokonywał cudów, próbując zatrzymać jednego z – jak to ujęto – „geometrycznych morderców”. Zgodnie z artykułem dzielny kapitan uczepił się rozpędzonej dorożki w celu ujęcia zbrodniarza. Morderca oddał do niego kilka strzałów, których tenże cudem uniknął, nie zaprzestając równocześnie brawurowej pogoni. Kurczowo trzymając się wozu i walcząc jednocześnie z mordercą, dokonywał nadludzkiego wysiłku, by go pojmać i oddać w ręce wymiaru sprawiedliwości. Dorożka wraz z toczącymi śmiertelny bój mężczyznami wypadła z drogi i rozbiła się w drzazgi. Poturbowany kapitan Klein nie zamierzał zaprzestać pościgu i rzucił się w ślad za rannym uciekinierem. Ten przyparty do muru, wiedząc, że nie jest w stanie uciec przed zdeterminowanym kapitanem popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Ostatnie zdania Roth wyczytał na głos:

– Żałujemy, że nie udało się złapać pozostałych złoczyńców, wierzymy jednak, że jest to kwestią czasu. Wiemy też przynajmniej, że nie mamy do czynienia z widmami, ale żywymi ludźmi, a tych zawsze można ująć. Przy determinacji kapitana Wilhelma Kleina nie unikną zasłużonej kary!

Wyrzucił gazetę do kosza i zacisnął szczęki, wyobrażając sobie, że Agnes czyta ten artykuł leżącemu w łóżku Kleinowi.

Potrącił łokciem przecinającego mu drogę przechodnia i wkroczył zdecydowanym krokiem do ratusza. Od razu skierował się do gabinetu komisarza policji Heinricha Richtera. Miał mu do powiedzenia coś bardzo ważnego.

*

Kleina zbudziło pukanie. Miał wrażenie, że słyszał je we śnie kilka razy, natarczywe i nieustające. Otworzył oczy. Agnes uprzedziła go, podeszła do drzwi i je otworzyła. Do pokoju wjechał wózek nakryty obrusem, a za nim wkroczył zarumieniony boy hotelowy.

– Dzień dobry, zamówione śniadanie dla państwa.

Do nozdrzy Wilhelma dotarł zapach jajecznicy, świeżego pieczywa i kawy.

– Pozwoliłem sobie przynieść poranną gazetę, piszą o kapitanie! Całe miasto o panu huczy!

– Hans, dziękujemy – powiedziała Agnes.

– Zapisalem jeszcze wiadomość dla kapitana – dodał szybko chłopak, który zmitygował się, że reaguje zbyt entuzjastycznie. – Dzwonił przed chwilą Herr Langer. Prosił kapitana o wizytę przy Gartenstrasse 9 przed południem. Podał także swój numer telefonu, gdyby kapitan wolał inny termin lub miejsce...

Klein skinął głową. Pożałował tego, ostry ból rozsadał mu czaszkę.

Nie dostrzegając dyskomfortu gościa, chłopak uśmiechnął się szeroko. Ustawił wózek obok stolika przy łóżku, po czym uklonił się i wyszedł, chociaż wydawało się, że nie ma na to najmniejszej ochoty.

Gdy drzwi się zamknęły, Agnes sięgnęła po dzbanek z kawą. Nalała jej do filiżanki i podała Kleinowi.

– Wypij, postawi cię na nogi.

Wilhelm uśmiechnął się kwaśno.

– Chyba tobie powinienem podziękować za to śniadanie?

– Jak za wiele innych rzeczy...

– Aha.

Usiadł na łóżku. Miał na sobie wczorajsze ubranie. Po marynarce i płaszczu nie było śladu, być może Agnes oddała je do czyszczenia.

– To zaproszenie od Langerera...

– Kolejna część układanki – odpowiedział sucho. – Raczej nie chodzi o to, że nie przeboleał przegranej z tobą w licytacji.

– Wcale tak nie pomyślałam.

– A co pomyślałaś?

– Widziałam jego sygnet, gdy unosił dłoń podczas podbijania oferty.

– Piramida z trójkątów?

– Tak. – Skinęła głową. – Wiedziałaś...

– Nie wiedziałem, że Langer jest członkiem loży masońskiej, znam natomiast adres siedziby wolnomularzy... to Gartenstrasse 9.

– Kolejne trójkąty... – Agnes wydawała się być myślami gdzieś daleko. – Gdy dowie się o tym komisarz Richter, zacznie się nagonka na członków loży.

– Naprawdę myślisz, że komisarz do tej pory nie wziął pod uwagę masonów? – Klein sięgnął po talerz z jajecznicą. – Ja mogłem nie wiedzieć, że istnieje w Kłodzku loża Pod Trzema Trójkątami, ale wątpię, żeby jemu nie przyszło to do głowy.

– Może dlatego, że Otto Langer nie byłby do tego zdolny. To postać tragiczna. – Agnes wydawała się przejęta. – Przeżył osobistą tragedię podczas wojny, zginęła jego żona i dwie córki. Nienawidzi wojny i tego, co z nami wszystkimi zrobiła, równie mocno jak ty...

– I to jedyny powód, dla którego jest poza podejrzeniem?

– Nie wystarczy?

Wzruszył ramionami, nabrał widelcem jedzenia i włożył do ust. Wyczuł słonawe kawałki smażonego boczku i szczypiorek.

– Może i wystarczy – odpowiedział, z trudem przełknąwszy kęs. – Ocenę na miejscu.

– Ja też nie pozostanę bezczynna.

– Co masz na myśli?

– Może ci się przydam, pokręcę się, porozmawiam, poobserwuję.

– Nie musisz tego robić.

– Już za późno. Ta sprawa dotyczy teraz i mnie...

*

– Czytał pan to, Roth? – Richter zgrzytał zębami, nie poprosił nawet Jürgena, żeby usiadł. Rzucona na biurko gazeta zsunęła się z blatu i z szelestem opadła na podłogę. – Piszą, że Klein dopadł pierwszego z zabójców! Dopadł?! Gdybyśmy to my tak spartaczyli ujęcie mordercy, zmieszaliby nas z błotem za nieudolność... Stalibyśmy się pośmiewiskiem, obrzucano by nas wyzwiskami, a kto wie, czy nie próbowano by nas ukamienować! Ale Klein? Nie, to bożyszczce ogłupiałej gawiedzi. Mają swojego bohatera, zbawcę, który uchroni ich przed całą zgnilizną tego świata!

Jürgen przezornie milczał, obserwował ze zdumieniem twarz przełożonego. Do tej pory przez całe swoje życie nie widział tylu odcieni czerwieni co w ciągu kilku ostatnich minut. Wdzięcznym płótnem dla tej szerokiej gamy kolorów były policzki komisarza.

– W trzy dni od przyjazdu złapał pierwszego z morderców... Tak piszą te durne pismaki! – Richter zarechotał. – To nic, że jedyne, co mamy, to trupa, którego wciąż nie zidentyfikowaliśmy. To nic, że w te trzy dni, odkąd Klein panoszy się w mieście, mamy trzy... cztery! Cztery nowe trupy! Dostali swojego herosa, samotnego mściciela, który nie cofnie się przed niczym. Roth! Oni nie widzą, że Klein jest

niebezpieczny dla otoczenia! Ten żydowski trop był tylko po to, żebyśmy nim podążyli, żeby odwrócić naszą uwagę. Mówię ci, on przyciąga te morderstwa, co więcej, zaczynam się zastanawiać, czy ich nie kreuje! Za każdym razem jest krok przed wszystkim, albo jest jasnowidzem, albo...

– Komisarzu... – Roth wiedział, że naraża się przełożonemu, przerywając mu w połowie zdania. Postanowił jednak zaryzykować. – Mam informacje, które pana zainteresują.

– Jeśli kolejną spiskową teorię, która wyszła z głowy genialnego kapitana Kleina, to nie chcę o niej słyszeć!

– O Kleinie, o jego przeszłości.

Richter zmrużył oczy, skupił całą swoją uwagę na asystencie policyjnym.

– Mów – warknął.

Jürgen odchrząknął i wyrzucił z siebie słowa, jakby parzyły go w przełyku:

– W maju 1917 roku kapitan Klein wraz czterema żołnierzami, których był dowódcą, został wysłany z misją specjalną za linię wroga. Działali na tym terenie kilka dni, dokonując licznych aktów sabotażu, mój informator nie był jednak w stanie odpowiedzieć mi na pytanie, co lub kto był celem grupy Kleina.

– Dalej – przynaglił Richter, widząc, że Roth gubi wątek.

– Wszyscy zostali schwytani i uwięzieni, a także... poddani torturom. Kleinowi udało się zbiec... jednak według niepotwierdzonych informacji wrócił po swoich towarzyszy.

– I?

– Nie zdołał ich uratować. Zemścił się jednak na oprawcach, którzy ich torturowali.

– Jaki ma to związek z naszą sprawą? To wszystko mogą być brednie! Wśród żołnierzy krążyły różne tego typu wymyślone historie.

– Podczas tortur odcięto Kleinowi trzy palce u lewej dłoni... te same co...

– Co wicedyrektorowi banku? – Richter rozdziawił usta. Zdawał się nie kontrolować mimiki.

– Klein nigdy w towarzystwie nie ściąga rękawiczek...

– To wciąż o niczym nie świadczy. – Richter pokręcił głową. – Nie...

Roth chciał zaoponować, ale przezornie zachował milczenie. Spodziewał się innej reakcji komisarza. Sam nie wiedział do końca jakiej, ale na pewno innej.

– Co miałyby z tym wspólnego ofiary? Wicedyrektor banku i rajca nigdy nie wachali prochu, z Francuzami mieli tyle wspólnego, ile ja z żabimi udkami.

– A mordercy? – odważył się wtrącić Roth. – Może w ten sposób komunikują się z Kleinem. Wysłali do ratusza trzy palce... to nie może być przypadek.

Richter milczał, patrząc przez dłuższą chwilę w oczy Rotha. Asystent policyjny czuł, jak pod tym spojrzeniem ścina mu się krew w żyłach.

– Na razie to wszystko – rzekł komisarz dobitnie. Zdawało się, że zaszła w nim jakaś przemiana. – Powiadom kapitana Kleina o południowej odprawie i zrób tak,

żeby łaskawie się na niej stawił. Możecie wyjść, Roth.

Jürgen skinął głową i opuścił gabinet. Zastanawiała go ta reakcja komisarza, nie potrafił rozpoznać jej przyczyny. Był pewny, że ma rację, że nawet jeśli Richter tego nie dostrzega, kapitan Klein ma większy związek z tą sprawą i zabójcami, niż mogłoby się wydawać.

Po wyjściu podwładnego Richter siedział nieruchomo jeszcze przez kilka minut. Potem sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer majora Schneidera. Sekretarz żandarmerii poinformował go jednak, że major jest poza zasięgiem, w nocy postanowił z pilną sprawą wyjechać do Wrocławia.

*

Bramka prowadząca do neobarokowego budynku była otwarta. Klein, który jeszcze w dorożce przeglądał zdjęcia samobójcy podesłane mu do recepcji przez Georga Marxa, schował kopertę do kieszeni i przeszedł ścieżką w stronę głównego wejścia. Wyminął w drzwiach dwójkę młodych ludzi i znalazł się na schodach prowadzących na wysoki parter. Na korytarzu natknął się na wysokiego mężczyznę.

– Dzień dobry, Herr Klein. Herr Otto Langer czeka na pana w pokoju przyjęć.

Kapitan nie odpowiedział, ruszył za nieznanym ku schodom na piętro. Rozejrzał się uważnie. Za przeszklonymi drzwiami dostrzegł sporą salę bankietową i kolejne przejście do sali balowej. Stamtąd dobiegały dźwięki pianina, widać też było kilka par młodych ludzi, którzy pobierali naukę tańca.

– Dom łoży jest domem otwartym – przewodnik zauważył jego zainteresowanie i poczuł się zobowiązany udzielić wyjaśnień. – Angażujemy się w działalność charytatywną, a także opłacamy nauczycieli tańca czy śpiewu, którzy udzielają darmowych nauk kłodzkiej młodzieży. Ponadto udostępniamy chętnym zbiory naszej biblioteki, które znajdują się na poddaszu. Jak pan zapewne zauważył, działamy inaczej niż inne łoże...

Klein nie podjął tematu. Znaleźli się na piętrze. Tutaj kapitan dostrzegł salę, w której – jak się domyślił – odbywały się uroczystości rytualne łoży. Skręcili w lewo i wkrótce Wilhelm wkroczył do pokoju mistrza.

– Dzień dobry, Herr Klein! – Langer wstał od biurka, widząc w drzwiach swojego gościa.

Uścisnął prawicę kapitana, jednocześnie drugą dłonią przytrzymując jego łokieć. Sposób powitania nie pozostawiał złudzeń, na czym terenie odbywa się spotkanie.

– Cieszę się, że przyjął pan zaproszenie. Proszę usiąść.

Klein zajął wskazane miejsce przy szklanym stoliku. Stała na nim karafka z wodą i kryształowe szklanki z oryginalnym szlifem geometrycznych figur.

– Napije się pan wody, kapitanie?

Milczenie Kleina nieco zbiło Langerę z tropu.

– Nie, dziękuję – odpowiedział kapitan po chwili, konstatując, że tak zwany ciemny pokój mistrza, nie mógł zostać nazwany mniej trafnie. Salka należała do bardzo jasno oświetlonych pomieszczeń. – Chciał pan ze mną rozmawiać. W jakiej sprawie?

Langer usiadł na krześle po drugiej stronie stolika. Tym razem on milczał odrobinę za długo.

– Obaj wiemy, dlaczego poprosiłem o to spotkanie... – Strzepnął z nogawki spodni niewidoczny pyłek i spojrzał poważnie na swojego gościa. – Morderstwa. To, czym żyje Kłodzko, a sądząc po ogólnokrajowych tytułach prasowych, także całe Niemcy...

– Chce pan poinformować mnie o czymś lub o kimś, kto ma związek ze sprawą prowadzoną przez kłodzką policję?

– Chcę porozmawiać o tym... jak go nazwała prasa, geometrycznym mordercy, który zadał sobie tyle trudu, by wstrząsnąć miastem. A dokładniej o miejscach zbrodni. O ludzkich domysłach. Fałszywych oskarżeniach i błędnych interpretacjach.

– Słucham więc.

Langer uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Niełatwo się z panem rozmawia, na pewno nie należy pan do osób wylewnych i rozmownych. Jest pan zasadniczy i konkretny. Postaram się dotrzymać panu kroku i przejdę do sedna bez zbędnego owijania w bawełnę... Chodzi mi o zwykły trójkąt równoboczny, który utworzono, łącząc na mapie miejsca zbrodni. To on stał się przyczynkiem do oskarżenia społeczności żydowskiej o te morderstwa. Dorysowano bezpodstawnie kilka kolejnych linii, dodano dwa do dwóch i znaleziono winowajców... i to nie bacząc na fakt, że wynik tego działania wyniósł więcej niż cztery. Wczorajsza zbrodnia, to kolejny punkt na mapie, który burzy nieco uprzednią koncepcję z Gwiazdą Dawida w roli głównej. Ten nowy punkt można dwojako interpretować...

– Dwojako?

Langer wzruszył ramionami.

– Jako argument, że poprzednie oskarżenia były bezpodstawne, i jako dowód przy szukaniu kolejnych winnych. Wie pan przecież, o czym mówię. Wczoraj po tej koszmarnej zbrodni studiowałem mapę Kłodzka. Dodałem ten nowy punkt na mapie. Połączyłem go z poprzednimi...

– I co panu wyszło?

– Pan dobrze wie, co mi wyszło, panie kapitanie. A sprawa staje się jasna, jeśli naniesiemy jeszcze dwa inne punkty: jednym z nich oznaczymy donżon kłodzkiej twierdzy, drugim wschodni brzeg Nysy, naprzeciw miejskiej promenady...

– Nie robi pan nic innego niż ci, którzy bezpodstawnie dorysowywali kilka kolejnych punktów i dodawali dwa do dwóch z wiadomym wynikiem...

– Próbuję być przewidujący, dbać o dobre imię naszej łoży, nie pozwolić, by dotknęły nas bezpodstawne oskarżenia.

Klein kiwał głową. Sięgnął po karafkę, odkorkował ją i nalał wody do kieliszka. Uniósł go w stronę światła i przyjrzał się zdobieniom.

– Kolejne bezpodstawne oskarżenie... jak pan myśli, po co, Herr Langer? Po co, jak pan to ujął, ten geometryczny morderca zadał sobie tyle trudu?

– Nie wiem... – gospodarz się zawahał. – Być może to gra na emocjach i animozjach. A może odwracanie naszej uwagi od czegoś istotnego. Mam wrażenie, że to zabawa w kotka i myszkę. Ktoś zostawia wskazówki jako przynętę, by chwilę później uraczyć nas makabrycznym zwrotem akcji.

– Mówił pan o odwracaniu uwagi od czegoś istotnego...

Langer westchnął, jakby nie do końca przekonany, czy chce dzielić się swoimi przemyśleniami. Klein cierpliwie czekał, aż mężczyzna podejmie decyzję. Ten w końcu wstał z krzesła i podszedł do biurka. Powrócił z kilkoma gazetami, które rozłożył przed Kleinem.

– Myślę o szerszym kontekście tych wydarzeń. Niech pan popatrzy na nagłówki w prasie. Piszą o nas w całym kraju. Mordercy trafili na podatny grunt. Choć jesteśmy prowincjonalnym miasteczkiem, znajdzie pan tutaj to wszystko, co drażni Rzeszę. Kryzys, bieda, rosnące niezadowolenie ludności, rozliczne zadry... Partia Centrum wygrała w Kłodzku z ogromną przewagą, jednak i ona cieszy się ograniczonym kredytem zaufania. Nigdy nie zabraknie populistów, którzy będą wykorzystywać ludzkie niezadowolenie, wskazywać winnych ich podłej sytuacji...

– I kogo wskażą pana zdaniem?

– Żydów, masonów, rządzącą partię, państwo, które ugięło się i podpisało traktat wersalski. Czy był to policzek dla Niemiec? Raczej cios obuchem w podbrzusze! Odszkodowania, demilitaryzacja, okupacja części naszych ziem, utrata Alzacji i Lotaryngii, a ostatnio i części Śląska. Niemcy są dumnym narodem, nie wszyscy uważają, że wojnę przegraliśmy, a część pewnie sądzi, że ona wciąż trwa. Na tym podłożu już wkrótce może dojść do wybuchu...

– Upolitycznił pan sprawę zwykłych morderstw i mówi pan o niej, jakby miała charakter międzynarodowy. Dlaczego?

Langer sięgnął po karafkę, dolał wody gościowi, napełnił także swoją szklanekę. Odpowiedział dopiero po chwili.

– Czy aby na pewno zwykłych morderstw, Herr Klein? Na tle tych zabójstw w pełnej krasie objawia nam się nasze prowincjonalne piekielko. Co najmniej dwie z ofiar znane były ze swoich, powiedziałbym, radykalnych poglądów. Wicedyrektor i rajca otwarcie krytykowali traktat wersalski, byli też zadeklarowanymi antysemitami...

– A sędzia i major?

– Cóż... majora nie miałem okazji poznać wystarczająco, by określić jego przekonania. Sędzia Wiese nie zdradzał się z poglądami w towarzystwie, jednak swego czasu był w bliskich stosunkach z wicedyrektorem Beierem. Obaj mogli być związani z Niemiecką Narodową Partią Ludową. Tak czy owak te morderstwa

wystarczyły, by rozpocząć nagonkę na Żydów, a lada moment pewnie także na masonów i Bóg wie, na kogo jeszcze. To szukanie wrogów jest zaledwie wstępem do czegoś gorszego. Odzwierciedla nastroje, które kiełkują w tym kraju, Herr Klein. Jeśli nie zostaną szybko stłumione rozniosą się niczym zaraza w całej Rzeszy. Nie znam się na psychologii, nie wnिकam w umysły morderców, jednak większości z nich... Zupełnie jakby zależało im na tym, by o nich i ich zbrodniach mówiono, by mogli pławić się w chorej sławie. Jeśli ten nasz morderca miał jakiś cel, to właśnie go osiągnął. Pokazał nie tyle, jakim jest degeneratem, ale jak wielką beczką prochu jest dzisiejsza Rzesza.

– Pełno wokół zdrajców ojczyzny, którzy mogą tę beczkę wysadzić w powietrze. Prawda, Herr Langer?

Mason się zawahał.

– Nie mnie oceniać, kto jest zdrajcą, kapitanie. Być może jednak ma pan rację.

– Dziękuję za te cenne uwagi, Herr Langer. – Klein wstał, zaskakując tym gospodarza. – Myślę, że jest wiele racji w tym, co pan powiedział. Jednak pańskie obawy dotyczące nagonki na lożę masonów są nieuzasadnione. To nie masonów planowano wskazać, dokonując wczorajszego morderstwa.

– Nie? – Langer także podniósł się z fotela. – Ale przecież trup sędziego Wiese na Wilhelmsplatz wskazuje... – przerwał, widząc, że Klein wyciąga dłoń w jego stronę. Uścisnął ją niepewnie. – Pewnie nie zdradzi mi pan niczego, prawda?

Wilhelm wzruszył ramionami, Langer zaś pokręcił głową.

– Cieszę się, że to pan stawia im czoła – powiedział sztywno. – Mają w panu godnego przeciwnika, Herr Klein.

– Największymi przeciwnikami morderców są oni sami, panie Langer.

– Być może ma pan rację... Gdyby jeszcze czegoś pan potrzebował, proszę śmiało się ze mną kontaktować.

– Prawdę mówiąc, mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Klein po chwili wahania.

– Proszę pytać.

– Czy znał pan majora Peschke?

– Znałem. – Langer ze smutkiem skinął głową. – Co prawda niezbyt dobrze...

– W jego notesie pojawiło się zaledwie kilka nazwisk – przerwał Klein. – Były tam kontakty do bezpośrednich przełożonych, co zrozumiałe, ale także do pana. Uznałem to za szczególny znak świadczący o panów zażyłości. Przez pół roku pobytu w Kłodzku major Peschke nie zdobył wielu znajomych.

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Kilukrotnie rozmawialiśmy w sprawach służbowych. Przez jakiś czas major zajmował się zaopatrzeniem. Zarówno ja, jak i moi przyjaciele od lat realizujemy kontrakty dla wojska.

– I major załatwiał wszystkie sprawy bezpośrednio z panem?

– Był to niezmiernie inteligentny i ciekawy człowiek. Ma pan rację, wydawał się zamknięty w sobie, jednak zyskiwał przy bliższym poznaniu. Ja lubię ludzi, Herr Klein, lubię z nimi rozmawiać, a o własne interesy zwykłem dbać osobiście...

– To cecha godna szacunku. – Klein dotknął palcami runda kapelusza. – Więcej pytań w tej chwili nie mam. Do widzenia panu...

Opuścił pokój i zszedł na niższe piętro. Tutaj przystanął, wsłuchując się w dźwięki dobiegające z sali balowej. Rozpoznał Czarodziejski flet Mozarta. Popatrzył przez przeszklone drzwi na dzieci tańczące wokół nauczyciela i fortepianu, po czym skierował się w dół, w stronę wyjścia.

Na chodniku przystanął i spojrzał ponownie na budynek. Kłodzcy masoni w niczym nie przypominali tych, których znał. Siedziba, w której osiedli, nie była tajemniczym miejscem odwiedzanym przez posępnych mężczyzn odprawiających tajemnicze rytuały. Bardziej przypominała przedszkole.

Z zamyślenia wyrwał Wilhelma irytujący dźwięk klaksonu samochodowego i pisk hamulców.

– Dzień dobry, kapitanie Klein! Komisarz Richter zapowiedział odprawę w południe w ratuszu. Będzie także burmistrz. Proszę pana o przybycie.

Klein otworzył drzwiczki pojazdu i usiadł na miejscu pasażera.

– Zanim mnie tam zawieziesz, Jürgenie – mówił głośno, by przekrzyczeć warkot silnika. – Udamy się w jeszcze jedno miejsce. Zaledwie kilkaset metrów stąd. Jedź przed siebie, powiem, kiedy się zatrzymasz.

– Tak jest! – Roth dodał gazu i ruszyli w głąb Gartenstrasse.

*

Major Kurt Schneider wkroczył do gabinetu komisarza bez zapowiedzi. Richter, widząc wyraz twarzy starego przyjaciela, nie zdecydował się go zrugać. Zamiast tego wskazał miejsce naprzeciw siebie i pytająco uniósł brwi.

– Byłem we Wrocławiu, właśnie wróciłem...

– Poinformowano mnie o tym w komendanturze, majorze. Bardziej interesuje mnie powód twojej wizyty w tym pięknym mieście. Podejrzewam, że znudziły ci się córy Koryntu z kłodzkich przybytków rozkoszy i musiałeś za potrzebą jechać aż tam?

– Żart nie na miejscu, mój drogi, jednak skłonny jestem ci go wybaczyć.

Richter zanotował, że Schneider jest w dobrym humorze. Co chwila gładził dłonią trzymaną na kolanach tekturową teczkę.

– Nie wiem, czy spodobają ci się informacje, do których dotarłem, wykorzystując wszystkie swoje kontakty...

– Kontakty w Berlinie czy Wrocławiu? Wydawało mi się, że już takowych nie masz. Nie wystawiałeś nosa z Kłodzka od blisko dwóch dekad.

– Nie kpij. – Schneider rzucił teczkę na blat, przewracając przy tym kilka ułożonych w szeregu pieczętek. – Dzięki temu dorwiemy Kleina!

Komisarz niechętnie sięgnął w stronę teczki i ją otworzył. Nie wyglądało na to, by udzielił mu się entuzjazm majora.

– Co to jest? – zapytał.

– Mój informator dotarł do akt utajnionych przez rząd... Mam sporo zaskakujących informacji o kapitanie Wilhelmie Kleinie.

– Zapewne o jego działaniach na rzecz naszego wywiadu, misjach na terenie wrogach, aktach sabotażu i jego ostatniej akcji, podczas której oprócz trzech palców u lewej dłoni stracił także swoich żołnierzy.

– Skąd to wiesz? – Major przetarł dłonią spocone czoło.

Richter zdał sobie sprawę, że stary wiarus rzeczywiście musiał tu przybyć w pośpiechu prosto z dworca.

– Także mam swoje kontakty – rzucił nonszalancko. – Czego dokładnie się dowiedziałeś?

– Klein i czterech jego ludzi zostali schwytani podczas walk we Francji. Działali za linią wroga przebrani we francuskie mundury. Na przestrzeni kilku miesięcy dokonali wielu aktów sabotażu, czym napsuli krwi żabojadom. Ich ostatnim zadaniem miało być wysadzenie składu prochu i broni, a przy okazji zamach na kilku wysokich rangą oficerów...

– Mów dalej.

Schneider się uśmiechnął. Wyczuł, że są to sprawy nowe dla komisarza. Podarował sobie jednak ironiczną uwagę na temat niedoinformowanych kontaktów Richtera.

– Klein i jego ludzie zostali schwytani i osadzeni w pobliżu Reims, w siedzibie francuskiego wywiadu. Musieli mocno zająć żabojadom za skórę, bo ci poddali ich torturom. Kleinowi udało się uciec...

– Zostawił swoich?

– Nie. Najpierw dokonał aktu sabotażu, którego nie udało im się wcześniej wprowadzić w życie. Wysadził cały ten ich arsenał. Potem dotarł do uwięzionych towarzyszy, ale się spóźnił: strażnicy w odwecie dokonali na nich egzekucji. Kleina szukano wiele dni, wszyscy byli pewni, że uciekł i udało mu się przedrzeć za linię frontu. On miał jednak inny plan, gdy o tym przeczytałem, sam nie mogłem uwierzyć... Wrócił tylko po to, by po kolei wyłowić wszystkich oprawców, którzy torturowali jego ludzi. Co więcej, poddawał ich takim samym męczarniom. Francuskie dowództwo przeprowadziło śledztwo po tych wydarzeniach. W raportach porównano go do zwierzęcia i wcielonego diabła. Dopiero gdy zakończył swoje dzieło, przedarł się do swoich... Znalezione go wycieńczonego. Miał liczne rany, które lekarze ocenili jako krytyczne. Nie dawano mu wielkich szans na przeżycie. W szpitalu spędził grubo ponad rok...

– Jaki ma to związek z naszą sprawą? – Richter potrząsnął głową i spojrzał chłodno na majora. – Z twojej opowieści wynika, że Klein to bohater narodowy i nie jesteśmy godni czyścić mu butów!

– Łącznie z Kleinem za linią wroga operowało pięciu ludzi. Trzech zabili Francuzi, przeżył tylko Klein...

– Masz kłopoty z rachunkami, czy coś sugerujesz?

– Cóż – Schneider wyszczerzył poźółkłe zęby – Lothar Böhm... jego nie było wśród zabitych. Co ciekawe, wywiad dotarł do informacji mówiących o tym, jakoby Francuzi ujęli grupę Kleina dzięki pomocy informatora.

– Kim jest ten cały Böhm?

– Zmienił nazwisko jeszcze w czasie wojny, jednak kontynuował karierę w służbach cesarskich. Popadł w niełaskę i został zesłany do Kłodzka.

– Jasna cholera... – przeklął komisarz.

– Tak. Znamy go jako majora Friedricha Peschke. Pierwszą ofiarę geometrycznego zabójcy.

Richter pobladł. Patrzył z niedowierzaniem to na Schneidera, to na akta. W jednym momencie dotarły do niego wszystkie implikacje tych rewelacji.

– Böhm był tym zdrajcą?

– Tego nie wiadomo. Gdyby w wywiadzie byli tego pewni, już dawno by zawisł. Być może podejrzenie padło na jednego z zabitych. Böhm poza tym miał plecy, jego ojciec był szycią w wywiadzie. Być może w jakiś sposób uratował synalka... Pomyśl jednak, że ktoś, na przykład taki Klein, mógł stwierdzić, że wymierzy sprawiedliwość zdrajcy na własną rękę...

Richter miał wrażenie, że w jego czaszce eksplodowała bomba. Z trudem ogarniał wszystkie te rewelacje. Jednak major mógł mieć słusność. Informacje, którymi dysponował, świadczyły na niekorzyść Kleina. Richter zdał sobie sprawę, jeśli dobrze to rozegra, ma szansę na awans i wymarzone przenosiny do Wrocławia, a może i Berlina.

– Zaraz. – Nagle otrzeźwiał, odpychając wizje świetlanej przyszłości. – Grubymi nićmi to szyte, Schneider. Kleina nie było w Kłodzku w czasie śmierci Peschkego, czy raczej Böhma... Poza tym po co Berlin przydzielałby do śledztwa Kleina, skoro wiedział, co mogło między nimi zająć?

– Klein to zwierzę, szaleniec. – Schneider nie dał się zbić z tropu. Widać było, że ułożył sobie własną wersję wydarzeń i pytania Richtera jedynie go drażnią. – Jasnym jest, że Klein miał powód, by dorwać tego Böhma alias Peschkego. Nie darowałyby zdrady. Nie wiem, jak to zrobił, ale dokonał egzekucji na majorze. Potem z jakiejś przyczyny zaczął mordować kolejnych ludzi...

Richter uniósł dłoń, by przerwać wiarusowi.

– W twoim rozumowaniu jest więcej luk niż w szwajcarskim serze. Zakładasz, że Klein jest szaleńcem, a on nie działa jak szaleniec...

– Jesteś pewny? – obruszył się żołnierz.

– Pomyśl racjonalnie, Kurt – rzekł dobrotliwie. – Nawet jeśli Böhm byłby zdrajcą i Klein miałby motyw, by go zabić, to nie wierzę, że dalej mordowałby po to, by zatuszować swoją rolę w całej sprawie.

– Istnieje jeszcze jedna możliwość – zauważył Schneider. – Co, jeśli to nie Böhm był zdrajcą i informatorem Francuzów, lecz Klein? Co, jeśli Böhm został zabity, żeby zatrzeć ślady zdrady Kleina?

Richter pomasaował skronie. Pękała mu głowa.

– On jest niebezpieczny, wiesz o tym – ciągnął Schneider. – Uważam, że powinniśmy się go pozbyć.

*

Dozorca sądowy Matthias Weigl przewrócił kolejną stronę powieści, która pochłaniała go od kilku godzin. Natknął się na nią przypadkowo w poczekalni przed salą rozpraw. Czytanie uważał co prawda za stratę czasu, czynność powodującą migreny i osłabienie wzroku, jednak już po kilku stronach wciągnął się całkowicie. Opowieść traktowała o pewnym szalonym doktorze, którego nazwisko brzmiało jak nazwa miejscowości, w której Weigl się urodził. Przyprawiała o gęsią skórę, zwłaszcza ta część, w której pojawiał się stworzony przez szalonego naukowca potwór.

Tym mniej powinien dziwić fakt, że gdy dozorca zmuszony był oderwać wzrok od tekstu powieści i przenieść go na petenta, wydał z siebie zduszony okrzyk. Zakręciło mu się w głowie, przez chwilę był pewny, że oto monstrum z kart powieści ożyło i stanęło przed nim, by zemścić się za nieodpowiedzialne powołanie go do życia.

– Chcę widzieć się z aresztantem, Hugonem Schuhmannem.

Weigl wypuścił powietrze z płuc. Powoli dochodziło do niego, że stoi przed nim człowiek z krwi i kości, a nie wynik eksperymentu doktora Frankensteina. Jednak te blizny i poparzenia...

– Kto... – odkaslnął, bo niemal stracił głos. – Kto chce się z nim widzieć?

– Kapitan Wilhelm Klein, prowadzę śledztwo w sprawie morderstw.

– A, tak! – dozorca wreszcie oprzytomniał. Słyszał o Kleinie, także o jego rozległych bliznach na twarzy. Rzucił książkę na podłogę, jakby go parzyła. Miał niezbity dowód na to, że z tych wymyślonych historii nie ma żadnego pożytku, że jedynie ogłupiają ludzi. – Jest tutaj ten cały Paser. Przenieśli go do nas, bo cele, które policja przejęła w ratuszu po żandarmerii, nie mieściły już wszystkich aresztowanych. Trzymamy go na dole.

– Którędy mam iść?

– W lewo i schodami w dół. Tam pokoik jest z dowódcą straży, to pan mu powie, kim jest...

– Mam do pana jeszcze jedno pytanie. – Klein nachylił się w stronę dozorca. – Był pan tu wczoraj wieczorem? Widział pan, jak sędzia Wiese opuszcza budynek sądu?

Pytanie było zaskakujące, wypowiedziane bardzo szybko. Weigl z trudem zbierał myśli, które wciąż krążyły wokół kart powieści tej dziwnej, brytyjskiej pisarki.

– Widziałem, jak wchodził... Mówił, że się spieszy, bo jak nie zdąży na ten bal, to żona, pani Laura wygarbuje mu skórę...

– Widział pan, kto podjechał po sędziego?

– Nie... – Dozorca zerknął na książkę leżącą na podłodze. Wczoraj tak się w niej zatracił, że nie zwracał uwagi absolutnie na nic.

Klein postanowił nie męczyć go więcej. Skinął głową i ruszył przed siebie wedle jego wskazówek.

Dotarł do tymczasowego aresztu bez przeszkód. Szybko przekonał dowódcę straży, żeby wydał mu pozwolenie na widzenie z aresztowanym. Kilka minut później znalazł się w małej, ale schludnej celi naprzeciw Hugona Schuhmanna zwanego Paserem.

– Kurwa, teraz żeście se o mnie przypomnieli? – Mężczyzna splunął na podłogę. – Nachodzicie mnie w domu, dajcie po łbie i nikomu nie chce się dupy ruszyć, żeby powiedzieć za co?

Klein przypatrzył się Schuhmannowi. Trójkątna szczeka nadawała mu lisi wygląd, ciemne oczy mrużył, jakby raziło go światło. Nie było wątpliwości, że należy do niebezpiecznych. Plamy na podkoszulku i krople potu na wygolonej czaszce świadczyły o tym, że czasu w celi nie spędzał beczynnym. Musiał często katować swoje ciało ćwiczeniami, o czym świadczyły wyrobione mięśnie. Był szczupły, a jego ciało wydawało się pozbawione nawet grama tłuszczu. Uwagę Kleina przykuły jednak przede wszystkim liczne tatuaże na skórze aresztowanego, które świadczyły o jego burzliwej przeszłości więziennej.

– Bez powodu w łeb się nie dostaje, Schuhmann. Dobrze wiesz, że zawsze jest za co...

Paser wyszczerzył zęby, dwa z nich były złote, reszta w stanie tragicznym. W sumie trudno było odgadnąć, jakim cudem wstawki, trzymają się między kilkoma spróchniałymi pieńkami. Klein już ze swojego miejsca czuł gnilny oddech aresztowanego.

– A ty, kurwa, widzę, obeznany jesteś. Chcecie mnie zrobić w te zabójstwa? Ja się, kurwa, nie przyznam, bo nie mam do czego.

– Pewnie nie... ale kogo to, kurwa, obchodzi? – Klein wiedział, że z Schuhmannem nie ma co się bawić w okrągłe zdania. – Myślałem, że w głowie masz mózg, a uszami tylko ci gównem wypływa...

Aresztant przesuwiał językiem po spróchniałych pieńkach. Wydawało się, że rozważa jakiś znaczniejszy problem. Nie łatwo go było sprowokować, doświadczenie wielu lat odsiadki nie poszło na marne.

Klein wiedział, że groźbą wiele nie zdziała. Nie miał zresztą czasu na przesłuchania, musiał zρέcznie podejść Schuhmanna, by namówić go do współpracy. Paser powinien wiedzieć, że to, co ma do zaoferowania jego niespodziewany gość,

poprawi znacząco jego sytuację. Współpraca powinna leżeć w interesie podejrzanego. Kapitan zamierzał mu to uświadomić i ułatwić decyzję.

– Powiem ci, jak to będzie wyglądać. Rzucają cię na pożarcie jak ochłap, znajdą się nawet świadkowie, którzy pod przysięgą zeznają, jak zmieniałeś się w bestię po wypiciu koszernej wódki. Nie gardzisz dziewczynami z miasta, co Schuhmann? Zdziwisz się, ile z nich zezna, że je katowałeś, że porywczy byłeś po kilku głębszych, że zmuszałeś je do rzeczy, które w głowie bogobojnym niewiastom się nie mieszczą...

Paser zaśmiał się ochryple, klepiąc się po kolanach.

– Pasujesz na degenerata, który morduje w bestialski sposób – ciągnął kapitan. – Zanim komukolwiek przyjdzie do łba, że jesteś czysty, zgnijesz w pudle... jeśli wcześniej nie rzucą ci paska do celi i nie pomogą podpiąć go do kraty...

– Bzdury, kurwa. Słyszałem strażników. W nocy sędziego zamordowali, więc skoro siedziałem tu zamknięty, to nie mogłem tego zrobić.

Schuhmann zaplótł dłonie na piersi, naprężając bicepsy. Pod wpływem tego ruchu bladoniebieskie tatuaże zdawały się ożywać.

– Słyszysz, jak to śmiesznie brzmi? Chuj z twoim alibi, Paser.

Hugo zaśmiał się, odchylił do tyłu, jakby nie siedział na pryczy, a na królewskim tronie.

– Życie, kurwa. Przed tym, co cię czeka, nie uciekniesz – oznajmił. Nabrał większej pewności siebie. Patrzył teraz na Kleina jak na pluskiew, której udało się wspiąć po ramie łóżka i zagnieździć na kocu.

– Ty, Schuhmann, masz we krwi tę chorobę: bycie skurwysynem. I prawdę mówiąc, miałbym głęboko w dupie, jak i kiedy skończysz, gdyby nie pewien fakt.

Paser słuchał Kleina z niezmiennym wyrazem twarzy. Jedyne jego oczy matowiały, jakby ktoś zakrył je przydymionymi kawałkami szkła.

– A ja mam w dupie te twoje fakty – powiedział. – Masz do mnie coś jeszcze? Bo jak nie, to wypierdalaj w podskokach, szkoda by było, żebyś się potknął i sobie coś połamał.

Ich spojrzenia znów się spotkały. W oczach Kleina musiało być jednak coś, co sprawiło, że Paser, choć wszystko się w nim gotowało, odwrócił wzrok.

– Zadam ci teraz kilka pytań – rzekł spokojnie kapitan. – Potem opuszczę tę celę w przeświadczeniu, że oprócz gówna masz też we łbie resztki rozumu. Słuchasz mnie?

Schuhmann milczał; Klein naraz przestał mu się jawić jako pluskwa. W tej chwili nie wiedział, z kim dokładnie ma do czynienia, stracił pewność siebie, a co za tym idzie – przewagę.

– Komisarz Richter z kilku powodów ci nie odpuści. Po pierwsze, nie lubi się przyznawać do błędów, po drugie, stałbyś się symbolem jego porażki. Ja jednak w tym czasie, gdy będziesz pierdział w siennik, znajdę tych skurwieli, którzy

mordują w Kłodzku. Znajdę ich nie dla ciebie, ale dlatego że tak chcę. Dostarczę ich Richterowi pod sam nos...

Klein zrobił krótką przerwę. Paser wciąż milczał.

– Wczoraj zabili sędziego Wiese. Doszło do pościgu za jednym z morderców. Ten, żeby nie dać się schwytać, strzelił sobie w łeb. O dziwo to kolejny fakt, który przemawia na twoją korzyść. Morderca doprowadzony do ostateczności wolał strzelić sobie w łeb, niż narazić współników na wydanie... Ty dałeś się złapać jak dziecko! – Klein podniósł głos, zauważył bowiem, że Schuhmann chce coś powiedzieć. – Na dłoni tego skurwiela zobaczyłem pewien tatuaż. A wtedy jakimś przedziwnym sposobem pomyślałem o tobie, Schuhmann. Zatwardziałem skurczysynu, który spędził większość życia w więzieniach i aresztach od Kłodzka po Wrocław.

Aresztant uniósł brwi, a potem zaczął się śmiać.

– Tatuaż? On ma mnie powiązać z jakimś szmondakiem, który palnął sobie w łeb? Wymalowaliście sobie nasze imiona na skórze na znak wiecznej miłości czy jak? Nie do mnie z tym, kurwa, nie jestem pedałem! Nikt mnie nie wrobi jakimiś tatuażami!

– W więzieniach gniją tysiące niewinnych.

Klein wskazał palcem dłoń Pasera, tatuaż widoczny pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

– To figura geometryczna złożona z kilku trójkątów...

Paser spojrział na swój tatuaż, jakby widział go po raz pierwszy. Potem przeniósł wzrok na Kleina.

– Kurwa, nie tylko ja mam taki...

– Domyślam się. Chcę to jednak usłyszeć od ciebie.

Schuhmann strzyknął śliną na ścianę. Podjął decyzję.

– Moja pierwsza odsiadka, zrobili to gwoździem, byłem dumny jak cholera... To Enwelopa.

– To symbol więzienia, w którym cię posadzili, jego herb. Jakiego?

– Rzeczywiście pan nie wiesz? Kurwa, to chyba jasne, nie? Twierdza.

Klein sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął kopertę, a z niej zdjęcie. Podał je Schuhmannowi. Ten przyjął je z wahaniem.

– To akurat nie jest Enwelopa. – Paser lekceważąco wzruszył ramionami. – Ten tatuaż tutaj to wyrok śmierci.

– A dokładniej?

– No kurwa! Przecież widać, to Wysoka Korona, więzienny herb Fortu Schäferberg... Tam szli tylko ci na rzeź.

Klein podał Paserowi następne zdjęcie. Ten wziął je i wzruszył ramionami.

– Mówiłem. Ten koleś to trup.

– Jesteś spostrzegawczy. To on popełnił wczoraj samobójstwo.

– Nie, nie. – Paser pokręcił głową. – Ja go znałem. Mieszkał chwilę w Łądku, potem się zaciągnął. Służył w wojsku, ale kariery nie zrobił. Plotka niesie, że posadzili go za dezercję.

Klein milczał chwilę, potem zapytał:

– Kto z nim siedział?

– A tego to nie wiem. W tym czasie srałem ze strachu w okopach we Francji... jako recydywista miałem odkupić winy na wojnie. – Schuhmann zaśmiał się, świecąc złotymi zębami. – Nie mam powodu kłamać. O więcej szczegółów i inne nazwiska to trzeba było pytać tego całego sędziego Wiese. Ale jak on trup, to pytaj pan w Twierdzy Głównej. O tych egzekucjach to wiele się nie mówiło. Przerzucali nieszczęśników na Owczą Górę, żeby wieszać dalej od miasta...

*

Komisarz Richter nie mógł usiedzieć w miejscu. Przechadzał się po swoim gabinecie szybkim krokiem i zwalniał tylko wtedy, gdy niemal dostawał zadyszki. Błądził wówczas wzrokiem po ścianach, po oprawionych w drewniane ramki zdjęciach, na których przewijały się wspomnienia z długich lat służby. Gdzie był ten młodzieniec, któremu wydawało się, że świat stoi przed nim otworem? Gdzie był ten ambitny policjant, który zaliczał kolejne awanse i dokonywał właściwych wyborów aż do momentu, w którym rozpedzona lokomotywa jego kariery zjechała na bocznicę ze znakiem Kłodzko? Czego mu zabrakło? Determinacji? Ambicji? Sprytu?

Był dojrzałym mężczyzną, miał już ponad czterdzieści lat. Wiedział, że to najwyższy czas, by odnieść spektakularny sukces i wrócić na właściwe tory. Co mógł jednak zrobić? W tym mieście sięgnął już głową sufitu, nie potrafił i nie mógł go przebić. Formalnie na czele kłodzkiej policji stali burmistrz i jego zastępca. To jednak Richter był prawdziwym przedstawicielem prawa, a nie zwykłym gryzipiórkiem, który nigdy nie poczuł prawdziwego smrodu ulicy i nie poznał najciemniejszej strony ludzkiej natury. Wielu oddałoby wszystko, by znaleźć się na jego miejscu, a on w Kłodzku się dusił. Nie zadowalała go spokojna posada, był człowiekiem czynu, który tylko nieco zaśniedział.

Komisarz spojrzął na zdjęcie żony i dzieci. Hannah zasługiwała na coś więcej, jego córki także. Szerokie ulice Wrocławia, opery i teatry, najlepsze szkoły... Nigdy nie należał do tych, co upajają się małymi sukcesikami, jego niespokojny duch kazał mu patrzeć w przyszłość, poszukiwać, podejmować wyzwania. Czyżby był gorszy od jakichś zapijaczonych wrocławskich radców kryminalnych, budzących się co rano w podejrzanych spelunkach i maskujących odór trawionego alkoholu tanią wodą kolońską? Nie, po trzykroć nie!

Richter ochłonał nieco, gdy wyjrzawszy na ulicę, zobaczył automobil prowadzony przez Jürgena Rotha. Z tyłu siedział kapitan Klein. Komisarz mimowolnie zrobił krok w tył, bowiem wydało mu się, że pasażer popatrzył w jego okna. Zganił się

w myślach za ten odruch. Nie ustępował przed nikim, tym bardziej nie mógł przed tym mężczyzną.

Popatrzył na zegarek w bransolecie. Do odprawy zostało jeszcze kilka minut. Ułożył sobie plan, którego postanowił się trzymać. Centralną jego postacią był nie kto inny jak Wilhelm Klein.

Gdy Richter wchodził do sali odpraw, podwładni już na niego czekali. Siedzieli przy stołach w milczeniu, co było do nich zupełnie niepodobne, zwłaszcza do Seipelta, który podczas zebrań zawsze gadał jak najęty. Richter zastanawiał się, czy wpływ na ich zachowanie ma powaga sytuacji, czy obecność siedzącego w ostatnim rzędzie Wilhelma Kleina. Wydawało mu się, że to drugie. Komisarz spodziewał się po kapitanie ostentacyjnego lekceważenia, tymczasem Klein, wpatrzony w mapę naścienną zawieszoną na wprost siedzących, wydawał się skupiony i uważny.

Poprzedniego dnia Richter kurtuazyjnie zapytał burmistrza, czy ten nie chce powiedzieć kilku słów do podwładnych. Szczęśliwie Ludwig uznał, że zostawi prowadzenie odprawy komisarzowi.

– Panowie – odezwał się Richter grobowym głosem.

Popatrzył w oczy wachmistrzom ze swojej grupy dochodzeniowej. Seipelt i Schulz wytrzymali spojrzenie, w napięciu czekając na dalsze słowa przełożonego. Puder ocierał chusteczką zaczerwieniony nos – z trudem powstrzymywał się od kichnięcia. Nie wyglądał najlepiej i komisarz zanotował w pamięci, by jak najszybciej odesłać go do domu – nie chciał, żeby zaraził mu zespół. Koschella natomiast wzrok miał spuszczone, a na jego twarzy malowało się zacięcie. Richter wiedział, że to dobry policjant, i w sumie żałował, że nie poświęcił mu wcześniej wystarczającej uwagi i nie związał mocniej ze sobą. Lecz krnąbrność Franza nigdy mu się nie podobała, w zespole zawsze musiał być ktoś, kogo dla przykładu karało się, czy to odmową awansu, czy brakiem premii. Trafiło na tego wachmistrza i zdaje się, chował on za to urazę.

– Panowie, zebrałem nas w tym wąskim gronie z jednego powodu. Mamy do czynienia ze sprawą bez precedensu. Cztery zabójstwa, w tym trzy, do których doszło niemal dzień po dniu. Jeśli ta tendencja ma się utrzymać, istnieje obawa, że dziś będziemy mieli do czynienia z kolejnym...

Kilku policjantów pokiwało głowami. Atmosfera była napięta, w powietrzu unosił się zapach potu i testosteronu. Richter chętnie kazałby teraz sekretarzowi Fenglerowi otworzyć okna, ale uznał, że zepsułby tym efekt, który osiągnął dzięki tym kilku zdaniom.

– Zaprosiłem na spotkanie kapitana Wilhelma Kleina i policjantów, którzy wspierają go swoim doświadczeniem. – Richter objął wzrokiem tylne rzędy. Po Kleinie nie widać było żadnej reakcji, Roth nieco się wyprostował, zdaje się nawet zaczerwienił. Koschella tylko mocniej zacisnął szczęki. – Uznałem, że nie mamy czasu na prowadzenie osobnych śledztw. Musimy wykorzystać doświadczenie najlepszych ludzi, jakich ma kłodzka policja, i intuicję kapitana Kleina... Nie muszę

panom przypominać wydarzeń poprzedniego wieczora. Czwartą ofiarą morderców był sędzia Konrad Wiese, którego zmasakrowane ciało zobaczyliśmy wszyscy na Wilhelmsplatz. Obława na zabójców zakończyła się połowicznym sukcesem, kapitan Klein był bliski schwytania jednego z nich, ten jednak popełnił samobójstwo... Nazwałem to połowicznym sukcesem nie bez przyczyny. Miejmy nadzieję, że brak jednego ze współdziaławców utrudni tym degeneratom realizację kolejnych morderstw.

Richter dał sygnał sekretarzowi. Ten błyskawicznie otworzył trzymaną w dłoniach teczkę i rozdał wszystkim obecnym zdjęcia denata.

– Część z was widziała już twarz mordercy. Zespół wachmistrza Seipelta porównuje odciski palców z tymi, które mamy w archiwach. Nie liczę na sukces, bo nasze akta są wciąż ubogie. Rozesłaliśmy materiały do Wrocławia i Berlina może oni się na coś natkną. Ustalenie, kim jest denat, i odtworzenie sieci jego powiązań to nasz priorytet. Wachmistrzu, czy mamy jakiś postęp w tej materii?

– Wciąż nad tym pracujemy, przerzuciłem do tego zadania niemal cały personel... Wysłaliśmy też człowieka do komendantury, Herr Klein sugerował wcześniej, że mordercy mogą być wojskowymi, więc pomyślałem, że mają go u siebie w aktach...

Richter skinął głową, choć bez większego zapału. Słyszał, z jakim szacunkiem jego podwładny wymawia nazwisko kapitana.

– Wierzę, że dokonamy tej identyfikacji szybko... Przed nami także inne zadanie: próba wskazania miejsca kolejnego morderstwa. Przy zabójstwie wicedyrektora udało się to dzięki mapie i dedukcji... – Richter wyuczył się tego zdania w formie, która nie wskazywała autora pomysłu. Znów dał sygnał sekretarzowi, którego wcześniej dokładnie poinstruował o kolejnych etapach odprawy.

Otto Fengler podszedł do mapy. Dużymi czerwonymi pinezkami zaznaczył trzy miejsca zbrodni.

– Widzimy tu trójkąt równoboczny. Nie ulega wątpliwości, że mordercy komunikują się z nami właśnie w ten sposób. Symbolika w ich działaniach ma bardzo duże znaczenie. Nasza interpretacja opiera się na skąpych danych i przypuszczeniach. Pierwotnie odnieśliśmy się do symboliki judaizmu. Gwiazda Dawida... – Otto wbił kolejne pinezki w mapę, tworząc sześć punktów równomiernie oddalonych od siebie na osi okręgu. – Do tej interpretacji nakłoniła nas wiadomość od morderców, ale także szereg danych, które zdawały się ją potwierdzać. Nie obce nam były poglądy polityczne przynajmniej dwóch ofiar. Rajca Dinter i wicedyrektor Beier znani byli z niechęci do społeczności żydowskiej. Możemy jednak przyjąć, i nie boję się tego powiedzieć, że to rozwiązanie podsunęli nam mordercy po to, by nas sprowadzić na manowce... – Richter zawiesił głos. Na twarzach swoich ludzi widział zmieszanie, lecz Klein pozostał niewzruszony. Do czasu, pomyślał komisarz. – Oni wiedzą, że działamy w pośpiechu i że mają nad nami przewagę. Wodzą nas za nos... – Podszedł do mapy i wyciągnął z niej trzy pinezki. Jedną wbił ponownie, ale w miejsce z napisem „Wilhelmsplatz”. – Tutaj

zabito sędziego Wiese. Zupełnie nie pasuje to do koncepcji Gwiazdy Dawida, prawda? – Nikt nie odpowiedział, więc Richter kontynuował: – Powstał romb, panowie, dwa trójkąty równoboczne, których wspólnymi wierzchołkami są Górny Młyn i skrzyżowanie Kirchgasse z Grüne Strasse. Jeśli mielibyśmy podjąć grę, jak określiła go prasa, geometrycznego zabójcy, to dwa kolejne miejsca zbrodni nasuwają się same.

Richter wbił pinezkę w południowo-wschodni narożnik twierdzy i kolejną na wschodnim brzegu Nysy, w pobliżu dawnego przytułku dla ubogich.

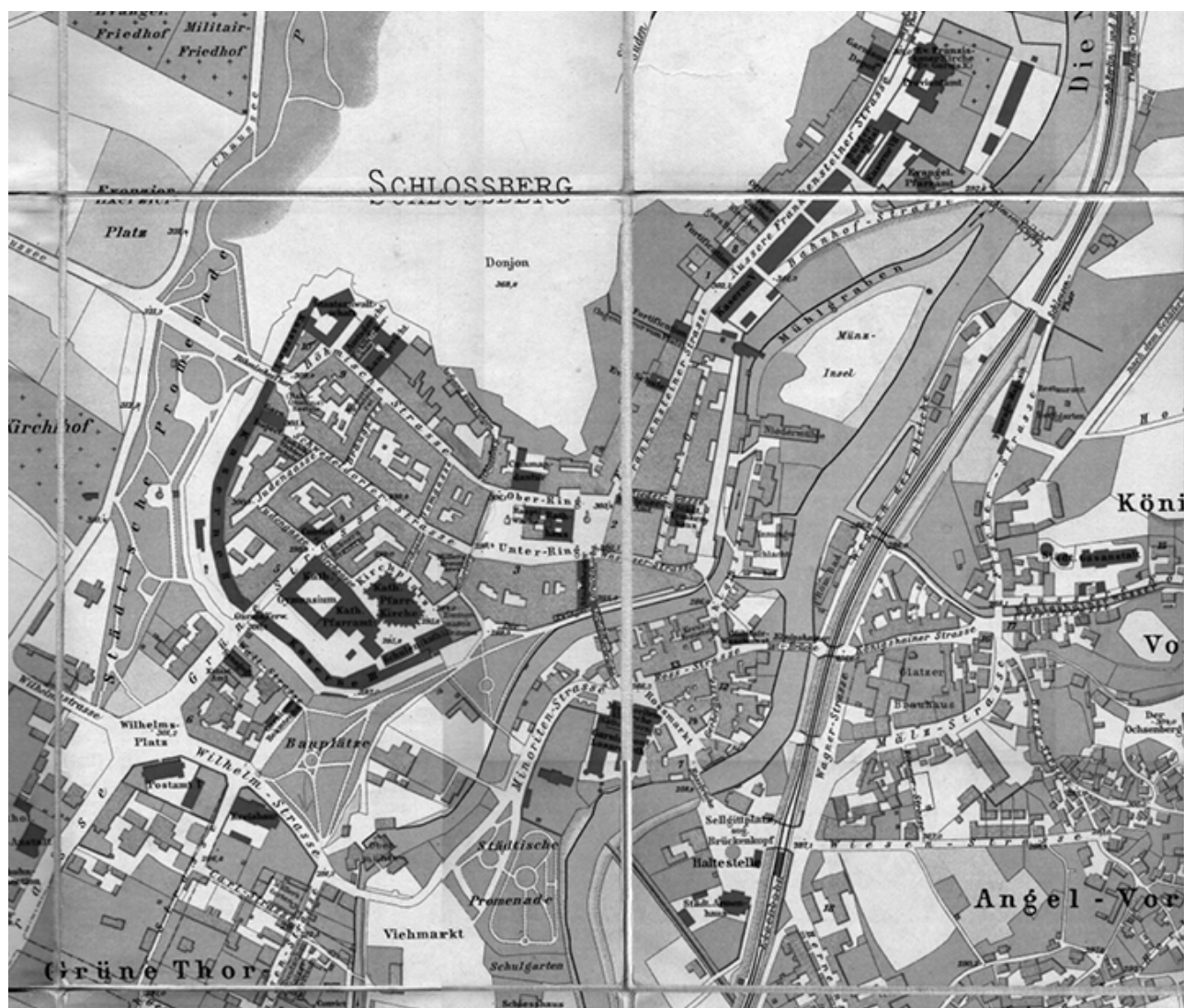
– To symbol, który tym razem chcą nam wskazać. Jaki?

– Masoni – odezwał się Seipelt. – Kłódzka łoża Pod Trzema Trójkątami...

Richter skinął głową. Czuł, że wywoła tym lepszy efekt niż dzięki jakimikolwiek słowom.

– Podejrzewa pan, że to mylny trop, czy wręcz przeciwnie, że dobry? – odezwał się zazwyczaj milczący Schulz, któremu, widać, wszystko już pomieszało się w głowie.

Komisarz zawahał się, miał jednak nadzieję, że jego reakcja będzie odebrana jako dezaprobata dla głupich pytań podwładnego. Seipelt jednak i pociągający nosem Puder patrzyli na niego wyczekująco, jakby i oni oczekiwali odpowiedzi na to pytanie.



– Kolejne zabójstwo może zostać dokonane w zupełnie innym miejscu! – Richter podniósł głos. – Tam, gdzie się go nie spodziewamy. Powstanie w naszych głowach obraz nowej figury, której nie wzięliśmy pod uwagę, a której symbolika być może związana jest nawet z wierzeniami dzikich z Ameryki Północnej. Oni się z nami bawią, panowie, wodzą nas za nos i ośmieszają policję! Zebraliśmy się dziś, żeby przewidzieć ich następny krok, więc jeśli macie jakiś pomysł, byliście w szkole prymusami z geometrii, to ujawnijcie swój talent i pokażcie, co oprócz masońskiej piramidy mogło przyjść do głowy tym skurwysynom!

Richter aż się zasapał. Zebrani patrzyli na niego w milczeniu, nawet Klein, który wreszcie oderwał wzrok od mapy.

Cisza trwała długo. Komisarz czuł, że krew uderza mu do głowy, świerzbiły go ręce, by rzucić czymś o ścianę. Tylko w ten sposób potrafił skutecznie rozładować napięcie.

– A może... – Seipelt od dłuższego czasu wpatrywał się w leżące przed nim zdjęcia. – Widzicie ten tatuaż na dłoni samobójcy?

Komisarz nie miał pojęcia, o czym mówi podwładny, na szczęście sekretarz niezwłocznie podsunął mu fotografię denata.

– No dalej, Seipelt – zachęcił wachmistrza. – Nawet jeśli wyda się wam to piramidalną bzdurą.

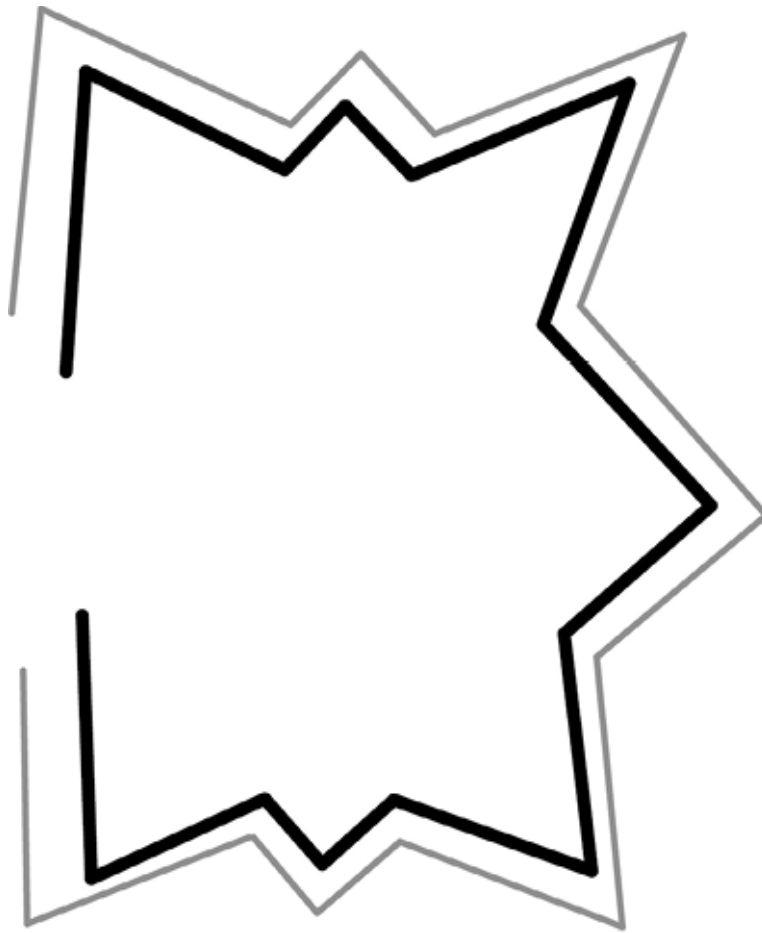
– Ten znak pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Niczego wam nie przypomina? To są trójkąty, połączone, jakby nanieść je na mapę jako punkty zabójstw. To może mieć znaczenie.

Richter kilkakrotnie obrócił zdjęcie w dłoniach. Potem przyłożył je do mapy.

– Coś w tym może być, Seipelt – powiedział ostrożnie. Nauczony doświadczeniem nie chciał pochopnie odtrąbić sukcesu. – Ale co to za znak? Kapitanie Klein? Milczy pan podczas całej odprawy. Może podsunie nam pan kolejny pomysł?

Richter gruntownie przemyślał treść tego pytania.

– Spostrzeżenie wachmistrza Seipelta jest słuszne. – W głosie Kleina trudno było się doszukać jakichkolwiek emocji. Mówił chrapliwie, a zarazem cicho, nikt jednak nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku mogącego zakłócić tę przemowę. Nawet Puder przestał pociągać nosem. – To więzienny herb aresztu w Forcie Schäferberg, zobrazowanie jego umocnień, tak zwanej Wysokiej Korony. Ci, którzy posiadali ów tatuaż, kończyli życie przed plutonem egzekucyjnym lub częściej na stryczku. Jak się jednak okazuje, nie wszyscy. Samobójcą, którego wczoraj nie zdołałem ująć, jest najprawdopodobniej Teodor Wildstein, sierżant pruskiej armii oskarżony o dezercję i powieszony w kłodzkiej twierdzy...



Richter patrzył na Kleina jak zaczarowany, nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

– A co do miejsca zabójstwa sędziego Konrada Wiese... Nie był nim Wilhelmsplatz, tylko teren zajezdni dylizansów pocztowych przy Wilhelmstrasse, a dokładniej teren przy bramie od strony skrzyżowania z Friedrichstrasse.

Richter już wiedział, dlaczego struny głosowe odmówiły mu współpracy. Czuł gulę w gardle, która urosła do rozmiarów piłki futbolowej, gdy kątem oka dostrzegł swojego sekretarza, dokonującego na mapie przemieszczenia pinezki z miejsca, w którym wbił ją komisarz, w to wskazane przez kapitana.

– Nie wykluczałbym w tej chwili żadnej z możliwości. Jednak przychyliam się do spostrzeżenia, że kolejne miejsce zabójstwa ma być dla nas zaskoczeniem.

– Ale teraz... – Seipelt wskazał palcem mapę. – Teraz miejsce zamordowania sędziego do niczego nie pasuje... Natomiast ta piramida jak najbardziej. Z tego, co widzę, jej czubek jest zorientowany idealnie na północ...

Klein wstał i wymijając stojącego jak słup soli Richtera zbliżył się do mapy. Wyciągnął dwie pinezki z miejsc, w których tkwiły, resztę przejął z rąk sekretarza.

– Co to jest? – zaśmiał się Schulz. – Kwadrat?

Kapitan wbił ostatnią, dziewiątą z pinezek w centralnym punkcie figury.

Wszyscy wpatrywali się w mapę, próbując zrozumieć, co tak naprawdę widzą.

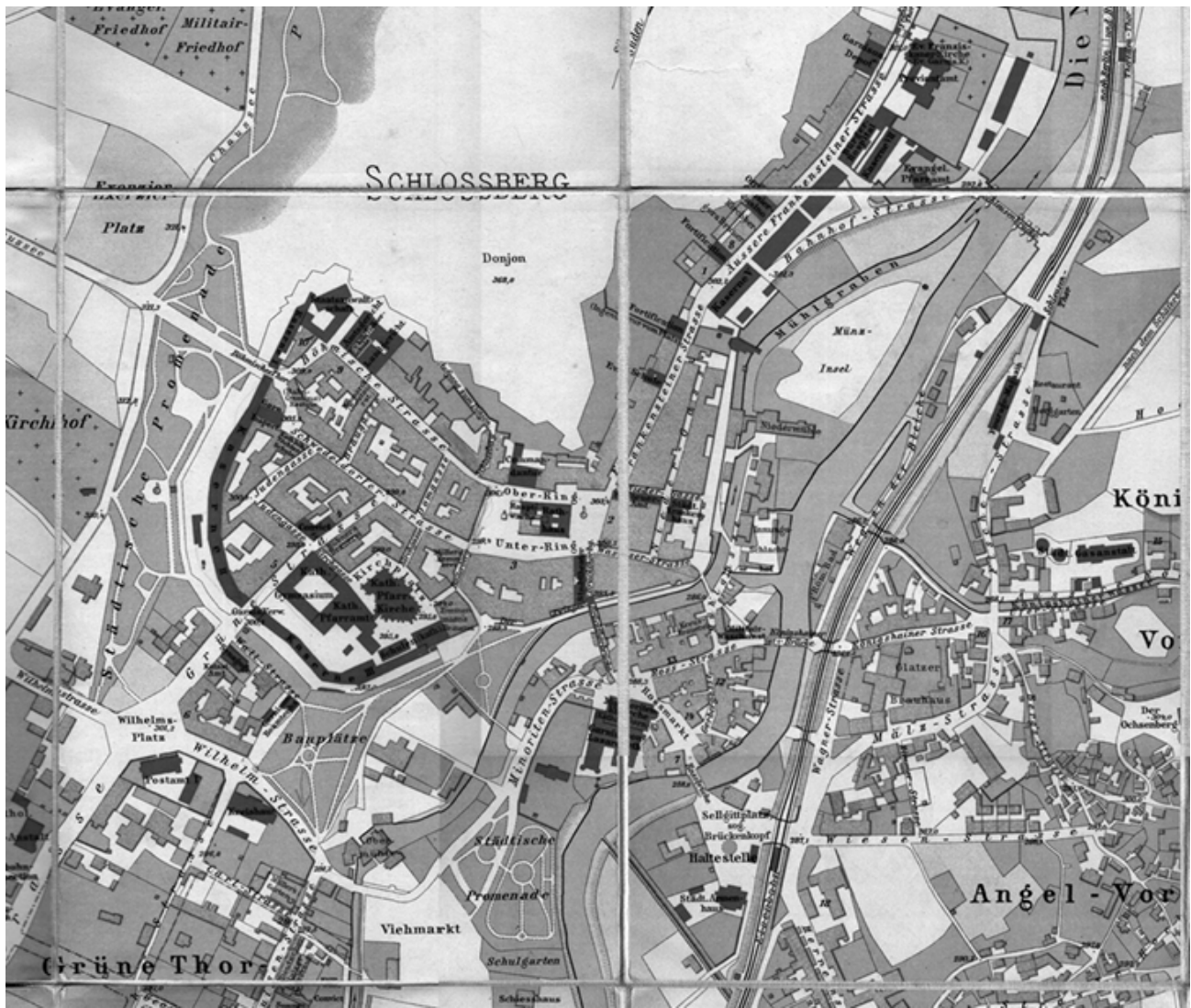
– O kurwa! – zarechotał Koschella. – Symbol szczęścia, ostatnio bardzo popularny w pewnych kręgach. Jeśli to jest to, o czym myślę, to mają, cholera, rozmach!

Richter zamierzał właśnie zrugać wachmistrza za jego słownictwo, ale i jemu cisnęły się na usta niecenzuralne słowa. Co więcej, właśnie w tym momencie do sali odpraw wszedł burmistrz Franz Ludwig. Błądził nieprzytomnym wzrokiem po zebranych i wyglądał na wstrząśniętego.

– Panowie, dostałem kolejną wiadomość – rzekł drżącym głosem. – Najprawdopodobniej pochodzi od morderców. – Nerwowym ruchem poprawił okulary, które zsunęły mu się z nosa, i rozłożył karteczkę trzymaną w dłoni.

– Browar Zimmermanna. Pokój gościnny numer pięć. Piąta ofiara.

Wszyscy spojrzeli na mapę, na jedną z pinezek, która tkwiła niczym wyrzut sumienia w bryle przedstawiającej browar pomiędzy Baderberg a Der Zwinger. A potem poderwali się z miejsc i ruszyli do wyjścia.



Przechodnie, którzy tego dnia mieli do załatwienia sprawy na dolnym rynku, ze zdziwieniem obserwowali tabun policjantów zdążających od strony ratusza w kierunku schodów prowadzących w dół Baderberg. Wśród nich nie zabrakło komisarza Richtera, który podczas szybkiego marszu poluźnił sztywny kołnierzyk, by móc swobodniej oddychać.

Za grupą, w pewnym oddaleniu, szedł kapitan Wilhelm Klein, jednak po nim i po jednym z jego dwóch towarzyszy nie widać było pośpiechu. Jedynie najmłodszy z trójki mężczyzn raz po raz sforował się do przodu, jakby gnany jakimś wewnętrznym przymusem.

– Nie pędź, młody – upomniał asystenta wachmistrz Koschella. – Richter, bez względu na to, co teraz widzisz, jest powolny jak żółw, nie będzie działał pochopnie. Mamy czas.

Rzeczywiście, gdy pojawili się przed kamienicą, w której znajdował się browar Zimmermanna, Richter wciąż wydawał polecenia swoim podwładnym. Kazał zablokować wąską uliczkę z dwóch stron, a kilku z policjantów wysłał na Kirchplatz znajdujący się po drugiej stronie budynku. Na widok Kleina zacisnął szczęki, jednak nic nie powiedział. Dał sygnał pozostałym ludziom, by ruszyli za nim.

– Pokoiki na godziny – odezwał się Koschella do Kleina. – Bardziej dyskretne niż hotele, rzecz cenna zwłaszcza dla odmieńców...

Weszli do środka. Mimo dość wczesnej pory siedziało tam aż kilkunastu mężczyzn, przekrzykujących się wzajemnie w zaduchu papierosowego dymu. Gdy tylko ujrzeli policjantów, zamilkli. Wystarczył niedbały gest jednego z ponurych, potężnie zbudowanych wachmistrzów, by odstawili niedopite kufle i ruszyli do wyjścia. Po niespełna dwóch minutach browar opustoszał.

Richter zbliżył się do barmana, który stał jak sparalizowany z brudną ścierką i kuflem w dłoni. Komisarz znał go bardzo dobrze – Friedrich Papke, pracownik browaru od blisko dekady, niemal stała część wyposażenia tego miejsca, równie zużyta jak wyszczerbione naczynia i poniszczone stoły.

– Kto na górze? Ilu macie gości?

Papke się zaczerwienił, zbyt mocno jak na gust Richtera. Łypał przekrwionymi ślepiami na lewo i prawo, kurcząc się pod spojrzeniem mundurowych.

– Wynajęty to chyba jeden... – wydusił. – Ale ja tam się nie patrzę, kto wchodzi i wychodzi...

– Pod piątką ktoś jest? Gadaj, człowieku!

– A chyba... no piątką, tak...

Richter dał sygnał ludziom. Ci bez zbędnych pytań ruszyli w stronę schodów.

– Schulz przy drzwiach – polecił komisarz ściszone głośnie. – Czekacie na mój sygnał. Broń w pogotowiu. Koschella i Roth, zabezpieczycie kolejne piętro. Seipelt przy mnie, Günther i Hüber, miejcie oko na pozostałe drzwi.

– Komisarzu, zalecam ostrożność...

– Jestem wdzięczny za troskę, panie Klein, proszę to jednak zostawić policji. Może pan zostać, jeśli ma pan takie życzenie, ale tylko jako obserwator.

Richter skinął na Schulza i wyciągnął pistolet.

Wachmistrz stanął przed drzwiami. Wskazał na klamkę z zawieszka z napisem „Nie przeszkadzać”. Przez chwilę nasłuchiwał, a w końcu cofnął się o krok i z całej siły kopnął w drewniane skrzydło. Ustąpiło, jakby wykonano je z papieru.

Początkowo Richter nie rozumiał, na co patrzy. Pośrodku pokoju stało krzesło, na którym siedział mężczyzna. Był cały obwiązany sznurem, a w jego szeroko otwartych oczach dało się dostrzec czyste przerażenie. Jednak tym, co zdziwiło komisarza jeszcze bardziej, była lina, która ciągnęła się od drzwi w stronę uwięzionego. Przywiązana do rury przy framudze prowadziła do głowy ofiary. W momencie, w którym drzwi stanęły otworem, sznur się naprężył i opadł na podłogę wraz z metalowym uchwytem. Wszystko to Richter zanotował w ułamku sekundy. Zdażył jeszcze zobaczyć czyjaś dłoń, która pociągnęła Schulza za kołnierz, i poczuł, jak coś unosi go w powietrze. Runął na schody w momencie, w którym nastąpił wybuch. Budynek zadrżał w posadach, a komisarz miał wrażenie, że otwiera się pod nim przepaść; runął w nią bezwładnie przygnieciony czyimś ciałem. W uszach rozległ się pisk, w płucach zabrakło powietrza. Nie był nawet w stanie krzyknąć z bólu, pewny, że żebra połamały mu się jak zapalki, a głowa pękła na pół, gdy uderzył nią o żelazną poręcz.

Z pisku, który rozsadzał czaszkę, dotarły do niego okrzyki pozostałych. Próbował coś dojrzeć w chmurze dymu, ale oczy zalała mu ciepła ciecz. Dotknął czoła, nie potrafiąc opanować drżenia dłoni. Palce były lepkie od czerwonej posoki.

– Komisarzu! Komisarzu, nic panu nie jest?

Richter rozpoznał głos Seipelta, poczuł, że ktoś próbuje mu pomóc wstać. Popatrzył na wachmistrza, który przyprószony tynkiem wyglądał niczym duch.

– Co z Schulzem? – wychrypiał. – Co z Schulzem?!

– Jestem panie komisarzu!

Wachmistrz, chwiejąc się na nogach, przekroczył belkę, która spadła na klatkę schodową. Kaszląc i klnąc, znalazł się przy swoim szefie i pomógł mu wstać.

– Mamy szczęście, komisarzu, mamy szczęście jak cholera...

– Co się stało?! Jak...

– Granat panie komisarzu. – wychrypiał Schulz. Z trudem łapał oddech. – Pułapka, musieliśmy wyszarpnąć zawleczkę... Stałem jak słup soli, ale wtedy pociągnął mnie Klein. Pana zresztą też, zasłonił komisarza własnym ciałem... Nie wiem, jak on to zrobił, byłyby z nas dwa trupy jak nic, cała siła poszła przez drzwi...

– Gdzie on jest?

– Kto?

– Klein! – ryknął Richter. – Klein żyje?

– Diabli swojego nie biorą, komisarzu. – Seipelt wskazał palcem na piętro, gdzie nastąpił wybuch. – Jest na górze z Koschellą i Rothem, ale niebezpiecznie tam teraz.

Może się wszystko zawalić...

Richter spojrział w stronę korytarza, usiłując dostrzec cokolwiek w siwym dymie. Ruszył w górę przytrzymywany przez Schulza. Zachwiał się, przekraczając belkę, ale był zbyt zdeterminowany, by zważać na przeszkody.

Do pokoju numer pięć prowadziła teraz wielka osmolona dziura w ścianie. Patrząc na to pogorzeliśko, komisarz miał wrażenie, że znalazł się w jakiejś innej rzeczywistości. Pod wybitym oknem dopalała się kotara, którą Koschella przygniałał butem, gasząc płomień. Fragment żyrandola kołysał się pod czarnym sufitem. W ścianach ziały wyrwy, jedna z nich runęła. Komisarz zapatrzył się w wojskowy but, w którym wciąż tkwiła część nogi ofiary. W ochłapie mięsa bielila się podłużna kość.

– Klein. – Richter zbliżył się do kapitana na odległość kroku. – Kapitanie Klein!

Mężczyzna odwrócił się i posłał mu nieobecne spojrzenie. Miał osmolone policzki, a z rozcięcia na czole spływała krew. Płaszcz wciąż wydawał się na nim tlić. Richter poczuł, jak zaciska mu się krtań. Seipelt miał rację, oto mieli przed sobą wysłannika piekieł.

– Klein...

– Komisarzu?

– Co... co tu się stało?

– Pułapka. Ofiara nie miała szans. Była umiejętnie unieruchomiona, wystarczyło minimalne odchylenie głowy, by wyrwać zawleczkę. Kilka sznurów przy drzwiach, wystarczyło otworzyć je choćby na kilka centymetrów...

– Wiedzieli, że tu wejdziemy, chcieli nas zabić.

– Z ofiary niewiele zostało. – Koschella wskazał but i fragmenty ciała walające się po podłodze. – Nie wiem, czy uda nam się identyfikacja...

– Ja wiem, kto to był... – wychrypiał Richter. Przymknął oczy, zrobiło mu się słabo. Walczył z nudnościami. Znów zobaczył tamten obraz, wpatrujące się w niego, przerażone oczy majora Schneidera. – Wiem, kto to był.

– Panie komisarzu?

Richter spojrział na kapitana. Ledwie zrozumiał jego słowa, wciąż miał problemy ze słuchem.

– Uratował mi pan życie, Klein. – Mężczyzna milczał, stał wyprostowany jak struna. – Uratował pan mnie i Schulza, ostrzegał też, jakby pan miał przecucie, że coś się zdarzy... Przecucie czy wiedzę, panie Klein?

Richter dostrzegł, że jego słowa wywołały u Koschelli i Rotha dwie zupełnie różne reakcje.

– Zostawcie nas samych! – Podniósł głos. – Wynosić się stąd!

Mężczyźni, którzy znajdowali się w dawnym pokoju hotelowym numer pięć, ruszyli w stronę schodów. Jedynie Franz przez chwilę się ociągał. Nie widząc jednak stanowczej reakcji Kleina, dołączył do Rotha, Seipelta i Schulza.

Gdy zostali sami, Richter wziął głęboki oddech. Adrenalina zrobiła swoje, niemal nie czuł bólu głowy i żeber. Jakimś cudem otrząsnął się z szoku, a jego myśli były jasne i klarowne.

– Pan też wie, kim była ofiara – zwrócił się do Kleina.

Kapitan przytaknął.

– A wie pan, że przed swoją śmiercią major zapoznał mnie z pewnymi dokumentami? Dokumentami dotyczącymi pewnej osoby i jej powiązań z pierwszą z ofiar, majorem Peschke... czy też Lotharem Böhmem.

Klein wciąż milczał, Richter postanowił więc kontynuować.

– Te dokumenty dotyczyły pana, Herr Klein. Pańska przeszłość skrywa wiele tajemnic i wydaje się wręcz niewiarygodna, a jednocześnie budzi szacunek. Jest w niej jednak jeden szczegół, jedno powiązanie, które stawia pod znakiem zapytania pańską bezstronność. Prowadzi też do szeregu pytań. Otóż z dokumentów wynika, że podczas wojny pewna osoba z pańskiego otoczenia dopuściła się zdrady. Przez nią tak pan, jak i pana podkomendni wiele wycierpieliście. – Richter wskazał palcem blizny na twarzy kapitana. – Gdyby mnie i moim ludziom, ktoś zrobił to, co panu, pewnie też pałałbym żądzą zemsty, chciał wymierzyć sprawiedliwość... jednak nie wiem, czy użyłbym tych samych środków. Tym zdrajcą mógł być major Peschke albo pan... Tak czy owak, miał pan motyw, by go zabić lub doprowadzić do jego zabicia. I pewnie na tej podstawie doprowadziłbym do pańskiego aresztowania, stałby się pan głównym podejrzanym, lecz jedno budzi moje wątpliwości... – Richter znów zaczerpnął powietrza. Tym razem się skrzywił, bo poczuł ukłucie w żebrach. – Co mają... co mają wspólnego z zemstą na majorze Peschke kolejne ofiary? Nie widzę żadnego ich powiązania z pana przeszłością. Tylko w umyśle szaleńca powstałby plan tylu zabójstw zupełnie obcych mu ludzi. Gdy teraz na pana patrzę... czy widzę szaleńca? Doznał pan pomieszania zmysłów? Wojna pomieszała panu w głowie?

Jeden ze szklanych okruszków wypadł z framugi i rozbił się na podłodze. Richter drgnął, jakby spodziewał się kolejnego wybuchu.

– Nie, nie jest pan szaleńcem – podjął po chwili, wiedząc, że nie może liczyć na odpowiedź Kleina. – Choć być może wariaci także odznaczają się chłodnym, wyrachowanym umysłem... Ten, kto za tym wszystkim stoi... mam wrażenie, że przewidział nawet naszą rozmowę, to, że w moich rękach znajdą się dokumenty obciążające kapitana Kleina. Czy przewidział jednak moją reakcję? Czy chciał, żebym pana aresztował? Co, jeśli tak właśnie jest? Co, jeśli tylko pan ma szansę pojmać tego skurwysyna i zakończyć ten horror, którego jesteśmy świadkami, a ja ułatwię sprawę mordercom? Klein! Dlaczego nic pan nie mówi?

– Czekam na pańską decyzję.

Richter z niedowierzaniem pokręcił głową. Dotknął czoła, na którym zdążyła zastygnąć krew. Huczało mu w głowie, znów w uszach rozległ się nieprzyjemny pisk.

– Poddając chłodnej analizie swoje własne reakcje, zrobiłbym to. – Richter przełknął ślinę, zwalczając nudności. – Kazałbym pana aresztować właśnie teraz. Jednak postąpię inaczej, wbrew sobie, choć nigdy mi się to nie zdarzyło. Po to, by mieć cień iluzji, że ktoś tego nie przewidzi. Dam panu dwadzieścia cztery godziny na zamknięcie ich wszystkich. Po tym czasie aresztuję pana osobiście.

Klein wciąż stał nieruchomo, nie odezwał się słowem. Czekał.

– Będę następny w kolejce, panie Klein? – zapytał gorzko Richter. – Ofiara numer sześć, siedem? Może osiem?

– Istnieje takie prawdopodobieństwo, komisarzu. Nie mogę tego jednak stwierdzić z całą pewnością.

Richter zaśmiał się gorzko. Pokręcił głową, choć zaraz tego pożałował. Wydało mu się, że uruchomił w ten sposób ciężką ołowianą kulę siejącą w czaszce spustoszenie.

– Niech pan idzie, Klein – powiedział. – Tempus fugit! Dwadzieścia cztery godziny i ani minuty dłużej!

*

Karel Svoboda wyglądał przez okno swojego apartamentu, wpatrując się w wybrukowany Sellgittplatz. Jego wzrok zatrzymał się na smukłej latarni gazowej stojącej pośrodku niewielkiego ronda.

Od strony końskiego mostu wjechała dorożka. Klacz apatycznie ciągnęła budę z równie otepiałym fiakrem otulonym szarym pledem. Ten nastrój udzielał się Svobodzie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu chciał opuścić to miasto. Miasto, które przecież kochał. Znał tu każdą ulicę i kamienicę, mnóstwo razy podróżował szlakami okolicznych wzgórz. Czuł się jak u siebie, być może dlatego tak trudno było mu się pogodzić z tym, że hrabstwo kłodzkie powoli i nieubłaganie się zmienia. Jaka przyszłość czekała to miasto?

Jeszcze wczoraj podczas wieczornego spaceru przystawał na chwilę w każdym ze swoich ulubionych miejsc. Wyłączał się na gwar otoczenia i wtedy wydawało mu się, że oto kroczy ulicami miasta na wskroś czeskiego. Wystarczyła jednak chwila, kilka słów wypowiedzianych przez kogoś z miejscowych, by czar prysł. Świat się zmieniał, wszystko dookoła się zmieniało. Na domiar złego czuł, że to dopiero początek.

Nie miał wątpliwości, że wkrótce Rzesza znów się przebudzi. Wielka Wojna tylko na chwilę uspiła demony, które ogarnęły ten naród. To, co działo się w ostatnich latach, stanowiło zaledwie preludium nieubłagalnie zbliżającej się katastrofy. Niedawne wydarzenia, które wstrząsnęły miastem, jedynie potwierdzały te obserwacje.

Niemieckie Kłodzko, Kłodzko czeskie, polskie...

Karel widział, że jego obecność budziła wśród mieszkańców duże emocje. Jeszcze niedawno mobilizowano całą tutejszą ludność przeciw Czechom, cytowano praskie gazety „o więzionych braciach z Hrabstwa Kłodzkiego”. Nawet jeśli w Pradze pojawiały się głosy nawołujące do odebrania Kłodzka Rzeszy, on sam nie uważał tego za szczęśliwy pomysł. Był pewny, że jest za wcześnie, by kasać ranną, krwawiącą bestię, bo gdy tylko ta odzyska siły, rzuci się na tych, którzy próbowali wykorzystać chwilę jej słabości.

Svoboda oderwał wzrok od widoku za oknem. Poczłł głód. Cenił kilka potraw z hotelowej restauracji i zamierzał jeszcze skosztować ich przed wyjazdem.

Chwilę później znalazł się na parterze. Zasiadł przy swoim ulubionym stoliku. Sięgnął po kartę dań, mimo że znał ją niemal na pamięć. Na początek zażyczył sobie piwa i odprawił obera, pozostawiając sobie czas do namysłu. Nie mógł się zdecydować, na co ma ochotę. Chodził za nim nyski pstrąg, ale nie pogardziłby także czymś tłustszym, co przyjemnie obciążałoby żołądek.

Na ułamek sekundy oderwał wzrok od karty. Być może wyczuł obecność kobiety, która przyciągnęła jego uwagę. Rozmawiała teraz z boyem hotelowym. Zachowywała się bardzo swobodnie, była pewna siebie, czym różniła się od większości znanych mu kobiet. Podczas spotkania dobroczynnego w Hotelu Cesarskim zdążył jej się uważnie przyjrzeć. Była towarzyszką kapitana Kleina, tego, który prowadził dochodzenie w sprawie morderstw. Trudno było odgadnąć, czy jest jego asystentką czy kochanką. Svoboda uśmiechnął się do siebie. Przecież jedno nie wykluczało drugiego.

Ich spojrzenia się spotkały. Svoboda uniósł się na krzesło, wykonał zapraszający gest dłonią. Kobieta zawahała się, ale po chwili skinęła głową. Obdarzyła Czecha niewymuszonym uśmiechem i podeszła do jego stolika.

– Może Zdaje się, że nie ma jeszcze pory obiadowej. Będę jednak niezmiernie rad z pani towarzystwa...

– Chętnie. Mnie także będzie miło towarzyszyć panu podczas posiłku.

Ober pojawił się przy kobiecie, by odsunąć jej krzesło, ale go uprzedziła. Svoboda patrzył na nią zauroczony.

– Mogę zaproponować coś do picia? – Czech przejął rolę kelnera. – Napije się pani kawy lub herbaty? A może zdecyduje się na lampkę wina?

– Mam ochotę na pstrąga. – Kobieta rozsiadła się wygodniej. W jej ruchach gracia współgrała z jakąś męską topornością. Zdaniem Svobody była to kombinacja niezwykła i szalenie atrakcyjna. – Do pstrąga pasuje chyba raczej piwo...

Svoboda klasnął w dłonie.

– Piwo dla pani! – wykrzyknął radośnie.

Ober skinął głową i ruszył w stronę kuchni, by zrealizować zamówienie. Od tej chwili rozmowa potoczyła się zupełnie swobodnie. Karel miał wrażenie, że zna Agnes od dawna. Ostatnie dni w Kłodzku podobne były sennej rzeczywistości. Teraz ów całun przytłumiający zmysły zniknął za sprawą osobowości jego rozmówczyni.

Miała niezwykłą energię, rozbudzała i pobudzała. Patrzył na nią jak zaczarowany, jednocześnie schlebiała mu swoim zainteresowaniem. Pieniące się w oszronionym kuflu piwo wkrótce zupełnie rozwiązało mu język. Ona także zdawała się za nic mieć konwenanse. Być może wyczuła, że Karel nie stanowi dla niej zagrożenia i nie dołączy do zapewne licznych adoratorów jej urody. Mógł co najwyżej uwielbiać ją platonicznie, wyrażając podziw dla jej niewątpliwej inteligencji. Jednocześnie żałował, że mężczyźni, których znał i z którymi łączyły go bliskie relacje, nie mieli w sobie tego pierwiastka, który oczarował go w Agnes.

*

Z Browaru Zimmermanna Klein udał się wprost do hotelu. Musiał się umyć i przebrać. Nie zastał w apartamentach Agnes, zostawiła na biurku kartkę, że wróci późnym wieczorem. Dopisek, który znalazł się pod tą informacją, nieco go rozbawił:

„Rozpracowuję dla ciebie Karela Svobodę. Twoja Mata Hari”.

Po szybkiej kąpieli Wilhelm ubrał się i usiadł na krześle. Ponownie otworzył kopertę ze zdjęciami Georga Marxa, którą rano przejął od recepcjonisty, i zaczął przeglądać zawartość. Kolejne zdjęcia. Fotograf w kilku ujęciach uchwycił wszystkich zgromadzonych przed Hotelem Cesarskim. Oprócz zdjęć z ostatniego miejsca zbrodni dołączył odbitki fotografii wykonanych przez techników policyjnych na kamiennym moście, po zabójstwie rajcy Dintera.

Kapitan przyjrzał się dokładnie tłumowi uwiecznionemu na fotografiach. Sięgnął do szuflady po zdjęcia zrobione przy Górnym Młynie.

Teodor Wildstein. Stał za barierką ustawioną przez policjantów. Gdy gapie wpatrywali się w plandekę zakrywającą zwłoki rajcy, Wildstein patrzył wprost w obiektyw. A właściwie w miejsce, w którym stał Wilhelm Klein, jakby upewniał się, że to właśnie on pojawił się w Kłodzku i przystąpił do pracy.

Klein rozmasował skronie. Pulsujący ból wędrował od karku w górę potylicy. Ostry, przyprawiający o mdłości. Nie mógł się przez niego skupić, a czuł, że coś mu umyka. Popatrzył na swoją torbę podróżną, widział wypukłość metalowego pudełeczka wypychającego jedną z bocznych kieszeni... Zaszło mu w ustach. Bolało go całe ciało, każdy mięsień i ścięgno. Wiedział, jak zdusić ten ból, jak pokonać rozdrażnienie, które go ogarnęło. Mógł w prosty sposób pozbyć się dreszczy i odzyskać spokój. Zbyt prosty... Przymknął oczy, starając się zwalczyć słabość. Gdy znów uniósł powieki, sięgnął po butelkę wody mineralnej, odkorkował ją i wypił duszkiem.

Odetchnął głęboko i wybrawszy kilka zdjęć od Marxa, schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wstał, a wychodząc z pokoju, przewrócił torbę kolanem. W uszach oprócz szumu pulsującej krwi rozbrzmiewał mu głos Richtera: „Tempus fugit”.

*

– Kapitan Metz czeka na pana, kapitanie Klein.

Wilhelm wkroczył w towarzystwie młodego żołnierza do tak zwanych Czerwonych Koszar znajdujących się w Forcie Schäferberg. Ta część umocnień po wschodniej stronie Nysy była udostępniona zwiedzającym od ubiegłego wieku. Teren był uporządkowany, postawiono wiele ławeczek, dbano o to, by trawa była przystrzyżona i nie panoszyła się na alejkach pomiędzy umocnieniami. Widok stąd na miasto i donżon Twierdzy Głównej były niewątpliwym atutem tego miejsca coraz częściej odwiedzanego przez mieszkańców i turystów.

Szeregowiec otworzył drzwi przed Kleinem, wpuszczając go do niewielkiego pokoju, w którym pomiędzy regały uginające się pod ciężarem książek i dokumentów wciśnięte było niewielkie biurko. Siedzący przy nim postawny mężczyzna poderwał się z miejsca na widok wchodzącego Wilhelma, trącając łokciem szklankę. Wykazał się nie lada refleksem, bowiem zaraz złapał ją w locie. Z uśmiechem, który nadał jego twarzy łobuzerskiego wyrazu, podszedł do swojego gościa i zmiądzzył jego prawicę w żelaznym uścisku.

– Niech pan siada, kapitanie. Dotarły do nas niepokojące wieści o wybuchu w jednej z kamienic. Czy to wydarzenie ma związek z prowadzonym przez pana dochodzeniem?

– Niestety tak.

Klein usiadł na krześle naprzeciw biurka. Przypatrzył się uważniej kapitanowi Metzowi, gdy ten powrócił na swoje miejsce. Wysokie czoło, pociągła twarz, inteligentne spojrzenie. Mężczyzna budził dużą sympatię. Mimo pewnej sztywności ruchów, będącej często przypadłością wojskowych, wyglądał na osobę otwartą i lubiącą towarzystwo.

– To sprawia, że jestem jeszcze bardziej ciekaw powodu pana wizyty. Podczas rozmowy telefonicznej był pan bardzo tajemniczy.

– Dzwoniłem z hotelu.

Metz uznał tę odpowiedź za wystarczającą, bo skinął głową. Pomiedzy jego brwiami pojawiła się jednak zmarszczka, która świadczyła o tym, że poważnie podchodzi do wizyty kapitana Kleina bez względu na jej powód.

– Słucham więc, w czym mogę pomóc?

– Zanim zadam pytania, chciałbym, żeby spojrział pan na kilka fotografii. – Klein sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej zdjęcia. Rozłożył je przed kapitanem na biurku. – Proszę o pierwsze skojarzenia, które przyjdą panu do głowy...

Metz popatrzył na Kleina, potem na leżące przed nim fotografie. Przyniósł się do biurka z głośnym skrzypnięciem. Każde ze zdjęć brał w dłonie i uważnie mu się przyglądał.

– Nie rozpoznaję osoby na tym zdjęciu, a zapewne o to panu chodziło...

– Według mojego informatora jest to Teodor Wildstein. – Klein wskazał palcem jedną z postaci. – Dezerter osadzony w kłodzkiej twierdzy najprawdopodobniej na przełomie 1917 i 1918 roku. Przyszedłem do pana, by zweryfikować te rewelacje.

– Ponieważ nie jest pan pewny informatora?

– Można tak powiedzieć – uśmiechnął się Klein. – Chodzi jednak o więcej...

– Zapewne o inne szczegóły, które pojawiły się na tych fotografiach.

Kapitan skinął głową z uznaniem dla spostrzegawczości swojego rozmówcy.

– Więc dobrze – odezwał się po chwili Metz. – Widzę kajdany, które bez wątpienia pochodzą z naszej twierdzy, poznaję oznaczenia... rozumiem, że skuta była nimi jedna z ofiar?

– Wicedyrektor banku Beier.

– Tatuaż. – Metz uniósł brwi i spojrział na Kleina z błyskiem w oku. – Nie zetknąłem się z takim wcześniej, ale to oczywiste, co przedstawia.

– Proszę mówić.

– W 1779 roku wokół Korony Niskiej Fortu wybudowano płaszcz w postaci siedmioramiennej gwiazdy. Umocniono go skarpowymi kaponierami w kątach kleszczy. Tatuaż jest jego odwzorowaniem.

Klein skinął głową i rzekł:

– Dla więźniów tatuaze mają ogromne znaczenie, ich symbolika pozostaje najczęściej tajna. Służą hierarchizacji życia za kratkami, a te najbardziej widoczne do szybkiej identyfikacji. W tym wypadku więzień kłodzkiej twierdzy, Wildstein, miał taki tatuaż na dłoni pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Zastanawia mnie jednak, dlaczego tatuaż wskazuje Fort na Owczej Górze, a nie Twierdzę Główną. Tutaj, zdaje się, nie trzymano więźniów.

Metz znów zapatrzył się w zdjęcia. Odpowiedział po chwili namysłu:

– Ma pan rację. Fort na Owczej Górze od jakiegoś czasu służy zwiedzającym. Według mojej wiedzy nie przetrzymywano tutaj więźniów, jednak... Na krótko, pod koniec wojny, fort został zamknięty dla cywili. Nie wiem, co się tu wtedy działo...

– Wiele wskazuje na to, że dokonywano w tym miejscu egzekucji dezerterów, których przetransportowywano z twierdzy. Tatuaż ten byłby wtedy symbolem miejsca, w którym na dezerterach wykonywano wyrok. Piętno wskazujące tego, który zakończy swój żywot w Forcie na Owczej Górze. Takie piętno miał Wildstein... – Klein uważnie przypatrywał się kapitanowi. Odniósł wrażenie, że mężczyzna poczuł się nieswojo. – Przetrzymywano go w twierdzy i powieszono tuż przed końcem wojny, lub zaraz po, przynajmniej. Blisko dwa lata później pojawił się w Kłodzku. Nie jako duch, lecz człowiek z krwi i kości, jeden z zabójców dokonujących makabrycznych zbrodni.

– Boże. – Metz oparł się ciężko o poręcz krzesła. – To jest niemożliwe.

– Wildstein popełnił samobójstwo wczorajszej nocy, podczas ucieczki z miejsca zbrodni. Przedtem jednak dokonał ze współnikami aktu zemsty...

– Sędzia Wiese. – Metz spojrział na Kleina. – Sędzia Wiese ma stopień majora. Orzekał w sprawach wojskowych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa mógł także orzekać w sprawie Wildsteina. Za dezercję groziła kara śmierci. Wildstein powrócił, by się zemścić na swoich oprawcach?

– Proszę pamiętać, że nie tylko Wildstein dokonywał zbrodni. Czy jest pan w stanie odszukać personalia tych, którzy zostali lub mieli zostać powieszeni w Forcie na Owczej Górze razem z nim? To trop, którego nie możemy zlekceważyć.

– Potrzebuję czasu, muszę przejrzeć archiwum, jednak jest to możliwe. Skontaktuję się z majorem Schneiderem, który był w tym czasie głównym dowódcą żandarmerii...

– Z majorem Schneiderem nie uda się już panu skontaktować. Najwyraźniej naraził się mordercom równie mocno jak sędzia Wiese.

Metz pobałdł, nie odezwał się jednak.

– Jak pan widzi, kapitanie, czasu nie mamy zbyt wiele. Musi panu wystarczyć kilka godzin na odnalezienie tych, którzy tak jak Wildstein cudownie zmartwychwstali. Ma pan czas do siedemnastej...

– Dobrze. O siedemnastej będę na pana czekał w Twierdzy Głównej, kapitanie Klein. Miejmy nadzieję, że znajdę to, na czym panu zależy.

*

Roth i Koschella napotkali pewne problemy, próbując dostać się do willi sędziego Wiese przy Parkstrasse. Brama była zamknięta i wydawało się, że w domu nikogo nie ma. Klein wydał im wyraźne dyspozycje i wiedzieli, że muszą wypełnić zadanie bez względu na trudności.

Obaj mieli dużo szczęścia. Nie ucierpieli podczas wybuchu, znajdowali się bowiem na półpiętrze, w miejscu, do którego nie dotarła fala uderzeniowa. Mimo to Roth bardzo mocno przeżył to wydarzenie. Był roztrzęsiony, łopotało mu serce i odczuwał mdłości.

Z podziwem i zazdrością patrzył na Koschellę, po którym wszystko wydawało się spływać jak po kaczce. W drodze na Parkstrasse Franz zajrzał do delikatesów Drosdatiusa, by kupić sobie kanapkę z wątrobianką. Połknął ją jak pelikan, jednym kęsem, popił lemoniadą, po czym beknął i z zadowoleniem otarł usta.

Gdy odkryli, że brama jest zamknięta, Rotha korciło, by wrócić do domu i wpełznąć pod pierzynę, najlepiej razem z Adele, ale Koschella miał inny pomysł na to popołudnie. Jürgenowi mignęły przed oczami jego przykrótkie nogawki, rozciągnięte skarpety i uwalane buty, a po chwili zobaczył, jak wachmistrz z kolejnym głośnym beknięciem ląduje po drugiej stronie płotu.

– Ruszaj dupę, Roth.

Jürgen posłusznie chwycił metalowe pręty i się podciągnął. Drżały mu ręce i nogi, przez co pierwsza próba zakończyła się fiaskiem: osunął się z powrotem na chodnik,

zdzierając nosek buta o kute zdobienie. W wyrazie twarzy wachmistrza dojrzał coś, co było niczym policzek podrażniający ambicję. Za drugim razem wspiął się sprawnie i zgrabnie wylądował obok Koschelli. Rozkojarzenie i roztrzęsienie minęły, jak ręką odjął. Znów poczuł się sobą.

– Wal w drzwi, Jürgen, może wszyscy śpią?

Roth wbiegł po kamiennych schodkach na ganek, a Koschella zlustrował bryłę dwupiętrowego budynku. Fasada wydała mu się przykładem zupełnego bezguścia. Imitacje rzymskich kolumn, w które wtłoczono okna, gryzły się z drugą połową frontonu, w której okiennice otoczone były przez drewniane obramowania, przez co wyglądały jak tabliczka czekolady. Miszmasz bił po oczach. Z zamyślenia wyrwał Koschellę dopiero głos Rotha:

– Nikt nie otwiera. Dziwne, że nie ma nawet służby.

– Dziwne – zgodził się Franz i ruszył ku tyłom budynku.

Po chwili obaj stanęli przed zdewastowanymi tylnymi drzwiami, zapewne używanymi przez służbę.

– Nieciekawie to wygląda...

– Zamknij jadaczkę, Roth, i wyciągaj pukawkę.

Franz przylgnął do ściany i przez dziurę w drzwiach ostrożnie zajrzał do środka. Nic go nie zaniepokoiło, więc pociągnął za klamkę i wsunął się w wąski korytarz. Dołączył do niego Roth. Obaj przystanęli, nasłuchując. Gdzieś z góry dobiegało miarowe stukanie, jakby okiennica uderzała o ramę poruszana silnym wiatrem. Franz był jednak pewny swoich wcześniejszych obserwacji i wiedział, że okna w domu były szczelnie zamknięte.

– Osłaniaj mnie – wyszeptał.

Koschella ruszył w górę schodów, szorując plecami o ścianę. Stawiał stopy jak najostrożniej, starając się nie obudzić starych desek. Drewno okazało się solidne i nie wydawało z siebie najmniejszego dźwięku. Wkrótce stanęli przed przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na podwyższony parter kamienicy. Za szybą widać było spory, pokryty ciemną boazerią przedsionek. Franz znów zaczął nasłuchiwać, a gdy się upewnił, że jest bezpiecznie, otworzył i te drzwi.

Pochyleni wśliznęli się do pomieszczenia i natychmiast przyczaili się pod ścianą za jedną z masywnych komód. Koschellę łaskotały w twarz łodygi jednej z licznych paprotek wypełniających korytarzyk. Pani domu musiała uwielbiać rośliny, bowiem można było się poczuć tutaj jak w oranżerii. Franz zerknął na Rotha, który walczył z nieznaną mu z nazwy rośliną. Dał mu znak i obaj bezszelestnie jak polujące drapieżniki ruszyli na czworakach w stronę innego z pokoi, najpewniej salonu.

Zapach pastowanej podłogi i kurzu kręcił w nosie. Wachmistrz z trudem powstrzymał kichnięcie, ściskając palcami nos i usta. Zamrugał kilkakrotnie i przetarł łzawiące oczy rękawem. Dopiero gdy się upewnił, że zwalczył mimowolny odruch, ponownie ruszył w stronę rozsuwanych drzwi.

Szpara między dębowymi skrzydłami była dosyć spora. Koschella przystawił do niej oko i zajął do salonu. Dałby głowę, że właśnie stamtąd dobiegało to irytujące miarowe dudnienie.

Dostrzegł fragment kominka, ogromny fotel z podnóżkiem, kilka rzymskich kolumn, na których dumnie prezentowały się paprotki. Zobaczył też czyjeś nogi, które unosiły się i opadały, próbując zahaczyć o kratownicę kominka, by poluźnić oplatające je więzy. W tym momencie do uszu Koschelli doszedł także przytłumiony szloch i głośnie sapanie.

– Wchodzimy – wyszeptał Franz, jednocześnie się prostując.

Roth znalazł się po drugiej stronie rozsuwanego skrzydła. Szarpnęli za uchwyty w tym samym momencie. Ich oczom ukazała się leżąca na podłodze służba, mężczyzna i dwie kobiety. Związani i zakneblowani niczym wieprzki.

Koschella dokładnie zlustrował salon, a gdy się upewnił, że nic im nie zagraża, podbiegł do leżących. Wyciągnął gałgan z ust mężczyzny, Jürgen zajął się w tym czasie oswobodzeniem kobiet.

– Jak długo leżycie, ilu ich było?

– Boże, to straszne, straszne, co nam zrobili! – młody lokaj mówił piskliwym głosem, był bliski hysterii.

– Zadałem ci pytanie, więc odpowiadaj!

– Nie wiem, o Boże, uderzyli mnie, upadłem, boli mnie strasznie w boku...

Franz uznał, że rozmowa z roztrzęsionym mężczyzną nie przyniesie wymiernych efektów. Popatrzył na służące. Były wystraszone, ale wydawały się bardziej opanowane.

– Niech mnie pan rozwiąże! Ja się duszę, dłużej nie wytrzymam, ja...

– Siedź cicho, łajzo! Jürgen, zajmij się tym... tą babą w portkach.

Koschella wstał z klęczek i zbliżył do kobiet. Jedna z nich, na oko trzydziestoletnia, siedziała na podłodze i rozmasowywała poobcierane nadgarstki. Szklily jej się oczy i drżały usta, ale wyglądała na twardą sztukę, która niejedno już przeżyła.

– Ilu ich było? – ponowił pytanie Franz. – I kiedy wyszli?

– Dwóch, kwadrans temu.

Franz skinął głową, nie pomylił się co do niej. Wyciągnął knebel z ust drugiej kobiety, starszej, która wyglądała na kucharkę. Miała na sobie fartuch i czuć od niej było cebulą i czosnkiem.

– Ktoś jeszcze w domu? Sędzina?

– U siostry na Frankensteiner Strasse. Nocowała tam, nie była w stanie w domu, po tym, co się stało z panem... – Młodszej z kobiet załamał się głos.

– Co pamiętasz? Jak wyglądali ci dwaj?

– Byli młodzi – wtrąciła kucharka. – Na głowy pończochy założyli, takie grube, tylko ślepie było widać. Ale po ruchach poznać, że to młodzieńcy, nie więcej niż dwadzieścia kilka lat mieli.

– Coś charakterystycznego? – Widząc zdumione spojrzenia, Koschella zadał pytanie inaczej: – Czymś się wyróżniali?

– Czyste buty, nawet bardzo, na połysk – powiedziała młodsza. – Pewni siebie, rozumieli się bez słów.

– Odzywali się do was?

– Jeden. – Kucharka energicznie skinęła głową. – Chrypiał, jakby papierosy od maleńkości palił, ale mnie się wydaje, że specjalnie to robił, żeby poznać nie było.

– Mówił z naszym akcentem, miejscowy, znaczy się... – Młodsza służąca z pomocą Koschelli wstała z podłogi i usiadła na krześle. – Ten drugi nawet słówka nie pisnął. Obaj wzrostu tego młodego policjanta, znaczy, wysocy.

Jürgen oswobodził już lokaja, który wciąż histerycznie łapał oddech i dotykał swojego czoła, jakby sprawdzając, czy nie dostał gorączki. Asystent stanął obok Koschelli. Był od niego wyższy niemal o głowę.

– Coś jeszcze panie zauważyły? – zapytał.

– A jak wiązali nas, widziałam u jednego taki znak na dłoni...

– Nie mieli rękawiczek? – zdziwił się Koschella.

– No, mieli – zaśmiała się starsza – ale jak mi jeden knebel w usta wpychał, to ja zacisnęła szczękę na jego paluchu. Próbował wyrwać i rękawiczka mu się zsunęła. To i widziała takie coś między palcami.

– Niech pani pokaże, gdzie ten znak był i jak wyglądał. – Franz wyciągnął w stronę kucharki własną dłoń.

Ta wskazała palcem miejsce i przejechała paznokciem po skórze, rysując znak.

Jürgen z Koschellą wymienili spojrzenia.

– Gdzie wchodzili? – zapytał Franz.

– Tylko do pokoju pana. – Młodej zadrżał podbródek, ale szybko się opanowała.

– Tam nie wolno! – Lokaj nagle poderwał się z miejsca, niepomny na ból w boku. Stanął szeroko na nogach i rozrzucił ramiona na boki, jakby miał własną piersią osłaniać wejście do gabinetu sędziego.

– Roth, jak się zaraz ten obszcymur nie zamknie, pierdolnij go w łeb – wysyczał Koschella. – Nie chcę słuchać więcej tego stękania. – Zwrócił się do dziewczyny: – Zaprowadzisz mnie?

Ta skinęła głową. Wstała z krzesła i ruszyła w stronę korytarza. Lokaj znów próbował interweniować, ale na miejscu zatrzymały go wzrok wachmistrza i uniesiona pięść Jürgena.

Przeszli na piętro, potem znaleźli się w korytarzu, z którego prowadził szereg drzwi. Kobieta wybrała te na samym końcu. Jako jedyne były otwarte.

– Wiedzieli, gdzie iść – powiedziała.

– I najpewniej wiedzieli, co wziąć... – zauważył Koschella, stając w progu gabinetu. Spodziewał się istnego pobojuwiska, zamiast tego zobaczył odsuniętą szafę, a za nią wmurowany w ścianę sejf. Skrytka stała teraz otworem, a pod nią, na podłodze, leżało kilka szpargałów i banknotów.

– Znali szyfr, wiedzieli, gdzie sejf. – Dziewczyna głośno przełknęła ślinę. – Długo tu nie byli.

– Wczoraj mogli wyciągnąć informacje z sędziego... – Franz rozejrzał się po pokoju. Potem spojrzął na drzwi wejściowe. Tkwił w nich klucz. – Sędzia zamykał gabinet?

– Tak, zawsze – przytaknęła dziewczyna. – Zakazywał nam wchodzić. Klucz nosił przy sobie.

– A kto u niego sprzątał, jak nie mogliście wchodzić?

– Friedrich. – Służąca wskazała palcem za siebie. – On jedynie mógł wchodzić do gabinetu sędziego.

– A pani Wiese?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

– Rozejrzę się tu jeszcze – zdecydował Koschella.

Podszedł do biurka. Usiadł na krześle i przez chwilę patrzył na przedmioty znajdujące się na blacie.

Zestaw do pisania na drewnianej deseczce ze złotymi okuciami. Pióra i buteleczka z atramentem. Oprawione zdjęcie sędziego w wojskowym mundurze na tle kłodzkiej twierdzy. Fotografia najpewniej robiona w atelier jednego z miejscowych fotografów.

Franz sięgnął do szufladek; żadna z nich nie była zamykana na kluczyk.

– Podejdz. – Skinął na dziewczynę. Wciąż stała w progu, jakby zakaz wydany przez nieboszczyka wciąż ją obowiązywał. – Ten cały Friedrich... Sędzia chyba bardzo mu ufał?

– No... raczej tak...

Uwadze Franza nie umknął fakt, że służąca się zaczerwieniła.

– Raczej?

– No... jak sędzia gdzieś wyjeżdżał, to zawsze go ze sobą zabierał. Friedrich czuł się przez to ważny i...

– I traktował was nie jak służące sędziego, tylko swoje własne?

– Szarogęsił się. Charakter ma trudny. Jak przychodził tu do pracy jakieś pół roku temu, to był wylekniiony jak szara mysz. Potem nabrał pewności siebie i zachowywał się jak panisko...

Koschella skinął głową. Wyczuł niechęć dziewczyny do lokaja i postanowił to wykorzystać.

– A co pani Wiese na to? Też obdarzała Friedricha takim zaufaniem?

– A co pan! – parsknęła służąca i machnęła ręką. – Omijała go z daleka, on jej zresztą też... bo...

– Bo?

Dziewczyna najwyraźniej ugryzła się w język. Dla Koschelli był to znak, że dochodzą do sedna.

– Mów, to już nikomu nie zaszkodzi, a może pomóc – zachęcił.

– Bo pan więcej czasu z Friderichem spędzał niż z nią...

Koschella skinął spokojnie głową, na znak, że takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Często razem wyjeżdżali? Sędzia i lokaj?

– No ostatnio często. Kiedyś to sędzia sam wychodził z walizeczką wieczorami z domu i wracał dopiero nad ranem. Potem nagle przestał i zaczęły się te podróże z Friedrichem.

– Opowiedz, jak to wyglądało.

– Co tu mówić. Tuż przed wyjazdem pan się zamykał z Friedrichem w gabinecie. Potem kazał wezwać sobie dorożkę na dworzec. Brał walizkę, którą zawsze miał na tych wyjazdach, i wychodzili już razem. Wracali dzień lub dwa później, sędzia z kwiatami dla pani Wiese i czekoladkami.

– Wspomniałaś o walizce. Dlaczego?

Koschella był pewny, że dziewczyna zrobiła to celowo.

– Nie pozwalał jej nikomu dotykać, trzymał zawsze tu, w gabinecie. Zastanawialiśmy się z Martą, co w niej się kryje...

– Zmieściłby się ten neseser do sejfu? – Franz wskazał palcem skrytkę.

– Nie – dziewczyna potrząsnęła głową – musi tu być. Tamci, jak wychodzili, to widać było przez szparę w drzwiach, że bez niej...

Koschella się uśmiechnął. Ponownie omiół wzrokiem pomieszczenie. Wstał i podszedł do szafy.

Otworzył ją, przyjrzał się wnętrzu, po czym schylił się i podważył palcem tylną ściankę mebla. Deska odskoczyła. Franz odłożył ją na podłogę i wyjął ze skrytki skórzaną torbę. Przeniósł ją na biurko i ostrożnie otworzył.

– Co tam jest? – zainteresowała się kobieta. Miała wypieki na twarzy. Walizeczka na pewno od dawna spędzała sen z powiek pracownikom sędziego.

– Sama zobacz.

Koschella zrobił miejsce służącej.

– Widziałaś takie rzeczy kiedyś?

Pokręciła głową, głośno wypuszczając powietrze.

– Takich zabawek mógłby pozazdrościć sędziemu niejeden berliński burdel. Wiese lubił dobrą zabawę... Nie on jeden zresztą.

Służąca uniosła dłoń do ust, gdy wachmistrz sięgnął po pióro stojące na biurku i wyciągnął nim z wnętrza walizeczki damską pończochę i podwiązkę.

– Zawołaj mi no tego całego Friedricha – polecił. – Coś mi się wydaje, że to jego rozmiar!

*

Klein kazał się wieźć dorożką na rynek. Już na Fischer Strasse nabrał podejrzeń, że jest śledzony. Polecił swojemu fiakrowi wybrać określoną drogę i skręcić w Mälzstrasse, a potem zaraz w prawo, w Wagnerstrasse. Podążająca za nimi

dorożka dołączyła do nich już pod wiaduktem przed Königshainer Brücke i nie odstępowała ich aż do celu podróży.

Klein zapłacił za przejazd i wysiadł. Udał się do sklepiku z artykułami spożywczymi. Już we wnętrzu stanął przy witrynie tak, by mieć dobry widok na chodnik i część rynku. Zaledwie chwilę później zobaczył mężczyznę, który dosyć spieszenie ruszył jego śladem, rozglądając się nerwowo. Człowiek ten wyróżniał się w otoczeniu. Nie wyglądał na miejscowego. Na piersi kołysał mu się sporych rozmiarów futerał, który przytrzymywał prawą dłoń. Klein doskonale widział jego pobrudzone palce. Broda z pasemkami siwizny okalała twarz mężczyzny gęstą szczecina, spod równie bujnych brwi spoglądały ruchliwe, inteligentne oczy.

Ruch ust zdradzał, że jegomościowi nie obce są wulgarne słowa, a fakt, że wypowiadając je, energicznie tupnął, świadczył o jego sporej nerwowości.

Klein wyszedł ze sklepu i stanął u boku mężczyzny. Odchrząknął.

Jegomość wzdrygnął się i odwrócił w stronę kapitana. Uniósł brwi, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Wiedział pan...

– To nie Berlin, drogi panie, gdzie można w ruchu ulicznym podążać za kimś niezauważonym. Czego pan ode mnie chce?

– Porozmawiać, kapitanie. – Mężczyzna uchylił rąbka melonika i zaraz pogładził brodę. – Moje nazwisko Lothar Giersch. Chcę z panem porozmawiać, zanim zrobią to moi koledzy po fachu. W pociągu, którym jechałem, widziałem ich kilku, nie tylko tych z Berlina. Są to jednak przedstawiciele mniej zacnych i rzetelnych dzienników, którzy szukają jedynie sensacji, nie prawdy.

– Pan szuka prawdy...

– Ależ oczywiście. To już sprawa ogólnokrajowa. Interesują się nią nasi czytelnicy. Kłódzko i geometryczny morderca jest na ustach wszystkich. Rozmawiają o nim na przyjęciach, w pracy, w domach... Zabójca, czy też zabójcy, budzi lęk, a zarazem niezdrową ciekawość. Jednocześnie wokół morderstw narasta coraz więcej mitów i nieudomówień. Z ubolewaniem muszę przyznać, że przyczyniają się do tego moi koledzy...

– Przedstawiciele mniej zacnych i rzetelnych dzienników...

– W rzeczy samej. – Pismak uśmiechnął się szeroko. – Ale też coraz więcej u nas upolitycznionych żurnalistów, związanych z partiami od lewa do prawa. Stąd i oskarżenia w stosunku do środowiska żydowskiego, masonów, żołnierzy, socjaldemokratów, konserwatystów... długo można wymieniać.

– Chce pan prawdy?

– Tak. – Mężczyzna pokiwał głową. – Takiej, która utnie spekulacje i zatrzyma spiralę dezinformacji. Jeśli można... – Giersch wskazał palcem restaurację hotelu Nowy Wrocław mieszczącą się przy salonie z damską konfekcją Albinusa Schmidta.

– Nie będę miał dla pana zbyt wiele czasu i, obawiam się, także zbyt wielu informacji.

– Proszę, zejdźmy jednak z widoku – zaproponował Lothar. – Moi koledzy, barbarzyńcy i drapieżnicy, gotowi nas tu wypatrzeć. Wtedy będzie miał pan na karku już nie jednego pismaka, ale całe ich stado.

Klein skinął głową. Podeszli pod markizę hotelu, a po chwili znaleźli się we wnętrzu restauracji.

Usiedli w głębi sali przy jednym z nakrytych stolików. Zamówili wodę mineralną. Giersch wypił swoją duszkiem i zaraz poprosił o kolejną butelkę. Gdy już zaspokoił pragnienie, wyjął z kieszeni płaszcz notes i ołówki.

– Te tropy, wskazówki, kapitanie, podrzucane przez zabójców. Czy wszystkie są mylne?

– Skąd pan o nich wie?

– Mamy swoich informatorów nawet tu, w Kłodzku – Lothar mówił tak, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. – W redakcji naszego pisma w centralnym punkcie powieszono mapę miasta. My także, zapewne tak jak pan, wbijaliśmy pinezki w punkty oznaczające miejsca zbrodni. Przyznam jednak, że nie jesteśmy w stanie pojąć zamiaru zabójców. Jeśli jest to plan, to można byłoby go nazwać planem szaleńców. Jednak precyzja, z jaką wszystko przygotowano i zrealizowano, nie może być dziełem przypadku. Proszę mi wierzyć, informacja, że za wszystkim mogą stać Żydzi, padła na podatny grunt. To zadziwiające jak szybko doszło do tak diametralnej zmiany w postrzeganiu społeczności, której przedstawiciele żyją pośród nas. Czy pan wie, że w kilku miastach doszło do zamieszek? Wybijano witryny sklepów żydowskich kupców, zamalowywano farbą Gwiazdy Dawida...

Klein słuchał Lothara z uwagą. – Kolejne informacje na szczęście zapobiegły dalszym niepokojom, choć całkowicie ich nie ugasiły – ciągnął Giersch. – Masoni. Dziś rano gruchnęła wieść, że geometryczni zabójcy kolejnymi morderstwami wskazują znak tutejszej łoży Pod Trzema Trójkątami, nie Żydów...

– Uzyskujecie te informacje bardzo szybko.

– Bardzo dobrze za nie płacimy, Herr Klein. – Lothar uśmiechnął się przeproszająco. – Z tego żyjemy. Ludzie coraz częściej łakną sensacji, naszym zadaniem jest ich dostarczanie. A dzisiejsze zabójstwo... Wybuch ładunku, do którego była przywiązana ostatnia z ofiar. Policja wciąż nie chce nam podać personaliów...

– Ja też ich panu nie podam.

Giersch skłonił głowę, przyjmując odmowę z szacunkiem.

– Sam fakt... kolejne spektakularne zabójstwo, wręcz bez precedensu! Lada chwila o geometrycznych zabójcach będą mówiły nie tylko Niemcy, ale i cała Europa. Naprawdę brakuje już niewiele, by...

– Co pan powiedział?

Lothar wydawał się zaskoczony, przez chwilę zgubił wątek.

– Powiedziałem, że niedługo o tych morderstwach będzie mówiła cała Europa, może i świat. Brakuje...

– Brakuje niewiele. – Klein wstał gwałtownie. Popatrzył na pismaka, który także poderwał się z miejsca. – Panie Giersch, muszę przerwać naszą rozmowę. Nie jestem w stanie odpowiedzieć panu teraz na pytania, które zapewne chce mi pan zadać. Mogę jednak obiecać, że rozwiązanie tej sprawy nastąpi w krótkim czasie.

– Ale ja naprawdę chciałbym...

– Myślę, że informatorzy, z których usług korzystał pan do tej pory, wciąż będą pomocni. Proszę wybaczyć...

Mężczyzna skinął głową. Patrzył bezradnie, jak Klein wychodzi z hotelu i kieruje się w stronę ratusza. Potem usiadł z powrotem i wypił resztę wody mineralnej wprost z butelki.

Klein w tym czasie odnalazł w ratuszu komisarza Richtera. Odbył z nim krótką rozmowę. Niedługo później kilku wachmistrzów ruszyło pośpiesznie w stronę Hotelu Dworcowego. Sam Klein zaś złożył wizytę burmistrzowi Franzowi Ludwigowi.

*

Po posiłku spożytym w towarzystwie Agnes Svoboda udał się na spacer. Uwielbiał te chwile, które miał tylko dla siebie. Pilnował porannego rytuału ze starannością, bez względu na to, czy był w Pradze, Berlinie czy na takim wyjeździe jak ten. Skręcił w Der Zwinger, by przejść pod arkadami. Przez chwilę podziwiał ze wzniesienia Młynówkę i rozciągające się u jego stóp skwery. Potem wkroczył na Kirchplatz i zatrzymał się przy Czarnej Bramie. Utkwił spojrzenie w bryle kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Powoli powracał stan skupienia, którego tak potrzebował. Ruszył w stronę świątyni i wkrótce znalazł się w jej chłodnym wnętrzu.

Zatrzymał się w bocznej, północnej nawie, tuż przy zniszczonym pomniku arcybiskupa Arnoszta z Pardubic. Przesunął dłoń po spękany białym marmurze. Popatrzył na swoje palce, jakby chciał tam dostrzec ślad cudownej cieczy, która kilkakrotnie wyciekała ze szczelin nagrobka, przyczyniając się do powstania jednej z kłódzkich legend. Zawiedziony spojrzął w dal, na figurkę Maryi Panny. Poczł się nieswojo. Wydało mu się, że Maryja odwraca się do niego i patrzy z wyrzutem, karcąc jego pychę i piętnując grzechy. W końcu podszedł do jednej z ław i w niej usiadł. Ukrył twarz w dłoniach. Pogrążył się we wspomnieniach. Próbował zagłuszyć to, co powracało do niego w najmniej oczekiwanych chwilach. Znów był małym Karelem przemykającym ulicami miasta w obawie przed rówieśnikami, którzy upatrzili go sobie na ofiarę. Uciezka, pościg. Ponownie wpadał w ich ręce, czuł szturchnięcia, kopniaki. Na tamto wspomnienie przenikał go dreszcz. Nie był

pewien, czy przyjemny, czy też nie. To uczucie powodowało z kolei, że żarliwie się modlił.

*

Koschella i Roth po opuszczeniu willi sędziego Wiese skierowali się w stronę rynku. O drugiej byli umówieni z Kleinem na krótką odprawę. Kapitana znaleźli w gabinecie burmistrza, do którego zostali wpuszczeni zaraz po przybyciu na miejsce.

Franz Ludwig wyglądał na wyczerpanego. Było jasne, że nie spał tej nocy, a ostatnie wydarzenia nim wstrząsnęły. W jego głosie słychać było jednak determinację, choć prawdopodobnie swoje zszargane nerwy ratował kolejną porcją tabletek Kola-Dultz, które z głośnym sykiem rozpuszczały się właśnie w szklance wody.

– Wilhelmie, powiedz, że masz cokolwiek, co przybliży nas do odnalezienia reszty sprawców...

Klein, który musiał przybyć do gabinetu burmistrza tuż przed wachmistrzem i asystentem, nie odpowiedział na pytanie. Przywołał do siebie współpracowników i wskazał im krzesła. Franz i Jürgen zajęli je, ukłoniwszy się Ludwigowi.

– Chcę najpierw usłyszeć raport Koschelli i Rotha. Co znaleźliście u sędziego Wiese?

Koschella odchrząknął i zaczął mówić:

– W nocy ktoś włamał się do willi sędziego. Pani Wiese nie było, noc spędziła u swojej siostry przy Frankensteiner Strasse. Włamywacze związali trójkę służby. Dwie kobiety i mężczyznę...

– Do jasnej cholery!

Wszyscy popatrzyli na Ludwiga. Nigdy dotąd nie byli świadkami wzburzenia burmistrza, a już na pewno nie słyszeli z jego ust przekleństwa.

Franz zdecydował się kontynuować, widząc, że Ludwig się zapowietrzył.

– Włamywacze dostali się do gabinetu sędziego, gdzie opróżnili jego sejf. Wiedzieli gdzie jest skrytka, najprawdopodobniej znali też ciąg cyfr, który umożliwił im jej otwarcie. Możemy też przyjąć, że informacje te wyciągnęli tuż przed śmiercią od sędziego...

– Czy to wszystko? – zapytał burmistrz, sięgając po szklanekę z rozpuszczonym lekarstwem. – Jak to się stało, że nikt wcześniej nie wysłał tam ludzi?! Richter powinien to zrobić z samego rana!

– Kolejna ofiara i wybuch w browarze Zimmermanna – przypomniał Klein. – Odciągnął wszystkich policjantów od zadań...

Burmistrz pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

– Mów, Franz. – Kapitan odwrócił się do Koschelli. – To chyba nie wszystko, co masz do powiedzenia?

Franz się skrzywił.

– Tak, jest coś ważnego – powiedział. – Znaleźliśmy walizeczkę, z którą sędzia często wyjeżdżał. Były w niej rzeczy zdradzające, że był... zdradzające jego osobliwe upodobania. Udało nam się też ustalić, że Wiese dużo czasu spędzał ze swoim lokajem, z którym łączyły go... zażyłe stosunki. W ostatnim półroczu, od momentu zatrudnienia Friedricha Wurtza, wyjeżdżał z nim do Wrocławia i Berlina, gdzie spędzali czas w ekskluzywnych burdelach, takich, które oferują specyficzne i dosyć szczególne usługi...

– Jakie? – Ludwig wybałuszył oczy. – Co pan sugeruje, wachmistrzu?

– Młodzi chłopcy w kobiecych strojach, pejcze, wiązania...

– Wystarczy! – Ludwig odstawił szklankę tak gwałtownie, że mętny płyn wylał się na blat. – Trzeba przesłuchać tego lokaja!

– Został przesłuchany – wtrącił Roth, patrząc znacząco na niewzruszonego Koschellę. – Nie sądzę, że będzie w stanie powiedzieć wiele więcej.

Ludwig otworzył usta, ale nie skomentował. Zamiast tego spojrzał niemal błagalnie na Kleina.

– Lokaj jest zatrudniony od pół roku? – spytał kapitan Jürgena.

– Tak – Franz ubiegł Rotha w odpowiedzi, domyśliwszy się, jakie jest rzeczywiste pytanie kapitana. – Wcześniej sędzia Wiese także wychodził z walizeczką, ale rzadko z nią wyjeżdżał.

– Masz pojęcie, gdzie mógł wcześniej zaspokajać swoje potrzeby?

– Jest takie miejsce... Nie podejrzewałem, że oferują tak szeroką gamę usług, ale wygląda na to, że człowiek wciąż się uczy.

– Co to wszystko znaczy? – wtrącił ochryplym głosem Ludwig. – Na Boga, co to wszystko ma znaczyć, Wilhelmie?

– Jedna z ofiar, rajca Dinter, został okaleczony w sposób specyficzny. Ucięto mu prącie, co mogło sugerować zemstę na tle seksualnym. Z kolei wicedyrektor Beier miał dłonie związane pasami, a w ustach zamiast knebla kulę, której rzemienne pasy opinały głowę. Te przedmioty używane są w zabawach seksualnych, o których wspomniał wachmistrz Koschella.

– A reszta ofiar? Sędzia, major Peschke i major Schneider? Czy chcesz powiedzieć, że...

Franz odchrząknął, popatrzył na Kleina. Nie widząc sprzeciwu, zaczął mówić:

– Niemal każda z tych ofiar powiązana jest z osobą wicedyrektora banku. Chodzi mi dokładniej o ogromne pożyczki, których wicedyrektor udzielał każdemu z nich. Przewyższały one zdolność spłaty nawet sędziego Wiese. Umarzanie odsetek i odraczanie terminów, dodatkowe kredyty akceptowane wbrew opiniom doradców bankowych...

– Może to była ogólna polityka Banku Rzeszy? – zauważył niepewnie Ludwig.

– Nie. – Koschella pokręcił głową. – Wedle mojej wiedzy wicedyrektor Beier utracił prośby o kredyt i pożyczkę w przypadkach, w których nie miał do tego

większych podstaw... Nawet pańską...

Franz Ludwig wybałuszył oczy.

– Jest jeszcze jedno powiązanie – Klein odezwał się szybko, by osłabić efekt niezręcznej sytuacji. – Sprawca, który popełnił samobójstwo, Teodor Wildstein. Na dłoni miał znak, siedmioramienną gwiazdę. To tatuaż, którym oznaczano skazańców osadzonych w kłodzkiej twierdzy. Egzekucji przez powieszenie dokonywano w Forcie na Owczej Górze. Stamtąd także pochodzą łańcuchy, którymi wicedyrektor banku został przywiązany do kratownicy w kanale Młynówki. Sędzia Wiese w roku 1918 przewodniczył sprawom związanym z dezercją. Najprawdopodobniej wydawał wyrok także w sprawie Teodora Wildsteina. Major Schneider natomiast jako dowódca żandarmerii doprowadził do schwytania i postawienia przed sądem dezertów. Potem także wydał rozkaz powieszenia ich zgodnie z wyrokiem sądu...

– Zabójców należy więc szukać wśród skazanych? Tych, którzy tak jak Wildstein mieli zostać powieszoni, ale cudownym zrzędzeniem losu zmartwychwstali?! – wykrzyknął burmistrz. – Mszczą się za swoją krzywdę?

– Kucharka sędziego Wiese, widziała na dłoni jednego z włamywaczy taki sam tatuaż... – powiedział Koschella, a Roth energicznie skinął głową.

– To znaczy... – Ludwig uniósł się na krześle i zaraz na nie opadł. – To znaczy, że wiemy, kim są sprawcy, trzeba odnaleźć akta tych dezertów!

– Sądzę, że będzie to trudne – powiedział Klein. – Sędzia Wiese musiał w ostatnich dniach poczuć się zagrożony, podejrzewam, że ukrył akta sądowe... Być może miał je w skrytce, do której dostali się włamywacze. Nadzieja w kapitanie Metz, z którym dziś się spotkałem. Przetrząśnie archiwa żandarmerii i twierdzy w poszukiwaniu danych osadzonych.

– Czyli mamy niemal tych degeneratów na widelcu, ale stoimy w miejscu?

– Niekoniecznie – rzekł ostrożnie Klein. – Musimy powiązać kontekst seksualny z zemstą. Zemstą, którą przeprowadzają więźniowie przed blisko dwoma laty skazani na śmierć. Nie wiemy, jak udało im się ocaleć, nie wiemy, czym się kierują, dokonując morderstw. Kontekst seksualny jest w tej chwili niezrozumiały, zemsta za karę śmierci wydaje się wystarczającym przyczynkiem ich działań. Jakimś cudem zdołali uniknąć plutonu egzekucyjnego. Wciąż mamy wiele niewiadomych. Nie wiemy, na przykład, dlaczego komunikują się z nami, wybierając takie, a nie inne miejsca zbrodni. Nawet jeśli poznamy ich personalia, będziemy potrzebowali czasu, by ich znaleźć.

– Potencjalne miejsca zbrodni komisarz Richter obstawił swoimi ludźmi. – Ludwig ucisnął skronie palcami. Musiał walczyć z bólem głowy. – Może to dobry pomysł?

– Myślę, że większą i być może jedyną szansą jest wytypowanie kolejnych potencjalnych ofiar... – zakomunikował Klein.

Wszyscy spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

– Kogoś ma pan na myśli? – wychrypiał Ludwig.

Klein wzruszył ramionami.

– Tutaj, w kontekście morderstw w Kłodzku, zadziwiło mnie kilka rzeczy. Zabójcy popełniają morderstwa jedno za drugim, dzień po dniu... Początkowo myślałem, że nie chodzi im o sławę, ale o zemstę. Mimo to wieść o geometrycznych zabójcach rozprzestrzeniła się już po całych Niemczech, co nie jest bez znaczenia. Ten kontekst może być ważny. Ranga, jaką sprawowały kolejne ofiary, sprawia, że zainteresowanie opinii publicznej jest ogromne...

– Następny będzie burmistrz? Komisarz? – podsunął Koschella, nie zwracając uwagi na nagłą bladość Franza Ludwiga. – A może pan, kapitanie Klein?

Wilhelm się uśmiechnął.

– Nie można niczego wykluczyć. Mimo wszystko zabójcom może zależeć na jeszcze większym kręgu odbiorców tego spektaklu i są w stanie osiągnąć swój cel w sposób prosty... – Klein czuł napięcie zebranych. Postanowił, że nie będzie dłużej trzymał ich w niepewności. – W Kłodzku przebywa w tej chwili czeski poseł Karel Svoboda. Jego zabójstwo nada morderstwom kontekstu międzynarodowego.

– Boże... – Ludwig poruszył się niespokojnie w fotelu. – Dlaczego dopiero teraz to mówisz? Wilhelmie, trzeba go jak najszybciej odnaleźć!

– Przed przyjściem do ciebie powiadomiłem komisarza Richtera. Wysłał ludzi do Hotelu Dworcowego, w którym poseł wynajął pokój. Ty także jesteś w kręgu osób zagrożonych. Dziś pozostaniesz w ratuszu, będą ci towarzyszyć policjanci, których komisarz wyznaczył do ochrony.

– Kto jeszcze? – wychrypiął Ludwig. – Kto jeszcze według ciebie jest na tej liście?

– Niestety nie wiem.

Drzwi gabinetu się otworzyły. Stał w nich komisarz Richter.

– Burmistrzu, kapitanie Klein... nasi ludzie nie zastali Svobody w hotelu. Pracownicy Dworcowego pamiętają, że rano zwykł wychodzić na krótki spacer, w trakcie którego kupował gazety. Żaden z kioskarzy go dziś nie widział. Poseł nie powrócił do swojego pokoju.

Ludwig usiadł ciężko w fotelu, sięgnął po szklankę i dopił ją duszkiem.

– To nie wszystko. – Richter spojrzał na kapitana, przez chwilę milczał, jakby rozważał kolejne słowa. W końcu odezwał się ściszym głosem. – Przed kilkoma minutami zgłoszono zaginięcie Herr Ottona Langera. Wygląda na to, że mamy coraz mniej czasu. Herr Klein, tym razem ja poproszę pana o działanie. Pojedzie pan do siedziby masonów, dowie się, co się tam wydarzyło. Ja wypytam osobiście świadków w Hotelu Dworcowym, wydałem polecenie, by wachmistrz Seipelt i Schulz weszli do pokoju posła. Po zakończeniu czynności na Gartenstrasse proszę do mnie dołączyć...

Kapitan skinął głową. Tak on, jak i jego ludzie podnieśli się z krzesel, pożegnali z oszołomionym burmistrzem, po czym ruszyli za Richterem.

– Roth, pojedziesz do kapitana Metza. – Wydając dyspozycje, Klein przytrzymał asystenta za łokieć. – Czeka w Twierdzy Głównej. Być może znalazł to, o co go prosiłem, i zna już personalia skazanych. Jeśli tak, natychmiast wracaj do ratusza.

– Tak jest!

– Franz – Klein zwrócił się tym razem do Koschelli. – Złap wachmistrza Pudera. Niech zabierze psa i stawcie się wszyscy w loży masońskiej.

Koschella bez zbędnych słów czy gestów przyspieszył kroku i wyminawszy komisarza Richtera, zbiegł ze schodów.

*

Zawirowania pogody w kwietniu nie były w kotlinie kłodzkiej niczym niezwykłym, mimo to Klein ze zdziwieniem patrzył na wirujące płatki mokrego śniegu, które zaczęły opadać z nieba na szarą ulicę. Dorożkarz poganiał konia do szybszej jazdy. Pęd powietrza był dokuczliwy, wystarczyło kilka minut, by Wilhelm poczuł, że kostnieją mu palce. Zignorował to jednak i gdy fiaker zatrzymał się na Gartenstrasse, wyskoczył z dorożki i skierował się w stronę budynku.

Masywne drzwi prowadzące do sieni były otwarte. Z daleka widać było dwóch mężczyzn, którzy prowadzili ożywiony dialog. Jeden z nich, bardziej wzburzony, siedział na ławie, drugi próbował go uspokoić. Klein stanął w progu i zastukał we framugę. Starszy mężczyzna, na którego twarzy widać było głębokie poruszenie, popatrzył na niego złęczony. Kapitan dostrzegł teraz zakrwawioną bandaż owiniętą wokół jego głowy.

– Panie Klein! – Młodszy z mężczyzn poruszył się gwałtownie. – Dobrze, że już pan jest! Musicie zacząć poszukiwania! Nie ma chwili do stracenia!

– Wszystko po kolei – powiedział oschle Wilhelm. – Co się dokładnie wydarzyło? Skąd rana na pańskiej głowie?

Siedzący spróbował się podnieść, ale zaraz z powrotem opadł na ławę. Wciąż był oszołomiony. Mimo to zaczął mówić drżącym głosem:

– Byłem umówiony z Herr Langerem na trzecią, tutaj, w siedzibie loży. Szedłem od strony poczty, miałem nadać kilka listów. Z daleka dojrzałem, że Herr Langer wychodzi w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Byłem pewny, że zapomniał o naszym spotkaniu. Pomachałem mu. Widziałem, jak się zatrzymuje i... – Mężczyzna pokręcił głową, głos mu się załamał.

– Co się stało dalej?

– Krzyknął, ale wtedy ten, z którym szedł, uderzył go w brzuch... Herr Langer, ja widziałem, jak on się chwieje. Fiaker zeskoczył z kozła i obaj... obaj siłą wpakowali mistrza do dorożki! Pobiegłem za nim...

– Herr Galwer wykazał się ogromną odwagą – wtrącił młodszy mężczyzna, ale pod wpływem spojrzenia Kleina zaraz umilkł i spuścił wzrok.

– Chyba nie myślałem o konsekwencjach, to był odruch. – Ranny popatrzył na Kleina i swojego towarzysza, jakby szukał u nich poparcia. – Dobiegłem do nich, ale wtedy jeden z bandytów wyskoczył z budy i uderzył mnie w głowę...

– Pamięta pan, co się stało później?

– Musiałem stracić przytomność, wszystko widziałem, jakbym patrzył przez mgłę. Zjawił się Herr Wenzel, który mnie tutaj wprowadził... pobiegł do telefonu, zadzwonił do was, na policję... Zjawił się pan tak szybko...

– Jest pan w stanie rozpoznać tych, którzy porwali Herr Langera?

Mężczyzna westchnął.

– Nic... mam pustkę w głowie. Na twarzach mieli chusty... nie, szale. Do tego płaszczki i kapelusze... raczej czapy, takie z daszkiem i ochroną na uszy...

– Czy był ktoś w budynku w czasie, gdy doszło do tych wydarzeń?

– Nie – odrzekł Wenzel, patrząc ze współczuciem na swojego towarzysza. – Najczęściej przyjeżdżam pierwszy i otwieram lożę. O szesnastej rozpoczynam zajęcia z dziećmi...

Klein skinął głową. Pamiętał tego mężczyznę z poprzedniego pobytu w budynku przy Gartenstrasse. Grał na fortepianie.

– Co pan rozumie przez „najczęściej”?

– Bywa, tak jak dziś, że Herr Langer pojawia się w loży przed wszystkimi. Czasem to on otwiera mi drzwi... chyba że jest zajęty w bibliotece lub ma gości, wtedy sam to robię.

– Nie macie woźnego? Mistrz nie ma swojego sekretarza?

– Woźny przed tygodniem zmarł na zapalenie płuc. Nie zatrudniono jeszcze nikogo na zastępstwo. Mistrz zresztą przebywa w loży bardzo często...

Starzec skinął głową na potwierdzenie tych słów, chyba jednak szybko tego pożałował, bo znów się skrzywił.

– Gdy pan się pojawił, widział pan jakichś świadków, Herr Wenzel? Ta ulica jest dosyć ruchliwa.

– Dwóch uczniów liceum próbowało ocucić pana Galwera. Z daleka widziałem, że ktoś leży na chodniku, i podbiegłem.

– Cucili mnie jacyś chłopcy? – Starzec dotknął palcami skroni. – Nie pamiętam, tego też nie pamiętam!

Wenzel uspokajająco poklepał go po ramieniu.

– Ci dwaj nic nie zauważyli. Nie sądzę, żeby kłamali. Szli od strony liceum pogrążeni w rozmowie, nie zauważyliby nawet, gdyby obok nich przejeżdżała lokomotywa parowa.

– A pan widział dorożkę? – zapytał go Klein.

– Mieszkam niedaleko stąd, przy Feldstrasse. Mnie nic nie mijало. W ogóle gdy znalazłem pana Galwera, byłem pewny, że się przewrócił i uderzył w głowę... – Wenzel dyskretnie dotknął szyi w znaczącym geście. – Dopiero przy drzwiach się o wszystkim dowiedziałem. Od razu zadzwoniłem na policję.

– Panie Galwer, jaki był powód spotkania?

– Spotkanie... Byłem umówiony na trzecią, punkt trzecia, ja się nigdy nie spóźniam...

– Ale w jakiej sprawie miał się pan widzieć z Herr Langerem?

– Usługi... malowanie, tynkowanie... Mieliśmy umówić remont sali na piętrze. Znamy się z Herr Langerem długo i ten zacny człowiek wie, że... – mężczyzna zaczerpnął tchu i coś zaświszczało mu w płucach – ...wie, że my to solidna firma... wszystkie zlecenia robimy dla Herr Langerera, poleca nas tu i tam, to znaczy, że jest zadowolony...

– Jeszcze jedno pytanie, Herr Galwer. Dorożka, jak wyglądała...

– Dorożka? – Mężczyzna zwilżył usta językiem, wydawało się, że gdzieś odpłynął.

– Coś zwróciło pańską uwagę? – naciskał Klein. – Wyglądała inaczej?

– Nie. – Ranny uniósł dłonie w geście bezsilności. – Mnie się wydaje, że była zwykła, jednokonna... po prostu, jak to dorożka.

Klein zrozumiał, że z zeznań mężczyzny nie będzie miał wielkiego pożytku. W tym momencie od strony ulicy doszedł do nich warkot silnika i pisk hamulców. Odwrócił się w stronę furtki. Z samochodu wyskoczył Koschella, a zaraz za nim pies. Franz pociągnął wilczura w stronę drzwi, ale ten zatrzymał się tuż przy chodniku.

Klein raz jeszcze spojrzał na Galwera. Ranny ciężko oddychał, był czerwony na twarzy. Musiał mieć problemy z ciśnieniem.

– Proszę się uspokoić, niedługo pan Wenzel zabierze pana do lekarza...

– Tak, lekarz. – Galwer objął twarz dłońmi, wydawało się, że znów odpłynął.

Kapitan skinął głową na pożegnanie i wyszedł z budynku. Podszedł do Koschelli.

– Durna bestia nie chce iść! – wychrypiął Franz, szarpiąc za smycz.

– Gdzie wachmistrz Puder?

– Czterdzieści stopni gorączki. Rozłożyło go na dobre, nawet nie dał rady zejść po schodach. Wziąłem za to tego pchlarza! Co za durna oślica!

– Uspokój się, Franz. Pies coś wywęszył.

Wilhelm podszedł do Flory i położył dłoń na jej łbie. Suka popatrzyła na niego.

– Najpierw wejdziemy do budynku. Prowadź.

Suka z nosem przy ziemi ruszyła w stronę ścieżki. Koschella pobiegł za nią, nieomal wpadając przy tym na furtkę. Po chwili znaleźli się w sieni; minęli zaskoczonego Wenzla i zubożniałego na wszystko Galwera.

Flora szarpnęła ku schodom i wydawało się, że Koschella pogubi buty, próbując za nią nadążyć. Po chwili pies zapiszczał pod drzwiami.

Klein wstrzymał Franza ruchem dłoni, przejął smycz i dał wachmistrzowi znak, by ten wyciągnął broń. Koschella sięgnął po pistolet. Wtedy dopiero Wilhelm otworzył drzwi.

Weszli do środka. Biurko Langerera było przesunięte, krzesła leżały na podłodze. To, co jednak najbardziej rzucało się w oczy, to duży wymazany czarną farbą znak na ścianie.

– Chyba skończyły się gierki, kapitanie – mruknął Koschella, stając przed ociekającym farbą malunkiem. – Jak nic miał pan rację, co nie?

Klein wpatrywał się w milczeniu w wymalowaną na ścianie swastykę.

– Panie kapitanie? Co pan myśli?

– Że nie masz racji, Koschella. Ta gra jeszcze na dobre się nie rozkręciła.

Franz się skrzywił. Popatrzył na psa, który wsadził nos w melonik w leżący na dywanie.

– Kapelusz należy do Langerera czy do któregoś z porywaczy?

– Galwer mówił, że tamci mieli czapki, więc raczej to pierwsze. Zabierzemy go ze sobą.

– W porządku. – Wachmistrz schylił się i podniósł kapelusz. – I jeszcze jedno. Mam coś dla pana, sądzę, że może się przydać.

Klein patrzył przez chwilę na broń, którą podał mu Franz, jak na jadowitego węża. W końcu przejął pistolet, ułożył go w dłoni, a potem włożył do kieszeni płaszcza.

– Co dalej?

– Próbujemy łapać trop na zewnątrz, wachmistrzu. Jeśli się nie uda, jedziemy do Hotelu Dworcowego, do komisarza Richtera.

*

Kapitan Metz stał naprzeciw budynku komendantury, wpatrując się w okna na drugim piętrze.

Ostatnią godzinę spędził w zakurzonej pokoju, w którym zgromadzono całą dokumentację wojskowej żandarmerii. Przeniesiono ją z odwachu znajdującego się do niedawna w ratuszu.

W pierwszym kwadransie poszukiwań właśnie ową przeprowadzką i towarzyszącym jej chaosem tłumaczył Metz bałagan w kartotekach. Wkrótce jednak przekonał się, że dokumentów, których poszukuje, nie znajdzie. Brakowało teczek i akt spraw żołnierzy więzionych za dezercję w kłodzkiej twierdzy.

Opiekujący się archiwum młody kapral Kirst nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie, co mogło stać się z brakującą dokumentacją. Mimo to Metz zdołał wyrobić sobie obraz tego, jak mogło dojść do tej sytuacji, i ta świadomość powodowała w nim głęboki niepokój.

Nie prowadzono ewidencji, która pozwoliłaby określić, kto i kiedy przeglądał lub wypożyczał materiały. Kapral Kirst przyznał, że nikt nie miał pieczy nad archiwum od długiego czasu, a trudno było zmienić przyzwyczajenia oficerów nawykłych do tego stanu rzeczy. Najwyraźniej w komendanturze nie przywiązywano wagi do rozporządzeń określających działanie tego typu placówek archiwalnych.

Major Schneider. To on najczęściej korzystał z zasobów pokoiku. Kirst zasugerował, żeby kapitan Metz zajrzał do gabinetu zabitego. Według opinii młodego wojskowego część dokumentów mogła zalegać w przepastnych szafach majora.

Kapitan poszedł za radą kaprała. Zdawał sobie sprawę, że wejście do pokoju, który do niedawna zajmował denat, nie będzie proste. Musiał użyć całej swojej siły perswazji, by po długich namowach sekretarz wpuścił go do gabinetu. Niczego tam jednak nie znalazł, po dokumentach wszelki ślad zaginał.

Teraz, stojąc pod gmachem komendantury, intensywnie myślał, co jeszcze może zrobić. Od strony parterowej przybudówki, w której mieścił się sklep z porcelaną i wyposażeniem kuchennym Franza Exnera, dobiegł go rubaszny śmiech jakiejś klientki. Dopiero to go otrzeźwiło i pobudziło do dalszego działania. Oprócz niepokoju odczuwał niezwykłą ekscytację. Było tak za każdym razem, gdy natrafiał na jakieś interesujące zagadnienie. Od dłuższego czasu zajmował się historią twierdzy i związanymi z nią ciekawostkami. Wielu pukało się palcem w głowę, gdy nakłaniał komendanta, pułkownika Hay, by Twierdza Główna, która utraciła już swoją militarną funkcję, stała się obiektem otwartym dla mieszkańców miasta i przyjezdnych. Chciał, żeby inni także odnaleźli w systemie obronnym na Zamkowej Górze to piękno, które sam dostrzegał.

Ruszył w stronę Schlossberg, która prowadziła do wejścia do donżonu twierdzy.

Wkrótce dostrzegł wyłaniające się zza kamienic skaliste wzgórze i fortyfikacje.

Blisko tysiąc lat historii tego miejsca! Od grodziska na Górze Zamkowej, przez zamek aż do wspaniałej fortyfikacji, niegdyś jednej z najważniejszych w państwie pruskim. Twierdza przez wiele wieków była także więzieniem dla znanych ludzi. Metz opisywał w lokalnej prasie sylwetki generałów, magnatów, a nawet więzionego w twierdzy burmistrza Brukseli. Badał brawurowe ucieczki z twierdzy, między innymi jedną z ostatnich, z 1911 roku, dokonaną przez francuskiego kapitana wywiadu Karola Luxa.

Kapitan był przekonany, że twierdza wciąż skrywa wiele tajemnic. Spodziewał się jednak, że natrafi na jedną z nich, badając zamierzchną historię tego miejsca, nie przyszło mu na myśl, że źródła owej tajemnicy okażą się tak współczesne.

Wyminął salutujących mu wartowników i kilka minut później znalazł się w zimnych kazamatach donżonu.

Metz chwycił się ostatniej deski ratunku. Był nią porucznik August Knauer, od wielu lat związany z kłodzką twierdzą. Jeśli ktoś mógł znać odpowiedzi na dręczące kapitana pytania, to tylko on.

– Wejść!

Wkraczając do pokoju Knauera, kapitan Metz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wchodzi do kościelnej krypty. Powodowała to surowość tego miejsca, w którym oprócz kilku świeczników można było odnaleźć jedynie niezbędne sprzęty, w tym biurko, dwa krzesła i szafkę zamykaną na klucz.

Do wyposażenia wnętrza niewątpliwie można było zaliczyć także porucznika. Był to mężczyzna o pożółkłej, mocno wymiętej twarzy, który kolorem skóry wtapiał się w otoczenie. Na tle nierówno pobielonych ścian widać go było tylko dzięki mundurowi.

– Poruczniku.

Knauer wstał. Przywitali się uściśnięciem dłoni.

– Co pana sprowadza, kapitanie? – Starszy mężczyzna przesunął dłonią po wygolonej czaszce i wrócił na swoje miejsce, wskazując wolne krzesło gościowi.

– Kilka spraw związanych z ostatnimi wydarzeniami.

Knauer pokiwał głową.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Człowiek podczas lat służby przywyka do różnych wydarzeń, na placu boju oswaja się ze śmiercią, można powiedzieć, jest z nią za pan brat, ale... Te bestialskie morderstwa, zastrzelenie majora Peschke i teraz wysadzenie w powietrze majora Schneidera... Wie pan, że komendant chce wysłać patrole wojskowe na pomoc policji?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł...

– A czy w tej chwili ktoś ma jakiś inny? Komisarz Richter co rusz przypuszcza szturm i okazuje się, że wpada w opuszczone okopy. Przyjechał cały ten Klein, na którego wszyscy tak liczą, a co on takiego zrobił? Nikt nie przedsięwziął skutecznych i zdecydowanych działań, czekają nie wiadomo na co, chyba na kolejne trupy!

– Akurat co do Kleina nie zgodzę się z panem, poruczniku. Odbyłem z nim dziś rozmowę, która rzuca nowe światło na tę sprawę.

– Nowe światło? – Knauer zaśmiał się chrapliwie. – A co to znaczy?

– To jest właśnie przyczyną mojej wizyty. – Metz wziął głęboki oddech. Postanowił przejść do rzeczy; stary porucznik znany był z tego, że lubi konkrety. – Szukałem na jego polecenie dokumentacji związanej z więźniami, osadzonymi w twierdzy dezertierami ostatniej wojny...

– Tak?

Uwadze Metza nie umknęła zwiększona czujność porucznika.

– Jeden z morderców tuż przed schwytaniem popełnił samobójstwo. Nazywał się Teodor Wildstein. Według informatora Herr Kleina człowiek ten osadzony był w twierdzy za dezercję i skazany na śmierć przez powieszenie. Egzekucji jednak nie wykonano, pojawił się w Kłodzku, będąc jednocześnie jednym z tych, którzy dokonują tak ohydnych zbrodni.

– Co to za informator? Skąd te rewelacje, przecież są śmieszne! – Knauer położył dłonie na biurku, po chwili znów je unióś, pozostawiając na blacie mokre ślady.

– Twierdzi pan, poruczniku, że w twierdzy nie przetrzymywano dezertierów z Wielkiej Wojny?

Knauer nie odpowiedział. Metz zdał sobie sprawę, że podążył dobrym tropem, lecz wcale go to nie ucieszyło. Znów poczuł się nieswojo.

– Poruczniku Knauer, proszę odpowiedzieć na pytanie. Wiem, że w twierdzy osadzeni byli dezercerzy. Ich procesom skazującym przewodniczył sędzia Wiese, który, jak obaj wiemy, został zamordowany. To samo spotkało majora Schneidera, ówczesnego dowódcę żandarmerii odpowiedzialnego za osadzenie skazanych i doprowadzenie do wykonania wyroku. Major stał się kolejną ofiarą! Wszystkie dokumenty dotyczące skazanych zaginęły. Pan wie o tej twierdzy wszystko lub prawie wszystko, ma pan także niesamowitą pamięć, dał pan temu wyraz w rozlicznych opowieściach, którymi mnie pan raczył przy koniaku. Musi pan pamiętać, kto wraz z Wildsteinem został wtedy skazany, z kim dzielił celę w kłodzkiej twierdzy.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Knauer. Wyglądał jak ktoś, kogo przed utonięciem ocaliło w ostatniej chwili rzucone koło ratunkowe.

W drzwiach pojawił się młody szeregowy. Zasalutował i wyrzucił z siebie z szybkością karabinu maszynowego:

– Policjant Jürgen Roth do kapitana Metza, prosi o pilne spotkanie. Kazał przekazać, że przysyła go kapitan Wilhelm Klein w wiadomej mu sprawie.

– Dziękuję! – Metz spojrział na Knauera, jednocześnie dziękując siłom wyższym za pojawienie się żołnierza. Pozwolił sobie nawet na uśmiech. Coś, co miało być kołem ratunkowym dla porucznika, mogło się okazać jego gwoździem do trumny. – Może pan przekazać, że policja może tu wejść dopiero na mój wyraźny sygnał. Nie wcześniej!

Szeregowy zasalutował. Nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie wywarły na nim słowa kapitana. Natychmiast zniknął za drzwiami.

– Kapitanie, jak pan śmie?! – Knauer uniósł się w fotelu. Po raz pierwszy jego twarz nabrała zdrowszych kolorów, co pewnie było oznaką wzburzenia. – Straszy mnie pan policją?!

– Staram się pana ochronić. – Metz postanowił działać szybko. Nie wiedział, jak zareaguje policjant na ten anons, który miał mu przekazać szeregowiec. – Dla mnie i dla policji jasnym jest, że wie pan w tej sprawie więcej, niż chce pan wyjawić. Kto wie, może następny w kolejce do odhaczenia na liście zabójstw jest pan? Zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Ja nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego!

– Z czym nie miał pan nic wspólnego?

Mężczyzna nabrał w płuca powietrza, wydał policzki.

– Panie poruczniku, radzę mówić, co pan wie, zanim będzie za późno – ostrzegł Metz.

– Pamiętam tamtych dezercerów. Było ich trzech, dostali najwyższy wyrok. Mieli zostać powieszani.

– W Forcie na Owczej Górze?

Knauer wypuścił powietrze.

– Wtedy nie wydawało się nam to niezwykle – powiedział. – Czasy wciąż były niespokojne. Wywieziono skazanych z twierdzy, miejsce ich egzekucji miało stanowić tajemnicę. Już wtedy Fort wyłączono z dostępu cywili, pozostała minimalna obsada. Uznano to miejsce za odpowiednie do wykonania wyroku...

– Nazwiska skazanych.

– Był być może wśród nich ten, którego kapitan wymienił, Wildstein. Pewny jestem jednak tylko jednego nazwiska. Betz. Willi Betz...

– Dlaczego zapamiętał pan tylko jedno nazwisko?

– Przez dziewczynę tego szeregowego. Przyjechała za nim aż z Jeleniej Góry, zresztą stamtąd pochodził też ten chłopak. Codziennie przychodziła pod twierdzę, prosiła, błagała, ale na próżno. Ci trzej zostali oskarżeni nie tylko o dezercję, ale i o gorszą sprawę.

– Jaką?

– Zamordowali oficera. To się nie dziwię, że nie było dla nich zmiłuj. A ta dziewczyna... musiała bardzo kochać Betza... bo skończyła tragicznie.

– Co się stało?

– Rzuciła się pod pociąg, tutaj w Kłodzku, zaraz po tym, jak się dowiedziała o wykonaniu wyroku. Tamtych zabrali w nocy. Wiem to z opowiadań tych, którzy wtedy pełnili służbę w twierdzy... Powiesili ich w Forcie na Owczej Górze.

– Chyba jednak nie powiesili.

Knauer skinął głową.

– Wtedy o to nikt nie pytał, ale nie wiadomo było nawet, gdzie wywieziono ciała. Jeśli jednak nie doszło do egzekucji, to nie rozumiem, co się wtedy stało. Czy więźniowie uciekli, a Schneider zatuszował sprawę? I, na Boga, po co teraz wrócili? Po zemstę?

– Kto pozostał z tamtej obsady twierdzy oprócz pana, poruczniku? – odpowiedział pytaniem na pytanie Metz. – Kto może wiedzieć coś więcej?

– Wszystkich wymiotło po kraju. Zaraz po wojnie większość przeszła do cywila albo dostała przeniesienie. Obsługę zmniejszono. Z tych nowych, co ich przyjęli, to każdy z mlekiem pod nosem, jak ten, co tu wparował przed chwilą. Nie mówię oczywiście o panu... A z żandarmerii też nikt się nie ostał. Wojna się kończyła, ale kryzys przyszedł, ludzie nie mieli co do garnka włożyć, a tu jeszcze trzeba było petycje do tego całego prezydenta Wilsona składać, żeby hrabstwo z Kłodzkiem przy Rzeszy zostało. I teraz, gdy wydawało się, że wszystko normalnie, mamy do czynienia z takimi morderstwami... Do tego wśród ofiar wicedyrektor Beier i rajca... zupełnie przypadkowe ofiary.

Metz popatrzył uważniej na siedzącego przed nim porucznika.

– Dlaczego nie wymienił pan majora Peschke, pierwszego zamordowanego? – zapytał ostro. – On według pana nie jest przypadkową ofiarą?

Knauer się zmieszał.

– Poruczniku, co według pana wiąże zastrzelonego na Grüne Strasse majora z tą sprawą? – dopytywał Metz. – Jakie są jego powiązania ze sprawą dezertarów?

– Był u mnie kilka dni przed śmiercią... Major Peschke odwiedził mnie, tak jak pan teraz. Pytał o dezertarów, chciał wiedzieć, co pamiętam. Obiecałem, że rozmowa zostanie między nami i... naprawdę początkowo nie powiązałem jego śmierci z tamtą sprawą! Kapitanie, musi mi pan uwierzyć. Kolejne morderstwa nastąpiły tak szybko... Dopiero dziś... Śmierć majora Schneidera... – Knauer rozpiął górny guzik kurtki. – To, co nagle do mnie dotarło, zupełnie mnie sparaliżowało i...

Metz poblądł.

– I nikomu pan o tym nie powiedział? Nie próbował się pan skontaktować z policją?

Mężczyzna oparł się ciężko na krześle.

– Nie miałem świadomości... – wydusił ściszone głosem.

Metz wstał i z odrazą spojrzął na wiarusa.

– Powtórzy pan wszystko temu policjantowi, który przyszedł. Będę wiedział, jeśli coś pan zataił.

Knauer jedynie skinął głową, wpatrzony w blat. Po łysej czaszce sunęła kropla potu.

Kapitan ruszył ku drzwiom. Nie pożegnawszy się, wyszedł na korytarz, gdzie niemal zderzył się z młodym policjantem.

– Willi Betz – powiedział do niego. – To drugi z trzech dezertarów, który miał zostać powieszony w Forcie. Nie znamy tożsamości ostatniego. Skontaktuję się zaraz ze swoimi przełożonymi w Berlinie. Jeśli nie ma dokumentów w Kłodzku, nie znaczy to, że nie znajdziemy informacji o nich gdzie indziej... To jednak potrwa, a z tego, co wiem, macie mało czasu. Knauer wie niewiele, ale wszystko, co wie, panu opowie.

Policjant skinął głową z wahaniem. Milczał.

Metz odwrócił się od niego i ruszył w stronę wyjścia z donżonu. Czuł, że brakuje mu powietrza.

*

Klein i Koschella dotarli do Hotelu Dworcowego w kilkanaście minut. Od policjantów roiło się na całym Sellgittplatz i przy głównym wejściu. Część z nich wypraszała gości z restauracji hotelowej. Tych, którzy mieli wynajęte pokoje, przekonywano do powrotu do nich i cierpliwe czekanie.

Franz co chwila przeklinał pod nosem. Jego nerwowość udzieliła się psu, który już w holu stał się bardzo niespokojny.

– Zadeczą wszystko jak stado słońi. – Wachmistrz kręcił głową i co rusz mierzył kolejnego z asystentów rozjuszonym wzrokiem. Ci najczęściej unikali konfrontacji,

znajdując nagle potrzebę w zejściu z drogi policjantowi ciągnącemu na smyczy warcząca bestię.

Klein popatrzył na recepcjonistę. Anton Krupski chłonał wszystko wokół, wyglądał, jakby właśnie układał sobie w głowie kolejną z historii, które będzie opowiadał ciekawskim gościom.

Obok recepcji stało kilku mężczyzn z aparatami. Gdy tylko zobaczyli Kleina, zwrócili się w jego stronę. Błysnęły lampy, w powietrzu rozniósł się duszący zapach.

– Bierz ich – warknął Koschella do owczarka.

Flora warknęła na fotografów, którzy cofnęli się o kilka kroków. Franz poklepał sukę po łbie i zarechotał.

Jeden z żurnalistów delikatnie skinął Kleinowi głową. Kapitan go rozpoznał, lecz nie odwzajemnił pozdrowienia. Klepnął wachmistrza w ramię i obaj ruszyli w stronę schodów.

Wkrótce stanęli na pierwszym piętrze, w drzwiach pokoju numer dziesięć.

Kapitan napotkał wzrok komisarza Richtera. Pomiędzy brwiami policjanta uwidoczniła się głęboka pionowa zmarszczka. Mężczyzna zmierzył równie chłodnym wzrokiem wachmistrza i niespokojnego psa, nad którym Koschella starał się zapanować. Dopiero po chwili, jakby rozważając, czy to dobry pomysł, skinął na nich, zapraszając do apartamentu.

Klein rozejrzał się uważnie. Spozrzegł, że Karel Svoboda nie należał do skąpców, nie żałował bowiem pieniędzy na pokój o podwyższonym standardzie. Przykuwały uwagę lustra w fantazyjnych ramach, sprzęty wykonane z mahoni; osiemnastowieczny sekretarzyk ze złotymi okuciami, biurko i barek z zestawem trunków. Niewątpliwie był to najlepszy pokój w Hotelu Dworcowym, w dodatku z balkonem, na który prowadziły wysokie przeszklone drzwi. Wszystko w tym apartamencie wydawało się ze sobą współgrać. Wszystko oprócz ogromnego znaku wymalowanego czarną farbą na jednej ze ścian.

– Miał pan rację, kapitanie Klein. Swastyka. Jest tak, jak pan mówił, mordercy pokazali nam swoją twarz...

– Tego nie mówiłem.

– Więc może wreszcie zdradzi nam pan, co tak naprawdę myśli? – Richter poczerwieniał. – Mam wrażenie, że nie jesteśmy w stanie nadążyć za pana światłym umysłem! Uważa kapitan, że te znaki są jedynie żartem, wygłupem? Słucham!

Do rozmawiających podeszli Seipelt i Schulz. W napięciu wpatrywali się w kapitana.

– Znaki zapewne mają wskazywać winnych, nie znaczy jednak, że mordercy są powiązani z narodowymi socjalistami – powiedział Klein.

– Mi tam wszystko pasuje – wtrącił się Seipelt. – Ile minęło? Dwa miesiące, odkąd nazwali się Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partią Robotników? To żadna tajemnica, że nie darzą sympatią Żydów czy masonów... W dodatku większość

członków partii to weterani ostatniej wojny, a wśród morderców widać przeszkolenie wojskowe. Nowa partia, nowy program, to ogłaszają go światu z przytupem...

– Nie sądzę – odrzekł kapitan. – Przyniosłoby im to więcej szkody niż pożytku. To trop, który ma wprowadzić zamieszanie, tak jak poprzednie.

– Mogli przecież dalej wskazywać na Żydów i masonów – Koschella poparł przełożonego. – Kolejne ofiary na wierzchołkach gwiazdy Dawida czy piramidy lokalnej loży i nikt by nie wpadł, kto za tym stoi. Narobiliby bigosu swoim wrogom. Teraz mamy na celowniku wszystkich, którzy mają nacjonalistyczne poglądy. Po co by to robili?

– Bankier i rajca – wtrącił Richter. – Można powiedzieć, że byli nacjonalistami. Gdyby za morderstwami stali ci z NSDAP... Zabiliby swoich?

– Obaj byli pederastami. – Seipelt, pewny swoich racji, wzruszył ramionami. – Oczyszczili szeregi.

– Panie Klein? – Komisarz spojrział na kapitana. – Mam aresztować tych, którzy znani są z sympatii nazistowskich?

– Nie, sprawców musimy szukać gdzie indziej.

Richter wypuścił powietrze.

– Co z Ottonem Langerem?

– To samo co ze Svobodą – oznajmił Koschella.

Richter zaśmiał się nerwowo.

– Po prostu wspaniale – wychrypiął. – Mamy więc dwóch zaginionych: mistrza loży masońskiej i czeskiego dyplomatę... Skandal międzynarodowy. Nie muszę wam przypominać, że jeśli zabiją obu, nie będziemy mieli co szukać nie tylko w tym mieście, ale i w całej Rzeszy?!

Koschella i Seipelt wymienili spojrzenia. Schulz był pochłonięty oglądaniem własnych paznokci.

– Nie cofam tego, co panu wcześniej powiedziałem – komisarz zwrócił się do Kleina. – Ma pan coraz mniej czasu.

*

– Coraz mniej czasu? Jakbyśmy nie wiedzieli. – Koschella zerkał z ukosa na siadającego na miejscu pasażera kapitana Kleina. Ten zdawał się w ogóle nie słuchać wachmistrza. Patrzył w dal przez szybę, o którą rozbijały się duże krople deszczu. Franz spojrział w zasnucone ciemnymi chmurami niebo. – Kapitanie, co dalej?

– Jedź do rynku – zarządził Klein.

Głos kapitana wydał się Koschelli bardzo słaby. Sam Klein zapadł się w siebie i stracił całą energię. Franz uznał, że przeznacza ją teraz na jakieś dziwne mózgowo procesy, które pozwalały mu myśleć klarowniej i szybciej niż innym. Wszystko kosztem energii cielesnej...

– To jedziemy. – Koschella uruchomił silnik i zakręcił kierownicą. Wciąż czuł się niepewnie za sterami tej warczącej bestii. Nie wiedział, dlaczego zgodził się przejąć pojazd od Rotha. Na pewno wolał własne nogi niż gumowe koła piszczące na kłodzkim bruku.

Flora szczerknęła, a Franz zaklął. Pies najwyraźniej nie podzielał uprzedzeń wachmistrza do samochodów.

– Franz – odezwał się Klein, gdy zatrzymali się pod ratuszem. – Co musiałyby się wydarzyć, jakie zło musiano by ci wyrządzić, byś dokonał takiej zemsty jak oni?

– To jasne przecież... – Koschella wzruszył ramionami. – Mszczą się na tych, co chcieli doprowadzić ich do stryczka.

– Byli dezertarami, zabili oficera, Franz. – Klein podczas tej rozmowy odwrócony był do wachmistrza bokiem. Przez boczne okno obserwował kamienice na wschodniej pierzei rynku. – Stryczek im się należał. Jeśli go uniknęli, za co mieliby się mścić?

Franz zamilkł, podrapał się w głowę.

– No nie wiem – powiedział ostrożnie. – Ma kapitan rację. Żebym miał się dopuścić takich zbrodni, w zemście, to musieliby mnie...

Franz dopiero teraz podążył za wzrokiem przełożonego. Znow się zaciął. Zrobiło mu się gorąco. Klein wpatrywał się w kamienicę sąsiadującą z hotelem Nowy Wrocław. Na parterze budynku znajdowała się kafejka, obok brama prowadząca do sieni jednego z kłodzkich domów uciech.

– Tutaj znajdziemy odpowiedź, kapitanie?

Klein odwrócił się do wachmistrza. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy.

– Poczekacie, Koschella, z psem w stosownej odległości od bramy – odezwał się w końcu. – Ustawicie się pod wiatr. Jeżeli pies zareaguje na kogoś, kto opuści burdel... macie wolną rękę.

– Ja czy ta suka? – zaśmiał się Franz.

– Oboje.

Uśmiech na twarzy Koschelli zgasł. Wachmistrz nie za bardzo wiedział, co o tym myśleć.

Wyszli z samochodu razem z Florą i stanęli obok fontanny.

– Przeglądnięcie, Koschella, kwity bankowe, jak prosiłem?

– No tak.

– Właścicielka burdelu. Co macie na nią?

– Duże pożyczki... – Franz zmarszczył brwi. Czuł na sobie nieruchome spojrzenia Kleina i trzymanego na smyczy owczarka. Było mu nieswojo i miał problemy z koncentracją.

– Jak duże?

– No – Koschella przygryzł wargę – spore. Kilkanaście tysięcy...

– Na burdel?

– Na firmę... przypomnę sobie zaraz, jak ten pies... suka znaczy się, przestanie mnie świdrować ślepiami! – zdenerwował się Franz. – Na remont kamienicy wszystko poszło...

Obaj jednocześnie popatrzyli na odrapaną elewację.

– Może w środku robili? – Koschella niepewnie spojrział na Kleina.

– A robili? Franz, dawno temu tam byłeś?

– No, niedawno, remontu raczej większego nie było, ale meble drogie wstawiła, to na pewno. – Koschella się zawstydził. Nie tyle z powodu wyznania, że odwiedzał burdel, bo zawsze mógł się usprawiedliwić czynnościami służbowymi, a ponieważ nie skojarzył, że astronomiczna pożyczka nie miała większego uzasadnienia. – Ale wie pan, kapitanie, to nie jest zwykły burdelik z zapuszczonymi pokojkami... Madame Herta ma spore ambicje. To bardziej taki erotyczny teatr... zresztą, jak pan wejdzie, to pan zrozumie.

– Poczekasz na mnie – powtórzył Klein. – I pilnuj wychodzących z bramy.

Koschella spojrział w zasłonięte ciemnymi kotarami okna kamienicy. Odczuł trudny do wytłumaczenia niepokój.

*

Klein stanął przed drzwiami kamienicy, trzykrotnie zastukał kołatką. Przez kilka minut nie mógł doczekać się reakcji, miał jednak wrażenie, że jest obserwowany. W końcu usłyszał kroki, a po nich metaliczny chrzęst zamka. Zmrużył oczy, gdy przez wąską szczelinę przesączyło się ostre światło. Po chwili jasną przestrzeń wypełniło zwaliste cielsko mężczyzny odzianego w elegancki garnitur. Kwadratowa szczeka poruszyła się, choć przez wąskie usta nie wydobył się nawet najmniejszy dźwięk.

– Do madame Herty – oznajmił krótko Wilhelm.

Ochroniarz jeszcze przez chwilę świdrował go wzrokiem. Wydawał się zawiedziony, że nie zrobił na przybyszu takiego wrażenia, jak oczekiwał. W końcu przesunął się, otwierając szerzej drzwi.

Kapitan wkroczył w korytarz. Prześliznął się wzrokiem po zdobionych ścianach i drogich meblach. Madame Herta rzeczywiście musiała w ostatnim czasie cieszyć się sporym przyływem gotówki. Koschella miał rację – Wilhelm, gdyby nie wiedział, jak jest w rzeczywistości, uznałby, że wkracza do kameralnego teatru, a nie zwykłego burdelu.

– Dam znać madame o pańskim przybyciu.

Klein popatrzył na ochroniarza. Zęby mężczyzny przypominały szufle do węgla. – Płaszcz proszę zostawić tam. Do czasu wizyty może pan skorzystać z baru w pierwszym salonie.

Żyłasta dłoń wskazała przedsiónek, w którym, za ladą wykonaną z ciemnego drewna, stała młoda szatniarka.

Klein podszedł do kontuaru, zdjął okrycie i podał je dziewczynie. W zamian otrzymał żeton z numerkiem, a w bonusie promienny uśmiech. Przyglądał się uważnie szatniarce. Ubrana była w sposób, który zapewne miał być przedsmakiem wrażeń czekających na gości w przybytku madame. Niewątpliwie ciśnienie niejednego z bywalców rosło już w progu salonu. Sprawiały to gorset uwidaczniający duży biust, zwiewny koronkowy szlafroczek i pończochy o dużych oczkach naciągnięte na długie nogi.

– Proszę wybrać. – Dziewczyna z wdziękiem wskazała dłonią drewnianą półkę. – Nasi goście zakładają je na czas podróży...

Wilhelm spojrzał na rzędy kolorowych masek. Każda z nich wydawała się dziełem sztuki. Były wykonane ze skóry, papier-mâché, luksusowych tkanin, a nawet drewna.

– Czy jest to warunek konieczny? – zapytał.

– Liczy się swoboda naszych klientów i dyskrecja, panie kapitanie.

Klein się uśmiechnął. Dyskrecja. Nawet szatniarka wiedziała, kim jest. Wskazał prostą białą maskę wenecką wykonaną z papieru.

– Doskonały wybór!

Odwróciła się w stronę półki, pochylając się nienaturalnie wolno, tak by miał czas przyjrzeć się jej niewątpliwym atutom wystającym spod kusego szlafrocza. Wyszła zza kontuaru i stanęła za jego plecami.

Wilhelm przyłożył maskę do twarzy, a dziewczyna delikatnie ujęła aksamitne tasiemki i zawiązała mu je z tyłu głowy. Jej palce przesunęły się wzdłuż karku kapitana. Powinien poczuć przyjemny dreszcz, ale okazał się na tę pieśczętę nieczuły.

– Jest pan gotowy. Życzę miłego wieczoru... Gdyby mnie pan potrzebował, proszę prosić o Ines.

Popatrzył w jej oczy. Doszedł do wniosku, że w erotycznych marzeniach klientów często musiała pojawiać się scena z szatniarką w roli głównej. Ukłonił się i ruszył w stronę wysokich podwójnych drzwi, przy których stał ochroniarz. Właściciel kwadratowej szczęki znów zmierzył go wzrokiem. Kapitan wytrzymał to spojrzenie i w nagrodę wkroczył do sporych rozmiarów pomieszczenia.

Przy stolikach w części barowej rozsiadło się trzech mężczyzn. Musieli być starymi bywalcami. Czuli się swobodnie w towarzystwie kilku kobiet, których jedynym okryciem była warstwa drogich perfum.

Barman uśmiechnął się na widok Kleina. Szeroko rozłożył dłonie, zapraszając go do swojego królestwa drogich alkoholi.

Kapitan powiódł wzrokiem wzdłuż baru, którego mosiężne okucia lśniły przytłumionym blaskiem. Półki niemal uginały się pod ciężarem butelek wypełnionych kolorowymi trunkami. Mógłby się założyć, że i w tej kwestii madame Herta zadbała o najbardziej wyrafinowane gusta swoich klientów. Zignorował zaproszenie barmana i ominął bar, kierując się w stronę szerokich schodów okrytych czerwonym dywanem.

Na półpiętrze stała dziewczyna ubrana bardziej pruderyjnie od pozostałych. Jej ciało opinała jedwabna bordowa sukienka, z okalającej krótko ostrzyżoną głowę opaski z cekinami wystawało fioletowe piórko. Dziewczyna opierała się o ścianę, lekko wygięte ciało pobudzało wyobraźnię. Długie nogi, zgrabna talia i drobne piersi odróżniały ją od kobiet z baru.

Klein spostrzegł, że mu się przypatruje. Szedł wolno w górę, przyglądając się jej równie uważnie.

Dziewczyna wysunęła z ust zakończenie długiej szklanej fifki, w której tkwiła cygaretką, i wypuściła w stronę kapitana kłęb dymu. Do jego nozdrzy dotarł zapach wanilii. Wciągnął w płuca przyjemną woń.

Uśmiechnęła się. Wyminął ją bez słowa.

Staął przed kolejnymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Pchnął je i wszedł w długi korytarz oświetlony świecami. W czerwonych szkiełkach kandelabrow migotały krwiste refleksy. Klein miał wrażenie, że znalazł się w wąskim tunelu. Wyłożone miękkim materiałem ściany przypominały żywą tkanę.

Znalazł się w salce, której centralny punkt stanowiła scena. Wokół niej zgromadzili się milczący widzowie: kilku mężczyzn i kobiety. Nieruchomi, jakby stanowili element jakiejś onirycznej scenografii.

Klein stanął za plecami widzów. Większość z nich przerastał o głowę, więc był w stanie bez problemu dojrzeć to, co działo się na podwyższeniu.

Mężczyzna w masce arlekina. Zupełnie nagi, choć w pierwszej chwili można było sądzić, że jego ciało okrywa futro. Dopiero uważniejsze spojrzenie pozwoliło stwierdzić, że mężczyzna ten jest naturalnie owłosiony: z chorobliwie białej skóry wyrastały gęste kępy grubych włosów. Pokrywały ramiona, dłonie, plecy i klatkę piersiową osobnika. Nie brakowało ich na jego nogach, pośladkach, a zwłaszcza przyrodzeniu. Dla kontrastu policzki wystające spod maski oraz czaszka były zupełnie gładkie.

Naprzeciw mężczyzny stała kobieta w posągowej pozie. Jej skóra była czarna niczym heban, lśniła od olejków, którymi nią namaszczone. Nieruchoma, zjawiskowa, niedostępna. Mocne nogi przypominały kamienne kolumny, pośladki zachwycały kształtem, wygięte w łuk plecy zdawały się wykute przez najznamienitszego rzeźbiarza. W kształtach kobiety tkwiła moc, jakaś zwierzęcość wywołująca niepokój i podniecenie. Bódcem dla erotycznych doznań były jędrne piersi, z dużymi, ciemnymi sutkami.

Mężczyzna krążył wokół swojej partnerki na ugiętych, szeroko rozstawionych nogach, w dziwnym tańcu, który wprawiał w wahadłowy ruch jego olbrzymie prącie. Wszystko odbywało się w niemal zupełnej ciszy, mimo to Klein mógłby przysiąc, że dociera do niego odgłos podobny do dudnienia afrykańskich bębnów. Nie dochodził jednak z zewnątrz – można było go odnaleźć w sobie, w pulsowaniu arterii i rytmicznej pracy serca.

Kapitan ruszył w stronę kolejnych drzwi. Szumiało mu w głowie, po ciele rozchodziło się uczucie podobne do tego po zażyciu narkotyku.

Następna sala, dywan z kopcami satynowych poduch. Na nich półnaczy mężczyźni i kobiety, zapach dymu, seksu, brudu. Na stolikach linie białego proszku. Leniwe ruchy ocierających się o siebie ciał.

Kleinowi zdawało się, że czas rozciąga się do granic możliwości, by naraz przyspieszyć. On sam na przemian oddzielał się od ciała i towarzyszył człowiekowi w białej masce, po czym wracał do swej powłoki.

Znalazł się na kolejnym piętrze, w ciemnym pomieszczeniu. Otoczyły go przytłumione chichoty, puste echo odbijające się od niewidocznych ścian. Wyczuł na sobie czyjeś dłonie, dostrzegł bladą twarz z białkami wywróconych do wewnątrz czaszki. Odnalazł w czerni prostokąt przytłumionego światła, wkroczył weń, by wyjść wprost na ogromny stół, na którym pośród rozrzuconego w nieładzie jedzenia kłębiły się ciała pragnące zupełnie innej strawy.

Klein patrzył na to obojętnie, choć większość pracujących tu dziewczyn zachwycała urodą – bez trudu znalazłyby pracę w najelegantszych burdelach Berlina, Paryża czy Wiednia. Najprawdopodobniej zostały starannie wyselekcjonowane i sprowadzone tutaj przez madame Hertę z różnych zakątków Rzeszy. Pożyczki bankowej na elewację nie zmarnowano.

Klientela także nie wyglądała na miejscową. Bezpośrednie sąsiedztwo hotelu Nowy Wrocław mogło świadczyć o tym, że przyjeżdżający do Kłodzka turyści zainteresowani byli wypoczynieniem nie tylko na łonie natury, pośród okolicznych wzgórz, zdobywanie szczytów także nie musiało być związane z mozolnym wspinaniem się na Śnieżnik. Góry i doliny kobiecego ciała były zapewne bardziej atrakcyjne dla rozpasionych, wiekowych dzentelmenów spędzających czas w kłodzkim hrabstwie.

Jeszcze jedno piętro, sala luster. Kilka zwierciadeł ustawionych tak, by światło docierało do każdego zakamarka pomieszczenia. Pośrodku niewysoka kolumna, na niej kobieta w uduchowionej pozie, wpatrzona gdzieś wysoko, jakby była w stanie przebić się wzrokiem przez posrebrzany sufit. Otaczający ją milczący mężczyźni pozerali ją rozognionymi spojrzeniami.

Klein zobaczył swoje własne odbicie w lustrach. Surrealistyczny obraz. Stał nad nimi wszystkimi niczym stwór o białej twarzy. Mężczyźni wydawali się pogrążeni w transie, wielu z nich rytmicznie kiwało się w przód i w tył w jakimś pozazmysłowym rytmie.

Teraz i Wilhelm odczuł to dudnienie, które towarzyszyło mu na samym początku. Rezonowało, wprawiając w ledwie widoczne drżenie tafle zwierciadeł. Dochodził do tego dźwięk gdzieś na granicy słyszalności, wibrujący, bardzo wysoki. Gdy uświadamiało się sobie jego istnienie, zaczynał irytować, stawał się nie do wytrzymania.

Dwóch spośród siedzących mężczyzn wstało. Opuścili krąg, trzymając się za ręce, a po chwili rozplłynęli w powietrzu. Wydawało się, że zostali wciągnięci przez tafle chłodnych luster. Klein ruszył za nimi. Wydało mu się, że dopiero teraz zauważono jego obecność. Kilka głów odwróciło się w jego stronę. Sępie maski nadawały twarzom upiorny wygląd.

Stanął przed jednym ze zwierciadeł. Rozejrzał się w poszukiwaniu przejścia, nie był jednak w stanie go odnaleźć. Spojrzał w roziskrzoną tafle. Kobieta stojąca na kolumnie odwróciła się w jego stronę; tak ona, jak i jej adoratorzy wpatrywali się w jego plecy, jakby na coś czekali.

Klein wyciągnął przed siebie dłoń. Dotknął chłodnej powierzchni i przestrzeń przed nim nagle się otworzyła. Obraz się zamazał, światła oślepiły go na moment i wtedy zrobił krok przed siebie, wkraczając w ciemność. Przejście zasunęło się za nim, odgradzając od palących spojrzeń.

Zamrugnął, próbując przyzwyczać wzrok do półmroku klatki schodowej. Dudnienie stało się wyraźniejsze. Dochodziło z dołu, z trzewi budynku, z mroku, w którym niknęły schody na półpiętrze. Klein uchwycił się poręczy i w końcu ruszył w dół.

Liczył piętra. Gdy stanął przed nieskazitelnie białymi drzwiami, był pewny, że znajduje się poniżej parteru kamienicy.

Nacisnął klamkę, pociągnął odrzwia w swoją stronę.

Do jego uszu doszły dźwięki, które kojarzyć się mogły tak z bólem, jak i rozkoszą. Wiedział, że jedno nie wyklucza drugiego.

Znalazł się w owalnym pomieszczeniu, otoczony przez bordowe kotary spływające od samego sufitu.

Dudnienie stało się jeszcze intensywniejsze, choć teraz Klein nie był pewny, czy źródło tego dźwięku nie znajduje się w jego własnej czaszce.

Dotarł do niego zatęchły, piwniczny podmuch powietrza. Usłyszał kolejny jęk. Głos należał do mężczyzny. Wykonał krok przed siebie i uniósł dłoń, by odgarnąć kotarę. Wtedy wyczuł za swoimi plecami ruch. Zdażył się odwrócić, by rozpoznać właściciela kwadratowej szczęki, i zaraz poczuł, jak jego czaszką wstrząsa tępe uderzenie. Stojący przed nim mężczyzna rozplłynął się w świetlistym rozbłysku i Klein zanurkował w studzienną ciemność.

*

Franz postawił kołnierz płaszcza. Zaklął, na co Flora zastrzygła uszami.

– Takiś wrażliwy, pchlarzu? – Splunął na chodnik.

Zimny wiatr wył potępieńczo, znów zaczęło padać. Krople wody w świetle latarni przypominały ostre igły.

Jak dla Koschelli trwało to wszystko o wiele za długo. Kleina nie było już co najmniej trzy kwadransy. Czego tak naprawdę ten diabeł szukał w burdelu?

– Co za gówno!

Pies znów uniósł łeb, patrzył na Franza jak na wariata.

– Co się gapisz, czarny, kurwa, diabelski pchlarzu? Jesteś takim samym wcielonym diabłem jak cały ten Klein.

Wilczur poruszył nozdrzami, jakby wiatr przywiał jakiś znajomy zapach, a potem warknął.

– Mam się władować do tego burdelu na kółkach... czy nie?

Kolejne warknięcie. Koschella poklepał trójkątny łeb, popatrzył w okna kamienicy. Miał wrażenie, że cienie przesuwające się za kotarami dziwnie podskakują, jakby w środku odbywało się cyrkowe przedstawienie.

– No dobra, damy mu jeszcze kwadrans. Żeby poruchać, na pewno wystarczy. Potem wchodzimy i robimy porutę...

Suka zarzuciła łbem, jakby przystała na propozycję Franza. Koschella wyszczerzył zęby. Mocniej ścisnął smycz, a Flora usiadła tuż przy jego nodze. Czekali.

*

Znów tam był. Przyjął to na poły ze zdziwieniem i z niezrozumiałą ulgą. Uniósł głowę, próbując odszukać gwiazdy na nocnym niebie. Bezskutecznie, wszystko zasnuł dym, zawiesina otulała niczym ciepły koc.

Był sam, nie licząc zwęglonych ciał zalegających w arteriach wyrytych w błotnistej glebie. Przesunął wzrokiem po owalach bladych twarzy. Zwrócone były w górę, jakby i one szukały czegoś na nieboskłonie. Część z nich rozpoznawał, część była mu obca.

Zdał sobie sprawę, że głuche dudnienie się oddala. Baterie dział zwróciły się w inną stronę, tu pociski nie miały już kogo rozrywać i kaleczyć. On się nie liczył.

Ból. W żebrach, piersi, czaszce. Klein zachłysnął się czymś, być może własną krwią. Uniósł dłoń do ust, spojrział potem na nią, dziwiąc się intensywnej czerwieni na skórze.

Dym otoczył go jeszcze szczelniej. Zaraz jednak przyszedł mocniejszy powiew wiatru i dusząca zawiesina się rozwiała. Wtedy zrozumiał, że przeniósł się z okopów w zupełnie inne miejsce.

Przez chwilę unosił się nad ziemią. Mimo to słyszał chłupot butów, wyczuwał smród cuchnącej brei. Kilka razy przez ciemność przedarło się światło. Zamiast nieboskłonu dostrzegł teraz łukowe ceglane sklepienie.

Wtedy ponownie zanurkował w ciemność.

Powrócił w tamto miejsce. A jednak pozostało we wspomnieniach, podobnie jak pochylające się nad nim twarze. Nie zapomniał ich, wyryły się w mózgu. Usłyszał kolejne pytanie, powtarzane do znudzenia raz po raz, po francusku, angielsku, niemiecku. Brak odpowiedzi. Woda zalała mu usta, przęłyk, wypełniała żołądek.

Każdy haust powietrza był bólem, wydawało mu się, że ciśnienie rozrywa mu płuca. Woda raz po raz wlewana w szeroko rozwarte usta, miażdżenie palców, otwieranie ran. Znow podtapianie i coś nowego, proch na skórze, swąd palonego ciała, żrąca substancja wdzierająca się w tkankę... Po tym wszystkim kolejne podtapianie przyjmował z ulgą.

Nie pamiętał, czy coś im zdradził. Być może wymazał to z pamięci. Wydał tych czterech, którzy przedarli się wraz z nim? Powiedział o szczegółach, rozkazach, zadaniach?

Mówił coś, tak... Był pewny, że jedynie w myślach... Mówił do siebie, żeby nie zwariować, żeby odciąć się od rzeczywistości, przetrzymać ból. Ale przecież tak bardzo pragnął, by wszystko się skończyło. Złamali go?

To pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Pamiętał za to twarze tych, którzy go niszczyli. Potem po nich wrócił. Sycił się strachem w ich oczach, gdy podcinał im gardła, patroszył, łamał kości. Robił to, by uratować tych, których wydał, czy jedynie po to, by zagłuszyć własne sumienie?

Znow ból. Ostry, przeszywający ból pod żebrami. Wspomnienia pierzchy. Powrócił do rzeczywistości.

– Sprawdź mu puls...

Nie ruszał się. Usłyszał chrapliwy głos, coś przez chwilę uciskało jego szyję.

– Nic nie czuć... Nie żyje.

Niemal otworzył oczy, by udowodnić im, jak bardzo się mylą. Poczł żal, że to stwierdzenie, które przed chwilą wydostało się ust oprawcy, jest tak dalekie od prawdy. Oparzelina na szyi była rozległa, skóra stwardniała, uniemożliwiając swobodne poruszanie głową. Wycucie pulsu pod tą twardą skorupą było niemal niemożliwe.

– Zostaw. Później posprzątamy. Teraz chodźmy.

Znow chlupot wody. Oddalające się kroki. Dudnienie w czaszce.

Uniósł powieki. Mrugnął kilka razy. Wydało mu się, że stracił wzrok – kilka iskerek na siatkówce oka pojawiło się i zgasło. Dotknął boku. Szeroka rana. Ostrze ześliznęło się po skórze. Krwawił, ale obrażenie nie było poważne.

Próbował usiąść, jednak zrezygnował. Postanowił dać sobie chwilę na zebranie sił.

Przycisnął rozcięcie. Uświadomił sobie, że ma do czynienia z partaczami. Nasłuchiwał.

Tylko dudnienie. Rytmiczny huk, zbliżał się, baterie znow obrały go sobie za cel.

W końcu obrócił się na bok, podciągnął kolana. Z wysiłkiem podniósł się z wilgotnej, chropowatej podłogi.

Wysunął dłoń przed siebie. Wziął głęboki oddech i zrobił krok w ciemność. Potem kolejny. Teren obniżył się, but natrafił na wodę. Opuszkami wymacał ścianę i przylgnął do niej, jakby w nicości natrafił na jakiś punkt zaczepienia. Znow nasłuchiwał.

Wydało mu się, że oprócz dudnienia doszedł do niego szum wiatru. Nie wyczuwał go jednak na twarzy. Powietrze tu było zatechłe, wypełnione smrodem zgnilizny, stojącej wody i psujących się ziemniaków. Kiedyś słyszał o labiryncie wykutych w skale przejść i piwnic pod kłodzkim rynkiem. Nie mógł wykluczyć, że trafił właśnie tam.

Próbował sobie przypomnieć, z której stronę dobiegały oddalające się głosy mężczyzn. Musieli znać te piwnice dosyć dobrze, powiedzieli, że tu wróca.

Ruszył powoli w kierunku, w którym – jak mu się wydawało – udali się oprawcy. Gdy droga zakręcała, musiał podjąć decyzję, czy iść dalej wzdłuż ściany, czy kierować się intuicją. Oderwał plecy od chropowatej powierzchni i ruszył przed siebie, jakby miał skakać w jakąś toń, czeluść bez dna.

Doszło go echo kapania wody, raz wydawało mu się, że otacza go ogromna przestrzeń, innym razem, że przechodzi dusznym wąskim korytarzem.

Otarł pot z czoła. Zapomniał, że ma zakrwawioną dłoń, i musiał otrzeć twarz rękawem. Poczul w ustach metaliczny smak.

Przystanął. Znow nasłuchiwał. Dudnienie przyspieszyło. Gdzieś wysoko ponad nim rozległ się dźwięk przypominający uderzenia końskich kopyt o bruk. Po chwili usłyszał warkot podobny do hałasu silnika.

Minęło zaledwie parę minut jego wędrówki, ale miał wrażenie, że przebywa w ciemnościach kilka godzin. Natrafił na pustą skrzynię. Potknął się o nią i byłby upadł, gdyby nie uderzył ramieniem o kolejną ścianę. Znow ruszył przed siebie. Gdy po raz kolejny nadepnął na drewnianą skrzynię, był pewny, że drepce w kółko.

Ściana. Postanowił trzymać się ściany.

Szybko natrafił na metalową powierzchnię, wymacał klamkę. Ale mimo że ją nacisnął, nie udało mu się poruszyć ciężkich drzwi. Ruszył dalej, wciąż blisko ściany. Chwilę później poczuł, że podłoże pod nim się ugina. Przykucnął i dotknął palcami powierzchni. W momencie, w którym zdał sobie sprawę, że stoi na zbutwiałych deskach, stracił grunt pod nogami. Krzyknął głośno, spadając w cuchnącą otchłań.

*

Franz Koschella coraz bardziej nerwowo zerkał na budynek.

– Na chuj mi to wszystko?

Chciał się napić, wyżłopać kilka piw, butelkę wódki, cokolwiek, co miało procenty i mogło przynieść uczciwy pijacki ból głowy. Co sobie myślał? Co chciał osiągnąć, przystając do Kleina? Miał się poczuć lepszy, ważniejszy? Wydawał się sobie tak sprytny, a był zwykłym frajerem, chłopcem na posyłki. Łamał sobie głowę na sprawie, której nie potrafił objąć rozumem. Po co udawał? Powinien trzymać się tego, co miał, a zachciało mu się zdobywać świat. Ten natłok myśli wcale mu się nie

podobał. Powoli dochodziło do niego, że stając murem za Kleinem, popełnił największą głupotę w życiu.

Podobnych dylematów nie miał do tej pory wiele. Działał instynktownie i najczęściej takie podejście okazywało się najlepsze. Tym razem jednak miał wrażenie, że coś go uwiera, tkwi w ciele niczym jątrząca się drzazga, której nie sposób wyciągnąć. Takie rany dezynfekowała do tej pory woda, bez niej czuł się tak, jakby jego ciało zaczynała toczyć gangrena.

– Zlituj się, Franz – wymamrotał do siebie. – Idź, chlapij sobie. Rozjaśni ci się we łbie.

Zacisnął szczęki tak mocno, że ukruszył mu się ząb. Splunął w ciemność. Wszyscy mieli w dupie Franza i jego rozterki. Pilnowali swojego i wyśmiewali głupotę wachmistrza Koschelli, który tak nagle sporządniał. Dlaczego się podłożył na własne życzenie? On też powinien pierdzieć w stołek, wykonywać zadania i siedzieć cicho. Miał żonę i syna, dwie gęby do wykarmienia. O czym myślał? Kierował się chorobliwą ambicją i pychą. Ani jedną, ani drugą nie było jak się wyżywić.

– Jasna cholera!

Telepało nim z zimna, braku wódki i nerwów.

Teraz, pod nocnym kwietniowym niebem, docierało do niego, że Klein go wykorzystał. Wsączył jad w jego umysł. Wiedział, który z czułych punktów nacisnąć, by zagrać na emocjach. Podszedł go jak bezbronnego dzieciaka.

Wszystko się posypało. Być może Klein był jeszcze dalej od rozwiązania sprawy niż w dniu przyjazdu do Kłodzka.

Czterdziestka na karku, warto było ryzykować?

Komisarz Richter lada dzień dobierze się do Kleina, nie pomogą kapitanowi nawet koneksje, bliska znajomość z burmistrzem. A kto będzie następny do odstrzału? W kolejce posłusznie ustawił się przecież Franz. Jak jakieś ciele idące na rzeź. Pokażą mu jego miejsce, zniszczą, wyrzucą na zbity pysk.

I co wtedy? Czy będzie w stanie robić w życiu cokolwiek innego?

Te morderstwa. Koschellę męczyło coś jeszcze. A mianowicie fakt, że w jego mieście rozpanoszył się morderca. Był zupełnie bezkarny, bezczelny, tą bezczelnością, która burzyła krew w żyłach. Franz wiedział, że jeśli zostanie odsunięty od sprawy, nigdy nie dorwie tego skurwysyna.

Tak, teraz Franz przypomniał sobie, dlaczego przystał do Kleina. Wierzył, że dzięki niemu dorwą tego degenerata...

Tam w Hotelu Dworcowym, gdy weszli do pokoju czeskiego dyplomaty, z niczym się nie zdradził. A przecież znał Svobodę. Pamiętał tego czeskiego grubaska. Dręczył z kolegami małego, tłustego wieprzka niezliczoną ilość razy. Karel mieszkał przy Böhmische Strasse, tej samej, przy której urodził się Franz. Oczywiście w zamożniejszej kamienicy, na wyższym piętrze, gdzie jego rodzice połączyli kilka mieszkań. Chłopak był lepiej ubrany, lepiej się wysławiał. Dręczyli go wszyscy, co

do jednego. Franz nie miał wyrzutów sumienia. Ten okrągły rumiany pajac sam się o to prosił.

Wracając ze szkoły, Svoboda zawsze przemykał ulicą niczym szczur, kryjąc się w bramach i podcieniach kamienic. Zapewne modlił się wieczorami, żeby posiadać dar niewidzialności. Jego Bóg jednak nie miał zamiaru go wysłuchać. Franz i wszyscy inni doskonale widzieli tłuściocha. Wystarczał moment, by go dorwać, złapać za kołnierz i jego czystymi portkami wyszorować podwórko i schody.

Dlaczego to robili? Sprawa prosta – bo mogli. Bo się przyzwyczaili. Co dzień wyglądali grubasa jak prezentu na święta. Dostarczał im rozrywki.

Karel nie zawsze dostawał w skórę. Franz szybko się zorientował, że chłopak ma specjalny dar. Gdy pozwalało mu się otworzyć gębę, wszystko obracał w żart, kpił z siebie, z sytuacji, rozbawiając ich do łez. Wtedy mu odpuszczali, a on z radosnym chrumkaniem, szczęśliwy, że mu się upiekło, wracał pędem do domu. Dlatego często zatykali mu usta, by nie gadał.

Franz wiedział, że Svoboda jest inteligentniejszy od nich. Gdyby naprawdę chciał, pewnie udawałoby mu się częściej unikać prześladowania przez wyrostków z Böhmsche Strasse. Franz długo się zastanawiał, dlaczego grubas tego nie robi. Po jakimś czasie zrozumiał. Karel nie chciał uciekać. On też się przyzwyczaił. To była jedyna rozrywka w jego nudnym życiu.

Traktowali go jak śmiecia, nie był dla nich wart złamanego feniga. Ale to Svoboda, ten mały, gruby wieprzek osiągnął w życiu więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

Franz znalazł pracę w policji. A jego kumple z podwórka... Cóż, większość z tych, którzy męczyli Karela, którym wydawało się, że są panami świata i życia, nie dożyła czterdziestki. Franz widywał ich w bramach kamienic, widział ich zapijaczone napuchnięte mordy. Nie mieli pracy, rodzin, niczego. Tym się od nich różnił. Przemykali od bramy do bramy, chcieli być niewidzialni, zupełnie jak tłuścioch Karel.

Svoboda opuścił Kłodzko z rodzicami. Wyjechali do brata ojca, do Pragi. Tam Karel ukończył szkoły, uniwersytety, zaczął pracę dla rządu. A Franz jak dziś pamiętał tamten dzień, gdy świniaka widział po raz ostatni. Svoboda poczekał, aż skończą go dręczyć, potem oznajmił, że robią to po raz ostatni. Że gdy wróci jeszcze kiedyś do Kłodzka, to się na nich zemści.

Wszyscy wzięli to za kolejny żart czeskiego grubaska. Ale on wcale się nie uśmiechał. Po raz pierwszy był śmiertelnie poważny.

Obok Franza przejechała pusta dorożka. Przemarznięty fiakier wracał do domu. Po chwili od strony Dolnego Rynku nadszedła kolejna. Na pace widać było Jürgena Rotha.

Asystent policyjny zapłacił za przejazd i ruszył w stronę drzwi ratusza. Rozejrzał się dopiero przed schodami prowadzącymi do gmachu. Koschella dał mu dyskretny sygnał. Młody asystent policyjny skinął głową i ruszył w stronę kolegi.

Wycie wiatru wzmogło się. Koschella przez chwilę miał wrażenie, że tym razem potępiénce zawodzenie dobiegło gdzieś spod ziemi. Odgłos do złudzenia przypominał ludzki krzyk. Usłyszawszy go, pies nagle zaczął szczekać.

– Muszę się widzieć z kapitanem. – Roth stanął przed wachmistrzem. Był blady, wyglądał na wyczerpanego. – Mam coś ważnego.

– To będziesz musiał poczekać. Klein bawi u Herty. – Koschella wskazał kamienicę. Obserwował Jürgena. Na twarzy chłopaka pojawił się jakiś cień, ale nie był to wyraz zakłopotania. – Mów, co masz?

– Właśnie nie do końca wiem...

– Przestań pieprzyć, Roth, widzę, że czegoś się dowiedziałeś.

W tej chwili przytłumiony okrzyk się powtórzył. Koschella spojrział na Rotha, nie będąc pewnym, czy jako jedyny ma omamy słuchowe, ale i Jürgen wydał się nagle niespokojny. Obaj spojrzeli w stronę pierzei północnej, na narożną kamienicę przy wychodzącej z rynku Frankensteiner Strasse. Coś poruszyło się za witryną sklepu Maxa Weigmanna. Za szybą zamajaczyła blada postać.

– Co jest? – Roth spojrział niepewnie na Franza.

Wachmistrz nie odpowiedział. Poczuł, jak pies niemal wrywa mu rękę ze stawu, i łapiąc równowagę, zdał sobie sprawę, że biegnie w stronę kamienicy.

Rozległ się trzask drewnianych drzwi. Koschella zatrzymał się przy schodkach, patrząc na zjawę w progu, wokół której unosiła się chmura pyłu. Stanął jak wryty, z trudem rozpoznając pokrytego brunatnymi smugami i kurzem kapitana Kleina.

– Jak pan tutaj...?

Wilhelm energicznie popchnął odrzwia i wyszedł ze sklepu. Odkaszlnął, wzbijając w górę kolejną chmurę pyłu.

– Franz... Wchodzimy do burdelu jeszcze raz... – wychrypiał Klein.

– Co się stało? – Roth stanął obok Koschelli, wpatrując się w kapitana. Opuchnięta kość policzkowa, pęknięty łuk brwiowy. Pod płaszczem przesiąknięta krwią koszula. – Jest pan ranny!

– Nic mi nie jest. Nadepnęliśmy na właściwy odcisk. Jürgen, szybki raport ze spotkania z kapitanem Metzem...

– Trzech dezertów, skazanych. Mieli zostać powieszani w Forcie na Owczej Górze. Jednym z nich był Wildstein. Mam nowe nazwisko, Willi Betz. Kapitanie, pojawił się wątek jego dziewczyny. Rzuciła się pod pociąg, gdy dowiedziała się o egzekucji... Jeśli założymy, że ci trzej za tym wszystkim stoją, to być może Betz dodatkowo mści się za jej śmierć. To jakiś motyw...

– Czy Metz może nam pomóc w uzyskaniu informacji o tych dezertach?

– Tutejsze archiwa wymiotło. Porucznik użył swoich wpływów. Podobno jest coś w Berlinie. Teczki i, miejmy nadzieję, zdjęcia tych ludzi będą rano w Kłodzku.

– Coś jeszcze?

– Kapitan Metz przycisnął porucznika Knauera z Twierdzy Głównej. Jedynie on pozostał na stanowisku ze starej obsady twierdzy. Wydaje się, że stary cap nie łączy

pierwszej ofiary z pozostałymi zabójstwami.

– Dlaczego? – zdziwił się Franz.

– Podobno Peschke rozmawiał z Knauerem przed śmiercią. Wypytywał o tych dezertarów. Można odnieść wrażenie, że prowadził prywatne śledztwo w tej sprawie.

Obaj popatrzyli na Kleina. Ten sprawiał wrażenie, jakby wieści niemal zupełnie go nie obeszły.

– Dziękuję, Jürgen – powiedział, po czym wskazał kamienicę przy hotelu Nowy Wrocław. – Być może tam znajdziemy kilka odpowiedzi. Zostaniesz tutaj, przypilnujesz wyjścia z burdelu. Jeśli opuści go madame Herta lub jej ludzie, dokonasz zatrzymania.

– Może wezwę posiłki z ratusza?

– Masz dwie minuty, potem obstawcie wyjście. Weź ze sobą Florę.

Gdy Roth z suką ruszyli biegiem w stronę ratusza, Klein przeniósł wzrok na Koschellę.

– Franz. Wiesz, co masz robić.

– Mam wolną rękę?

– Tak, nawet dwie.

Koschella się wyszczerzył. Rozterki, które miał jeszcze kilka minut temu, zupełnie zniknęły.

– Jestem gotowy – oznajmił.

Wyciągnął z kieszeni marynarki kastet, podobny podał Kleinowi.

Ten skinął głową, włożył palce w otwory i zacisnął pięść. Ruszyli w stronę bramy.

*

Drzwi poddały się po pierwszym kopniaku. Franz uderzył na wysokości zamka. Ochroniarz ruszył w jego kierunku, ale Koschella był szybszy. Poczł euforię, to uczucie rozsadało go od wewnątrz, zupełnie jakby ktoś wstrzyknął mu narkotyk. Czas zwolnił, a on nad nim panował. Zanurkował pod obszernym sierpowym i uginając kolana, uderzył przeciwnika w wątrobę. Włożył w to całą moc pochodzącą z obrotu, wygięcia ciała i lewej nogi. Pięść uzbrojona w kastet dosięgła celu. Mężczyzna przechylił się na bok, opuścił ręce. Koschella wyprostował się, przeniósł ciężar na prawą nogę i uderzył w odsłoniętą szczękę. Poczł zawód, widząc, że ochroniarz zwała się jak kłoda na szatnianej kontuar, a potem osuwa po nim niczym truchło.

– Dzień dobry, Ines. To ponownie ja, do madame Herty.

Franz spostrzegł, że dziewczyna uśmiecha się do Kleina. Nie wyglądała na przerażoną. Posłała całusa kapitanowi i wskazała boczne drzwi, a potem uniosła dwa palce.

– Dziękuję. – Klein uklonił się i skinął na wachmistrza.

Znaleźli się na schodach. Franz wyciągnął broń. Ruszył pierwszy, wychylając się ostrożnie, by sprawdzić, czy na półpiętrze nie ma zagrożenia. Klein szedł za nim w ciszy, spokojny i uważny.

– Ten strażnik... ten z kwadratową szczęką...

– Helmut. – Franz nie miał wątpliwości, że chodzi o najbliższego współpracownika Herty, z którym łączyły burdelmamę stosunki nie tylko pracownicze. – Wzięła go z cyrku, dosłownie. Wyginał żelazne sztaby, jakby były z masła. Spodobało jej się to i go podkupiła.

– No więc Helmut. Zostawisz go mnie.

Koschella bez przekonania skinął głową. Klein prezentował się wyjątkowo nędznie, nikt rozsądny nie postawiłby feniga na to, że wytrzyma w ringu z Helmutem choćby dziesięć sekund.

– Idź, Franz...

Dotarli na drugie piętro, wymijając kilku gości. Franz szarpnął drzwi i wystawił przed siebie broń. Nie zdążył jej jednak użyć. Zobaczył czyjaś pięść nadlatującą w stronę nosa, a potem poczuł, jak uderza potylicą o framugę. Osunął się na podłogę.

Oczy zaszyły mu łzami, zachłysnął się krwią, która buchnęła z nosa. Cudem nie stracił przytomności. Obok niego błyskawicznie przesunął się blady cień. Zanurkował pod ogromnymi łapskami Helmuta.

Koschella próbował się podnieść, ale korytarz zawirował mu w głowie.

– Kurwa!

Poruszając się na czworakach, macał nerwowo dywan, szukając broni, która wypadła mu z rąk.

Spojrzał do góry. I zastygł, nie wierząc w to, co widzi.

Helmut w furii uderzał swoim cielskiem o ściany, próbując zrzucić uczeponego jego pleców i głowy Kleina. Kapitan przylgnął do karku olbrzyma niczym blada pluskwa, przy tym nogami unieruchomił jedną z jego rąk. Na czole Helmuta nabrzmiały żyły, ochroniarz wytrzeszczył oczy, wydając z siebie urywany ryk. Znów uderzył bokiem w ścianę, aż posypał się tynk. Klein jednak zwinnie okręcał się z lewej na prawą, unikając zmiążdżenia.

Nareszcie Franz odzyskał całkowitą ostrość widzenia. Dostrzegł swoją broń. Jakimś sposobem, być może kopnięta przez walczących, znalazła się na drugim końcu korytarza. Odgradzali go od niej walczący.

Helmut pochylił głowę i rycząc jeszcze głośniejszym głosem, próbował się rozpędzić, by uderzyć w ścianę na wprost, tak by ucierpiał uczepony jego pleców i szyi Klein. Wydawało się, że jego rozpaczliwy wysiłek przyniesie skutek, ale tuż przed zderzeniem kapitan ponownie okazał się szybszy, a ochroniarz staranował ścianę własną czaszką.

Koschella mylił się, sądząc, że to już koniec. Helmut z twarzą zalaną krwią wyglądał upiornie. Wyprostował się, a potem runął na plecy, przygniatając Kleina do podłogi. Zaczął uderzać tyłem głowy w twarz kapitana.

Franz zwalczył słabość. Wstał. Rozpędził się z zamiarem kopnięcia Helmuta w splot słoneczny, ale w tym momencie drzwi na końcu korytarza się otworzyły. Stała w nich Herta. W wyciągniętej dłoni trzymała rewolwer.

– Wystarczy! – oznajmiła zadziwiająco spokojnym głosem. – Zapraszam obu panów do siebie.

Zniknęła w pomieszczeniu, zostawiając zdumionych mężczyzn, którzy, wciąż w bezruchu, wpatrywali się w drzwi.

Helmut zwłóknął się z Kleina i oparł o ścianę. Mocno ucierpiał. Wystające jak u neandertalczyka łuki nadoczodołowe jakby zapadły się w głąb czaszki, szeroki nos zmienił się w krwawą miazgę. Mimo to ochroniarz wciąż szczyrzył zęby.

– I tak byłeś paskudny – powiedział Franz, wymijając go.

Zanim wszedł do gabinetu madame Herty, schylił się po swoją broń. Klein zdołał się podnieść i poczłapał za nim.

Po chwili siedzieli w fotelach naprzeciw sześćdziesięcioletniej kobiety, której twarz przypominała wachmistrzowi zasuszoną rodzynekę. Herta była chuda jak szkielet, zmieniła się mocno w ciągu kilku ostatnich lat. Koschella z rozrzewnieniem przywołał czasy, kiedy ledwo mieściła się w drzwiach, a jej dupsko przyczyniło się do śmierci niejednego sprzętu użytkowego. Słyszała z ogromnych cycków, którymi rozbijała orzechy i głowy adoratorów. Teraz po tamtych atutach zostało jedynie wspomnienie i fałdy obwisłej skóry. Jakiś czas temu do Koschelli dotarły informacje, że burdelmamę zżera jakieś choróbko. Herta podobno nie przyjmowała do wiadomości, że jest nieuleczalnie chora, co rusz sprowadzała z Wrocławia i Berlina nowych magików, którzy leczyli ją za pomocą kosmicznej energii i eliksirów z kłów tygrysa bengalskiego. Na oko Franza miała przed sobą nie więcej niż kilka miesięcy życia.

– Co panów do mnie sprowadza? – Kobieta wyprostowała się i nachyliła nad biurkiem. Być może gest ten miał być zalotny, odniosła jednak przeciwny efekt do zamierzonego. Głos Herty przypominał szelest zeschniętych liści. Przyprawiał o ciarki, tak jak jej nieruchome spojrzenie, które utkwiała w kapitanie Kleinie.

– Zdrajcy ojczyzny...

Koschelli wydawało się, że się przesłyszał. Z trudem oderwał wzrok od wychudłej twarzy kobiety i przeniósł go na przełożonego.

– Zdrajcy ojczyzny. – Kobieta pobladła. – Dlaczego użył pan właśnie tego określenia? Dlaczego kieruje je pan do mnie?

Franz nie rozumiał, po co Kleinowi jakieś zagadki. Miał Hertę jak na tacy, jeśli chciał z niej coś wyciągnąć powinien ją przycisnąć.

– Spotkałam się już z tym określeniem, panie kapitanie – wypowiadała słowa powoli, nie spuszczać wzroku z Kleina. – Dla zdrajców ojczyzny miał być zarezerwowany dziewiąty krąg piekła, prawda?

– Niech pani mi to powie. Czy taki dziewiąty krąg piekła można komuś zgotować za życia?

Sięgnęła po papierosa. Przez chwilę wydawało się, że czeka, aż któryś z mężczyzn usłuży jej ogniem, ale w końcu sama użyła ustawionej na stole zapalniczki.

– Rok temu dostałam propozycję... Propozycję nie do odrzucenia. Pojawił się w tym gabinecie przedstawiciel inwestora, który wyłożył potężną sumę na renowację budynku. Postawił jednak kilka warunków, poinformował mnie o tym, jaka będzie moja rola i jak będzie funkcjonować to miejsce.

– Jakie to warunki? – zapytał Klein.

– Miałam nigdy nie dociekać, kim jest mój sponsor, oraz oddać do jego dyspozycji...

– Dziewiąty krąg piekła – dokończył kapitan.

– Tak. – Herta strzepnęła popiół do popielniczki. – Dziewiąty krąg piekła dla tych, którzy mieli specjalne zaproszenie. Miejsce, do którego nie miałam wstępu nawet ja...

– Kim był inwestor? – włączył się Franz.

– Początkowo nie wiedziałam. – Popatrzyła na Koschellę. W jej oczach widać było zmęczenie. Nie miała potrzeby kłamać; Franz uznał, że ta kobieta już niczego się nie boi. – Staralam się zaspokoić ciekawość. Wysłałam za nim Helmuta. Za pierwszym razem dotarł za nim do Berlina, tam zgubił trop. Za drugim razem do Paryża... za trzecim do Wiednia.

Koschella popatrzył na Kleina. Kapitan siedział nieruchomo, nie było widać, czy słowa Herty zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie.

– Nie posłuchała pani rad inwestora.

– Kobięca ciekawość... – Herta zaciągnęła się dymem. Zaraz zakaszła. W płucach odezwał się paskudny świst. – Osobne wejście do piwnic. Tam urządzili pokoje dla siebie. Pederasci z pewnymi upodobaniami.

– Jakimi?

– Zadawanie bólu... rozkosz czerpana z poniżania innych. Władza nad drugim człowiekiem. Zezwierzęcenie, którego nigdy nie akceptowałam.

– W końcu jednak pani zaakceptowała – wtrącił chłodno Franz.

– Nie miałam wyboru. Szybko udowodniono mi, że ten lub ci, którzy za tym stoją, mają nieograniczone środki i władzę.

– Dlaczego nie przyszła pani z tym do nas?

Zaczęła się śmiać. Przez dłuższą chwilę nie mogła się uspokoić.

– Myśli pan, że ich macki nie sięgały dalej? Żandarmeria, policja? Wszystko działa się tu, pod nosem ratusza! – Ciałem Herty wstrząsnął kaszel.

– Kto tam przychodził? – zapytał Klein, gdy znów była w stanie mówić.

– Wie pan kto. Dlatego dotarł pan do mnie, kapitanie.

Klein nie odpowiedział, a Franz wstrzymał oddech.

– Chcę to usłyszeć od pani.

– Beier i Dinter, podejrzewam, że przez jakiś czas sędzia Wiese... Wiele razy wcześniej próbowali mnie przekonać, bym zatrudniła chłopców dla takich jak oni...

Beier zaproponował mi pożyczkę z banku w ramach zapłaty za moją współpracę i milczenie. Pożyczkę, której nie musiałam zwracać, była spłacana za mnie. To przemawiało za wersją, że oni za tym wszystkim stoją. Sprowadzali tu różnych ludzi, którzy pewnie mieli podobne upodobania. Wkrótce jednak doszłam do wniosku, że znaleźli bogatego sponsora, bo pojawiło się jeszcze więcej pieniędzy, już nie bankowych.

– Kim był ten bogaty sponsor?

– Tego nie wiem. Beier jednak przestał zaciągać pożyczki w banku, a te które miał, spłacił za jednym zamachem. Chyba w samą porę, bo Winter zaczął się nim interesować.

Koschella zaklął pod nosem. Postanowił, że z dyrektorem Banku Rzeszy jeszcze się rozmówi.

– Wróćmy do określenia „zdrajcy ojczyzny” – powiedział Klein. – Dlaczego panią tak poruszyły?

Franz znów zmarszczył brwi, przezornie jednak milczał.

– Na te słowa natknęłam się przypadkiem...

– Proszę opowiedzieć.

– Wejścia do piwnic pilnowało zawsze na zmianę dwóch ludzi. To oni wpuszczali i wypuszczali klientów. Czasem słyszałam krzyki dobiegające z dołu, choć zapewne ściany były wygłuszone... Przeżyłam wiele, wiele widziałam i słyszałam w swoim życiu. Lecz to, co działo się tam – Herta wskazała palcem w dół, w stronę podłogi – musiało być czymś bestialskim, nieludzkim...

Franz znów chciał coś wtrącić, ale wyczuł na sobie karcący wzrok Kleina.

– Raz hałasy były o wiele głośniejsze niż zwykle. Jeżył się od nich włos na głowie. Musieliśmy wyprosić pozostałych klientów... Razem z Helmutem zesłaliśmy do piwnic. Drzwi były otwarte, całe zakrwawione. W progu leżał trup strażnika...

Mężczyźni milczeli. Wiedzieli, że Herta musi pozbierać myśli.

– Weszliśmy do środka... wszystko tonęło we krwi. Drugi ze strażników został zamęczony w sposób.... To wyglądało jak pokój tortur. Nie wiem, co się tam stało i dlaczego...

Franz przełknął ślinę. Nie był w stanie się odezwać.

– Na ścianie był napis. Wymalowany krwią. „Zdrajcy ojczyzny”... miejsce dla zdrajców ojczyzny.

– Co zrobiliście z ciałami ochroniarzy? – Franz w końcu przemógł niemoc w głosie.

– Helmut je wywiózł i zakopał gdzieś w lesie...

– Kapitana Kleina też miał tam zakopać? – zapytał ostro.

– Stara się mnie chronić najlepiej, jak umie. – Herta zgasła papierosa. – Popęłnił błąd... każdy z nas je popełnia. Będziemy je teraz roztrząsać, czy chcecie, panowie, zobaczyć piwnicę.

Klein skinął głową.

– Chcemy zobaczyć piwnicę – potwierdził.

– Zapraszam więc. – Herta wstała i ruszyła w stronę drzwi. Próbowwała kołysać biodrami, ale Franz uznał, że trudno kołysać czymś, czego się nie ma.

W korytarzu czekał Helmut. Jakimś cudem doprowadził się do porządku – wyglądał o niebo lepiej niż Franz i kapitan Klein. Na jego garniturze nie było nawet pyłku, a nos, mimo że nieco zaczerwieniony, wydawał się w jak najlepszym porządku. Musiał go sobie sam nastawić.

*

Klein wszedł do piwnicy pierwszy. Pomieszczenie, w którym się znalazł, w niczym nie przypominało zatęchłej nory typowej dla czynszówek. Tutaj każdy szczegół wystroju świadczył o wyszukanej guście dekoratora. Kryształowe żyrandole, lustra w złożonych ramach, drogie meble, na których lśniły kryształowe karafki i kieliszki. Barek z drogimi trunkami, kanapa z poduchami obszytymi drogą tkaniną. Nie było nawet śladu krwi, o której wspominała Herta. Ten, komu zleciła sprzątnięcie piwnicy, wywiązał się z zadania doskonale.

Z głównego, owalnego pomieszczenia było widać kilka przejść do bocznych salek. Kapitan ruszył w stronę jednej z nich i odciągnął aksamitną kurtynę.

Franz znalazł się tuż obok niego. Głośno wypuścił powietrze.

Kolejne salki urządzone były podobnie: pośrodku stało łóżko wyposażone w mocne skórzane pasy, przy ścianach – drewniane konstrukcje w kształcie litery X. Do desek przymocowano łańcuchy i kajdany. Poniżej w otwartych skrzyniach widać było narzędzia, których sposobu użycia Koschella nie do końca był w stanie sobie wyobrazić.

Gdy kapitan podchodził do drewnianych konstrukcji i przyglądał się kajdanom, wachmistrz wciąż powtarzał te same słowa:

– To nie burdel, to sale tortur!

W końcu wrócili do Herty, która czekała na nich w owalnej salce, jakby potrzebowała pewności, że jest wystarczająco blisko drzwi wejściowych. Ochroniarz stojący obok niej patrzył na wszystko z obojętnością.

– Wiedziała pani, co się tutaj dzieje – odezwał się Klein.

Nie odwróciła wzroku. Po chwili skinęła głową.

– Domyśliłam się. Ochroniarze musieli kogoś pilnować... Kogoś, kto nie wychodził stąd przez długie miesiące.

– Więziono, torturowano i wykorzystywano tu ludzi! – Franz ruszył w stronę Herty z zaciśniętymi pięściami. Ochroniarz madame ostrzegawczo uniośł dłoń, ale to gest Kleina osadził wachmistrza w miejscu.

– Ilu ich było?

– Przynajmniej trójka – odpowiedziała kobieta.

– Skąd ona zna tyle szczegółów?! – Franz podniósł głos. – Musiała wiedzieć wszystko od początku! Maczałaś w tym palce, wiedzmo?

– Wiadra – powiedział spokojnie Klein. – Przy każdym z łóżek było wiadro...

Herta skinęła głową.

– Strażnicy opróżniali je dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Korzystali z naszej wygodki na parterze.

Koschella zacisnął szczęki. Zdał sobie sprawę, że wściekłość odbiera mu umiejętność analitycznego myślenia.

– Nie wiedziałam, co im robili... dopiero gdy zeszłam tu z Helmutem, wszystko do mnie dotarło. Uwolnili się przynajmniej i odpłacili oprawcom. Tym, którzy ich tu trzymali, i tym, którzy... którzy ich wykorzystywali.

– Czy pozostało coś, co może nam pomóc w identyfikacji trzymanyh tutaj ludzi?

Herta skinęła głową i popatrzyła na Helmuta.

Ten podszedł do jednego z mebli i otworzył szufladę. Wyciągnął z niej łańcuchy, które rzucił pod nogi Koschelli.

Franz nawet się nie schylił, żeby je podnieść. Rozpoznał ubrania leżące na podłodze. Wątpliwy przywilej noszenia tych uniformów mieli osadzeni w kłodzkiej twierdzy.

*

Roth, Franz i kapitan Klein siedzieli przy stole w jednym z pokoi ratusza, do którego klucze dostali od woźnego. Jürgen wiedział już, co wydarzyło się w kamienicy madame Herty. Klein wysłał do burdelu kilku wachmistrzów. O wszystkim powiadomiono także komisarza Richtera.

– Musimy czekać do rana, kapitan Metz nie będzie w stanie tego przyspieszyć... Ale wiemy przynajmniej, kim są mordercy. Jeśli było trzech, a jeden nie żyje...

– Świetny musiałeś być z arytmetyki w szkole, Jürgen. – Franz skrzywił się, zabębnił palcami w blat stołu. – Z powołaniem się minąłeś. Trzeba było, zamiast iść na policjanta, próbować sił w przemyśle, drzewnym na przykład. Umysł masz ostry jak piła w tartaku...

– Chcę ich po prostu dorwać! – Roth poczerwieniał. – Mam nadzieję, że pan też, wachmistrzu.

Koschella uniósł się na krześle.

– Dostyc. – Klein powstrzymał obu ruchem dłoni. – Zbierzmy, co mamy.

– Mamy trzech dezertów – wyrwał się Roth, zapewne próbując udowodnić sobie i innym, że z powołaniem się nie minął. – Skazani na śmierć uniknęli egzekucji, choć oficjalnie zostali straceni. Mimo że uniknęli stryczka...

– Albo kulki w łeb – wtrącił Franz.

– Stryczka – upierał się Roth – trafili z deszczu pod rynnę. Zostali uwięzieni w piwnicach burdelu madame Herty. Byli tam torturowani i...

– I zmuszani do sodomii, Jürgen – dokończył Koschella, słysząc wahanie asystenta policyjnego.

– Tak – potwierdził asystent. – Stamtąd udało im się uciec. Zabili ochroniarzy. Przyczaili się gdzieś... i mszczą się na tych, którzy mieli coś wspólnego z ich pohańbieniem. Druga ich ofiara, rajca Dinter, i trzecia bankier... Rajca miał uciętą rękę. Wydarzenia, które zrekonstruowaliśmy, wyjaśniają dlaczego. Bankier miał na sobie łańcuch, taki jak ten z twierdzy...

Roth wziął głębszy oddech. Tym razem jednak nikt mu nie przerywał. Nawet Franz, mimo skwaszonej miny, czekał, co ma do powiedzenia.

– Czwarta ofiara. Sędzia Wiese. On doprowadził do ich skazania... Major Schneider z żandarmerii najprawdopodobniej o wszystkim wiedział, był w to zamieszany. To on ukrył dokumenty dezertków. Musiał wiedzieć, że egzekucji nie było... pewnie wiedział też, co stało się ze skazańcami.

– Wszystko pięknie. Ale co z zaginięciem Langer i Svobody? – zapytał szorstko Franz. – Co z tymi całym cholernymi kodami, Gwiazdą Dawida, masonskimi trójkątami i swastyką?

– Być może dla rozgłosu, jak sugerował kapitan Klein, a może po prostu dla zmyłki – zaproponował Roth. – Zrobili to, by odwrócić od siebie uwagę. A może, żeby ułatwić sobie ucieczkę. Jeśli dokonali już swojej zemsty, nie mają czego tu więcej szukać. Na ich miejscu uciekłbym stąd jak najdalej. Zaangażowali nas w poszukiwania Svobody i Langer. Postawili na nogi całą kłódkę policję. Przypuszczam, że zamknęli ich gdzieś i lada chwila obu znajdziemy całych i zdrowych. Zrobili to tylko po to, żeby odwrócić naszą uwagę od swojej ucieczki... Svoboda i Langer nie mają nic wspólnego z pohańbieniem tych dezertków...

Franz pokręcił głową.

– Co pan o tym myśli, kapitanie?

Wilhelm popatrzył kolejno na każdego ze współpracowników.

– Obaj macie rację – powiedział.

Roth i Koschella wymienili spojrzenia.

– Sprawa trzech dezertków wyglądała najprawdopodobniej tak, jak opisał ją Jürgen. Jednak nie jest jeszcze rozwiązana.

– Mówiłem? – Franz zwrócił się do Rotha mentorskim tonem. – Jest jeszcze pierwsza ofiara, Roth. Jakoś unikasz tematu, który nie pasuje do twojej zakichanej koncepcji. Popatrz na pierwsze morderstwo. Major Peschke rzeczywiście mógł prowadzić prywatne śledztwo w sprawie dezertków. Ale po co mieliby go zabijać? Bo dążył do poznania prawdy? Bo najpewniej chciał im pomóc?

Jürgen popatrzył na Kleina, zawahał się. W końcu jednak zaczął mówić.

– Major Peschke został zabity przez snajpera. Najprawdopodobniej przez wojskowego. Nie wiem też, czy to, że odkrył prawdę, byłoby dezertkom na rękę. Wyszłoby na jaw, że uniknęli śmierci, a co gorsza, że zostali... pohańbieni. Założę się, że i tak wróciliby przed pluton. Ich oprawcy pewnie uniknęliby kary, wszystko

rozeszłoby się po kościach... Zemsta była dla nich ważniejsza. A Peschke stanął im na drodze. Ujawniłby sprawę i utrudnił realizację planu.

Franz przestał bębnić palcami blat.

– Może nie jesteś taki głupi, Roth... – odezwał się wreszcie. – Ale wyjaśnienie wykorzystania symboliki wciąż jest naciągane.

– Ta firma, Franz – Klein przerwał ich rozważania, zwracając się do Koschelli. – Miałeś sobie przypomnieć nazwę tej firmy, która zainwestowała w kamienicę madame Herty.

– Zaraz... Gammadion. – Koschella potarł czoło, jakby chciał pobudzić komórki mózgowe. – Ale nie było tam żadnych informacji o tym, kto ją założył. Myśli szef, że to o tej firmie wspomniała Herta? To Gammadion wspierał Dintera i Beiera?

Kapitan przerwał mu ruchem dłoni.

– Wyciągniesz z domu dyrektora banku, Koschella – oznajmił. – Wrócisz do ich archiwum. Postaracie się znaleźć powiązania z tą firmą.

Franz skinął głową.

– Roth, czy komisarz Richter wciąż ma pod obserwacją potencjalne miejsca kolejnych morderstw?

– Nie wiem tego, kapitanie.

– Dowiesz się. Upewnisz się także, że komisarz ma pełną informację co do ostatnich wydarzeń. Wracam do hotelu, muszę się przebrać. Za godzinę wszyscy widzimy się tutaj.

– Tak jest. – Roth wstał z krzesła i wyprężył się jak żołnierz na służbie.

– Za godzinę – potwierdził Koschella i także wstał od stołu.

Gdy obaj wyszli, Klein podszedł do okna. Popatrzył na widoczny stąd budynek, w którym byli zaledwie kwadrans wcześniej. Następnie wyszedł z pokoju i ruszył w stronę Hotelu Dworcowego.

*

Światła latarni odbijały się w witrynach sklepów. Miasto zdawało się wymarłe, choć Klein wiedział, że w tej chwili kilkadziesiąt osób, policjantów i współpracowników policji, poszukuje dwóch dezertów, którzy dokonali bestialskich morderstw. Dla wielu sprawa była jasna, komisarz Richter zapewne nie mógł się doczekać odtrąbienia jej finału. Morderców zidentyfikowano, policja nie błędziła już jak we mgle. Teraz należało ich za wszelką cenę schwytać.

Gammadion. Cztery złożone w krzyż litery Gamma. Symbolika, o którą wypytywał Franz młodego Rotha. Pierwsze morderstwo niepasujące motywami do kolejnych ofiar. Ten i następne fakty, które wymagały uwagi i znalezienia na nie odpowiedzi. Klein miał na to inny pogląd niż jego współpracownicy. Ktoś próbował się z nim komunikować. Prowadził brawurowo niebezpieczną grę. Czy na pewno tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę i umożliwić ucieczkę mordercom? A może

wręcz przeciwnie. Może od początku chodziło o to, by Klein podążał za wskazówkami aż do wielkiego finału. Finału, który miał być na tyle głośny, by odbił się echem w kraju i za granicą.

Była to gra, na tyle skomplikowana, że kapitan nie wierzył, że stoją za nią trzech młodzi dezenterzy.

Gdy wkraczał do hotelu skinieniem głowy przywitał go stary recepcjonista. Klein pozdrowił go uniesieniem dłoni. Dotarłszy na górę, gwałtownie przystanął przed uchylonymi drzwiami do swojego apartamentu.

Obszukał kieszenie w poszukiwaniu broni, ale odnalazł jedynie kastet – pistolet, który otrzymał od Koschelli, został u madame Herty. Nałożył szpadrynę na pięść i ostrożnie uchylił drzwi.

Ślady wskazywały na to, że doszło tu do szamotaniny. Wszedł do środka i znieruchomiał. Serce załomotało mu w piersi, ale zaraz uspokoiło się, gdy umysł zaczął analizować sytuację.

Agnes natknęła się na napastników, gdy wychodziła ze swojego pokoju. Jej kapelusz upadł na podłogę w korytarzyku. Zaskoczyli ją. Dopiero gdy odciągnęli ją w stronę drzwi, zaczęła walczyć. Musiała złapać narzutę z jego łóżka. Przeciągnęła ją aż pod biurko. Tutaj jeden z napastników potknął się o krzesło, przewrócił je i wpadł na ciężki mebel, zrzucając lampkę i stos zdjęć leżących na blacie. Walka zakończyła się chwilę później. Ci, którzy tu byli, opuścili pokój wraz z Agnes.

Zdjęcia. Klein pamiętał doskonale ich ułożenie...

Poruszył się i odetchnął, jakby wynurzył się spod wody.

Podszedł do fotografii, podniósł je i im się przyjrzał. Odszukał te z kamiennego mostu. Rozłożył je na biurku. Wildstein. Patrzył na niego, obserwował go, jakby doskonale wiedział, co wydarzy się w kolejnych dniach, jakby tym tajemniczym, bezczelnym uśmiechem przewidział nawet swoją śmierć.

Spodziewali się Kleina, zaprosili go tutaj. Upewniali się, że dołączył do gry.

Wilhelm wciąż patrzył w twarz samobójcy. Dlaczego wtedy, na kamiennym moście, nie wyczuł na sobie jego wzroku? Nagle w jego umyśle pojawiła się odpowiedź: Wildstein nie patrzył na niego, patrzył jakby przez niego, na drugą stronę kanału, na tłum zgromadzony po przeciwnej stronie barierki.

Klein odnalazł kolejne zdjęcie. Przesunął palcem po twarzach, jedna z postaci stała tyłem, oddalała się. Lecz Klein rozpoznał tę sylwetkę. To na nią patrzył Wildstein.

Zmiał zdjęcie w dłoni. Wyprostował się, zrzucił marynarkę i spodnie. Wymył się szybko i założył opatrunek na zębra. W szafie miał jedynie nieco wymięty smoking z przyjęcia w Hotelu Cesarskim. Założył go na świeżą koszulę i opuścił apartament.

Piętro niżej odszukał drugą, mniejszą klatkę schodową. To nią musieli ewakuować się napastnicy wraz z Agnes. Ruszył schodami w dół. Na parterze znalazł się w wąskim korytarzu, który prowadził obok kuchni na zaplecze. Wyszedł tamtędy i obszedł budynek, gdzie wskoczył do czekającej pod wejściem do dworca dorożki.

*

Pod ratuszem czekali już na niego Roth i Koschella. Obaj nerwowo palili papierosy. Gdy zobaczyli kapitana automatycznie zrzucili je na ziemię i przydeptali butami.

– Gównu mam – Franz był wyraźnie wściekły. – Wicedyrektor stanął na głowie, żeby przy firmie nie pojawiło się żadne nazwisko. Muszę przyznać, że mają w tym banku burdel większy niż Herta u siebie. Wygląda na to, że ten cały Gammadion wziął się z kosmosu.

– Rozmawiałem z komisarzem Richterem. – Roth wyglądał na jeszcze bardziej skwaszonego niż wachmistrz. – Wysłał wszystkich policjantów do odcięcia dróg z Kłodzka. Wszędzie blokady. Richter także uważa, że dezerterzy chcą uciec. Ściągnął posiłki z Polanicy i Dusznik, a nawet Wrocławia. Rano, gdy dotrą zdjęcia podejrzanych, rozpocznie się oblawa w mieście...

– A co z miejscami, w których może dojść do kolejnych morderstw?

– Te punkty, które tworzą swastykę? – Roth potarł czoło. – Komisarz nie miał wystarczająco dużo ludzi, by ich tam wysłać...

– Co za dureń. – Franz sięgnął po kolejnego papierosa. Okazało się jednak, że ma pustą paczkę. Przedał ją i wrzucił do fontanny. – Będzie miał na sumieniu Svobodę i Langerę.

– Mają też Agnes. Byli w moim apartamencie...

Roth rozdziawił usta, Koschella spojrzał uważnie na Kleina.

– To co robimy? – zapytał Franz.

– Nie zmieniamy planu. Sprawdzimy wytypowane miejsca.

– Ale jest nas tylko trzech – Roth podniósł głos. – Nie damy rady!

– Które z nich najbardziej nadaje się do przetrzymania kilku osób?

– Jeden z punktów wypadał na spacerowej promenadzie, za bardzo odsłonięte miejsce. – Franz podrapał się po głowie. – A środek swastyki był w miejscu, w którym nie ma żadnego budynku... Ja bym obstawiał dawny lazaret żandarmerii przy Minoritenkirche.

– Pozostaje jeszcze Wallstrasse, blisko jest synagoga – Roth mówił szybko, jakby starał się przyspieszyć decyzję. – Uważam, że tam powinniśmy spróbować najpierw.

Obaj wyczekująco spojrzeli na Kleina.

– Synagoga – zadecydował Klein.

Franz skinął głową, wyciągnął z kieszeni zawiniątko i podał je przełożonemu.

– Przyda się. Odebrałem od Herty. Proszę na niego uważać, Richter porachuje mi kości, jak po wszystkim nie zdam mu służbowej broni.

Klein się uśmiechnął. Schował broń do kieszeni. Ruszyli do samochodu zaparkowanego przy fontannie.

*

Kłodzka synagoga od dawna przyciągała wzrok Jürgena Rotha. Nigdy nie przeszedł obok niej obojętnie. Wyróżniała się w krajobrazie miasta między innymi ceglana fasadą, która w promieniach zachodzącego słońca wydawała się rozgrzana do czerwoności. Społeczność żydowska, która zmierzała do świątyni na modły, także jawiła mu się jako obraz wyjęty z zupełnie innego świata, choć przecież stanowiący nierozdzielną część tego miasta. Gdyby synagoga nie było w tym miejscu, Roth odczuwałby pustkę, dziwny niepokój jakiejś straty.

Samochód zatrzymali na Grüne Strasse, kilkaset metrów od świątyni, żeby nie zaalarmować nikogo swoim przybyciem. Jürgen i tak miał wrażenie, że rycząca bestia wprawiała w wibracje okna w okolicznych budynkach i obudziła wszystkich mieszkańców.

Ruszyli skwerem pod osłoną wysokich krzewów w stronę Wallstrasse. Tutaj pokonali ogrodzenie i przylgnęli do wschodniej ściany synagogi.

Nasłuchiwali w milczeniu. – To boczne wejście prowadzi do części podpiwniczonej – wyszeptał Franz, wskazując na otwór w murze i stalowe drzwi. – Znałem jednego Żyda, który zajmował się ogrzewaniem świątyni.

Spod płaszcza dobył skrzynkę z narzędziami, która jeszcze chwilę temu objęła się w bagażniku. Wyjął z niej długi klucz – niezbędny pasjonata czterech kółek. Wyłamanie kłódki zajęło mu kilkanaście sekund.

– Teraz ostrożnie. – Przytrzymał Rotha, który rwał się do wejścia. – Przez otwory w suficie odprowadzane jest ciepłe powietrze między innymi do sali modlitw. Echo tam niesie jak cholera. My usłyszymy, jeśli ktoś jest w środku, ale oni też mogą usłyszeć nas.

– Wejdę tam z Franzem – zdecydował Klein. – Roth, gdyby stało się coś nieprzewidzianego, zawiadom innych.

– Kapitanie...

– Wykonaj polecenie, Roth – upomniał go Franz.

Jürgen zacisnął pięści. Świadomość, że gdzieś tutaj może być przetrzymywana Agnes, sprawiała, że krew paliła go w żyłach. Wiedział, że przestaje racjonalnie myśleć, ale nie podobało mu się, że ma czekać z założonymi rękami, aż Klein i Koschella uwolnią zakładników.

– Miej oczy szeroko otwarte, Jürgen – powiedział Klein do asystenta, zanim rozpląnął się w ciemnościach.

Roth zaklął pod nosem, czego ani Franz, ani kapitan nie byli w stanie usłyszeć.

*

Poruszali się po omacku. Klein przystanął, by przyzwyczaić oczy do ciemności. Po raz kolejny tej nocy znalazł się w dusznej piwnicy, tym razem jednak nie wyczuwał smrodu przegniłych warzyw czy wilgoci. Powietrze było tu suche i ciepłe.

– Za mną – wyszeptał Franz. Szli przed siebie w ślimaczym tempie, trzymając się jednej ze ścian. – Nie wiem którędy dalej, kapitanie.

– Zapalniczka. Nie mamy wyboru. Zapal i zgaś.

Koschella westchnął. Pogmerał w kieszeni i odpalił zapalniczkę, trzymając ją wysoko na głowę, tak żeby nie porazić oczu swoich i Kleina. Wystarczyło kilka sekund, by dostrzegli główne pomieszczenie piwnicy, korytarz rozprowadzający ciepło i kolejne drzwi, do których prowadziły schodki.

– Chodźmy do tych otworów, o których mówiłeś – szepnął Klein. – To chyba ten korytarz.

Ruszyli w zapamiętanym kierunku. Niedługo później, czując ciąg powietrza nad głowami, przystanęli.

Trwali tak dłuższą chwilę.

– Chyba możemy wchodzić. Na górze nikogo nie ma.

Klein przytrzymał Franza za ramię.

– Słuchaj... – powiedział.

I Koschella usłyszał. Poczuł, że się poci. Głos wydawał się płaski, nierzeczywisty, jakby puszczonego z patefonu. Ktoś wydał krótkie polecenie. Słysząc też było brzęk szkła.

– Co robimy?

– Drzwi. Powinny prowadzić do świątyni.

– A Roth?

– Jak się zacznie, będzie wiedział, co robić. Nie ma czasu, Franz.

Koschella ruszył w ciemnościach w stronę ścian, potem wzdłuż niej. Czuł za plecami oddech Kleina, to dodawało mu pewności siebie. Wkrótce namacał klamkę. Nacisnął. Drzwi ustąpiły.

Franz policzył do trzech i ruszył przed siebie. Potknął się na schodku, ale zdążył wyciągnąć dłonie, by się podeprzeć. Kolejne schodki. Znaleźli się przy następnych drzwiach. Przez szparę pod nimi wpadała odrobina światła.

– Nad nami musi być wieża. Jesteśmy gdzieś przy głównym wejściu...

– Wchodzimy. Tylko spokojnie.

Franz skinął głową, choć miał świadomość, że Klein tego nie zauważy.

Nasłuchiwali. Ponownie dotarł do nich brzęk szkła. Ten odgłos był dla Koschelli zupełnie irracjonalny. Nie potrafił zdefiniować, dlaczego budzi w nim niepokój.

Drzwi poddały się, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Po chwili obaj znaleźli się we wnętrzu świątyni, za ławami, w których zwykli modlić się wierni.

Franz spojrział najpierw w górę, w stronę galerii dla kobiet. Po chwili podążył za wzrokiem Kleina, który patrzył przed siebie, w stronę bimby.

Wstrzymał oddech. Do balustrady przywiązana była trójka, której szukali. Zwieszona głowy zakładników budziły niepokój, wyglądali, jakby całkowicie zrezygnowali z oporu albo nie żyli. Koschella przyjrzał się Svobodzie.

Jest i wieprzek, pomyślał Franz. Jeszcze nie dołączył do grona chrumkających aniołków.

Wachmistrz poczuł delikatny uścisk na ramieniu i zobaczył palec kapitana wskazujący dwa punkty: wielkie butle wypełnione płynem stojące przed bimą, pomiędzy ławkami.

Koschella pociągnął nosem. Wyczuwał ostry zapach jakiejś substancji.

– Gdzie tamci? – zapytał.

Klein uniósł palec do ust. Podniósł się z kolan i pochyłony ruszył pomiędzy ławkami. Koschella zaklął w myślach, uniósł broń i ruszył śladem kapitana. Przez cały czas rozglądał się nerwowo.

Wkrótce znaleźli się przy zakładnikach. Ci wydawali się kompletnie odurzeni, nie byli w stanie unieść głów. Franz wyciągnął scyzoryk i zaczął przecinać sznur, którym przywiązano Svobodę do balustrady. Gdy Czech był wolny, ostrożnie położył go na podłodze.

Dopiero wtedy dostrzegł kapitana. Stał przed świętą szafą, w której przechowywano zwoje Tory. Jedną z gromnic umocowano do siedziska poziomo. Płomień spalanej świecy przesuwiał się w stronę butli z której szyjki wystawał płócienny gałgan.

Koschella poczuł zimny dreszcz. Gdyby spóźnili się o kilkanaście minut, płomień liznąłby nasączone substancją płótno, a wtedy eksplodowałyby butle wypełnione płynem.

Kapitan zgasił płomień i popatrzył na Koschellę.

– Uwolnij pozostałych. Ja zajmę się resztą.

Dopiero wtedy Franz dostrzegł kolejne butle rozstawione pod ścianami synagogi.

Koschella błyskawicznie oswobodził Agnes. Zdjął jej knebel, ale kobieta nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Wydawała się nieobecna, mimo to udało mu się ją postawić na nogi. Po uwolnieniu z więzów Svobody i Langerę całą trójkę skierował w stronę wyjścia.

Tuż koło niego niczym cień przemknął kapitan Klein.

– Będę was ubezpieczał, Franz. Oni gdzieś tu jeszcze są. Kiedy wyprowadzisz tę trójkę, sprawdzę wieżę.

Koschella skinął głową. Po chwili napał na drzwi i zdał sobie sprawę, że są zaryglowane od środka. Zdjął drewnianą belkę i podtrzymując Agnes, pchnął ponownie. Poczuł na twarzy podmuch wiatru. Wyszedł w noc, odprowadzany przez tupot butów Kleina, który gnał już po schodach ku kopule synagogi.

*

Roth dopadł do głównych drzwi świątyni, gdy usłyszał hałasy. Dostrzegł omdlewającą Agnes. Zdażył do niej dobiec i podtrzymać, gdy osuwała się na ziemię. Gdy jej ciepły oddech musnął jego szyję, znów targnęły nim znajome uczucia.

– Jürgen, zajmij się nimi.

Roth zadrzał, gdy kobieta przyłgnęła do niego całym ciałem. Czuł jej piersi na swojej klatce piersiowej, jego dłoń dotykała jej pleców.

– Jürgen, słyszysz?

– Słyszę... – odpowiedział Roth nieobecny głosem. Widział, że Koschella wciąż jest czymś zaniepokojony.

Nagle wachmistrz wyszedł na ulicę i spojrzał w stronę kopuły. Po chwili przesunął się i przeniósł wzrok na budynek niemal przylegający do zachodniej ściany synagogi.

– Gówno!

Roth delikatnie pociągnął za sobą Agnes, by zobaczyć, co tak wzburzyło wachmistrza. Dopiero po chwili zrozumiał, na co patrzy. Na krawędzi dachu synagogi stał Klein. Nad nim widać było linę rozciągniętą między kopułą a gzymsem nad balkonem przeciwległego budynku.

Zadarłszy głowę, Agnes głośno westchnęła i Jürgen poczuł ukłucie zazdrości. Patrzył zafascynowany na poczynania Kleina niczym na cyrkowe przedstawienie. Kapitan zachwiał się na gzymsie, zaraz jednak uczeplił się liny i odbijając się od krawędzi dachu, rzucił się przed siebie.

Roth wstrzymał oddech – jak wszyscy, którzy patrzyli na szaleńczy popis kapitana. Svoboda przysiadł na chodniku i odwrócił wzrok. Roth uzmysłowił sobie, że spodziewał się, że Klein runie, ten jednak błyskawicznie zsunął się po linie i bezpiecznie wylądował na balkonie kamienicy sąsiadującej z synagogą. Zniknął w drzwiach prowadzących do jakiegoś mieszkania, a Roth wpatrywał się z niedowierzaniem w targane porywami wiatru zasłony.

– Biegnij po samochód! – okrzyk Franza wyrwał go z zamyślenia. – Czekam na ciebie na Wilhelmsplatz!

– A co z nami? – Svoboda wzniósł ku niemu oczy. Wciąż był przerażony, choć już niemal całkowicie przytomny.

– Idźcie do ratusza! – zawołał Koschella i puścił się pędem w stronę Hotelu Cesarskiego.

– Tak, chodźmy stąd. Wezwijmy pomoc. – Langer także otrzeźwił chłód nocy. Przejął inicjatywę, pomagając Svobodzie podnieść się z chodnika. Roth tymczasem z żalem wypuścił Agnes z ramion. Popatrzył jej w oczy i wydawało mu się, że ona z kolei patrzy przez niego, jakby zbudowany był z przezroczystej substancji. Wydawało się, że chce mu coś powiedzieć, ale nie dał jej szansy, ukłonił się chłodno i pobiegł w stronę samochodu.

Na skrzyżowaniu odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na kopułę synagogi. Wciąż się zastanawiał, jak udało się Kleinowi zjechać po linie. Na samą myśl piekły go dłonie.

– Rękawiczki – wyszeptał do siebie, a jego śmiech zagłuszył dźwięk odpalanego silnika. – Ten drań przecież miał rękawiczki.

Zawrócił gwałtownie i ruszył w stronę Wilhelmsplatz, mijając Agnes i dwójkę mężczyzn, którzy szli w stronę ratusza po pomoc.

*

Koschella szybko analizował sytuację. Klein ruszył tropem zabójców, którzy mieli przygotowaną drogę ucieczki, wypłoszył ich. Istniała szansa, że wpadną w ręce Franza, który zaskoczy ich, przecinając im drogę.

Kamienice ściśle do siebie przylegały, stanowiły jeden ciąg z budynkiem Hotelu Cesarskiego. Od Grüne Strasse przez Wilhelmsplatz aż do Wilhelmstrasse cały narożnik był zabudowaną ścianą kamienic.

Franz, dysząc ciężko, znalazł się przed wejściem do hotelu. Drzwi Cesarskiego były zamknięte, światła wewnątrz przygaszone. Koschella zwolnił i spojrzał w górę. Nie sądził, by mordercy uciekali dachami. Musieli jak najszybciej wyjść z budynku. Mieli plan, więc zapewne przygotowali środek transportu, który umożliwi im ucieczkę.

Znów zaczął biec, tym razem w stronę Wilhelmstrasse. Broń miał przygotowaną do strzału. Za rogiem była uliczka prowadząca na podwórze.

Usłyszał warkot silnika przed sobą. Światła omiotły budynek poczty. Zaklął. Tak jak przewidywał, z podwórza wyskoczył na pełnej prędkości ciemny adler. Kierowca wykonał gwałtowny manewr skrętu, a tył pojazdu przypominający pancierz owada stracił przyczepność.

Koschella wymierzył i nacisnął spust. Zbiegł z chodnika na ulicę, zatrzymał się i oddał kolejny strzał.

W tym samym momencie od strony podwórza wybiegł Klein. Nie czekali długo na Rotha. Ten chwilę później z piskiem hamulców zatrzymał się tuż obok nich.

– Jürgen, do tyłu! – krzyknął Klein.

Franz widział, że Roth niechętnie ustępuje miejsca kapitanowi. Na szczęście nie ociągał się zbyt długo. Wachmistrz wskoczył na tył pojazdu i nie zdążył jeszcze dobrze zająć miejsca, gdy audi wyskoczyło do przodu.

Koschella miał wrażenie, że czas przyspieszył. Teraz jednak nie było mu do śmiechu. Światła latarni mignęły, jakby jakaś siła zmiotła je z powierzchni ziemi. Maszyna zwiększyła obroty, sam dotyk dłoni Kleina wydobył z niej bestię. W tej jednej chwili człowiek i maszyna złączyli się w jedno. Dłonie wtopiły się w kierownicę, szybkie manewry przy zupełnie oszczędnych ruchach wydawały się czymś niezwykłym. Silnik nie warczał, lecz mrucał, Klein wydobył z niego zupełnie inny ton, równy i płynny, sprawił, że audi poddało mu się bez najmniejszego oporu.

– Widzę ich! – krzyknął Roth.

Wysunął rękę z za przedniej szyby, mierząc z pistoletu w uciekający samochód.

– Czeka! – ostrzegł Koschella. – Stracisz amunicję. Poczekajmy, aż kapitan się zbliży!

Ostatniego zdania Jürgen nie słyszał. Odruchowo się pochylił, gdy jedna z kul wystrzelonych z adlera dosięgła karoserii.

Na Rossmarkt uciekinierzy znów wpadli w poślizg, szybko jednak przecięli plac i wjechali w Ross Strasse.

– Teraz, Roth – polecił Klein.

Zbliżyli się na odległość kilkudziesięciu metrów. Jürgen znów wystawił rękę przez okno i oddał strzał. Bez spodziewanego efektu. Jürgen skupił się i strzelił ponownie, tym razem rozbijając tylną szybę samochodu.

– Dobrze, młody! – ryknął Franz. – Dawaj jeszcze!

Tym razem Jürgen musiał poczekać. Na Königshainer Strasse adler skręcił gwałtownie w lewo. Tutaj Kleinowi udało się jakimś cudem nadrobić kilkanaście metrów.

– To lepsze niż wyścig w Alpach – zarechotał Roth. Uniósł się nawet w siedzeniu, żeby lepiej przymierzyć, ale w tym momencie wydało się, że coś odpycha go do tyłu. Powietrze uleciało mu z płuc z głośnym westchnieniem. Mięśnie brzucha napięły się, a on miał wrażenie, że nie jest w stanie wziąć kolejnego oddechu.

Roth zobaczył pajęczą siateczkę na szybie przed sobą i mały okrągły otwór. Zrozumiał, co się stało, dopiero w chwili, gdy przeniósł wzrok na swoją klatkę piersiową, na koszulę przesiąkniętą krwią.

– Trzymaj się, Roth.

Wydawało mu się, że Klein nie patrzy na drogę tylko na niego. Czas rozciągnął się jak ciasto. Jürgen zdołał odzyskać panowanie nad oddechem.

– Dorwijmy ich – wychrypiał. – Nic mi nie jest.

Alpensieger skoczył do przodu. Czas znów przyspieszył. Tym razem to Franz wystawił rękę i wystrzelił. Roth był pewny, że kula wachmistrza dosięgła głowy pasażera uciekającego adlera. Nie zdążył się upewnić, bo Klein uderzył w tył ściganego pojazdu.

Metal zazgrzytał, jakby błagał o litość. Przednia szyba rozsypała się w drobny mak. Jürgen nie wiedział, czy pod wpływem uderzenia czy kolejnych kul, które posłano w ich stronę. Świat wirował mu przed oczami, pojawiły się ciemne plamy, które przysłaniały widok. Nastąpiło kolejne uderzenie. Roth rąbnął czołem o boczną listwę przy drzwiach.

Po chwili ryk silnika wzmógł się, ale nie słyhać było więcej wystrzałów i odgłosów miażdżonej karoserii. Skręcili. Roth popatrzył na oddalającego się adlera. Nie rozumiał, dlaczego Klein zjechał z drogi.

– Ucieknie! – wychrypiał. – Co pan robi?

– Siedź spokojnie, Roth, mocno oberwałś...

Jürgen potrząsnął głową. Chciał chwycić za kierownicę, ale nie był w stanie unieść ręki. Rozpoznał drogę – byli na Jurandowie, Klein skręcił w stronę szpitala.

– Mówiłem, że nic mi nie jest! Musimy...

– Wyjedzie wprost na blokadę, Jürgen. – Głos Kleina był irytująco spokojny. – Dostaną go.

Jürgen wciąż trzymał pistolet w prawej dłoni. Uniósł ją z trudem i wymierzył w Kleina.

– Jedź za nimi – wysapał. Ogarnęły go mdłości. – Chyba że od początku byłeś z nimi... z nimi w znowie.

– Odłóż to Roth. – Z tyłu dobiegł go równie spokojny głos Koschelli. – Wykrwawisz się. Wystarczy już trupów.

– Nie! Richter go dorwie... powie, że to jego zasługa...

Urywany śmiech Koschelli sprawił, że Jürgen mimo bólu także zaczął się śmiać.

– Roth – wychrypiął Franz, zanosząc się śmiechem. – Wreszcie zaczynasz mi się podobać. Myślałem do tej pory, że nie masz jaj, a we łbie same wióry z tartaku...

Jürgen opuścił broń. Nie miał siły się kłócić ani spytać Franza, skąd to wie. Właściwie nie miał siły nawet otworzyć ust i utrzymać głowy w pionie. Oparł czoło o podpórkę. Czuł dotyk na plecach. Dopiero po chwili zorientował się, że to Franz uciska ranę, zapewne miejsce, gdzie kula wyleciała z ciała, robiąc najwięcej szkód. Spojrzał na drogę. Wydało mu się, że Klein zgasił światła. Chciał go ostrzec, jazda po ciemku tymi wertepami była niebezpieczna, ale głowa opadła mu bezwładnie na piersi.

*

Klein zaparkował przed Hotelem Dworcowym. Przez minutę lub dwie siedział w bezruchu, potem spojrzał w górę, w okna swojego apartamentu.

Jeszcze gdy czekali przed salą operacyjną w szpitalu pojawił się Seipelt z nowinami. Adler został zatrzymany na blokadzie. Jeden z morderców został ujęty żywcem, drugi już nie żył, najprawdopodobniej trafiony w głowę podczas pościgu przez kulę wystrzeloną z pistoletu Franza. Na tę informację Koschella jedynie wzruszył ramionami. Seipelt pogratulował im i przekazał informację o porannej odprawie, którą Richter zarządził w ratuszu. Komisarz wszem i wobec odtrąbił zwycięstwo, budząc pół miasta i swoich przełożonych w Berlinie.

Klein i Koschella opuścili szpital, dopiero gdy lekarz prowadzący operację wyszedł do nich z nowinami. Roth był bardzo osłabiony, utracił sporo krwi, ale dowieźli go na czas. Rokowania były dobre.

– Ja stąd mam blisko, kapitanie, chwila moment i będę u siebie w domu.

– Zostań, Franz. – Kapitan położył Koschelli dłoń na ramieniu. – Poczekaj na mnie w samochodzie. To jeszcze nie koniec...

Widział zaskoczoną minę wachmistrza, ale nie miał teraz zamiaru nic mu wyjaśniać. Wiedział też, że Franz o nic nie zapyta, nawet jeśli zżerała go ciekawość.

Znów uniósł głowę i wpatrzył się w światła wykuszowego okna. Wysiadł. Hotelowe drzwi otworzyły się przed nim niemal natychmiast.

Klein wszedł do przedsiönka recepcji.

– Wiedziałem, że pan kapitan ich dorwie! – Stojący przed nim boy hotelowy Hans Fredke uśmiechał się szeroko. – Już wszyscy wiemy. O pościgu trąbią i o synagodze! Dał kapitan radę, wiedziałem od początku.

Klein przyjrzał się chłopakowi. Te rysy twarzy... wtedy przykryte błotem... Już wiedział – Fredke był jednym z tych młodych żołnierzy, którzy nieśli go na prowizorycznych noszach do szpitala polowego. Ich spojrzenia spotkały się wtedy na sekundę czy dwie.

– Mam coś dla pana. – Chłopak nagle uderzył się otwartą dłonią w czoło. Podskoczył do lady recepcji i wyjął z przegródki szarą kopertę. – Ten fotograf, Marx, był tutaj, szukał pana. Mówił, że to ważne.

Klein skinął głową i przejął kopertę. Wyjął zawartość i spojrział na zdjęcie i wycinki prasowe. Potem ruszył w stronę schodów.

Wszedłszy do apartamentu, zamknął za sobą drzwi.

Zastał Agnes przy oknie, zapatrzoną w stronę peronów. Słyszając, że wchodzi, odwróciła się i usiadła na jego łóżku. Jej wzrok zdawał się sięgać hen, daleko, poza ścianę pokoju, mury budynku czy granice miasta.

Wysunął fotel spod biurka, obrócił w stronę dziewczyny i usiadł naprzeciw niej.

– Obaj nie żyją? – zapytała.

Klein obrócił kopertę w dłoniach i położył ją na kolanach.

– Jeden zginął, drugi został ujęty – odpowiedział po chwili.

– Zginął pasażer czy...

– Pasażer.

Wiedział, dlaczego pyta.

– Od kiedy wiedziałeś? – zapytała.

Przesunął kopertę w jej stronę. Wydawała się zaskoczona, jednak ją przejęła. Pewnym ruchem wyjęła z niej zdjęcie i wycinek prasowy. Uśmiechnęła się blado.

– Jesteśmy do siebie bardzo podobne. Nie widziałeś mojego naturalnego koloru włosów, wtedy mógłbyś nas wziąć za bliźniaczki. – Wolną dłonią odruchowo dotknęła kosmyka, który opadł jej na czoło, i założyła go za ucho. – Musiałam skrócić... żeby nikt nie skojarzył mnie z tamtą dziewczyną, która rzuciła się pod pociąg.

– Z twoją siostrą.

– Tak. – Agnes przejechała opuszkami po fakturze zdjęcia. – Hazel uznała, że jej życie nie ma sensu bez Williego. Nie wiedziała, bo i skąd miała wiedzieć, że on i pozostali wciąż żyją. Choć pewnie wybraliby śmierć, gdyby ktoś dał im wybór...

– Willi Betz, Teodor Wildstein i...

– Heinrich Müller. Trzeci z nich nazywał się Heinrich Müller. Nie potrafił prowadzić samochodu...

Klein skinął głową.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– Kilka miesięcy temu. Niemal rok po samobójczej śmierci Hazel. Przyszedł do mnie, powiedział, co im zrobili. Dinter, Beier, Wiese, Schneider... Każdy z nich przyczynił się nie tylko do pohańbienia trzech dezertorów, ale i do śmierci mojej siostry...

Gdy popatrzyła na niego, dostrzegł w jej oczach otchłań.

– To nie Willi ci o wszystkim powiedział. To był ktoś zupełnie inny, ktoś, kto miał wystarczające kontakty, by zdobyć zaufanie hrabiego Herbersteina i zaoferować mu twoje usługi. Co ci obiecał?

Skinęła głową i przymknęła oczy.

– Obiecał mi zemstę. Chciałam tylko, żeby śmierć mojej siostry... żeby jej śmierć nie była tak bezsensowna i niepotrzebna...

– Dzięki niemu dostałaś pracę u hrabiego Herbersteina.

– Tak. Wcześniej pracowałam w szpitalu. Zaproponował moje usługi zaraz po tym, jak od Hebersteinów odeszła pielęgniarka opiekująca się starym hrabią. Opłacił ją... Wiedział, że pojawisz się w Kłodzku i będziesz wymagał opieki. Miałam być blisko ciebie...

– Żeby przekazywać mu wszystko, czego się ode mnie dowiesz.

Skinęła głową.

– Nie proszę cię o wybaczenie – powiedziała po chwili. – Oni... zasłużyli na tę śmierć.

– Czy zemsta ci pomogła? – zapytał.

– A tobie?

Milczeli przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego nie uciekłaś? – zapytał w końcu. – Po co wróciłaś?

– Czy wiedząc o moim udziale, dałbyś mi tak po prostu odejść?

– Nie – odpowiedział krótko.

Zaśmiała się.

– Chcę, żeby to wszystko już się skończyło – powiedziała.

– Wiesz, że to jeszcze nie koniec.

– Wiem. – Ponownie popatrzyła na fotografię siostry.

*

Koschella zaparkował we wskazanym miejscu. Wysiedli i ruszyli ścieżką w stronę budynku. Na drugim piętrze w jednym z pokoi świeciło się światło.

Klein milczał, nie podał powodów, dla których się tu zjawili, a Franz postanowił niczemu się nie dziwić i o nic nie wypytywać.

Drzwi prowadzące do sieni były otwarte. Po schodach prowadzących na piętro szli w niemal zupełnych ciemnościach, Franz widział przed sobą jedynie jasny prostokąt pleców przełożonego.

W budynku unosił się zapach pasty do podłogi i trudnych do zidentyfikowania perfum.

Na drugim piętrze Koschella dostrzegł krąg światła przy drzwiach jednego z gabinetów. Wszedł do pomieszczenia zaraz za Kleinem.

Mężczyzna siedzący za biurkiem wstał na ich widok. Trudno było stwierdzić, czy jest zdziwiony ich widokiem czy wręcz przeciwnie, oczekiwał pojawienia się Kleina.

– Czemu zawdzięczać mam tak późną wizytę? – zapytał.

Franz patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę niczym na inscenizację teatralną. Gospodarz sięgnął w stronę szuflady, ale wtedy Klein w dwóch szybkich krokach znalazł się przy nim. Uzbrojona w kastet pięść spadła na głowę mężczyzny, zostawiając krwawy ślad. Gospodarz osunął się na biurko, przed upadkiem na ziemię powstrzymał go Klein, który zacisnął palce na jego kołnierzu.

Dopiero wtedy spojrzenia Kleina i Koschelli się skrzyżowały. Kapitan najwyraźniej na coś czekał. Franz otrząsnął się i podszedł do biurka. Powróciło do niego wspomnienie podejrzeń młodego Rotha wobec kapitana. Czy Jürgen mógł mieć rację? Czy Klein był w to wszystko zamieszany? Koschella cmoknęła. Postanowił wytrwać w swoim postanowieniu, niczemu się nie dziwić ani o nic pytać.

Chwycił nogi nieprzytomnego, tymczasem Klein złapał go pod pachy. Wytaszczyli go z gabinetu, znieśli na dół, a w końcu zapakowali na tylne siedzenie samochodu.

Klein podał kolejny adres, pod który mieli jechać. Koschella uśmiechnął się pod nosem. Odpalił silnik i wykręcił pojazd, kierując się w stronę rynku.

*

Zatrzymali się przy kamienicy madame Herty. Koschella wysiadł, podszedł do bramy, zadzwonił. Rozmówiwszy się z ochroniarzem, wrócił do samochodu i pomógł Kleinowi wyciągnąć wciąż nieprzytomnego mężczyznę. Przenieśli go przez próg i skierowali się w stronę piwnicy.

Przez całą drogę towarzyszył im milczący podwładny burdelmamy. Usłużnie otwierał przed nimi kolejne drzwi, a gdy znaleźli się w dusznym pomieszczeniu, pomógł im ułożyć bezwładne ciało na stole i unieruchomić ręce i nogi przymocowanymi do blatu pasami.

Klein udzielił Helmutowi kilku instrukcji. Wielka szczeka poruszyła się, olbrzym skinął głową i zniknął za drzwiami. Na schodach rozległy się jego ciężkie kroki.

– Ocuć go, Franz – polecił kapitan.

Koschella podszedł do łóżka i otwartą dłonią klepnął leżącego w policzek. Nie przyniosło to pożądanego skutku, więc uderzył znowu, tym razem mocniej.

Leżący zachłysnął się powietrzem, jakby dopiero co udało mu się wychynąć z topieli, i rozejrzał się wokół siebie. Bezskutecznie spróbował unieść ręce.

– Kapitanie Klein – wychrypiał, odszukawszy wzrokiem stojącego naprzeciw Wilhelma. – Co pan robi? Dlaczego mnie pan pobił i uwięził w tym miejscu?

– Wybacz pan napaść w prywatnym domu. Pomyślałem jednak, że tutaj też poczuje się pan jak u siebie i będzie nam łatwiej rozmawiać, panie Langer.

Koschella wodził wzrokiem od kapitana do leżącego na stole mistrza loży masońskiej.

– Ujął pan już morderców. Czego więc pan ode mnie chce?

– Panie Langer... To pan mnie sprowadził do Kłodzka, więc nie rozumiem, skąd to zdziwienie.

Na twarzy mężczyzny znów pojawił się nieokreślony grymas.

– Bo wiedziałem, że tylko pan może rozwiązać tę sprawę.

– To był jedyny powód?

Langer milczał, a Klein go nie poganiał.

– Wierzyłem, że jedynie pan, po tym wszystkim, co przeszedł, będzie wiedział, jak ważne jest to, co zrobiłem. I przede wszystkim to zrozumie. – Głos Langer przyprawiał Koschellę o ciarki.

Klein pokiwał głową, jakby rzeczywiście coś rozważał.

– Miałem zrozumieć motywy, które uczyniły z trzech dezertersów narzędzia w pańskich rękach? Pomógł im pan w ucieczce z tego miejsca, z tajnego burdelu w piwnicach madame Herty. Wziął ich pan pod swoje skrzydła. Dał im pan narzędzia niezbędne do tego, by mogli zabić tych, którzy byli odpowiedzialni za ich pohańbienie. Pomógł im pan w zemście...

– Mieli do niej prawo, jak każdy z nas. Także pan...

– Ja?

– Śmierć majora Peschke była prezentem dla pana, kapitanie. Tę zemstę akurat ofiarowałem panu...

– I myśli pan, że przez to okażę wdzięczność?

– Powinien pan. W końcu po to zbliżyłem się do majora. Zaznaczam też, że dałem majorowi szansę odkupienia, z której nie skorzystał...

– Odkupienia?

– Przełożeni zesłali majora do Kłodzka. On jednak nie potrafił się tu odnaleźć. Czekał na cud, na coś, co pozwoliłoby mu powrócić do łask. I taki cud się zdarzył. Peschke trafił na trop bulwersującej historii. Dowiedział się o dezertersach, którzy mimo wyroku nie zostali straceni. Zaczął wypytywać w mieście, prowadzić własne śledztwo, narażając się przy tym na zdemaskowanie. Zamiast jednak zaraportować swoje podejrzenia do Berlina, zaczął myśleć o szantażowaniu Schneidera i pozostałych. Okup za milczenie. Wtedy ukazał swoją prawdziwą naturę, wyszło z niego to, co najgorsze. Zupełnie jak podczas wojny...

Langer zaśmiał się, patrząc na Kleina.

– To Peschke wydał pańską grupę, on był informatorem Francuzów. Nigdy się do tego nie przyznał. Podejrzenie o zdradę padło na pańskich ludzi, którzy zginęli we

Francji. Panu pozwolono powrócić do tajnych służb, a Peschke popadł w niełaskę. Tego też nie mógł przeboleć... Jego śmierć poruszyła jednak kogoś w wywiadzie, może wpływowego ojczulka? Nietrudno się było domyślić, że otrzyma pan zadanie odkrycia, kto stał za śmiercią byłego podwładnego. Nie mogli do tej sprawy wyznaczyć nikogo innego, jak tylko pana, kapitanie! Zresztą... pan sam tego chciał.

– Kto go zabił?

– Przecież pan wie. Wildstein i pozostali. Układ z nimi był prosty: mieli uśmiercić Peschkego, a w zamian umożliwiłem im zabicie tych, którzy ich pohańbili.

– A teraz za ten prezent oczekuje pan wzajemności? Po tym jak doprowadził pan do tej rzezi?

– Kapitanie... – Langer wydawał się rozbawiony. – Wyobraźmy sobie, że ujawniłbym swoje odkrycie. Poszedłbym do komisarza Richtera z informacją, że pod nosem policji kilku zacnych, wpływowych obywateli Kłodzka utworzyło własny burdel, miejsce tortur dla dezerterów, którzy mieli zostać straceni wyrokiem sądu... Czy naprawdę myśli pan, że ktoś by mi uwierzył? Co więcej, sądzi pan, że po tych rewelacjach długo bym pożył? Macki tych degeneratów dosięgły by mnie szybciej, niż pan myśli. Major Schneider, sędzia Wiese. Ich kontakty wychodziły poza to miasto, tych trzech dezerterów szybko by się pozbyli, zatarli ślady i sprawiedliwości nie stałoby się zadość.

– Pan stał się rękami sprawiedliwości, Langer?

– Ktoś musiał, i dobrze pan o tym wie! Sam pan wymierzał sprawiedliwość tym nieszczęsnym Francuzom, którzy zabili pana podwładnych!

Koschella patrzył to na Langera, to na Kleina, chłonąc każde słowo.

– Nie o sprawiedliwość panu chodziło, Langer. Miał pan inny cel. Los tych trzech dezerterów obchodził pana o tyle, o ile mógł się przysłużyć pańskiemu planowi.

– A więc zrozumiał pan, co jest moim planem! – Na twarzy Langera gościł wciąż ironiczny uśmiech. Mistrz wyglądał jak ktoś, kto dopiął celu i teraz nie zależy mu już na niczym. – Inni także zrozumieją. Do tej pory nikt nie dostrzegał, co dzieje się z tym narodem. Tacy jak Wiese, Dinter i Beier pchną Niemcy nad kolejną przepaść. Doprowadzą do wojny, która zniszczy nasz naród. Za kilka, kilkanaście lat te siły zapalą nasz kraj. Pożar ogarnie każdy zakątek Rzeszy i rozprzestrzeni się dalej. Widzi pan, do czego są zdolni? To nie są ludzie, to zwierzęta. Porwą za sobą miliony, urzekną tych, którzy w ich hasłach odnajdą wiarę w lepszą przyszłość. Najpierw się dowiedzą, że za ich biedą stoją wewnętrzni wrogowie: Żydzi, masoni, jezuici. Potem, gdy wewnętrznych wrogów zabraknie, pojawią się ci poza granicami...

– A pan swoimi czynami chciał uzdrowić nasz kraj?

– Pan poznał okropieństwa wojny na własnej skórze, wie pan, że zezwierzęcenie ogarnęło nawet przyzwoitych ludzi. Wersal nie zabił robaka toczącego ten naród: jedynie go uspił, co pozwoli mu nabrać sił i z nową siłą wgryźć się w tkankę naszego społeczeństwa. Tak, chcę uzdrowić nasz kraj! Pokazać, do czego jesteśmy zdolni, byśmy w porę zdołali się opamiętać! Widział pan, kapitanie, jak łatwo

podchwycono, że za wszystkim stoją Żydzi? Widział pan, że wystarczyło kilka godzin, by witryny żydowskich sklepów zostały rozbite kamieniami przez praworządnych obywateli? Po nich nastąpiły aresztowania i szykany. Strach ogarnął to małe miasteczko szybciej, niż mogło się wydawać. A co stało się później, gdy podejrzenie padło na masonów? Okna mojego domu także zostały wybite... Więc tak, uzdrowienie przez wskazanie choroby! Chciałem, by nasz naród się opamiętał! By obywatele zobaczyli, co wydarzy się w niedalekiej przyszłości, i mieli czas na wyciągnięcie wniosków! Wiem, że mam rację! Nie zgodzę się na to, by w kolejnych wojnach ginęli niewinni ludzie, dzieci... – Jego głos zadrżał.

– Symbole. Grał pan nimi – odezwał się Klein. – Po to, by rzucić podejrzenia na Żydów, potem masonów i w końcu na nazistów. Wyprzedza pan fakty, które wcale nie muszą nadejść. Ostatni akt tego przedstawienia miał się rozegrać w synagodze. Próba jej podpalenia miała ostatecznie wskazać winnych...

Koschella po raz pierwszy widział Langerę wzburzonego. Patrzył z niedowierzaniem. Wszystko, co stało się w Kłodzku, zostało zaplanowane właśnie przez niego. Grał do końca, pozwolił się nawet związać i zamknąć w synagodze, by odsunąć od siebie podejrzenia.

– Bo są winni!

– Müller, Betz i Agnes. Nie wiedzieli, jaką rolę przeznaczył im pan w finale tego przedstawienia. Zapewne przekonał ich pan, że ma zamiar zostać bohaterem, uwolnić się w ostatniej chwili z więzów, ocalić zakładników i świątynię od spalenia. Otto Langer, bohater, mistrz masonów, udaremnia zamiary morderców. Jednak pański plan był zupełnie inny. Synagoga miała spłonąć, razem z panem, Svobodą i Agnes. Miał się pan stać nie tyle bohaterem, ile męczennikiem...

– Nie przewidziałem, że zdąży pan z odsieczą. – Langer powiedział to cicho, jakby do siebie.

– Muszę pana zawieść. Gdybym nie zdążył ja, powstrzymaliby pana Müller i Betz. Do ostatniej chwili czekali w synagodze, chcieli się upewnić, że nie dojdzie do wybuchu, że życie Agnes jest niezagrożone. Zwlekali z ucieczką, ku swojej zgubie.

– Niejedna synagoga spłonie, panie Klein... niejedynemu sprawiedliwemu straci życie... – Z głosu mistrza łączył się teraz chłód. – Przekona się pan o tym, jeśli to, co zrobiłem, nie wystarczy, jeśli moje poświęcenie nie odniesie skutku... Lawina już ruszyła. Niech pan patrzy na Hitlera i ten jego dwudziestopięciopunktowy plan NSDAP. Armia narodowa, powszechna służba wojskowa, kontrola mediów... Ten człowiek głosi istnienie antyniemieckiego spisku i nawołuje do jego zwalczania.

– Widząc, czego dopuścił się pan w Kłodzku, jestem w stanie przyznać panu rację. W naszym narodzie jest wielu niezrównoważonych psychicznie, którzy potrafią porwać tłumy. W ich przypadku cel zawsze uświęca środki. Tak jak w pańskim.

– W moim? Między mną a nimi stawia pan znak równości?

– Pozwolił pan, by trzech dezertorów było okrutnie męczonych przez blisko rok. Musiał pan wiedzieć o ich hańbieniu od długiego czasu. Mimo to nie pomógł im pan,

dopóki plan, który powstał w pana głowie, nie został ukończony. Posłużyli panu tak, jak wcześniej służyli Beierowi, Wiesemu, Dinterowi i Bóg wie, ilu zwyrodnialcom przyjeżdżającym z Wrocławia na zaproszenie tych degeneratów.

– Jednak nic pan nie rozumie! – Langer parsknął śliną, poczerwieniał na twarzy. – Nic do pana nie dociera!

– Plan był dla pana ważniejszy. Opracowywał go pan długimi miesiącami, pozwalając, by ci młodzi ludzie cierpieli gehennę. Gammadion to firma, która wspierała Beiera i Dintera. To pan za nią stoi. Chciał mieć pan pewność, że to miejsce przetrwa, zanim będzie pan gotowy.

– Nic na ten temat nie wiem...

Koschella wyszczerzył zęby. Langer nawet nie starał się, by jego słowa zabrzmiały szczerze.

– Przyspieszenie działań nastąpiło dopiero na krótko przed moim przybyciem – kontynuował Klein. – Uwolnił ich pan, zaofiarował zemstę. Rękami dezerterskich wykonywał pan wyroki dzień po dniu, błyskawicznie...

– Z szacunku dla pana inteligencji i umiejętności – Langer z coraz większym trudem powstrzymywał emocje – nie mogłem sobie pozwolić na odwlekanie sprawy. Nie byłaby wtedy tak łakomym kąskiem dla prasy. Jednocześnie wiedziałem, że mój plan nie jest doskonały i trafi pan na mój trop.

– Przykro mi z powodu pana bliskich, Herr Langer. Przyjmijmy nawet, że rozumiem pana intencje, jednak nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości ani jej kształtować na tak wielką skalę. Jeśli ta lawina ruszyła, nie zatrzyma jej żaden z nas.

– Myśli pan, że inaczej mój głos przebiłby się w Niemczech? W jaki inny sposób mógłbym przerwać to szaleństwo?

– Nie wiem, Herr Langer... Teraz jednak dał pan przykład innym, jak podpalić Niemcy...

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją mistrz łoży.

– Nie ma pan racji. Nie będę więcej z panem dyskutował. Co zamierza pan teraz zrobić? Wie pan, że nie pozwolę, by doszło do procesu, wybiorę śmierć z własnej ręki.

– Nie wątpię. Już w synagodze był pan na to gotów...

– Jaki jest więc pański plan, kapitanie?

– Niech zacytuję: każdy ma prawo do zemsty – powiedział wolno Klein, akcentując każde ze słów. – Pozostawię ją tym, którzy jej potrzebują. Jest pan współwinny pohańbienia tamtych żołnierzy i jest ktoś, kto może w ich imieniu owej zemsty dokonać.

Langer był zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć. Koschella odczytał właściwie skiniecie głową Kleina i ruszył za nim w stronę drzwi. W przedsionku zatrzymał się, widząc opartą o ścianę bladą jak kreda Agnes. Klein nachylił się do niej i wyciągnął z kieszeni zawiniątko, które włożył w jej dłoń. U szczytu schodów Koschella obrócił

się i zobaczył, jak Agnes wolnym krokiem wchodzi do pomieszczenia, w którym zostawili Langerę. W dłoni trzymała pistolet.

Przed szatnią Franz obszukał kieszenie płaszcza, ale nie znalazł papierosów. Potarł więc zarośnięty podbródek i popatrzył na kapitana. Czekali kilka minut. W końcu na schodach piwnicznych pojawiła się Agnes. Podeszła do Kleina i położyła przed nim broń, ale nie doczekała się reakcji – kapitan zapatrzony był w półkę, na której wisiały maski.

Gdy wyszła z kamienicy, obok nich pojawił się ochroniarz.

– Madame Herta dziękuje panom za wizytę – oznajmił. – Gdyby czegoś panowie potrzebowali, służy pomocą. Teraz zajmie się wszystkim, jak należy. – Wyszczrzył się w uśmiechu i skierował na dół.

Koschella i Klein spojrzeli na siebie i udali się do wyjścia.

*

Franza obudził dźwięk, który wywołał u niego niepokój. Wachmistrz uniósł się na łóżku. Popatrzył na żonę krzątającą się w kuchni. Brzęk talerza i sztućców, tykanie zegara... To było coś zupełnie innego. Coś za oknami, od strony Böhmische Strasse?

Przetarł dłonią zaspane oczy, wstrzymał oddech i skupił się na dobiegających go odgłosach. Stukot wózka na bruku, dzwoneczek sklepowy oznajmiający wejście klienta...

– Która godzina? – wychrypiał.

– Dziesiąta prawie... – odpowiedziała Barbara, nie odwracając się od pieca.

– Jasna cholera, kobieto! Odprawa z Richterm! Czemu mnie nie budzisz?

Żona odwróciła się do niego.

– Franz, potrzebowałeś snu, wczoraj padłeś na łóżko jak trup. Dziś już całe miasto huczy o tym, co się wczoraj stało. Jeśli ten cały Richter ma olej w głowie, to powinien podziękować tobie i kapitanowi za to, że dzięki wam wciąż będzie miał ciepłą posadkę. Czy ty zdajesz sobie sprawę, czego dokonaliście?

– No... – wachmistrz się zawahał. Rozważył słowa żony, po czym się uśmiechnął.

– Umyj się, woda w miednicy ciepła, śniadanie zaraz będzie.

Franz odrzucił pierzynę i opuścił stopy na deski podłogi.

Przez chwilę patrzył na swoje nogi. Rzeczywiście, stopy były brudne jak święta ziemia, a w powietrzu wyczuwał cierpki zapach swojego ciała.

– Umyję się – oznajmił, jakby sam wpadł na ten pomysł. Wstał, podrapał się po brzuchu i ruszył w stronę taboretu, na którym stała obita miska. Zdjął podkoszulek i obmył się pod pachami. Miednicę postawił na podłodze i włożył do niej nogi. Trzymał przez chwilę stopy w mydlinach i rozglądał się po swojej izbie, jakby dawno jej nie widział.

*

– Opitz w szkole? Pewnie znowu się włóczy!

– Ma to po ojcu, widać...

– Już taka dola listonosza, że dużo chodzi.

Barbara roześmiała się rubasznie.

– Opitza się nie wyprzesz, łajdaku, skóra z ciebie zdjęta.

Koschella też się zaśmiał. Wytarł się ręcznikiem i podszedł do szafy po świeże rzeczy.

Gdy wkładał spodnie, poczuł, że Barbara przylega do jego pleców. Jej dłoń zawędrowała w stronę podbrzusza.

– Nie teraz, kobieto! Muszę iść, w ratuszu pewnie jak w ulu!

– Jak chcesz... – Barbara odsunęła się kilka kroków i patrzyła, jak mąż się ubiera.

Parsknęła śmiechem, gdy przez spore wybrzuszenie pod bielizną nie był w stanie zapiąć rozporka.

– On wcale iść nie chce... – zauważyła.

Koschella także się zaśmiał. Mruknął coś niezrozumiałego, w końcu ubrał się i podszedł do żony.

– Wieczorem do tego wrócimy. – Pocałował ją w usta i ruszył w stronę drzwi.

– Poczekaj. Chleba weź na drogę. Małemu też, pewnie na ulicy z tymi chłystkami przesiaduje.

Franz posłusznie podszedł do stołu i chwycił dwie pajdy. Jedną włożył do ust. Zapach chleba uświadomił mu, jak jest głodny. Chętnie zostałby jeszcze, zjadł coś konkretnego i pobaraskował z Barbarą, ale wiedział, że napytał sobie wystarczającej biedy, spóźniając się na odprawę. Nawet jeśli żona uważała go za bohatera, to nie miał złudzeń, w ratuszu będą patrzeć na niego krzywo. Klein lada dzień wyjedzie z Kłodzka, a Koschella zostanie na pastwę Richtera, który z pewnością będzie chciał się go pozbyć. Przecież w sposób jednoznaczny poparł kapitana i przystąpił do jego zespołu. Komisarz znajdzie sposób, by dowieść jego niesubordynacji. Cóż, życie, skonstatował Franz. Decyzję podjął wcześniej, nie było się nad czym rozwodzić.

– Idę. Może dziś wrócę wcześniej – rzucił jeszcze za siebie. Kłatkę piersiową ugniatał mu coraz większy niepokój.

Wyszedszy z kamienicy, Franz spojrział na ulicę. Pośrodku Böhmische Strasse stał zaparkowany samochód, a przy nim kapitan Klein. Mężczyzna wyczuł na sobie wzrok Koschelli, bo popatrzył w jego stronę i uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

Franz zbliżył się do przełożonego. Uścisnęli sobie dłonie.

– Zmykać stąd, do szkoły! – Warknął na chłopców otaczających samochód. Ci pierzchli jak stado wróbli. Jedynie Opitz nie usłuchał. Dziwne, zawsze bał się ojca.

– Kapitan długo na mnie czeka?

– Nie. – Klein się uśmiechnął. – Zresztą miałem towarzystwo twojego syna i jego kolegów.

Opitz wyszczerzył zęby i spojrział z zadowoleniem na Franza.

– Przyjechał pan się pożegnać? – odgadł Koschella.

Klein skinął głową.

– Czas na mnie. Byłem u Rotha, lada dzień wyjdzie ze szpitala...

– Co z nim? Wraca do roboty? – zainteresował się Franz.

– Nie. Postanowił wyjechać do Świdnicy. Chce się ożenić i zająć rodzinnym interesem.

– Mówiłem, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... – rzekł sentencjonalnie wachmistrz i wzruszył ramionami.

Klein się uśmiechnął.

– Dziękuję, wachmistrzu – zwrócił się do Koschelli, wyciągając dłoń w jego stronę.

Koschella odwzajemnił uścisk.

– Wróci pan jeszcze? – wyrwał się Opitz, nie zważając na karcący wzrok ojca. Zaraz też dodał: – Wróci pan, założyłem się o to z kolegą...

– Przegrałeś kiedyś zakład? – zapytał rozbawiony Klein.

– Nigdy – odpowiedział chłopiec z rozbijającą szczerością.

Klein zaśmiał się, zmierzwił mu włosy. Wsiadł do samochodu, odpalił silnik i ruszył w stronę wyjazdu z miasta.

Franz przypomniał sobie wreszcie o pajdzie chleba trzymanej w dłoni. Dał ją synowi, pogonił go do szkoły i z ciężkim sercem skierował się w stronę ratusza.

Na schodach przystanął, gdy naprzeciw niego wyrósł niski, korpulentny mężczyzna. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Karel Svoboda wyciągnął w stronę wachmistrza dłoń, którą ten uścisnął. Rozeszli się bez słowa, każdy w swoją stronę.

Tuż za progiem Koschella poczuł energiczne klepnięcie w plecy.

– Gratuluję, Franz – zawołał Seipelt. – Należało ci się.

Koschella, zbity z tropu, nie spytał kolegi, co ma na myśli. Skierował się w stronę salek zajmowanych przez kłódką policję, nie dane było mu jednak dotrzeć do biurka – pojawił się przed nim sekretarz Otto Fengler i nakazał mu natychmiastowe stawienie się w gabinecie zastępcy burmistrza, Conrada Goebela.

Koschella wymijał kolejnych kolegów, którzy na jego widok przystawali i kiwali głowami. Poczul, jak świeża koszula przykleja mu się do pleców. Wydawało mu się, że idzie tak całą wieczność, a przez głowę przewinęło się wiele myśli. Nie był przygotowany na to, co go czekało. Sekretarza o nic nie zagadywał, nie wiedział, jak go podejść, zresztą język niemal wysechł mu na wiór.

Znaleźli się na piętrze, przed gabinetem zastępcy burmistrza, który pełnił funkcję policyjnego zarządcy. Goebel powrócił z urlopu, skróconego ostatnim wydarzeniami. Dotarł, akurat by ogłosić zakończenie sprawy, która mogła zakończyć się sromotną porażką kłódkiej policji. Franz skrzywił się z satysfakcją – to nie Richter spije całą śmietankę. Co prawda nie poprawiało to jego sytuacji, ale powodowało, że robiło mu się lżej na duszy. Żałował nieco, że nie został wezwany do burmistrza Ludwiga –

wtedy mógłby mieć nadzieję, że krewny kapitana Wilhelma Kleina weźmie go w obronę. Wiadomym jednak było, że Ludwig nigdy nie mieszał się w decyzje swojego zastępcy, całkowicie oddając mu palmę pierwszeństwa w sprawach wydziału policji. Koschella nie robił sobie zbyt wielu nadziei. Myślami był w swoim małym mieszkanku na poddaszu. Zastanawiał się, co zrobi, by – jeśli wyrzucą go z policji – jego rodzina nie przymierała głodem.

Fengler otworzył przed nim drzwi, a Franz sztywnym krokiem wszedł do gabinetu. Zawahał się tylko na moment, gdy obok zastępcy burmistrza dostrzegł komisarza Richtera. Zaciśnął szczęki i stanął przed przełożonymi.

– Długo dajecie na siebie czekać, Koschella. – Na twarzy Richtera trudno było odczytać jakiegokolwiek emocje, choć w głosie uwidocznił się znajomy zgrzyt zapowiadający nieuchronny wybuch. – Wczoraj przekazałem, że z samego rana oczekuję wszystkich na odprawie. Do polecenia nie zastosował się Herr Klein, a wy, wachmistrzu, jak widać poszliście w jego ślady! Macie coś na swoje usprawiedliwienie?

– Zasnęłam. – Koschella odkleił wreszcie język od podniebienia. – Nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło...

– Ale zdarzyło się teraz, dziś, w najważniejszym dniu dla naszej policji!

Franz zamknął usta, wiedział, że nie ma sensu się usprawiedliwiać. Dolałby oliwy do ognia, który lada moment mógł ogarnąć gabinet Goebela i spalić Koschellę na popiół.

– Dziś przeżyliśmy prawdziwy najazd. Kilkunastu dziennikarzy z całej Europy, a podobno to dopiero początek – Richter nagle zmienił ton. To spowodowało, że Koschella zaczął uważniej słuchać. Nieskrywana satysfakcja w głosie przełożonego zdradzała, że rozmowy z żurnalistami przebiegły po jego myśli i że wreszcie poczuł się doceniony. – Ujęliśmy sprawców, dezertier Willi Betz przyznał się do winy, złożył oświadczenie, które całkowicie pogrąża jego i jego dwóch współników...

– Sprawa wciąż ma jednak sporo niewiadomych – do rozmowy włączył się burmistrz Goebel. – Jesteśmy na etapie ich wyjaśniania. W tej chwili nie chcemy przecieków do prasy, które wskazywać będą ofiary poczynań owych dezertierów jako odpowiedzialne za ich pohańbienie. W tej materii musimy działać ostrożnie i z rozwagą...

– Wicedyrektor Beier i rajca Dinter zgotowali tym żołnierzom piekło na ziemi, podobnie pułkownik żandarmerii...

– Wachmistrzu Koschella! – W głosie Richtera pojawiły się jadowite tony. – Burmistrz powiedział jasno i wyraźnie, że będziemy dążyć do pełnego wyjaśnienia wszystkich okoliczności, postępując rozważnie! W tej chwili opinia publiczna musi być pewna, że ci, którzy stali za bestialskimi mordami, nie będą już zagrażać społeczeństwu. I to zapewnienie dziś rano dostali. Na krótkim spotkaniu prasowym obecny był poseł Svoboda. Tak on, jak i pani Agnes Braun złożyli nam wyczerpujące

relacje. Nie możemy się skontaktować z panem Langerem, ale mam nadzieję, że tej formalności dopełnimy niedługo...

Koschella się nie poruszył. Zaczął się zastanawiać nad powodem wezwania do gabinetu Goebela. Nie spodziewał się dyskusji, ale informacji o zwolnieniu ze służby i ewentualnym dochodzeniu dyscyplinarnym wobec jego osoby. Komisarz był jednak wytrawnym graczem. Potrafił odłożyć zemstę w czasie, jeśli uznał, że dzięki temu odniesie więcej korzyści. Franz teraz intensywnie myślał, jakież to inny sposób jego upokorzenia wymyślił Richter.

– Wachmistrzu Koschella. – Goebel uniósł dłoń na znak, że przyszedł czas ostudzić emocje. – Podjęliśmy decyzję o utworzeniu dwóch nowych wydziałów. Jeden z nich to Hundepolizei, na czele którego stanie wachmistrz Puder. Drugi podlegać będzie bezpośrednio komisarzowi Richterowi. Czeka nas wiele zmian, które wymusza na nas piętno tych niespokojnych czasów. Tworzymy wydział kryminalny, który zajmować się będzie w hrabstwie kłodzkim sprawami coraz częściej domagającymi się naszej uwagi. Chcemy, żebyś objął dowodzenie nad grupą śledczą. Jej członkami zostaną na chwilę obecną wachmistrzowie Seipelt i Schulz. Pierwszym waszym zadaniem będzie zakończenie sprawy geometrycznych zabójców i złożenie odpowiedniego raportu komisarzowi i mnie.

Franz spojrział na Richtera, na którego twarzy błądził nieokreślony uśmiech.

– Koschella – odezwał się Richter. – To wielkie wyróżnienie i docenienie twoich ostatnich działań, które przyczyniły się od ujęcia sprawców. Przyjmujesz nominację?

Franz przeniósł wzrok na Goebela. Wiedział, że taką ofertę słyszy się tylko raz. Czuł na sobie badawcze spojrzenie obu mężczyzn.

– Przyjmuję – potwierdził.

Goebel skinął głową, jakby nie spodziewał się usłyszeć niczego innego.

– Możecie iść. Zorganizujcie sobie z Seipeltem i Schulzem jakieś pomieszczenie i biurka. Zaczynacie od zaraz. – Richter wykonał ruch dłonią, który był jednoznaczny z wyproszeniem podwładnego z gabinetu.

Koschella ruszył ku drzwiom. Znalazłszy się w korytarzu, oparł się o ścianę, ciężko oddychając. Po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że przyglądają mu się Otto Fengler i jedna z sekretarek. Ruszył więc przed siebie.

Kto wysunął jego kandydaturę? Klein? Burmistrzowie... Richter? Czy przyjmując nominację, podpisał pakt z diabłem? W sumie miał już w tym spore doświadczenie. Komisarz nigdy nie pałał do niego sympatią, wręcz na każdym kroku udowadniał mu, że do policji się nie nadaje.

Koschella wreszcie dotarł do swojego biurka i usiadł na krześle. Komu innemu Richter powierzyłby zwierzchnictwo nad grupą śledczą? Sprawa geometrycznego mordercy miała spełnić jego ambicje, wywindować na szczyt. Być może miał pewność, że będzie mógł kontrolować Koschellę, że ma na niego wystarczający wpływ lub haka, który...

Franz się skrzywił. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Z miejsca, w którym stał, widział doskonale bramę prowadzącą do przybytku madame Herty. Popatrzył niżej, na zamurowane piwniczne okienka. Teraz był pewny, że Richter robił tylko to, co jest mu na rękę. Był w stanie wykorzystać każdą sytuację, jeśli działałaby na jego korzyść, a Franza miał w kieszeni.

Koschella pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo. Komisarz Richter nigdy nie znał się na ludziach.

*

Georg Marx spakował plecak. Zadbął o jedzenie na cały dzień i sprzęt fotograficzny. Przed wyjazdem do Dusznik miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Umówił się z zawiadowcami, że będzie mógł zrobić zdjęcie peronu tuż przed odjazdem pociągu do Wrocławia. Teraz spieszył się, by zdążyć. Wchodził do kamienicy przy Wagner Strasse spocony z wysiłku. Szybko wbiegał chwiejnymi schodami na najwyższe piętro, gdzie z okienka wychodzącego na peron miał najlepszy widok na stację. Dozorca wpuścił go bez najmniejszego problemu – kilka dni wcześniej był u Marxa z żoną i córką, by zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Znajomości ułatwiały życie.

Otworzył okno na korytarzu. Na szczęście nie było przeciągu. Dzień był piękny, słoneczny, bezchmurny.

Marx szybko rozstawił sprzęt, potem spojrział w stronę górującej nad miastem twierdzy. Jego wzrok przesunął się niżej, na Hotel Dworcowy, a potem wiatę peronu. Zebrało się tam już wielu podróżnych. Kobiety z parasolkami, jakby wciąż nie ufając zmiennej pogodzie, pokrzykiwały na rozbrykane dzieci. Mężczyźni w ciemnych marynarkach stali wyprostowani jak struny, rozmawiali ze sobą, kilku spacerowało tam i z powrotem wzdłuż peronu. Marx w tym obrazku widział jakiś sielankowy nastrój, atmosferę radosnego wyczekiwania i podniecenia. Uśmiechnął się do podróżnych, choć żaden z nich nie był w stanie go dostrzec.

Przetarł soczewki. Radosne podniecenie udzieliło się i jemu. Jakże różniło się to uczucie od tego, które towarzyszyło mu w ostatnich dniach. Te wszystkie wydarzenia wytrąciły go z równowagi bardziej, niż chciał przyznać. Fotografowanie kolejnych martwych ciał, wyłapywanie detali, których najchętniej nigdy nie chciałby oglądać ani tym bardziej zapamiętywać... Pojawiały się jednak w snach.

Podjął decyzję co do swojej przyszłości. Odpowiedział mu ją Klein, a on wystarczająco odwdzieczył się za wskazanie kierunku. Panienska Agnes, gdy zobaczył ją na ulicach Kłodzka, wydała mu się znajoma. Przez cały czas nie dawało mu to spokoju. Dopiero wczoraj odnalazł w archiwalnych numerach prasy zdjęcie i notatkę dotyczącą pewnego samobójstwa. Patrząc na fotografię dziewczyny, która tak drastycznie zakończyła swoje życie poczuł dreszcze. Podobieństwo do Agnes było zdumiewające. Zrobił wszystko, by odnaleźć Kleina i go o tym powiadomić.

Teraz był już spokojny. Zakończył tamte sprawy, a co najważniejsze, wiedział, co chce robić w życiu. Będzie fotografował góry. One stoją w miejscu od tysięcy lat, nie trzeba za nimi latać z wywalonym jęzorem. Uwieczni lasy, wodospady, uzdrowskie miasteczka. Stanie się największym producentem pocztówek w kotlinie kłodzkiej. Jeszcze dziś dotrze do Karłowa...

Spojrzał przez obiektyw. Raz jeszcze ocenił światło, obraz, który miał przed oczami. Wykonał pierwsze zdjęcie.

Coś było nie tak, coś zburzyło harmonię sielankowej atmosfery, jakby na powierzchni obiektywu powstała rysa.

Spojrzał ponownie.

Przestrzeń rozszerzyła się, by za chwilę się zawęzić. Wydało mu się, że patrzy teraz na nieruchomy, utrwalony na papierze obraz. Jego wzrok powędrował w bok, jakby miał opuścić ten wycinek rzeczywistości. Dostrzegł ją, kobietę stojącą w oddali, na krańcu peronu, z dala od ludzi. Wzdrygnął się, gdy wydało mu się, że na niego patrzy.

Oderwał się od aparatu. Czuł się, jakby wyciągnął głowę z balii wrzątku. Zacerpnął powietrza i wychylił się przez okno.

Lokomotywa sunęła naprzód, połykała kolejne metry torów. Kłęby pary wydobyły się spod kół, buchnęło też z kominów i siwy obłok przysłonił ciemną stalową bestię. Rozległ się gwizd świdrujący uszy. Podróżni zaczęli się przepychać i tłoczyć.

Marx patrzył na stojącą samotnie kobietę. Wydawało się, jakby wyszła naprzeciw rozpędzonej bestii. Stała tuż przy krawędzi, nieruchoma, wyczekująca.

Rozpoznał ją. To była ona. Wiedział, co zamierza. Przyszła tutaj, tak jak kiedyś jej siostra.

Fotograf znów wychylił się w oknie. Krzyknął ile sił w płucach, chcąc ostrzec podróżnych. Kolejny gwizd zagłuszył jego słowa. Rozpędzona bestia zwolniła tuż przed peronem, mimo to tony żelastwa napierały na lokomotywę, pchając ją do przodu. Marx otworzył usta, nie odrywając wzroku od kobiety. Poruszyła się i wtedy biała chmura zasłoniła mu widok.

Marx długo jeszcze stał w oknie. Nawet gdy ludzie włączyli się do wagonów, a potem pociąg ruszył w stronę Wrocławia, wpatrywał się w peron, jakby chciał się upewnić, że nie uległ złudzeniu.

W końcu zapakował swoje rzeczy do plecaka. Nie mógł wiedzieć, jak kobieta wchodzi do ostatniego wagonu, wymija rzędy siedzeń i w końcu wybiera miejsce naprzeciw pewnego mężczyzny. Mężczyzny, którego Marx nie rozpoznał w tłumie, a który niedawno udzielił mu kilku cennych rad.

Nie mógł wiedzieć, że mężczyzna i kobieta wpatrują się w siebie, nie zamieniając nawet zdania. Nie chciałby nawet być tego świadomym. Myślał już tylko o tym, jakie zdjęcia wykona tego dnia.

PODZIĘKOWANIA

Pisanie tej powieści było niesłychanie przyjemną, choć niełatwą przygodą. Chciałem podziękować za nieocenioną pomoc wielu osobom, które wspierały mnie swoją wiedzą i dobrym słowem. Pierwsze kroki w poszukiwaniu materiałów skierowałem do Muzeum Ziemi Kłodzkiej. Dziękuję za możliwość skorzystania ze zbiorów dyrekcji tej placówki, a przede wszystkim kustosz Irenie Klimaszewskiej. Spotkałem się z jej strony z życzliwością i profesjonalną pomocą. Często nie nadążałem z zapoznawaniem się z nowymi materiałami podrzucanymi mi przez panią kustosz na biurko w czytelni.

Dziękuję także Jolancie Czechowskiej prowadzącej dział zbiorów regionalnych w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Marii Dąbrowskiej w Kłodzku oraz Grzegorzowi Sadowskiemu, prezesowi Towarzystwa Przyjaciół Kłodzka. Udostępniona mi przez pana Sadowskiego bogata dokumentacja zdjęciowa wzbogaciła moją wiedzę na temat miasta i pozwoliła odwiedzić jego najrozmaitsze zakątki. Pani Joannie Stoklasek-Michalak, dyrektor Twierdzy Kłodzko, dziękuję za to, że nie zagubiłem się w kazamatach donżonu. Rozmowy z tymi pełnymi pasji ludźmi zawsze będą bardzo miło wspominać.

Poszukując materiałów do powieści, trafiłem do Archiwum Państwowego w Kamieńcu Ząbkowickim i Wrocławiu. Dziękuję pracownikom tych instytucji za wskazówki.

Podziękowania należą się pierwszym czytelnikom Glatz: mojej żonie Monice, Wojtkowi Sobokowi, Grzegorzowi Sadowskiemu oraz redaktor Joannie Mice. Ich merytoryczne uwagi pozwoliły mi uniknąć wielu błędów. Za pozostałe odpowiadam osobiście, także za celowe anachronizmy, jak choćby ten dotyczący tatuowania się więźniów w kłodzkiej twierdzy.

Mam nadzieję, że nie jest to nasza ostatnia podróż do Glatz. Jeśli dzięki tej książce postanowiliście odwiedzić Kłodzko, będzie mi z tego powodu bardzo przyjemnie.

Glatz

Copyright © by Tomasz Duszyński 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Paweł Wielopolski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunki w książce – Agnieszka Jednaka

Za udostępnienie mapy Glatzu dziękujemy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Wałbrzychu.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.





Wydanie I, Kraków 2019

ISBN EPUB: 978-83-8129-192-7


ISBN MOBI: 978-83-8129-191-0


 wsqn.pl


 WydawnictwoSQN


 wydawnictwosqn

 SQNPublishing

 WydawnictwoSQN

 E-booki

 Zrównoważona gospodarka leśna

 412 DIES DIEM DOCET

Spis treści

Strona tytułowa

Spis ulic i placów

Mapa

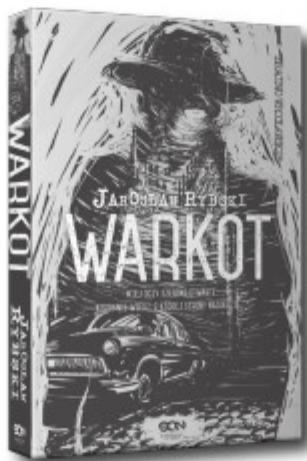
Glatz

Podziękowania

Strona redakcyjna

TAKIEJ DRAKI WROCŁAW JESZCZE NIE WIDZIAŁ!

Początek lat 50. Funkcjonariuszom milicji i ubecji sen z powiek spędza bestialski morderca pozostawiający makabryczny szlak zwłok pozbawionych krwi. Na dodatek tajemnicza sekta poszukuje w mieście relikwii zaginionej podczas wojny. Kto stoi za niewytłumaczalnymi morderstwami? Jaki związek ze sprawą ma czarna pobieda krążąca nocami po ulicach powojennego Wrocławia? I czy w starych podaniach kryje się ziarno prawdy?



**WARKOT TO BŁYSKOTLIWY RETROKRYMINAŁ,
W KTÓRYM RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA
MISTERNIE PRZEPLATA SIĘ Z FIKCJĄ, A CAŁOŚCI
DOPEŁNIA SUBTELNY HUMOR.**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

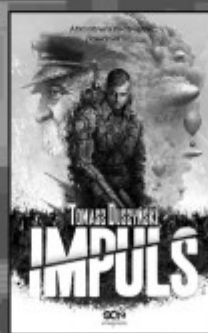
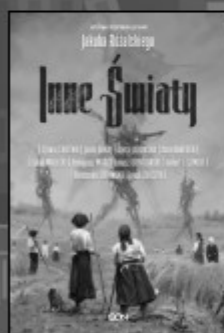
www.wsqn.pl

Oficjalna księgarnia Wydawnictwa SQN

POP, MUZYKA, FANTASTYKA, BOOKBOXY,
PAKIETY I WYJĄTKOWE
SQN ORIGINALS - TYLKO U NAS!

SQN STORE

www.SQNSTORE.pl



www.WSQN.pl

[instagram.com/wydawnictwosqn](https://www.instagram.com/wydawnictwosqn)

[facebook.com/WydawnictwoSQN](https://www.facebook.com/WydawnictwoSQN)